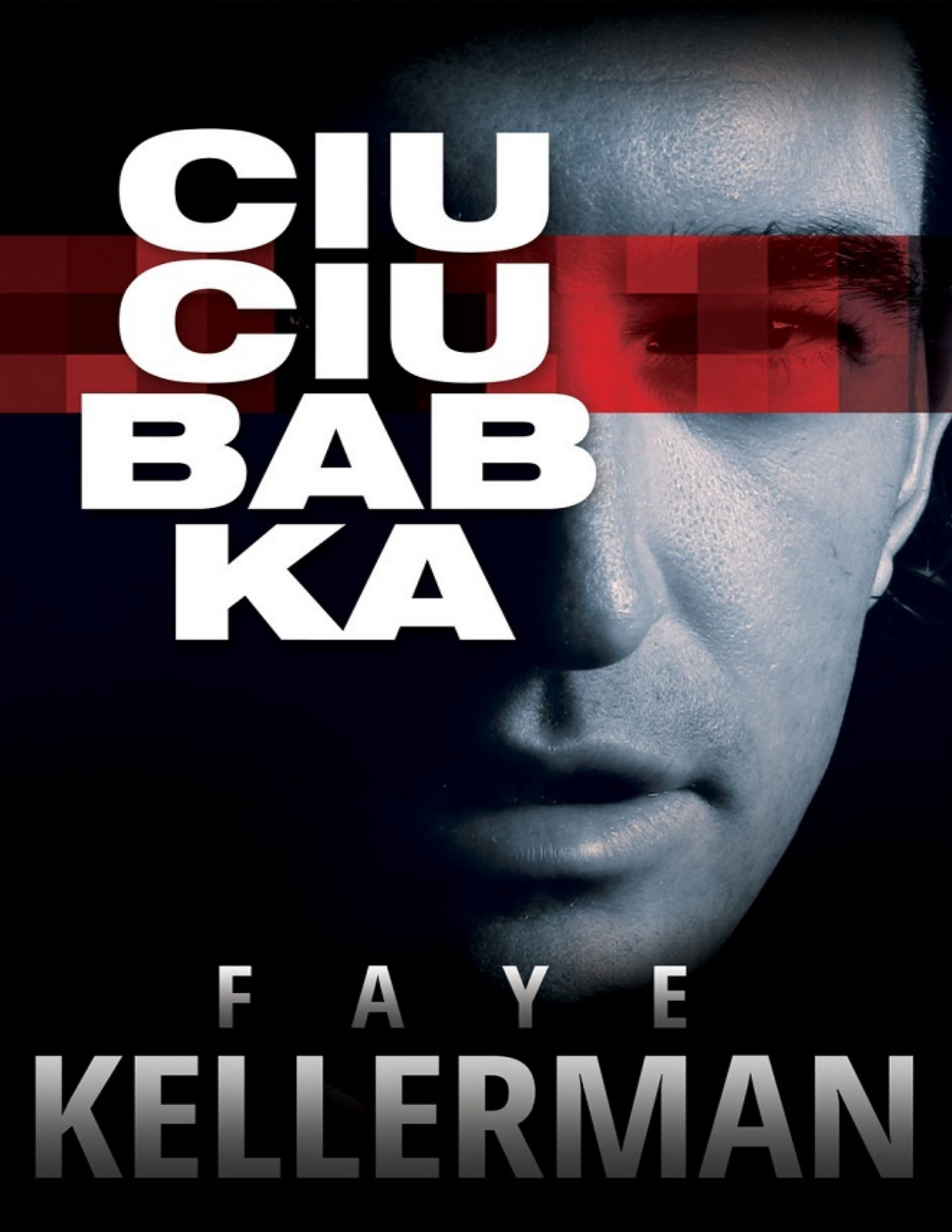
CIU
CIU
BAB
KA
FAYE
KELLERMAN

Faye Kellerman

Ciuciubabka

Tłumaczenie:
Piotr Grzegorzewski

Dla Jonathana,
mojego nieustającego źródła inspiracji

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Fantazja – kwintesencja życia.

Ubierając się przed wyjściem do pracy, przeglądał się w lustrze. Patrzył na niego przystojny mężczyzna, metr dziewięćdziesiąt wzrostu**...**

Bez przesady. Trochę za wysoki.

Patrzył na niego diabelnie przystojny mężczyzna, metr osiemdziesiąt sześć wzrostu, z burzą spłowiałych od słońca włosów i niespotykanie niebieskimi oczami o tak intensywnej barwie, że za każdym razem, gdy spojrzała na niego kobieta, zakłopotana musiała odwrócić wzrok.

Z tymi oczami to chyba nawet prawda.

To może tak:

Z lustra patrzyła na niego szczupła twarz zwieńczona szopą kręconych ciemnych włosów. Jego nieśmiały uśmiech doprowadzał kobiety do omdlenia. Był chłopięcy i czarujący, a równocześnie męski.

Poczuł, że usta wykrzywiają mu się w uśmiechu, i przeczesał palcami dość rzadką czuprynę. Zacisnął węzeł krawata, po czym wygładził kołnierzyk i poczuł pod palcami materiał. Był to ręcznie malowany jedwab w najlepszym gatunku, jak niemal wszystkie ubrania w jego szafie. Kiedy wkładał koszulę w spodnie, przesunął dłońmi po sześciopaku, efekcie brzuszków, podnoszenia ciężarów i niesamowicie restrykcyjnej diety. Jego mięśnie łaknęły protein, co samo

w sobie nie było niczym złym, dopóki spalał tłuszcz. To dlatego za każdym razem, gdy spoglądał w lustro, podobało mu się to, co widzi.

Bardziej niż to, co sobie wyobrażał.

Decker był szczerze zdziwiony, czemu zaraz dał wyraz:

– Nie rozumiem, jakim cudem udało ci się przebrnąć przez przesłuchanie kandydatów na ławników.

– Może sędzia uwierzył, kiedy go zapewniłam, że zachowam obiektywizm – odparła Rina.

Decker odchrząknął, wrzucając słodzik do kawy. Do niedawna pił tylko gorzką, ale od pewnego czasu po obfitych mięsnych posiłkach nabierał ochoty na coś słodkiego. Nie chodzi o to, żeby kolacja była ciężkostrawna, ot, steki i sałatka. Lubił proste potrawy, kiedy byli tylko we dwoje.

– Nawet jeśli tak, to obrońca powinien cię skreślić z listy.

– Może też uznał, że będę obiektywna.

– Przez ostatnich osiemnaście lat słuchałaś, jak się wkurzam i psioczę na nasz żałosny system sądowniczy. Niby jakim cudem miałabyś być obiektywna?

Rina uśmiechnęła się znad filiżanki.

– Zakładasz, że wierzę we wszystko, co mi mówisz.

– Dziękuję ci uprzejmie.

– To, że jestem żoną porucznika policji, tak do końca nie pozbawiło mnie zdrowego rozsądku. Mam swój rozum.

– Odnoszę wrażenie, że po prostu chcesz być ławniczką. – Decker wypił łyk kawy. Była mocna i słodka. – No dobrze, powodzenia, kotku. Tego właśnie potrzebuje nasz system sądowniczy. Inteligentnych ludzi, którzy spełniają

obywatelski obowiązek. – Uśmiechnął się do niej przebiegle. – No, chyba że po prostu wpadłaś w oko obrońcy.

– To kobieta, ale w sumie niewykluczone.

Decker wybuchnął śmiechem. Rina wciąż przyciągała uwagę. Może na jej twarzy przybyło kilka mimicznych zmarszczek, ale i tak była piękną kobietą. Ta alabastrowa cera z różowym odcieniem na kościach policzkowych, te jedwabiste czarne włosy i chabrowe oczy.

– To nie tak, że nie chciałam, żeby mnie skreślili – wyjaśniła. – Tyle że w pewnej chwili musiałabym zacząć kłamać. Mówić coś w stylu: „Nie, nie potrafię być obiektywna”, innymi słowy, zrobić z siebie kretynkę.

– Co to za sprawa?

– Wiesz, że nie mogę z tobą o tym rozmawiać.

– Daj spokój! – Decker ugryzł kawałek ciastka, które upiekła jego szesnastoletnia córka. Okruchy osiadły mu na wąsach. – Niby komu miałbym o tym powiedzieć?

– Na przykład całemu posterunkowi policji – odparła Rina. – Nie masz przypadkiem jakiejś sprawy do załatwienia w sądzie?

– Z tego, co wiem, to nie. Dlaczego pytasz?

– Miałam nadzieję, że moglibyśmy wyskoczyć na lunch.

– Tak, zaszalejmy i przepuśćmy tych piętnaście dolców dziennie, które wypłaca ci sąd.

– Plus zwrot kosztów paliwa, ale tylko w jedną stronę. W każdym razie pełnienie funkcji ławnika to żadna droga do wzbogacenia się. Nawet krwiodawcom więcej płacą. Ale przynajmniej spełniam obywatelski obowiązek. Jako

przedstawiciel sił porządkowych powinieneś to docenić.

Decker cmoknął ją w czoło.

– Jestem z ciebie dumny. Postąpiłaś słusznie. I obiecuję, że już nie będę cię wypytywał o sprawę. Powiedz mi tylko, czy chodzi o morderstwo.

– Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Ale ponieważ widziałeś najgorsze uczynki, czy też ich skutki, do jakich zdolny jest człowiek, a do tego masz bujną wyobraźnię, to powiem ci jedno: nie musisz się martwić.

– Dziękuję. – Decker popatrzył na zegarek. Było kilka minut po dziewiątej wieczorem. – Czy Hannah nie powinna być już w domu?

– Powinna, ale znasz swoją córkę. Na wszystko ma czas. Mam do niej zadzwonić?

– A odbierze?

– Pewnie nie, zwłaszcza jeśli akurat prowadzi**...** Zaraz**...** Chyba właśnie przyjechała.

Po chwili w drzwiach pojawiła się ich córka objuczona tak na oko dwutonowym plecakiem oraz dwiema papierowymi torbami z zakupami. Decker ściągnął z niej plecak, a Rina wzięła torby.

– Po co to wszystko? – zapytała.

– Zaprosiłam kilka dziewczyn na szabat, a oczywiście poza moimi ciastkami nie mamy w domu nic nadającego się do jedzenia. Mam wyjąć zakupy?

– Ja to zrobię – odparła Rina. – Idź się przywitać z ojcem. Martwił się o ciebie.

Hannah popatrzyła na zegarek.

– Przecież jest dopiero dziesięć po dziewiątej.

– Wiem, że jestem nadopiekuńczy – przyznał Decker. – Ale i tak się nie zmienię. I nie mamy w domu niezdrowego jedzenia, bo jeśli jest, od razu je zjadam.

– Wiem, abba. I dopóki za wszystko płacisz, nie sprzeciwiam się. Ale mam dopiero szesnaście lat i to, jak mogę się domyślać, jedna z niewielu chwil w moim życiu, kiedy mogę niezdrowo się odżywiać, nie musząc martwić się o to, że przytyję. Kiedy patrzę na ciebie i na Cindy, to wiem, że nie zawsze będę taka szczupła.

– A co ci się nie podoba w Cindy? Jest całkiem normalna.

– Tak jak ja ma tendencję do tycia i musi obsesyjnie pilnować wagi. Nie jestem jeszcze na tym etapie co ona, ale prędzej czy później dopadnie mnie mój metabolizm.

Decker poklepał się po brzuchu.

– A co w takim razie nie podoba ci się we mnie?

– Wszystko mi się w tobie podoba, abba. Wyglądasz świetnie jak na**...** – Hannah przerwała raptownie. O mało nie powiedziała „jak na swój wiek”. Pocałowała go w policzek. – Mam nadzieję, że mój mąż będzie równie przystojny jak ty.

Decker nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

– Dziękuję, ale na pewno będzie o wiele przystojniejszy ode mnie.

– To niemożliwe. Nikt nie jest taki przystojny jak ty, a z wyjątkiem koszykarzy nikt nie jest taki wysoki. Ale wysokie dziewczyny mają przechlapane. Musimy nosić buty na płaskim obcasie, bo inaczej byłybyśmy wyższe od większości osób w klasie.

– Nie jesteś aż tak wysoka.

– Mówisz tak tylko dlatego, że dla ciebie wszyscy są niscy. Przerosłam już Cindy, a ona ma metr siedemdziesiąt pięć.

– Nawet jeśli ją przerosłaś, to tylko trochę. Poza tym wielu chłopaków ma powyżej metra siedemdziesięciu pięciu.

– Tak, ale żaden z nich nie jest Żydem.

– Ja jestem Żydem.

– Żaden z nich nie jest Żydem, który chodzi ze mną do szkoły.

Spodobało mu się to, bo oznaczało, że dopiero w college'u znajdzie sobie chłopaka. Hannah dostrzegła nikły uśmiech na jego twarzy.

– Wcale mi nie współczujesz.

– Przykro mi, że odziedziczyłaś po mnie wzrost.

– To nie do końca tak. – Westchnęła. – Wszystko ma swoje wady i zalety. Kiedy jesteś wysoką i szczupłą dziewczyną, i jeszcze na dodatek fajnie się ubierasz, wszyscy myślą, że chcesz być modelką i masz siano w głowie.

– Jestem pewien, że przyjaciółki ci bardzo współczują z tego powodu.

– Akurat teraz nie rozmawiam z przyjaciółkami, tylko z tobą. – Hannah przeniosła wzrok na stół. – Smakowały ci moje ciastka?

– Aż za bardzo. To właśnie dlatego nie toleruję niezdrowego jedzenia w tym domu.

– Ciesz się tym, abba, póki możesz – odparła Hannah. – Życie jest krótkie. Nie tak jak ty.

Zaczęło się od cichutkiego dzwonienia przebijającego się

przez sen. Dopiero po chwili Rina uświadomiła sobie, że to dzwonek telefonu.

– Muszę rozmawiać z szefem – usłyszała w słuchawce monotonny głos Marge Dunn.

Spojrzała na męża. Nie zmienił pozycji, odkąd zasnął cztery godziny temu. Budzik na stoliku nocnym wskazywał trzecią. Peter był porucznikiem, więc nieczęsto budzono go w środku nocy. W West Valley morderstwa należały do rzadkości, ale gdy już do nich dochodziło, zazwyczaj były wyjątkowo okrutne. O tej porze zajmowali się nimi jednak podwładni Petera z elitarnego wydziału zabójstw. Nie wymagały budzenia szefa o trzeciej nad ranem.

Co innego, jeśli za morderstwem kryła się jakaś sensacyjna historia.

Rina potarła rękę pokrytą gęsią skórką, a potem delikatnie potrząsnęła ramieniem męża.

– To Marge.

Decker wyprostował się raptownie na łóżku i przejął od Riny słuchawkę.

– Co jest? – zapytał zaspanym głosem.

– Wielokrotne morderstwo.

– A niech to**...**

– Na razie mamy cztery ofiary śmiertelne i jednego poważnie rannego. To syn pary, która została zamordowana. Jest w drodze do szpitala Świętego Józefa. Został postrzelony, ale prawdopodobnie przeżyje.

Decker wstał, włożył koszulę i zaczął ją zapinać.

– Kim są ofiary? – zapytał.

– Co ty na to, jeśli ci powiem, że to Guy i Gilliam Kaffeyowie? Wiesz, ci od Kaffey Industries.

Decker wciągnął gwałtownie powietrze. Guy i jego młodszy brat Mace byli właścicielami większości centrów handlowych w południowej Kalifornii.

– Gdzie to się stało?

– Na Ranczu Kojota.

– Ktoś się tam włamał? – Podtrzymując telefon brodą, zaczął wkładać spodnie. – Myślałem, że to miejsce jest prawdziwą twierdzą.

– Tego nie wiem, ale to ogromny teren, trzydzieści hektarów graniczących z górami, nawet już nie wspominając o kompleksie budynków. Tak naprawdę jest to oddzielne miasto.

Decker przypomniał sobie artykuł o ranczu, który zamieszczono w jednym z pism. Główny budynek był tak ogromny, że bez problemu mógłby służyć za centrum kongresowe. Oprócz tego na ranczu znajdowały się oczywiście basen, jacuzzi i kort tenisowy. A także psiarnia, maneż o wielkości wystarczającej do rozgrywania zawodów jeździeckich, stajnia z dziesięcioma boksami dla koni pani domu, lądowisko dla samolotów, a do tego prywatny zjazd z autostrady. Jakiś rok temu Guy Kaffey złożył ofertę kupna Los Angeles Galaxy po tym, gdy do drużyny dołączył David Beckham, jednak ostatecznie do transakcji nie doszło.

Z tego, co Decker pamiętał, małżeństwo miało dwóch synów. Zastanawiał się, który z nich został postrzelony.

– A co z ochroniarzami? – zapytał.

– Znaleźliśmy dwóch w wartowni przy bramie wjazdowej. Obaj zostali zabici – odpowiedziała Marge. – Ciągle przeczesujemy teren. Tam jest chyba z dziesięć budynków. Możliwe, że to nie wszystkie ofiary. Kiedy przyjedziesz?

– Za jakieś dziesięć minut. Kto jest na miejscu?

– Kilka radiowozów. Oliver zawiadomił Strappa. Tylko patrzeć, jak zjadą się media.

– Zabezpiecz teren. Nie chcę żadnych dziennikarzy na miejscu zbrodni.

– Dobra. Na razie.

Decker rozłączył się i sporządził w myślach listę rzeczy, których będzie potrzebował: notes i długopisy, rękawiczki, torebki na dowody, maski na twarz, szkło powiększające, wykrywacz metalu, wazelina i advil. Ten ostatni bez związku z pracą dochodzeniową, po prostu strasznie bolała go głowa. Ani chybi przez to, że wyrwano go z głębokiego snu.

– Co się stało? – zapytała Rina.

– Wielokrotne morderstwo na Ranczu Kojota.

Wyprostowała się raptownie.

– Na posiadłości Kaffeyów?

– Zgadza się. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że na miejscu zastanę niezły bajzel.

– To straszne!

– To będzie logistyczny koszmar. Teren ma jakieś trzydzieści hektarów, więc nie ma mowy, żeby go odgrodzić.

– Wiem, jest ogromny. Jakiś rok temu udostępnili posiadłość na imprezę charytatywną. Słyszałam, że są tam wspaniałe ogrody. Chciałam jechać, ale akurat coś mi

wypadło.

– Chyba już nie będziesz miała okazji. – Decker otworzył szafkę na broń, wyjął z niej berettę i włożył do kabury naramiennej. – Przepraszam, że to powiedziałem. Perspektywa spotkania z mediami doprowadza mnie do szału.

– Naprawdę dziennikarze pojawią się tam o trzeciej piętnaście nad ranem?

– Na tym świecie pewne są tylko trzy rzeczy: śmierć, podatki i wiadomości. – Cmoknął żonę w czubek głowy. – Kocham cię.

– Ja ciebie też. – Rina westchnęła. – To naprawdę smutne, że pieniądze zawsze przyciągają pijawki, oszustów i zwyczajnych łotrów. – Potrząsnęła głową. – Nie wiem, czy można być zbyt szczupłym, ale na pewno można być zbyt bogatym.

Jedyną zaletą tak wczesnego wstawania było to, że unikało się korków. Decker mknął pustymi ulicami, mrocznymi i zamglonymi, tylko od czasu do czasu rozświetlonymi latarniami. Autostrada była upiorną, bezkresną czarną szosą niknącą we mgle. W 1994 roku Southland nawiedziło trzęsienie ziemi, straszliwy półtoraminutowy dzień sądu, podczas którego zawaliły się budynki i betonowe wiadukty na autostradach. Gdyby do wstrząsów doszło trochę później, w czasie porannych godzin szczytu, liczba ofiar sięgnęłaby dziesiątków tysięcy, nie ledwie setki.

Zjazd z autostrady blokowały dwa radiowozy. Decker pokazał policjantom odznakę i cierpliwie odczekał kilka

minut, aż wycofali się, żeby mógł przejechać. Jeden z funkcjonariuszy wytłumaczył mu, jak dojechać na ranczo. Żadna filozofia, droga nigdzie się nie rozwidlała. Przejechał jakieś półtora kilometra polną drogą, zanim przed jego oczami wyrósł główny budynek posiadłości. Przypominał morskiego potwora, który wypłynął na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Na zewnątrz paliły się reflektory ekip telewizyjnych. Niemal każda szczelina i szpara była rzęsiście oświetlona, co nadawało całemu miejscu wygląd parku rozrywki.

Rezydencję utrzymano w stylu hiszpańskim, dzięki czemu na swój sposób harmonizowała z otoczeniem. Miała trzy kondygnacje, spaloną przez słońce fasadę z licznymi sztukateriami, balkony z drewnianymi poręczami, okna witrażowe i pokryty czerwoną dachówką dach. Budynek wznosił się na wzgórzu. Za nim rozciągały się ogromne połacie ziemi i góry.

Jakieś dwieście metrów dalej znajdował się parking, na którym stało kilka radiowozów, furgonetka z biura koronera, wozy transmisyjne ze sterczącymi antenami, vany techników kryminalistyki i osiem nieoznakowanych pojazdów, a mimo to wciąż jeszcze były wolne miejsca. Ekipy telewizyjne już wzięły się do roboty. Każda z nich miała własne oświetlenie, kamerzystów i dźwiękowców, producentów i oczywiście żywiołowych reporterów czekających na swoje pięć minut. Wszyscy chcieli być jak najbliżej miejsca zbrodni, ale żółte taśmy, pachołki i policjanci w mundurach trzymali ich na dystans.

Decker pokazał policjantom odznakę, pochylił się, by przejść pod taśmą, i ruszył w kierunku wejścia, mijając pieczołowicie przystrzyżone żywopłoty z bukszpanu oddzielające kolejne części ogrodu. Zauważył róże, irysy, żonkile, lilie, zawilce, dalie, cynie i dziesiątki innych kwiatów, których nie rozpoznawał. Gdzieś niedaleko musiały rosnąć gardenie i krzewy *cestrum nocturnum* o zabójczym słodkomdlącym zapachu. Kamienny chodnik biegł między rzędami kwitnących cytrusów. Decker doszedł do wniosku, że to drzewa cytrynowe.

Drzwi strzegło dwóch policjantów. Rozpoznali go i dali znak, żeby wszedł. Wewnątrz paliły się wszystkie światła. Hol wejściowy przypominał salę balową w hiszpańskim zamku. Podłogę wykonano z grubych starych desek o tak nieregularnym usłojeniu, że musiały być prawdziwe. Sufit przecinały masywne rzeźbione belki. Ściany zdobiły złocenia i ogromne gobeliny. Decker najpewniej oddałby się kontemplowaniu tego wszystkiego, zachwycony ogromem i pięknem pomieszczenia, gdyby nie napotkał spojrzenia policjanta w mundurze, który wskazał mu dalszą drogę.

Pokonawszy kilka schodków, wszedł do wysokiego salonu z sufitem z pomalowanymi belkami. Na podłodze dostrzegł takie same deski jak w holu, tyle że przykrywały je dziesiątki chodniczków plemienia Navajo, które sprawiały wrażenie autentycznych. Kolejne złocenia, kolejne gobeliny na ścianach, a wraz z nimi ogromne obrazy przedstawiające krwawe bitwy. Umeblowanie pokoju stanowiły gigantyczne kanapy, krzesła i stoły. Z Deckera był kawał chłopa – metr

dziewięćdziesiąt cztery wzrostu, ponad sto kilogramów wagi – jednak ogrom tego wszystkiego sprawił, że nagle poczuł się malutki.

– Ten dom jest większy od mojego college'u.

To powiedział Scott Oliver, jednego z podlegających Deckerowi detektywów z wydziału zabójstw. Jak na swoje blisko sześćdziesiąt lat całkiem nieźle się trzymał, przynajmniej z wyglądu. Zawdzięczał to zdrowej cerze i regularnemu stosowaniu czarnej farby do włosów. Mimo że dochodziła czwarta rano, Oliver był ubrany jak dyrektor generalny na zebraniu zarządu: czarny garnitur w prążki, czerwony krawat oraz wykrochmalona i wyprasowana biała koszula.

– To był zwyczajny college, ale z wielkim kampusem – dodał.

– Wiesz, ile to ma metrów?

– Pewnie jakieś sto tysięcy.

– O rany, to jest**...** – Decker przerwał w pół słowa. Chociaż przy każdych drzwiach stał mundurowy, na podłodze ani na meblach nie zauważył oznaczeń miejsca zbrodni. W pokoju nie było również techników kryminalistyki.

– Gdzie doszło do morderstw?

– W bibliotece.

– Jak do niej dojść?

– Poczekaj – odparł Oliver. – Mam tu gdzieś plan domu.

ROZDZIAŁ DRUGI

Labirynt korytarzy z pewnością udaremniłby ucieczkę każdemu włamywaczowi. Mimo planu Oliver i tak kilka razy pomylił drogę.

– Marge mówiła, że mamy cztery ciała – zagaił Decker.

– Aktualnie pięć. Kaffeyowie, pokojówka i dwóch ochroniarzy.

– O w mordę! Coś zginęło? Są jakieś ślady rabunku?

– Nic, co by się rzucało w oczy. – Szli dalej niekończącymi się korytarzami. – Ale na sto procent sprawców było kilku. Ten, kto to zrobił, musiał mieć plan i ludzi do pomocy. Na pewno kogoś stąd.

– Kto nas wezwał? Ranny syn?

– Nie wiem. Kiedy tu przyjechaliśmy, właśnie ładowano go do karetki.

– Kiedy mogło dojść do strzelaniny?

– Na razie nie wiemy nic pewnego, ale nastąpiło już stężenie pośmiertne.

– Czyli co najmniej cztery godziny temu – skomentował Decker. – Może analiza zawartości żołądków powie nam coś więcej. Kto przyjechał z trupiarni?

– Dwóch śledczych i zastępca koronera. Skręć w prawo. Biblioteka powinna być za tymi podwójnymi drzwiami.

Po wejściu do środka Deckerowi zakręciło się w głowie. Nie tylko z powodu ogromnych rozmiarów pomieszczenia, lecz

również dlatego, że było całkowicie pozbawione kątów. Biblioteka miała kształt rotundy zwieńczonej kopułą ze stali i szkła. Na pokrytych boazerią z orzecha zaokrąglonych ścianach wisiały sięgające od podłogi do sufitu gobeliny przedstawiające mitologiczne stwory hasające po lasach. Między nimi stały regały z książkami. Kominek był tak wielki, że zdawało się, iż pomieści morze ognia, a podłogę zaścielały zabytkowe dywany. Znajdowało się tu mnóstwo mebli: sofy, dwuosobowe kanapy, stoły, krzesła, dwa fortepiany i niezliczone lampy.

Miejsce zbrodni sugerowało, że doszło tu do tragedii w dwóch aktach. Akt pierwszy rozegrał się w pobliżu kominka, akt drugi przed gobelinem ukazującym gorgonę pożerającą młodego władcę.

Oliver wycelował palcem w miejsce, gdzie rozegrał się akt pierwszy.

– Gilliam Kaffey siedziała przed kominkiem, czytając książkę i popijając wino. Ojciec i syn natomiast rozmawiali, siedząc w tych fotelach klubowych.

Wskazał dwa fotele z brązowej skóry, przy których stała Marge Dunn. Właśnie mówiła coś z ożywieniem do jednego ze śledczych z biura koronera ubranego w standardową czarną kurtkę z żółtym napisem na plecach. Widząc Deckera i Olivera, przywołała ich skinieniem dłoni w rękawiczce. W ostatnich miesiącach zapuszczała włosy, zapewne na prośbę swego nowego faceta, Willa Barnesa. Miała na sobie beżowe spodnie, białą bluzkę i ciemnobrązowy sweter zrobiony ściegiem warkoczowym, a na nogach buty na

gumowych podeszwach.

Decker z Oliverem podeszli do miejsca zbrodni.

Guy Kaffey leżał na plecach w kałuży krwi. W klatce piersiowej miał zionącą dziurę. Tkanka i kości pokrywały twarz denata oraz jego ręce i nogi. To, co nie znalazło się na podłodze, pokryło większą część gobelinu, w niezamierzony sposób dodając autentyczności wizerunkowi nieszczęsnego chłopaka i gorgony.

– Dla lepszej orientacji. – Marge wyjęła z kieszeni plan domu i rozłożyła go. – To jest dom, a my jesteśmy**...** tutaj.

Decker wyciągnął notes i rozejrzał się po pozbawionym okien pokoju. Kiedy skomentował to ostatnie, Marge odparła:

– Pokojówka, która przeżyła, powiedziała mi, że zgromadzone tu dzieła sztuki są zbyt stare, żeby narażać je na działanie promieni słonecznych.

– Więc nie tylko syn przeżył atak? – zapytał Decker.

– Nie, ona zjawiła się tu po wszystkim i odkryła ciała – wyjaśniła Marge. – Nazywa się Ana Mendez. Kazałam jej czekać w jednym z pokoi. Pilnuje jej jeden z naszych ludzi.

– Musimy przesłuchać również ogrodnika i stajennego – włączył się Oliver. – Ich też trzymamy pod strażą.

– I też w oddzielnych pokojach – dodała Marge.

– Ogrodnik to Paco Albanez. Facet ma jakieś pięćdziesiąt pięć lat, a pracuje tu od trzech – powiedział Oliver, patrząc w swoje notatki. – Stajenny to Riley Karns. Około trzydziestki. Nie wiem, od jak dawna tu pracuje.

– A kto do nas zadzwonił? – zapytał Decker.

– Jeszcze nie wiemy – odparła Marge. – Pokojówka twierdzi,

że ktoś zadzwonił do ochroniarza, który miał wolne. Być może to on nas powiadomił.

– To właśnie ta pokojówka znalazła na podłodze syna – uzupełnił Oliver. – Myślała, że on też nie żyje.

– Jak się nazywa ten ochroniarz, który prawdopodobnie do nas dzwonił? – zapytał Decker.

– Piet Kotsky – odrzekła Marge. – Rozmawiałam z nim przez telefon. Jedzie z Palm Springs. Ochroniarze tutaj nie mieszkają. Mają dwudziestoczterogodzinne dyżury, w sumie jest ich ośmiu. Pracują po czterech: dwóch w głównym budynku i dwóch w wartowni przy głównej bramie. Ci dwaj ostatni nie żyją. Strzały w głowę i klatkę piersiową. Kamery telewizji przemysłowej i cały sprzęt zniszczono.

– Jak się nazywali? – zapytał Decker.

– Kotsky nie wiedział, kto pracował na tej zmianie, ale twierdzi, że bez problemu zidentyfikuje ciała.

– A co z ochroniarzami z głównego budynku?

– Zniknęli.

– Więc mamy dwóch ochroniarzy zabitych i dwóch zaginionych. – Gdy Marge i Oliver skinęli głowami, pytał dalej: – Gdzie zabito pokojówkę?

– W sypialni na dole.

– A jakim cudem Anie Mendez udało się nie zaliczyć kulki?

– Miała wolne – wyjaśnił Oliver. – Wróciła na ranczo około pierwszej w nocy.

– W jaki sposób? Nie dojeżdżają tu autobusy.

– Ma samochód.

– Nie zdziwiła się, że przy głównej bramie nie ma

ochroniarzy?

– Skorzystała z tylnego wjazdu dla służby. Tam nie ma ochroniarzy, a brama otwierana jest na kartę. Ana wjechała, zaparkowała i poszła do sypialni pokojówek. Zobaczyła ciało koleżanki i zaczęła krzyczeć. Nie mamy całkowitej pewności, co było dalej. Prawdopodobnie pobiegła na górę i znalazła pozostałe ciała.

– Pobiegła na górę, chociaż mordercy mogli być ciągle w domu? – zdziwił się Decker.

– Jej zeznania są trochę niespójne. Kiedy zobaczyła ciała, zadzwoniła do Kotsky'ego, a on wezwał nas**...** A przynajmniej tak mi się wydaje.

– Porozmawiam z nią. Mówi po hiszpańsku, prawda?

– Tak, ale nieźle też sobie radzi z angielskim.

– Wracając do ochroniarzy. Wiecie, kto im ustalał grafik?

– Niejaki Neptune Brady, szef ochrony Kaffeyów. Ma tutaj bungalow, ale kilka dni temu wyjechał do chorego ojca w Oakland.

– Czy ktoś się z nim kontaktował?

– Kotsky do niego dzwonił. Powiedział nam, że Brady wynajął samolot i niedługo powinien tu być. – Marge przerwała na chwilę. – Zajrzeliśmy do jego bungalowu, żeby się upewnić, czy nie ma tam kolejnego ciała. Nie robiłam przeszukania. Nie mamy nakazu.

– Potrzebny nam będzie, jeśli Brady odmówi współpracy. – Decker rozejrzał się po pokoju. – Jakieś pomysły na temat przebiegu zdarzeń?

– Jak już mówiłem, Gilliam siedziała przed kominkiem,

popijając wino i czytając – odparł Oliver. – Uważamy z Marge, że ją załatwili jako pierwszą. Osunęła się na kanapę, książka wypadła jej z ręki. Leży obok niej, cała we krwi. Sam zobacz.

Decker podszedł do kominka. Na kanapie leżało ciało pięknej kobiety z otwartymi niebieskimi oczami i jasnymi włosami pokrytymi zaschniętą krwią. Gilliam Kaffey została niemal przecięta na pół wystrzałami ze strzelby. Widok był tak okropny, że Decker odruchowo odwrócił wzrok. Nigdy się do tego nie przyzwyczai.

– Ale jatka – skomentował. – Musimy zrobić dużo zdjęć, bo możemy nie dać rady zapamiętać wszystkiego.

– Wtargnięcie kogoś do pokoju musiało przyciągnąć uwagę ojca i syna – ciągnęła Marge. – Obaj zginęli w następnej kolejności.

– Kaffeyowie mieli dwóch synów – włączył się Oliver. – Postrzelony został starszy, Gil.

– Czy ma jakichś krewnych, których trzeba zawiadomić? – zapytał Decker.

– Pracujemy nad tym – odparł Oliver. – Jak dotąd nikt nie dzwonił na policję, żeby o niego zapytać.

– A co z młodszym bratem?

– Piet Kotsky powiedział mi, że ma na imię Grant i mieszka w Nowym Jorku – odparła Marge. – Podobnie jak Mace Kaffey. Guy był jego starszym bratem.

– To ten, który prowadził z nim firmę – uściślił Oliver. – Obaj zostali powiadomieni.

– Przez kogo? Kotsky’ego? Brady’ego?

Marge i Oliver wzruszyli ramionami.

– Wracając do miejsca zbrodni – powiedział Decker. – Co, waszym zdaniem, mogli robić Guy i Gil?

– Na przykład omawiać interesy – odparł Oliver. – Tyle że nie znaleźliśmy przy nich żadnych dokumentów.

– Guy Kaffey prawdopodobnie wstał, żeby zobaczyć, co się stało z żoną – dodała Marge. – I wtedy powalił go strzał. Syn był nieco szybszy i zaczął uciekać. Kule dosięgły go przy drzwiach.

– I sprawcy nie sprawdzili, czy na pewno nie żyje?

Marge wzruszyła ramionami.

– Może ktoś ich wystraszył i uciekli.

– W tym pokoju jest dwoje, troje**...** sześcioro drzwi – policzył Decker. – Sprawców musiało być kilku. Każdy z nich mógł wejść innymi drzwiami. Co takiego musiałoby się wydarzyć, żeby banda morderców uciekła z rancza, nie upewniwszy się, że wszystkich zabiła?

Tym razem to Oliver wzruszył ramionami.

– Może włączył się alarm, chociaż tego jeszcze nie wiemy. Może usłyszeli wracającą pokojówkę. Tyle że ona nie widziała, by ktokolwiek wychodził z domu.

Decker zamyślił się na chwilę.

– Jeśli zamiast iść spać, miło spędzali czas w bibliotece, pewnie nie było zbyt późno. Już po kolacji, ale na tyle wcześnie, żeby się jeszcze napić. Czyli najpewniej około dziesiątej, może jedenastej.

– Około – zgodziła się Marge.

– Ogrodnik i stajenny byli tutaj, kiedy przyjechaliście,

prawda?

– Tak.

– Wspominaliście, że tu mieszkają, prawda?

– W bungalowach na terenie posiadłości – sprecyzował Oliver.

– To skąd wiedzieli o morderstwach? Ktoś ich obudził czy usłyszeli huk wystrzałów**...**

Oboje śledczy znów wzruszyli ramionami.

– No nic, trochę tu zabawimy. – Decker przez chwilę masował bolącą głowę. – Niech technicy, fotografowie i śledczy z biura koronera zajmą się na razie biblioteką. My mamy do obejrzenia jeszcze dwa inne miejsca zbrodni i świadków do przesłuchania. Gdzie pozostałe ciała?

Marge pokazała mu miejsca zbrodni na swoim planie.

– Też powinienem coś takiego mieć – zauważył Decker.

Oliver oddał mu swój plan.

– Załatwię sobie drugi.

– Dzięki. Wy zbadacie pozostałe miejsca zbrodni, a ja pogadam ze świadkami, zwłaszcza z mówiącymi po hiszpańsku. Zobaczymy, czy uda się nam ustalić ramy czasowe i przebieg wydarzeń.

– Niezły pomysł – pochwaliła go Marge. – Ana jest w tym pokoju. – Pokazała go na planie. – Albanez tutaj, a Karns tutaj.

Decker zaznaczył pokoje na swoim planie, a potem zapisał nazwiska w notesie, przydzielając każdemu świadkowi oddzielną kartkę. Skoro miał już swoich graczy, mógł zacząć wypełniać kartę wyników.

Ana Mendez, zwinięta w kłębek na fotelu, sprawiała wrażenie, jakby chciała się gdzieś schować. Zbliżała się do czterdziestki, była niewysoka, poniżej metra pięćdziesięciu. Obrazu dopełniały brązowawa cera, szerokie czoło, wystające kości policzkowe, szerokie usta i okrągłe ciemne oczy. Fryzura na pazia przywodziła na myśl okno z czarnymi zasłonami po bokach i lambrekinem-grzywką.

Pokojówka spała, ale obudziła się, kiedy Decker wszedł do pokoju. Potarła powieki spuchnięte od płaczu i zmrużyła oczy pod wpływem jasnego elektrycznego światła. Decker zauważył brązowe plamy na jej fartuchu i przykazał sobie w myślach, żeby oddać go do sprawdzenia technikom kryminalistyki.

Poprosił Anę Mendez, by zaczęła od samego początku, opowiedziała mu więc swoją historię.

Miała wolne od poniedziałku wieczorem do wtorku wieczorem. Zwykle wracała na ranczo wcześniej, ale tym razem została dłużej w kościele na spotkaniu modlitewnym. Gdy dobiegło końca o wpół do pierwszej w nocy, od razu ruszyła na ranczo, gdzie dotarła jakąś godzinę później. Posiadłość otaczało wysokie, zakończone szpikulcami ogrodzenie z kutego żelaza, dlatego większość bram pozostawała niestrzeżona. Miała kartę dostępu do bramy znajdującej się najbliżej kuchni. Wjechała na parking dla służby i zaparkowała za kuchnią. Pokonała kilka schodków dzielących ją od wejścia do skrzydła dla personelu i otworzyła drzwi do budynku swoim kluczem. Kiedy Decker zapytał o alarm, odparła, że skrzydło dla personelu i główny

budynek mają oddzielne systemy alarmowe. Dzięki temu służba może wchodzić i wychodzić, nie wpływając na funkcjonowanie systemu alarmowego Kaffeyów.

Kiedy opisywała, co zastała w swojej sypialni, jej oczy wypełniły się łzami. Po zapaleniu światła okazało się, że ściany, dywan i obydwa łóżka są całe we krwi. Najgorszy był jednak widok Alicii, która leżała bez ruchu na plecach. Miała odstrzeloną twarz. Potworne. Przerażające. Ana zaczęła krzyczeć.

Zanosząc się płaczem, kontynuowała opowieść. Pobiegła na górę schodami, które prowadzą do kuchni. Zwykle drzwi kuchni są zamykane o północy, by nikt z korzystających z wejścia dla służby nie dostał się do głównego budynku. Jednak nie tej nocy. Ana wyraźnie pamiętała, że wpadła do kuchni, wołając swoją panią.

Nikt jednak nie odpowiedział.

Decker zapytał ją, czy kiedy wbiegała do kuchni, alarm w głównym budynku był wyłączony. Nie mogła sobie przypomnieć. Wpadła w histerię. Przeprasza, ale pamięta wszystko jak przez mgłę.

Decker pomyślał, że mimo wszystko całkiem nieźle sobie poradziła.

Znalazła Kaffeyów w bibliotece. Najpierw zobaczyła Guya i Gila Kaffeyów, potem panią Kaffey. Żadne z nich się nie ruszało, więc była pewna, że wszyscy nie żyją. Mimo strasznego szoku, zachowała niejaką przytomność umysłu. Z telewizyjnych filmów i programów wiedziała, że nie powinna niczego dotykać, i tak też postąpiła.

Wciąż krzycząc, wybiegła z budynku. Na dworze było ciemno i upiornie, do tego była zupełnie sama. Wiedziała, gdzie mieszka ogrodnik Paco Albanez, bo się z nim przyjaźniła. Jednak żeby dotrzeć do jego bungalowu, musiałaby przejść obok basenu i przez korty tenisowe, a potem jeszcze przez sad, a zdecydowanie bliżej miała do Rileya Karnsa. Chociaż nie znała go za dobrze, postanowiła go obudzić. Przykazał jej zostać w swoim bungalowie, a sam postanowił rozejrzeć się po posiadłości. Wrócił jakieś piętnaście minut później, a towarzyszył mu Paco Albanez. We troje zaczęli się zastanawiać, co powinni zrobić. Wiedzieli, że muszą zadzwonić na policję. Riley, który jako jedyny z nich mówił po angielsku bez hiszpańskiego akcentu, zgłosił się na ochotnika. Kazał im zaczekać w swoim bungalowie i wyszedł. Wrócił jakieś pół godziny później z dwoma policjantami, którzy zaprowadzili całą trójkę do głównego budynku i rozdzielili ich. Powiedzieli im, że ktoś z nimi porozmawia. Najpierw przyszła do niej policjantka, teraz on.

Była to opowieść prostej kobiety. Nie wydawała się wyćwiczona. W końcu Ana popatrzyła ze smutkiem na Deckera i zapytała, czy może już iść. Kiedy odparł, że na razie nie, wybuchnęła płaczem.

Poklepał ją po ręce, po czym poszedł przesłuchać Rileya Karnsa.

Stajenny okazał się drobnym mężczyzną o silnym uścisku ręki i jeszcze silniejszym brytyjskim akcencie. Delikatne rysy kontrastowały z ogorzałą twarzą, a cera pobladła z przerażenia lub z braku snu, a najpewniej z obu powodów.

Pracował z końmi od wielu lat, najpierw jako dżokej, potem był trenerem, ujeżdżaczem i zawodnikiem w skokach przez przeszkody. Jego praca na Ranczu Kojota polegała nie tylko na doglądaniu koni i psów, lecz również na uczeniu jazdy konnej Gilliam Kaffey. Miał na sobie poplamiony ciemny dres. Kiedy Decker zapytał go, czy się przebierał tej nocy, odpowiedział przecząco. Jego zeznania pokrywały się z relacją Any. Uzupełnił ją o szczegóły dotyczące tego, co robił przez te pół godziny, kiedy zostawił Paco i Anę w swoim bungalowie.

Karns przyznał, że najpierw powinien był zawiadomić policję, nie myślał jednak jasno i zadzwonił do Neptune'a Brady'ego. Wiedział, że Brady wyjechał do Oakland, by odwiedzić chorego ojca, uznał jednak, że sprawa jest na tyle poważna, że musi go powiadomić. Neptune kazał mu natychmiast zadzwonić pod 911, a potem do Pieta Kotsky'ego. Miał mu powiedzieć, żeby jak najszybciej przyjechał na ranczo. Następnie Brady oświadczył, że spróbuje wynająć prywatny odrzutowiec, by w najkrótszym możliwym czasie dotrzeć do Los Angeles. Zadzwoni do Kotsky'ego, gdy tylko uda mu się potwierdzić lot. Zapewnił też Karnsa, że powiadomi rodzinę.

Stajenny wykonał wszystkie jego polecenia. Zadzwonił pod 911, a potem do Pieta Kotsky'ego, który oznajmił, że zaraz wyjeżdża, ale dotarcie na ranczo zajmie mu trzy godziny. Pięć minut później przyjechała karetka, a potem policja. Zaprowadził dwóch policjantów do swojego bungalowu, gdzie czekali Ana i Paco. Policjanci zabrali ich wszystkich do

budynku i rozdzielili.

Paco Albanez był mężczyzną po pięćdziesiątce o skórze w kolorze kawy z mlekiem, bursztynowych oczach, siwych włosach i podkręcanych do góry wąsach. Krępym, z wydatnym torsem i masywnymi przedramionami. Podobnie jak Ana pracował u Kaffeyów od mniej więcej trzech lat. Nie wniósł niczego nowego do sprawy. Karns obudził go, kazał się ubrać i opowiedział o tragedii, która się niedawno rozegrała. Paco był strasznie zaspany, ale na widok zdenerwowanej Any momentalnie się dobudził. Został z pokojówką w bungalowie do przyjazdu policji. Jego zeznania również sprawiały wrażenie szczerych.

Po przesłuchaniu świadków wiele pytań pozostawało bez odpowiedzi. Na razie Decker zapisał ich siedem:

1. Dlaczego drzwi do kuchni nie były zamknięte?

2. Czy mordercy dostali się do skrzydła dla służby, zamordowali śpiącą pokojówkę i przez kuchnię weszli do głównego budynku? Jeśli tak, kto ich wpuścił?

3. Czy alarm był wyłączony, kiedy Ana wchodziła do kuchni? A jeśli tak, to kto go wyłączył?

4. Kto ma klucze do głównego budynku z wyjątkiem rodziny?

5. Kto poza rodziną zna kod wyłączający alarm?

6. Kto jako pierwszy zauważył, że Gil Kaffey żyje?

7. I wreszcie: dlaczego mordercy nie upewnili się, że jest martwy?

Teraz miał na głowie pokojówkę, ochroniarzy przy bramach, ochroniarzy w posiadłości, ogrodnika, stajennego,

Pieta Kotsky’ego i Neptune’a Brady’ego. A to tylko służba. Decker już sobie wyobrażał, jak bardzo skomplikuje się śledztwo, gdy do tego dojdą pracownicy firmy Guya Kaffeya, ogromnej korporacji zatrudniającej tysiące osób. Nie starczy mu ludzi do tej sprawy. W wyobraźni ujrzał teczki z aktami napęczniałe od kartek papieru kosztującego życie setek drzew. Całe szczęście, że w ostatnich miesiącach ich posterunek zaczął używać papieru z recyklingu.

Zieleń.

O wiele lepsza od czerwieni, koloru dominującego wieczorem.

ROZDZIAŁ TRZECI

Głosy były niskie i zagniewane. Najpierw Decker ujrzał odwróconego do niego plecami łysego mężczyznę w luźnych spodniach khaki i skórzanej kurtce. Miał grubą szyję i szerokie ramiona, można by go oszacować na jakieś sto dziesięć kilogramów samych mięśni. Jego towarzysz pysznił się bujną czarną czupryną i nosił szare spodnie i niebieską marynarkę. Był wyższy i szczuplejszy, ale również potężnie zbudowany. Gdyby byli futbolistami, pierwszy mógłby być blokującym, a drugi rozgrywającym.

Ze strzępków rozmowy, które dobiegały do jego uszu, Decker wywnioskował, że są zirytowani działaniami policji. Po pierwsze, zostali zatrzymani na zjeździe z autostrady i wymaglowani, jakby zrobili coś złego. A jeszcze teraz Marge nie pozwalała im zobaczyć miejsca zbrodni. Chociaż jego ulubiona sierżant nie potrzebowała pomocy, mimo wszystko Decker postanowił się wtrącić.

Marge dokonała szybkiej prezentacji: Piet Kotsky i Neptune Brady. Kotsky był zgrzany, strużki potu spływały mu po czole. Miał duże, głęboko osadzone oczy, a skóra twarzy o żółtawym odcieniu sprawiała wrażenie mocno naciągniętej na wystające kości policzkowe, zupełnie jakby został poddany mumifikacji.

Brady był od niego młodszy, mógł mieć niewiele ponad trzydziestkę. Ciemna karnacja świadczyła o wielu godzinach

spędzonych w solarium. Miał bladoniebieskie oczy, pełne usta i kręcone ciemne włosy. Skrzyżował ramiona na piersiach, uwydatniając wielkie dłonie z palcami ozdobionymi kilkoma złotymi pierścieniami.

– Pan tutaj dowodzi? – zapytał, wysuwając brodę do przodu, i nie czekając na odpowiedź, dodał: – Co tu się, kurwa, stało?

– Ciągle jeszcze gromadzimy informacje**...** – zaczął Decker.

– Czy pan wie, że jakieś dwadzieścia minut musiałem przekonywać tych idiotów stojących przy zjeździe z autostrady, że naprawdę powinienem być na ranczu? Coś mi się widzi, że szwankuje u was komunikacja!

Decker odsunął się od nich o krok.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Brady?

– Na początek może pan udzielić odpowiedzi na kilka pytań.

– Pod warunkiem, że je znam. Sam też chciałbym pana zapytać o kilka spraw. – Odwrócił się do Marge. – Pani sierżant, proszę zabrać pana Kotsky'ego do któregoś z gabinetów i tam go przesłuchać.

– Co to ma znaczyć? – Brady'emu ze wzburzenia aż zadrżały nozdrza. – Chcecie nas skłócić?

– Nie jesteśmy wrogami, panie Brady. Po prostu potrzebuję informacji. – Decker zaczął wyliczać: – Muszę mieć listę wszystkich osób pracujących tu na pełny lub niepełny etat. Chcę wiedzieć, ile osób przebywa w tym budynku każdej nocy. Kto miał pracować tej nocy? Kto mieszka na terenie posiadłości? Kto mieszka poza nią? Od jak dawna każdy z zatrudnionych pracuje u Kaffeyów? Kto ma dostęp do kluczy? Kto zna kody do systemu alarmowego? Kto zatrudnia

pracowników? Kto ich zwalnia? Tego rodzaju informacje.

Brady przestępował z nogi na nogę.

– Dobrze, pomogę panu – zgodził się w końcu. – Ale najpierw chcę zobaczyć, co się stało.

– Panie Kotsky, proszę ze mną – poleciła Marge. – Zostawmy porucznika Deckera i pana Brady'ego samych.

Kotsky spojrzał na szefa, który skinął głową, po czym powiedział:

– Dobrze. Mogą państwo iść do wschodniego gabinetu.

– Gdzie to jest na planie? – zapytała Marge.

– Piet panią zaprowadzi.

– Muszę zobaczyć, co się stało – powtórzył Brady po odejściu Marge i Kotsky'ego.

– Nikt nie może oglądać ofiar, dopóki śledczy z biura koronera nie zakończą swoich czynności. W tej chwili to oni tam rządzą, nie policja.

– Biurokracja! – rzucił Brady. – Nic dziwnego, że policja nie odnosi żadnych sukcesów.

Decker przeszył go gniewnym spojrzeniem.

– Odnosimy sukcesy, ale są one możliwe dzięki starannej pracy. Myśli pan, że pan Kaffey wpuściłby kogoś do swojej sali posiedzeń na piękne oczy?

– Różnica polega na tym – odparł Brady – że jestem waszym pracodawcą. Bądź co bądź utrzymujecie się z moich podatków.

Decker z trudem zachował obojętny wyraz twarzy.

– Panie Brady – powiedział – i tak pan stąd nie wyjedzie w najbliższym czasie, bo musi pan zaczekać na rodzinę ofiar.

Może pan zbijać bąki i się na nas wściekać albo zacznie pan współpracować. Przynajmniej będzie pan wyglądał dla mnie trochę mniej podejrzanie.

– Pan mnie podejrzewa? – wydukał Brady, a kiedy Decker nie odpowiedział, dodał: – Byłem setki kilometrów stąd. – Porucznik dalej milczał, a Brady coraz bardziej się denerwował. – Pracowałem u pana Kaffeya przez wiele lat. Nie zamierzam wysłuchiwać podobnych bredni.

– Na razie wszystkie osoby, które miały coś wspólnego z Kaffeyami, z natury rzeczy są dla mnie potencjalnymi podejrzanymi. Gdybym nie był podejrzliwy, byłby ze mnie kiepski śledczy.

Brady zacisnął pięści, a potem powoli wyprostował palce.

– Ciągle jestem w szoku.

– Domyślam się.

– Nie ma pan pojęcia**...** – Głos mu się załamał. – Dopiero co musiałem się zmierzyć z atakiem serca swojego ojca. A teraz muszę się zmierzyć z pozostałymi przy życiu członkami rodziny ofiar. Wie pan, jak cholernie ciężko mi było zadzwonić do Granta Kaffeya i powiedzieć mu, że jego rodzice i brat nie żyją?

Decker przyjrzał mu się uważnie.

– Gil Kaffey jest w szpitalu, proszę pana – powiedział. – Żyje.

– Co takiego? – Brady otworzył szeroko oczy. – Riley Karns powiedział mi, że zginął. – Na chwilę zapadła niezręczna cisza. – Dzięki Bogu – wymamrotał w końcu, a potem roześmiał się gorzko. – No pięknie! Wszyscy członkowie

rodziny wezmą mnie, kurwa, za kretyna!

– Może to ja zajmę się rodziną?

– Miałem zapewnić jej bezpieczeństwo, ale to spierdoliłem. – W jego oczach nagle pojawiły się łzy. – Nie miałem z tym nic wspólnego, ale ma pan rację, podejrzewając wszystkich. Co chce pan wiedzieć?

– Po pierwsze, jak działa wasz system bezpieczeństwa.

– Jak widać, raczej nie działa. – Brady zagryzł wargę. – To zajmie trochę czasu.

– Może znajdziemy jakieś ustronne miejsce, w którym mi pan to wyjaśni?

– Skombinuję jakiś pokój – odparł Brady. – Bóg mi świadkiem, że jest ich tu aż za dużo.

Łyżka obracała się w misce z płatkami. Hannah nie sprawiała wrażenia zainteresowanej śniadaniem, podobnie jak pójściem do szkoły. O ile jednak jedzenie śniadania było do pewnego stopnia dobrowolne, o tyle edukacja – obowiązkowa.

– Może chcesz bajgla na drogę? – zapytała Rina.

Hannah odgarnęła rude loki wpadające jej do niebieskich oczu.

– Nie jestem głodna.

– Nie musisz teraz jeść. Po prostu weź bajgla.

– Dlaczego?

– Bądź dla mnie miła i zrób, o co cię proszę, dobrze? – Rina zabrała miskę z płatkami i włożyła do opiekacza cebulowego bajgla. – Pakuj się, zaraz wychodzimy.

– Skąd ten pośpiech?

– Dzisiaj zaczynam obowiązki ławnika. Potrzebuję co najmniej godziny, żeby dotrzeć tam na czas.

– Biedna ima. Nie dość, że musi znosić humory ponurej córki, to jeszcze utknie z jedenaściorgiem innych pechowców w zadymionym centrum Los Angeles.

Bajgiel wyskoczył z opiekacza. Rina posmarowała go serkiem śmietankowym i zawinęła w folię.

– Jakoś się nie skarżę. Chodźmy.

Hannah uniosła z trudem swój ważący dwie tony plecak.

– Co to za sprawa?

– Nie mogę o tym mówić.

– Oj, przestań. Niby przed kim miałabym się wygadać? Przed Avivą Braverman?

– Przed nikim się nie wygadasz, bo nic ci nie powiem.

Rina zajrzała do swojej torebki będącej bardziej torbą na zakupy niż przejawem modowej ekstrawagancji. Miała w niej książkę Abigail Adams i aktualny numer do redakcji „Los Angeles Timesa”. Sprawa Kaffeyów oczywiście trafiła na pierwsze strony gazet. Wyjęła klucze, włączyła alarm i zamknęła drzwi.

– Dziwne, że cię nie odrzucili – stwierdziła Hannah, kiedy już znalazły się w samochodzie. – Nie dość, że abba jest policjantem, to jeszcze porucznikiem.

Rina włączyła silnik.

– Mam swój rozum.

– Ale i tak może wywierać na ciebie wpływ. W końcu jest twoim mężem. – Hannah rozwinęła bajgla i ugryzła kęs. – Mm**...** dobry. – Przez chwilę manipulowała przy radiu, dopóki

nie znalazła stacji grającej irytująco hałaśliwego rocka. – Co na kolację?

Rina uśmiechnęła się do siebie. Na szczęście Hannah zmieniła temat. Jak wszystkie nastolatki miała zdolność koncentracji komara.

– Chyba kurczak.

– Chyba?

– Kurczak albo makaron.

– To może makaron z kurczakiem?

– Mogę zrobić makaron z kurczakiem. – Rina odwróciła się do córki. – Właściwie to ty też możesz go zrobić.

– Ty robisz lepszy.

– Bzdura. Jesteś świetną kucharką. Po prostu przerzucasz ten obowiązek na mnie.

– To prawda. Pomyśl jednak, że za kilka lat wyjadę do college'u i nie będziesz miała dla kogo gotować. Zatęsknisz jeszcze za tymi czasami.

– Pozostaje mi jeszcze twój ojciec.

– Nigdy go nie ma w domu, więc połowę posiłków, które dla niego przygotowujesz, i tak trzeba odgrzewać. Po co w ogóle zawracać sobie głowę?

– Czyżbyś poczuła się urażona?

– Nie jestem urażona, po prostu stwierdzam fakt. Kocham tatę, ale nieczęsto bywa w domu. – Zajęła się obgryzaniem paznokcia. – Nie wiesz przypadkiem, czy wybiera się na dzisiejszy występ mojego chóru?

– To już dzisiaj? Myślałam, że jutro.

– Och, pan Kent zmienił termin. Zapomniałam ci

powiedzieć.

– Jeśli dzisiaj masz występ, to w ogóle zdążysz na kolację?

– Chyba nie – odparła Hannah. – To jak, abba się wyrobi?

– Był na dwóch ostatnich występach. Na pewno na tym też będzie**...** – Nagle przypomniała sobie poranne wiadomości. – Chyba że wydarzyło się coś okropnego.

– Coś tak okropnego jak morderstwo?

– Morderstwo jest przeokropne.

– Bo ja wiem? Co to w sumie za różnica? Trup to trup.

Rina wiedziała, że Hannah żyje w swoim własnym narcystycznym świecie. Nie było sensu z nią dyskutować. Zamiast tego przełączyła radio na stację nadającą złote przeboje. Beatlesi śpiewali właśnie o ośmiu dniach tygodnia.

– Uwielbiam tę piosenkę! – Hannah pogłośniła, rozparła się z zadowoleniem na siedzeniu i zaczęła nucić i wystukiwać rytm stopami, równocześnie jedząc bajgla.

Wyglądało na to, że nie żywi już urazy do ojca.

Zdolność koncentracji komara to czasami dobra rzecz.

Wchodząc na salę rozpraw, cieszył się, że poświęcił trochę czasu na sprawdzenie, czy krawat jest dobrze zawiązany, a kołnierzyk koszuli wystarczająco wykrochmalony. Idąc przed siebie dziarskim krokiem, czuł się panem świata.

Miał dar.

Nazywał go idealnym dostrojeniem. Nie tylko umiał interpretować słowa i rozszyfrowywać mowę, co było podstawowym wymogiem w jego pracy, ale – co równie istotne – potrafił odczytywać niuanse i często już po kilku zdaniach wiedział wszystko o pochodzeniu danej osoby.

Umiał określić, gdzie obecnie mieszka, gdzie się wychowywała i gdzie się wychowywali jej rodzice.

Rzecz jasna, rozpoznawał tak proste rzeczy jak rasa i tożsamość etniczna, ale kto oprócz niego umiał już po chwili określić również klasę społeczną i wykształcenie? Ilu zwykłych śmiertelników potrafiło odkryć, czy dana osoba jest szczęśliwa, czy nie (to wcale nie taka drobnostka), a przy okazji też czy jest wściekła, zirytowana, zazdrosna, rozdrażniona, smutna, wzruszona, uprzejma, wrażliwa, pracowita lub leniwa? I to nie na podstawie tego, co mówi, ale tego, jak mówi. Potrafił rozpoznać prawie identyczne akcenty osób pochodzących z różnych regionów Ameryki i miał ucho do akcentów osób z zagranicy.

W jego świecie wzrok był właściwie niepotrzebny. Oko bywało zwodnicze. Otrzymał jednak ten nieziemski dar nie po to, by roztrwonić go, uczestnicząc w grach towarzyskich typu „Rozpoznaj ten akcent”.

Ludzie są tacy żałośni.

Jego palmtop zabzyczał. Wyjął go z kieszeni i wcisnął wytarty guzik. Jednostajny cyfrowy głos odczytał treść SMS-a:

Do zobaczenia na lunchu.

Wyłączył urządzenie i włożył je z powrotem do kieszeni. Przypomniał sobie szczegóły spotkania. Godzina: dwunasta trzydzieści, miejsce: bar sushi w Little Tokyo, dziewczyna: Dana.

Zapowiadał się udany dzień. Usiadł, poprawił designerskie okulary przeciwsłoneczne, zwrócił głowę w kierunku ławy

przysięgłych i obdarzył obywateli Los Angeles olśniewającym uśmiechem idealnie równych białych zębów.

Pora zacząć przedstawienie.

Po przypomnieniu przez sędziego, że nie wolno im rozmawiać o sprawie, ławnicy wyszli z sali rozpraw.

Kobieta, która szła przed nią, miała na imię Kate, i to wszystko, co Rina o niej wiedziała. Była po trzydziestce i miała wymizerowaną twarz, blond włosy spięte spinkami i kolczyki koła zwisające z uszu.

Odwróciła się do Riny i powiedziała:

– Ja, Ally, Ryan i Joy idziemy na lunch do centrum handlowego. Chcesz się do nas przyłączyć?

– Wzięłam kanapki, ale chętnie z wami posiedzę. Wszystko, byle tylko wyjść z tego budynku.

– I kto tu jest w więzieniu, co? – Kate uśmiechnęła się do niej. – Muszę skorzystać z toalety, a Ryan i Ally chcą zadzwonić. Spotkamy się przed wejściem do sądu za dziesięć minut.

– Jasne.

Gdy Rina pchnęła podwójne przeszklone drzwi siedziby sądu karnego, podmuch rozgrzanego powietrza uderzył ją w twarz, a hałas ruchu ulicznego wypełnił uszy. Asfalt niemal się topił, a fale gorąca mieniły się w smogu. Cień zapewniały jedynie wielopiętrowe budynki i rząd dzielnych drzew, które okazały się wyjątkowe odporne na zanieczyszczenie powietrza.

Zadzwoniła do Petera, spodziewając się, że połączy się z pocztą głosową. Ku jej zaskoczeniu odebrał.

– I jak tam? – zapytała.

– Jeszcze żyję.

– Dobre i to. A gdzie jesteś?

– Właśnie jadę z sierżant Dunn do szpitala Świętego Józefa. Gil Kaffey leży tam na oddziale intensywnej terapii.

– Całe szczęście. Czytałam o tym rano, ale nie byłam pewna, czy wiadomości się nie zdezaktualizowały. Musisz mieć ręce pełne roboty.

– Jak zwykle.

– Kocham cię.

– Ja ciebie też.

– Czy jest choć cień szansy na to, że niedługo się zobaczymy?

– Pewnie. W końcu muszę kiedyś spać.

– Uda ci się wyrobić na występ chóru Hannah?

– A to nie jutro o ósmej? – zapytał Peter po chwili wahania.

– Okazuje się, że dzisiaj. Nauczyciel zmienił datę, a Hannah zapomniała mi powiedzieć.

– O rany. – Peter znów się zamyślił. – Tak, to możliwe – odrzekł w końcu. – Tylko nie odpowiadam za swój wygląd i higienę.

Rinie ulżyło.

– Jestem pewna, że Hannah zależy tylko na tym, żeby cię tam zobaczyć.

– I zobaczy. Tylko mam do ciebie prośbę. Szturchnij mnie, kiedy zauważysz, że powieki zaczynają mi ciążyć. A co słychać w pięknym centrum Los Angeles?

– Lato w pełni. – Starła pot z czoła wierzchem dłoni. – Nie

powinnam była dzisiaj wkładać mojej szajtel. Jest za gorąco na perukę.

– Zdejmij ją. Nikomu nie powiem. A już na pewno rabinowi.

Rina uśmiechnęła się.

– Więc spotykamy się w szkole?

– To ma sens.

– Przynieść ci kolację?

– To również ma sens. Muszę kończyć. Wzywają mnie sterylne korytarze i antyseptyczne zapachy szpitala Świętego Józefa. Ale nie musisz zazdrościć. Jestem pewien, że sama świetnie się bawisz w osławionej siedzibie wymiaru sprawiedliwości.

– Właściwie to kwitnie tu życie towarzyskie. Zaraz idziemy na lunch do centrum handlowego po drugiej stronie ulicy.

– No i sama powiedz, czyż nie jesteś córą szczęścia?

– Nie zapominaj, że wypełniamy naszą obywatelską powinność za piętnaście dolarów dziennie. Nawet policjanci zarabiają więcej.

– Chcesz się ze mną zamienić miejscami?

– Z tobą akurat nie. Wolę żywych od umarłych.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Dojazd do szpitala zajął Marge i Deckerowi prawie czterdzieści pięć minut. Jeśli Gil Kaffey był przytomny podczas przewożenia go karetką, to miał mnóstwo czasu na rozmyślania. Jak dużo pamiętał? Czasami traumatyczne wydarzenia wywołują amnezję – to reakcja obronna organizmu przed dalszym cierpieniem.

Zespół szpitalny Świętego Józefa składał się ze średniej wielkości szpitala oraz czterech budynków mieszczących przychodnie i gabinety lekarskie. Musieli trochę pokrążyć, zanim znaleźli wolne miejsce parkingowe, a i tak było tak wąskie, że wjechali właściwie na wcisk. Marge manewrowała policyjnym fordem crown victoria z ogromną pewnością siebie i już kilka minut później pokazywali odznaki w recepcji przeszklonego oddziału intensywnej terapii. Zanim pozwolono im wejść, musieli znaleźć któregoś z lekarzy zajmujących się Kaffeyem i uzyskać od niego zgodę na wizytę. Zajęło im to jakieś dwadzieścia minut.

Lekarz prowadzący Kaffeya nazywał się Brandon Rain i był muskularnym mężczyzną po trzydziestce o szerokich ramionach i potężnych rękach. Przekazał im najświeższe informacje dotyczące stanu zdrowia pacjenta.

– Kaffey jest pod wpływem silnych środków przeciwbólowych. Wiele przeszedł, więc mogę się zgodzić najwyżej na kilkuminutową rozmowę.

– Jak rozległe są obrażenia? – zapytał Decker.

– Kula spowodowała pęknięcie dwóch żeber i wywołała obfite krwawienie. Zanim dotarł do szpitala, minęło sporo czasu. Kilka centymetrów dalej i pocisk uszkodziłby śledzionę, a wtedy by się wykrwawił. – Pager lekarza zabzyczał. – Wzywają mnie na oddział. Jak już mówiłem, nie dłużej niż kilka minut.

– Jasne – odparł Decker.

– Odzywał się już do pana ktoś z rodziny? – zapytała Marge.

– Jeszcze nie, ale to tylko kwestia czasu – odrzekł Rain. – Nie wiem, czy państwo zauważyli, że to budynek Kaffeyów?

– Tak – odparł Decker. – Rozumiem, że rodzina ma tu duże wpływy.

– Ujmę to tak: to nasi dobroczyńcy. Do tego nadzwyczaj zamożni. Coś za coś.

Gil Kaffey był cały w rurkach. Wystawały mu z nosa, z rąk i z brzucha. Twarz miał posiniaczoną i nabrzmiałą, oczy przekrwione, a usta suche i spękane. Marge przypomniała sobie jego zdjęcie, które oglądała na laptopie. Mężczyzna, na którego w tej chwili patrzyła, w niczym nie przypominał tamtego przystojnego i pewnego siebie faceta. Tętno miał miarowe, a co dziesięć minut na jego ramieniu zaciskał się mankiet do mierzenia ciśnienia. Gil był przytomny, ale niewiele do niego docierało. Deckerowi nie chodziło jednak o pełne przesłuchanie. Chciał tylko odpowiedzi na jedno pytanie.

I właśnie je zadał:

– Czy wie pan, kto do pana strzelał?

Nie byli zaskoczeni, kiedy Kaffey pokręcił głową. Tętno mu przyspieszyło, gdy spróbował coś powiedzieć.

– Trzy**...**

Pielęgniarka, która była z nimi w sali, obrzuciła Deckera wymownym spojrzeniem.

– Jeszcze tylko kilka minut.

– Jasne – odparł. – Czy pan powiedział „trzy”, panie Kaffey? Czy zaatakowały pana trzy osoby?

Kaffey pokręcił głową.

– Trzy**...**

Czekali, jednak ranny zamilkł i zamknął oczy.

– Czy chodziło panu o cyfrę trzy? – zapytał Decker.

Mężczyzna znów pokręcił głową.

– Przy**...** Przy**...** by**...**

– Przybysze? Obcokrajowcy?

Tętno Kaffeya przyspieszyło. Powoli otworzył oczy i skinął głową.

– Ludzie, którzy pana zaatakowali, byli obcokrajowcami, nie mówili po angielsku?

Kolejne kiwnięcie.

– Wie pan, w jakim języku mówili? – zapytała go Marge.

– Nie**...** ciemno**...**

– Ciemno? – powtórzyła policjantka. – W pokoju było ciemno?

Pokręcił głową.

– Ludzie, którzy pana zaatakowali, byli ciemnoskórzy?

Znów otworzył oczy. I znów kiwnął głową.

– Czarni?

– Nie**...** ciemno**...**

– Mieli ciemną karnację, tak? – zapytał Decker. – Tak jak Latynosi, Arabowie albo Grecy czy Włosi?

Kiwnięcie.

– Ale nie rozpoznał pan języka, w którym mówili?

Bez odpowiedzi.

– Ile osób pan pamięta? – zapytała Marge.

– Mo**...** że**...** trzech**...** albo**...** czte**...** rech. – Zamknął oczy. Był wyraźnie wyczerpany.

– Trzeba mu podać środki przeciwbólowe – zainterweniowała pielęgniarka. – Muszę wezwać lekarza. – Nacisnęła dzwonek przy łóżku. – Myślę, że powinni państwo już iść.

– Pani tu rządzi. – Decker podał jej wizytówkę. – Proszę do nas zadzwonić, kiedy będzie trochę bardziej przytomny. Wiem, że jego zdrowie jest najważniejsze, ale im więcej informacji uda nam się z niego wydobyć, tym większe mamy szanse na schwytanie morderców.

– Si**...** – wyszeptał nagle Gil.

Policjanci spojrzeli w jego kierunku.

– Co takiego? – zapytała Marge.

– Si**...** tak.

Zastygli w bezruchu, czekając na dalszy ciąg.

– Tak**...** si.

Decker pogładził się po wąsach, co było jego wersją gładzenia się po brodzie. Zamyślił się.

– Chodzi panu o hiszpańskie słowo ***sí***, czyli „tak”?

– Jeden**...** z nich**...** – wydyszał Gil. – Powiedział ***sí***.

Rina wyjęła z plastikowego woreczka kanapkę. Była to bułka cebulowa z wołowiną, sałatą, pomidorem i korniszonami.

Joy popatrzyła na nią z zazdrością.

– Nieźle wygląda.

– Chcesz kawałek? – zapytała Rina.

– Nie, mam swojego fast fooda. Nie wiem, jak zachowałby się mój organizm bez codziennej dawki chemii.

Siedzieli w barze szybkiej obsługi, jednym z wielu w tym kompleksie. Wszystkie miały przyciągać rzesze pracowników biurowych zatrudnionych w śródmieściu. Chociaż śmierdziało tu olejem i mięsem, była przynajmniej klimatyzacja. W dni, kiedy słupek rtęci przekraczał trzydzieści stopni, można było przymknąć oko na zjełczały tłuszcz.

Stanowili prawdziwą menażerię. Joy pracowała jako sekretarka w firmie zajmującej się recyklingiem złomu. Była przy kości, miała ponad sześćdziesiąt lat, pofarbowane na rudo włosy i róż na policzkach. Ally niedawno skończyła college i nie mogła się doczekać imprezy z okazji swoich dwudziestych pierwszych urodzin. Zaprosiła na nią wszystkich ławników. Miała ciemne włosy, ale przez środek głowy biegł jasny pasek, co upodabniało ją nieco do skunksa. Ryan z kolei był pod czterdziestkę, miał żonę i trzech synów. Był przedsiębiorcą budowlanym i cieszył się, że mógł rzucić robotę przynajmniej na kilka dni. Wykańczał właśnie wielki budynek i klienci doprowadzali go do szału. Kate była jedyną kobietą w domu pełnym ekspilotów wojskowych. Jej dwaj

synowie, obecnie po trzydziestce, latali w FedEksie. Mąż przez trzydzieści lat pracował w United Airlines.

– Mnóstwo razem podróżowaliśmy – powiedziała Kate.

– Wierzę – odparła Rina. – My w zeszłym roku polecieliśmy na Alaskę. Było bosko.

– Alaska jest piękna – zgodził się Ryan. – Każdego lata tam wędkuję.

– Niech zgadnę: łowisz łososie?

– Zgadza się.

– A nie boisz się niedźwiedzi grizzly?

– Łowię w okresie, kiedy jest mnóstwo ryb. Niedźwiedzie są tak pochłonięte jedzeniem, że nie interesują się ludźmi.

– Widzieliście ten okropny film dokumentalny o parze zaatakowanej i zjedzonej przez niedźwiedzia grizzly? – zapytała Joy.

– A fuj! – wykrzyknęła Ally. – Kiedy to było?

– Kilka lat temu – odparła Rina.

– Nie zapominajmy, że to dzikie zwierzęta – powiedział Ryan. – Trzeba na nie uważać.

– A fuj! – powtórzyła Ally.

– To i tak nic w porównaniu z tym, co wypisują dzisiejsze gazety – zawyrokowała Joy. – Czytaliście o tym, co się stało w tej wielkiej posiadłości?

– Na Ranczu Kojota – sprecyzował Ryan. – Kaffeyowie. Znani deweloperzy.

– Kiedy o tym przeczytałam, zrobiło mi się niedobrze**...** To po prostu straszne! Troje zabitych!

Joy z wyraźną lubością opowiadała o tych okropnych

wydarzeniach. Nie mogła powstrzymać złośliwej satysfakcji. Rina nie skorygowała podanej przez nią liczby zabitych. Lepiej trzymać buzię na kłódkę.

– Na pewno mieli tam kosztowny system alarmowy – ciągnęła Joy. – To musiała być robota kogoś z wewnątrz.

– Nie chciałabym być ławniczką w procesie tych drani – włączyła się Kate. – Wszystkich bym powiesiła. – Odwróciła się do Riny. – Gdzie pracuje twój mąż?

– W West Valley.

– O**...** – skomentowała nadzwyczaj lapidarnie.

Natomiast Joy wybałuszyła oczy, po czym spytała natarczywie:

– To rewir twojego męża?!

– Tak.

– I uczestniczy w tym śledztwie?

– Chyba wszyscy w West Valley są w nie zaangażowani. W końcu ofiary to ludzie z pierwszych stron gazet. Nie ma chyba nikogo, kto nie interesowałby się tym zbiorowym morderstwem.

Joy nachyliła się do niej.

– Co wiesz o tej sprawie?

– Tyle co ty, czyli to, co wyczytałam w gazetach.

– Nic z niej nie wyciągnięcie. – Ally uśmiechnęła się do niej.

Rina odwzajemniła uśmiech i ugryzła kanapkę, po czym zmieniła temat:

– Czy któreś z was wie, co to za gość siedzi na ławie dla publiczności?

– Ten z uśmiechem Toma Cruise’a? – upewniła się Kate. –

No właśnie, kto to?

– Nie wiem, ale jest na sali od początku, od kiedy brałyśmy udział w przesłuchaniu na ławników.

– Może to jakiś reporter – zasugerowała Ally.

– Nie widziałam, żeby coś notował – odparła Kate.

– Większość z nich używa magnetofonów. Robiłam tak samo, kiedy przeprowadzałam wywiady na zajęcia z dziennikarstwa.

– Może i tak. – Kate wzruszyła ramionami.

– To trochę dziwne – zauważyła Joy. – On tam po prostu siedzi i się do nas uśmiecha. Chce nas zastraszyć czy co?

– Nie wiem – przyznała Rina. – Za każdym razem, kiedy na niego patrzyłam, akurat poprawiał krawat albo strącał paprochy z garnituru. Trzeba przyznać, że nieźle się ubiera. Wyraźnie dba o swój wygląd.

– Powiem wam jedno – włączył się Ryan. – Na pewno nie pracuje fizycznie. Ma za delikatne ręce.

– Może jest prawnikiem, może nawet adwokatem – wysnuła przypuszczenie Joy. – Nasz oskarżony powinien zatrudnić kogoś lepszego od tego debila, obrońcy z urzędu.

– Tak, to prawdziwy debil – zgodziła się z nią Ally.

– Mieliśmy nie rozmawiać o sprawie – przypomniała im Kate.

– Nie rozmawiamy o sprawie – obruszyła się Joy – tylko o debilnym adwokacie.

– Kate ma rację – powiedziała Rina. – Wracając do naszego gościa: przychodzi wam do głowy, kto to może być?

Wszyscy jak jeden mąż wzruszyli ramionami.

– Mam tylko nadzieję, że to nie stalker – wyszeptała Ally.

– Za mało się ukrywa jak na stalkera – uspokoiła ją Rina.

– Kiedyś prześladował mnie taki typek – pochwaliła się Joy. – Facet ode mnie z pracy. Nie dawał mi spokoju.

– I co zrobiłaś? – zaciekawiła się Ally.

– Ciągle mu powtarzałam, żeby się odczepił. W końcu chlusnęłam mu w twarz kawą. – Kiedy wszyscy wpatrzyli się w nią w osłupieniu, dodała: – Spokojnie, nie była gorąca. Ale osiągnęłam swój cel. Dał mi spokój.

– Twarda jesteś – stwierdził Ryan. – Nawet twardsza od moich klientów.

Joy poklepała go po ręce z matczyną czułością.

– To, że mogłabym być babcią, nie oznacza, że można ze mną zadzierać.

– Wspomniałaś o tym stalkerze, kiedy na przesłuchaniu pytali cię, czy miałaś jakąś styczność z przestępstwami? – zapytała Ally.

– Nie, nie wspominałam o tym. Tak naprawdę to nie było przestępstwo. Po prostu niestosowne zachowanie. Do diabła, gdyby eliminowali wszystkich ludzi, którzy się niestosownie zachowują, ławy dla sędziów przysięgłych świeciłyby pustkami.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ponieważ działo się to w Los Angeles, mogłaby to być pierwsza scena któregoś z wielu seriali medycznych, które od lat święcą triumfy na małym ekranie. Śpieszący korytarzami mężczyźni, którzy wykrzykują gniewnymi głosami polecenia, i idące za nimi zatroskane pielęgniarki. Tyle że w tym przypadku mężczyźni mieli na sobie nie lekarskie fartuchy, lecz garnitury, a towarzyszył im wianuszek innych mężczyzn. Pielęgniarki zaczęły na nich krzyczeć, ale najwyraźniej ich nie słyszeli. Któraś z nich wspomniała nawet o wezwaniu ochrony.

Cała ta grupa przeszła obok Marge i Deckera. Policjanci wymienili spojrzenia.

– Rodzina Kaffeyów? – zapytała Marge.

– Może powinniśmy interweniować, zanim ktoś ich stąd wyrzuci – odparł Decker.

– Nie zapominaj, że jesteśmy w budynku ufundowanym przez Kaffeyów. Myślę, że powinniśmy postawić jednego z naszych ludzi przed salą Gila. Nie wiemy, czy któryś z członków rodziny nie jest w to zamieszany. Może będzie próbował dokończyć to, co zaczął.

– Zdecydowanie tak. – Decker odetchnął głęboko. – Idziemy.

Podeszli do grupy hałasujących mężczyzn. Przewodził im dwudziestokilkulatek wspomagany przez mężczyznę pod

sześćdziesiątkę.

– W czym mogę pomóc? – zapytał Decker.

Młodzieniec spiorunował go wzrokiem. Był średniego wzrostu, z rudawozłotą czupryną. Gdyby Decker uważniej mu się przyjrzał, na pewno zauważyłby, że jest podobny do Gila.

– A pan co za jeden?

– Porucznik Peter Decker, wydział zabójstw policji Los Angeles. A to sierżant Marge Dunn z tego samego wydziału. – Wyciągnął rękę. – Pan Grant Kaffey?

Młody człowiek zmrużył oczy.

– Pokaż pan jakieś dokumenty.

Gdy Decker otworzył portfel, młody mężczyzna i jego starszy towarzysz przez dłuższy czas przyglądali się jego odznace.

– Powie nam pan, co tu się dzieje? – zapytał w końcu ten drugi.

– Najpierw chcielibyśmy się dowiedzieć, z kim mamy przyjemność.

– Mace Kaffey – przedstawił się starszy mężczyzna. Przesunął dłonią po twarzy, na której malowały się smutek i zmęczenie. – A to Grant Kaffey. Chcemy porozmawiać z Gilem.

– Gil jest półprzytomny od środków przeciwbólowych. Został ranny**...**

– Czy to coś poważnego? – Grant Kaffey wyglądał na przerażonego. – Postrzelono go?

– Tak.

– Jezu! – wykrzyknął Mace.

– Może znajdziemy jakieś ciche pomieszczenie i napijemy się kawy? – zaproponował Decker. – Postaramy się z sierżant Dunn udzielić panom wszelkich informacji.

– Kiedy zobaczę się z bratem? – zapytał Grant.

– To nie ja o tym decyduję, tylko lekarz prowadzący. – Odwrócił się do jednej z pielęgniarek. – Czy znajdziemy tu jakiś pusty pokój?

W tej chwili podeszła do nich Jane Edderly, siostra przełożona. Była korpulentną kobietą o srogim wyrazie twarzy.

– Jest tu stanowczo za dużo osób – stwierdziła. – Blokują przejście.

– Harvey, przynieś nam kawę – zakomenderował Grant. – Engles i Martin, zostaniecie z nami. Reszta niech zaczeka na dole.

Podwładni momentalnie się rozproszyli, a młodszy z Kaffeyów znów wbił w Deckera wściekłe spojrzenie.

– Chcę natychmiast zobaczyć się z bratem!

– Może pani wezwać doktora Raina? – zapytał Decker siostrę przełożoną.

– Ma operację – odburknęła.

– Nie wie pani, kiedy skończy?

– Nie mam pojęcia! Cały czas zastawiają państwo przejście.

Grant zaczął coś mówić, ale Decker podniósł rękę.

– Siostro Edderly, ci panowie to Grant i Mace Kaffeyowie. Są w szoku. Grant stracił rodziców, a Mace ukochanego brata i bratową. Muszę z nimi porozmawiać. Na pewno

w budynku Kaffeyów znajdzie się jakieś puste pomieszczenie, w którym moglibyśmy to zrobić.

Jane otworzyła szeroko oczy. W końcu do niej dotarło, z kim ma do czynienia.

– Zaraz sprawdzę, czy mamy coś wolnego.

– Dziękuję. Cieszę się, że zechciała pani z nami współpracować. – Odwrócił się do Kaffeyów. – Proszę przyjąć moje kondolencje. Trudno znaleźć odpowiednie słowa w obliczu tak wielkiej tragedii.

Mace Kaffey sprawiał wrażenie wykończonego. Na chwilę ukrył w dłoniach pooraną głębokimi zmarszczkami twarz.

– Co się właściwie stało? – zapytał.

– Na razie nie znamy wszystkich szczegółów. Kiedy tylko znajdziemy się w pokoju, zapoznam panów ze wszystkim, co wiemy.

– Cholerne ranczo! – wykrzyknął Grant, zaczynając chodzić po korytarzu. – Kręciło się tam za dużo pieprzonych ludzi. Nie można było nad wszystkimi zapanować. Mówiłem o tym ojcu.

– Ile osób pański ojciec zatrudniał na własne potrzeby? – zapytała Marge.

– To znaczy? – Grant się zatrzymał. – Chodzi pani o ranczo?

– Tak.

– A kto to może wiedzieć? Za dużo. I mieli za dużo kluczy. To po prostu śmieszne!

– Słyszałem, że personel był bardzo dokładnie sprawdzany.

– Cokolwiek to znaczy. Kto w ogóle zatrudnia prywatną ochronę? To albo nieudacznicy, którzy nie dostali się do

policji, albo byli policjanci wyrzuceni ze służby za branie w łapę. Albo też, jak to było w przypadku ochroniarzy mojego taty, zresocjalizowani młodociani przestępcy, którzy poruszyli w nim czułą strunę.

Marge i Decker znów wymienili spojrzenia.

Wróciła siostra przełożona.

– Znaleźliśmy wolną salę. Proszę za mną.

– Dziękujemy za pomoc – powiedział Decker.

– Tak, dzięki, że raczyła pani udostępnić mi pokój w budynku wzniesionym za pieniądze mojej rodziny – zadrwił Grant. – Będę mógł odsapnąć po sześciogodzinnym locie, który odbyłem, żeby zająć się pogrzebem zamordowanych rodziców. Piękne, kurwa, dzięki!

Pielęgniarka spojrzała na niego, lecz nic nie powiedziała.

Mace położył rękę na ramieniu Granta, on jednak ją strącił.

Pokój okazał się tak mały, że tylko czwórka z nich mogła usiąść, a dwaj goryle Granta musieli stać. Kilka minut później wszyscy zaczęli pić podłą kawę. Mace sprawiał wrażenie przybitego, Grant natomiast dalej dawał wyraz swojej młodzieńczej zapalczywości.

– Kiedy będę mógł zobaczyć się z bratem?

– Panie Kaffey**...** – Decker zawahał się. – Czy dla odróżnienia mogę do jednego z panów zwracać się po imieniu?

– Proszę mi mówić Mace – powiedział starszy z Kaffeyów.

– Szczerze? – zapytał Grant. – Nic mnie, kurwa, nie obchodzi, jak będziesz pan do mnie mówił. Chcę tylko wiedzieć, co się stało. I kogo muszę zerżnąć, żeby zobaczyć

się z bratem.

– Byliśmy u pana brata jakieś dwadzieścia minut temu – włączyła się Marge. – Strasznie go bolało, więc lekarz zwiększył dawkę środków przeciwbólowych, po których pański brat odleciał. Proszę też pamiętać, że o tym, czy pan wejdzie do brata, nie decyduje policja, tylko lekarz prowadzący.

– Więc go tu sprowadźcie!

– Próbowałem – odparł Decker. – Okazało się, że operuje.

– Grant, po prostu posłuchaj, co państwo mają nam do powiedzenia – włączył się Mace.

– Pana zastrzeżenia do ochrony są w dużej mierze uzasadnione – oznajmiła Marge. – Doszło do oczywistego naruszenia zasad bezpieczeństwa. Dwaj ochroniarze zostali zabici, a pozostałych dwóch, którzy mieli tej nocy służbę, zaginęło. Rozmawialiśmy na ten temat z niejakim Neptune'em Bradym. Zna go pan?

– Neptune przez jakiś czas pracował w firmie Guya – odparł Mace. – Potem zrobił go szefem swojej ochrony.

– Dlaczego o niego pytacie? – zapytał Grant. – Podejrzewacie go?

– Na razie tylko gromadzimy informacje – odparł Decker. – Co dokładnie robił Brady w firmie?

– Nie jestem pewien – powiedział Mace. – Prowadzę filię na Wschodnim Wybrzeżu.

– Jest licencjonowanym prywatnym detektywem – wyjaśnił Grant. – Pracował jako wolny strzelec. Kiedy w dziale księgowości doszło do defraudacji, tata zatrudnił Neptune'a,

a on dobrze się spisał. Dlatego tata zaproponował mu etat na Ranczu Kojota. Został szefem jego ochrony i zarabiał kupę kasy.

– Pański ojciec był hojnym człowiekiem? – zapytała Marge.

– W jednej chwili hojnym, w drugiej skąpym. Nigdy się nie wiedziało, na co się trafi. Płacił Neptune'owi krocie, bo utrzymywał, że dzięki temu będzie lojalny.

– Jakie stosunki łączyły pana z panem Bradym?

– Żadne – odparł Grant. – Nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

– A pana? – zapytała Marge Mace'a.

– Ledwie go znałem. Myślą państwo, że on to zrobił?

– Na razie tylko gromadzimy informacje – powtórzyła Marge za Deckerem. – Wspominał pan, że pański ojciec zatrudniał młodocianych przestępców?

– O czym pani mówi?

– Podobno ochroniarze pańskiego ojca byli zresocjalizowanymi młodocianymi przestępcami.

– A tak, Gil coś mi o tym wspominał. Czy ktoś pójdzie zobaczyć, co z moim bratem? – Spojrzał na jednego ze swoich goryli. – Joe, sprawdź, co się dzieje z panem Kaffeyem.

Po jego wyjściu do rozmowy włączył się Decker:

– Czy mogliby panowie udzielić mi podstawowych informacji na temat waszej firmy? Na początek: ilu pracowników zatrudnia Kaffey Industries?

– U szczytu boomu na rynku nieruchomości zatrudnialiśmy około tysiąca – odparł Grant. – W tej chwili jakichś ośmiuset.

Sześćset pięćdziesięciu na Zachodnim Wybrzeżu i około stu pięćdziesięciu na Wschodnim, u mnie i Mace'a.

– Działacie tylko na rynku nieruchomości? – zapytała Marge.

– Głównie – odparł Grant.

– Centra handlowe?

– Głównie – powtórzył.

– Zawsze pracowaliście na Wschodnim Wybrzeżu?

– Tata zdecydował się na otwarcie tam filii jakieś dziesięć lat temu. Początkowo kursowaliśmy z jednego Wybrzeża na drugie. Potem postanowiliśmy się przeprowadzić.

– Moja żona pochodzi z Nowego Jorku – wyjaśnił Mace. – Skorzystała z okazji, żeby wrócić na stare śmieci. Guy przyjeżdżał co miesiąc. Nie musiał tego robić, ale miał trudności z dzieleniem się obowiązkami. Grant może to zaświadczyć.

– Tata jest pracoholikiem – przyznał Grant. – Nie tylko pracuje do późna, ale oczekuje tego od innych.

– To problem? – zapytała Marge.

– Nie w naszym przypadku, bo jesteśmy pięć tysięcy kilometrów stąd – odparł. – Ale mój brat ma przechlapane. Tata uważa nas za mięczaków, bo mamy prywatne życie. Ale tata już taki jest. A raczej był**...** – Jego oczy zalśniły od łez. – Zaczynał praktycznie od zera.

– A ja to niby nie? – obruszył się Mace. – Nasz ojciec przybył z Europy bez grosza przy duszy. Otworzył niewielki zakład naprawczy w czasach, kiedy ludzie jeszcze zanosili rzeczy do naprawy. Był oszczędny, więc udało mu się odłożyć

pieniądze na kupno dwóch kamienic. Razem z Guyem przekształciliśmy schedę po naszym ojcu w imperium.

Grant przeszył wujka gniewnym spojrzeniem, po czym postanowił wyładować się na Deckerze.

– Co to ma wspólnego z morderstwami?

– Chciałem lepiej poznać pana rodzinę. To pomoże mi nakreślić ogólne tło. Przepraszam, jeśli uważa pan te pytania za zbyt nachalne.

– Czy pański ojciec miał jakichś wrogów? – włączyła się Marge. – Może tego księgowego, który zdefraudował pieniądze?

– Nazywa się Milfred Connors – powiedział Mace. – Była mowa o wniesieniu oskarżenia, ale ostatecznie Guy go tylko wyrzucił.

– Sukinsyn – dorzucił Grant. – Najpierw nas okradł, a potem jeszcze groził, że nas pozwie.

Marge zapisała jego nazwisko.

– Dlaczego go wyrzucił?

– Dlatego, że łatwiej było to zrobić, niż się sądzić.

– I tak mieliśmy już wystarczająco dużo procesów na głowie – dodał Grant. – To normalne. Niektóre sami rozpoczęliśmy, inne zostały wszczęte przeciwko nam.

– Grant, może opowiemy państwu o Cyclone Inc.? – zapytał Mace, po czym spojrzał na Deckera. – Naprawdę się wkurzyli, kiedy dostaliśmy pozwolenie na Greenridge Project. Blokowali tę budowę przez lata. Ostatecznie dostaliśmy wszystkie pozwolenia, więc nie mogli nic zrobić.

– Dlaczego Cyclone Inc. się na was wkurzyło? – zapytał

Decker.

– Od jakichś dwudziestu albo trzydziestu lat są właścicielami Percivil Galleria i Bennington Mall – odparł Grant. – Bennington ledwie ciągnął przez Woodbury Commons, jedno z największych centrów handlowych w kraju. Ale Galleria miała się dobrze, bo leży na drugim brzegu rzeki Hudson, gdzie nie ma konkurencji.

– I wtedy pojawiliśmy się my – powiedział Mace – z naszym projektem supernowoczesnego centrum handlowego, które pozbawiłoby Gallerię racji bytu.

– Zaplanowano tam nie tylko sklepy prawie wszystkich luksusowych marek, ale również hotel i dwa pola golfowe.

– Jedno wewnątrz, a drugie na zewnątrz – dodał Mace.

– Golf przez cały rok. A do tego dogadaliśmy się z jednym z najlepszych w kraju szefów kuchni, że otworzy tam restaurację.

– O rany – skomentowała Marge. – Taka inwestycja rzeczywiście mogłaby wykończyć konkurencję.

– No właśnie! – rozpromienił się Mace.

– Gdzie dokładnie ma to powstać? – zapytał Decker.

– W północnej części stanu Nowy Jork, w hrabstwie Clarence, w przepięknej okolicy – powiedział Mace. – Oczywiście mnóstwo tam stukniętych ekologów, ale działaliśmy z należytą starannością. Spełniliśmy wszelkie wymogi dotyczące ochrony środowiska. Cały projekt będzie ekologiczny.

– Cyclone oskarżył nas o to, że pozwolenia uzyskaliśmy dzięki przekupieniu urzędników – powiedział Grant. –

Oczywiście są to całkowicie bezpodstawne zarzuty. Co za dupki! Napuścili na nas kontrolę ze skarbówki, ale nic nie znalazła. Nie mamy nic do ukrycia!

– Kto stoi na czele Cyclone? – zapytał Decker.

– Paul Pritchard. – Grant zamyślił się na chwilę. – To dupek, ale czy morderca?

– Nasz projekt oznacza śmierć ich ostatniego przynoszącego zyski centrum handlowego, Grant – powiedział Mace. – Pritchard to skończony drań. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby maczał w tym palce. – Odwrócił się do Deckera. – Niech pan go sprawdzi.

– Sprawdzimy – zapewniła go Marge. – Wróćmy do najbliższej rodziny. Czy Gil mieszka blisko ojca?

– Gil mieszka w Los Angeles. Tata natomiast mieszkał na farmie i w Palos Verdes Peninsula. Firma ma siedzibę w Irvine.

Decker uniósł brwi.

– Czyli niedaleko Palos Verdes, ale daleko od Rancza Kojota.

– Tak właśnie miało być – odparł Grant. – Ranczo było dla taty ucieczką od pracy. Kupił je właściwie dla mamy i jej koni, ale po jakimś czasie się w nim zakochał. Gości przyjmowali głównie w domu w Palos Verdes, ale dość często wydawali też przyjęcia na ranczu. – Zapatrzył się w dal. – Pewnej zimy – powiedział ze śmiechem – tata załatwił maszyny do śniegu i zorganizował zawody narciarskie. Impreza trwała cały weekend. To było coś.

– Czy ochrona rancza została wzmocniona na weekend? –

zapytała Marge.

– Pewnie tak. Ale o to trzeba by zapytać Neptune’a Brady’ego. Zna to ranczo lepiej od moich rodziców. Skurwiel! Jak mógł do tego dopuścić? To jego powinniście przesłuchiwać, nie mnie.

– Mamy go na celowniku – odparł Decker. – Jak na razie współpracuje.

– Gdzie, kurwa, ten lekarz?! – wykrzyknął Grant. – Chcę się zobaczyć z bratem!

– Pójdę sprawdzić – powiedziała Marge.

– Świetny pomysł – pochwalił ją Decker. – Dziękuję, że zechcieli panowie z nami szczerze porozmawiać w tak trudnym czasie.

– To pierdolony koszmar! – Grant chciał zacząć chodzić, ale w pokoju było na to za mało miejsca. Rozmowa o interesach go uspokoiła, pozwalając na chwilę zapomnieć o śmierci rodziców. Teraz, kiedy wrócił do rzeczywistości, był o krok od wybuchu. Czyż jednak można go za to winić?

– Nie sądzą panowie, że Greenridge Project może ucierpieć w następstwie tej tragedii? – spytał jeszcze Decker.

– Zdecydowanie nie – zaprzeczył Mace. – Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

– Ale to przecież Guy był dyrektorem generalnym, a ten projekt jest gigantycznym przedsięwzięciem. To ma być największe centrum handlowe, jakie wybudowali Kaffeyowie.

– Będzie ciężko, ale dokończymy Greenridge bez taty, oczywiście pod warunkiem, że Gil zajmie się resztą firmy. – Grant pokręcił głową. – To będzie prawdziwe wyzwanie.

– Bez Guya będzie nam ciężko ze wszystkim – dodał Mace – ale jakoś sobie poradzimy, jeśli będziemy działać razem. Nie jesteśmy wspólnikami, tylko rodziną.

Decker przyjrzał się młodszemu bratu Guya. Jego przemowa sprawiała wrażenie wymuszonej, zupełnie jakby usiłował przekonać samego siebie, że się uda.

Do pokoju wróciła Marge.

– Doktor Rain właśnie skończył operować. Przyjmie panów u siebie w gabinecie, gdy tylko się umyje. Siostra Edderly pokaże panom drogę.

Grant uderzył pięścią w dłoń.

– Nie chcę mieć więcej do czynienia z tą suką!

– W takim razie ja panów tam zaprowadzę – zaproponowała Marge.

– Dziękujemy – odparł Mace. – Zostaniecie państwo z nami?

– Musimy wracać na ranczo – odparł Decker. Na miejsce zbrodni, dodał w myślach. – Chciałbym też sprawdzić tych dwóch mężczyzn, o których panowie wspomnieli, Paula Pritcharda i Milfreda Connorsa.

– Connors jest kanciarzem bez znaczenia – powiedział Grant. – To zero.

– Nawet zera czasami wybuchają – odparła Mace.

– No właśnie – zgodził się z nią Decker. – To moje wizytówki, panowie. Możecie do mnie dzwonić o każdej porze.

– A to moja wizytówka – odparł Grant. – To numer służbowy. Pan też może dzwonić o każdej porze. Jeśli to będzie coś ważnego, proszę zostawić swój numer, a dostanę

wiadomość na pager.

– Dziękuję – powiedział Decker. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czy któryś z panów zna hiszpański?

– Co takiego? – wydukał Mace.

– Po co to panu? – zapytał Grant.

– Wielu pracowników rancza to Latynosi. W Kalifornii wielu Latynosów pracuje też na budowach. Po prostu zastanawiałem się, czy porozumiewacie się z nimi w ich języku.

– Oczywiście odwiedzamy place budowy, ale nie rozmawiamy bezpośrednio z robotnikami – powiedział Mace.

– Niby czemu mielibyśmy to robić? – dorzucił Grant. – Mamy od tego brygadzistów.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Marge usiadła za kierownicą i poprawiła lusterko wsteczne.

– Ciekawa jestem, jak oni sobie wyobrażają sfinansowanie budowy Greenridge, zwłaszcza w obecnej sytuacji. Mam wrażenie, że ten pomysł narodził się podczas boomu na rynku nieruchomości, a teraz umrze śmiercią naturalną.

– Może już zgromadzili wystarczające fundusze do zrealizowania tego projektu?

– Na tak ogromne przedsięwzięcie potrzebowaliby chyba z miliarda dolarów.

– Za dużo zer jak dla mnie. – Decker otworzył butelkę wody i opróżnił ją do połowy. – Nawet gdybym miał takie pieniądze, nie wiedziałbym, jak się do tego zabrać.

Marge włączyła silnik i wyjechała z podziemnego parkingu,

– Twoim zdaniem te morderstwa mają coś wspólnego z projektem?

– Trzeba to sprawdzić, choć za wiele sobie nie obiecuję. – Decker zamknął butelkę. – Skupmy się na tym, co już wiemy.

– Dwóch strażników zginęło, a dwóch zaginęło. To wygląda na robotę kogoś z wewnątrz.

– Przychodzą mi do głowy dwie możliwości – skomentował Decker. – Albo ci ochroniarze chcieli obrabować Kaffeyów, ale coś im nie wyszło, albo zostali przez kogoś wynajęci do ich zabicia.

– Tak czy owak, musimy prześwietlić całą rodzinę.

– Co sądzisz o Grancie?

– Impulsywny. Zdominował wujka.

– A co sądzisz o tym ostatnim?

– Nie aż tak impulsywny. Nie znaliśmy Guya Kaffeya, ale po dzisiejszej rozmowie wydaje mi się, że Mace żył w cieniu starszego brata.

– Grant też ma starszego brata, a mimo to opisałaś go jako impulsywnego.

– Tak, jest wręcz agresywny. Ale może Gil jest jeszcze gorszy. Jeśli Guy i Mace się kłócili, to chyba jasne, który z nich wygrywał. Zastanawiam się tylko, czy Guy Kaffey podchodził do Greenridge Project z równie wielkim entuzjazmem, jak Mace i Grant.

– Guy chciał się wycofać i naszym dwóm nowojorczykom się to nie spodobało?

– O tym samym pomyślałam – powiedziała Marge. – Ale czy to rozwścieczyłoby Granta do tego stopnia, że zabiłby rodziców?

– Nie mamy pojęcia, jaki miał do nic stosunek. Może teraz odgrywa komedię.

– To prawda**...** Swoją drogą, ciekawe, że nie przyszło nam do głowy coś innego. Że to Mace mógł być wściekły na brata i dlatego go zabił.

– Kain i Abel – skomentował Decker. – Tak to się przecież zaczęło. W całym dopiero co stworzonym świecie jest zaledwie czworo ludzi i nagle bum! Brat zabija brata z powodu zazdrości. W jakim świetle stawia to nas, ludzi?

– To nie ma znaczenia – odparła Marge. – Każdy szef policji,

któremu podlega duże miasto z dwudziestopięcioprocentowym wskaźnikiem zabójstw, zapuszkowałby go w mgnieniu oka.

Świadek był Latynosem.

W sumie żadna niespodzianka.

Przez całe popołudnie mieli tu istną paradę Latynosów, począwszy od powoda (mięśniaka z tatuażami), aż do pozwanego (drugiego mięśniaka z tatuażami). Rina doszła do wniosku, że wszystkie napaści i pobicia biorą się z jednego.

Z alkoholu.

Wszyscy uczestnicy wydarzeń byli pijani, zarówno kobiety, jak i mężczyźni. Zwykle o takich bijatykach zapomina się następnego dnia. Niestety, akurat w pobliżu przejeżdżał radiowóz i policjanci aresztowali wszystkich, którym nie udało się uciec. I oto teraz ci nieszczęśnicy obwiniali się wzajemnie o to, kto zaczął. A świadkowie nagle ze strachu doznawali amnezji.

Ten, który właśnie siedział na miejscu dla świadka, wcale nie był wyjątkiem.

Przynajmniej w końcu okazało się, kim jest tajemniczy gość o uśmiechu Toma Cruise’a.

Stało się to wtedy, kiedy wezwano pierwszego świadka, Latynoskę po pięćdziesiątce w czerwonej miniówie, z wyzywającym makijażem i długimi czarnymi włosami. Uśmiechnięty Tom wyjął z kieszeni palmtopa, po czym ruszył powoli w kierunku Latynoski. W uchu miał słuchawkę. Kiedy już doszedł do świadka, wyłączył urządzenie i wyjął słuchawkę z ucha, po czym schował je do kieszeni.

Ławnicy wymienili spojrzenia i wzruszyli ramionami.

Mężczyzna usiadł zaraz za kobietą i pochylił głowę. Wydawało się, że Latynoska cieszy się z jego obecności. Odwróciła się do niego i obdarzyła szerokim uśmiechem. Ten jeden raz Tom się nie uśmiechnął.

Postępowanie trwało i w końcu stało się jasne, kim był mężczyzna.

Otóż był tłumaczem.

Chociaż nazywanie go tłumaczem wydawało się sporym niedomówieniem.

To, czym zajmował się Tom, wymykało się bowiem wszelkim próbom klasyfikacji. To było przedstawienie jednego aktora. Jego głos to podnosił się, to opadał, każde zdanie zawierało dokładnie taką dawką emocji, jaka była potrzebna. Gdyby tłumaczom przyznawano Oscary, mężczyzna o uśmiechu Toma Cruise'a zdobyłby go bez najmniejszego wysiłku.

Im bliżej było wieczoru, tym wspomnienia świadków stawały się coraz bardziej mętne i mgliste. W przypadku Artura Gutierreza, którego właśnie męczył bezlitosny prokurator, było dokładnie tak samo. Chociaż pamiętał ciosy, za nic nie mógł sobie przypomnieć, kto je zadawał. Może to pozwany bił powoda, a może odwrotnie. Świadkowie wyraźnie czuli się speszyli tym, że muszą zeznawać. Jedyną osobą, która dobrze się bawiła, był Tom.

W końcu prokurator i obrońca skończyli przesłuchiwać świadków i wszyscy mogli wracać do domu. Sędzia po raz kolejny przypomniał ławnikom, że nie mogą z nikim

rozmawiać o sprawie, po czym w milczeniu zaczęli wychodzić z sali, mijając pomocnika sądowego, który bacznie przyglądał się każdemu z nich. Rina przypomniała sobie powiedzenie związane ze świętem Rosz Haszana, żydowskim Nowym Rokiem: Bóg po kolei sądzi ludzi niczym pasterz liczący swoje owce.

Wszyscy ławnicy wyszli na korytarz, a potem rozdzielili się, wsiadając do wind.

– Idziemy na drinka – zagadnęła Joy Rinę. – Przyłączysz się?

– Nie mogę, córka ma dzisiaj występ.

– O której? – zapytała Kate.

– O wpół do ósmej.

– Wyskoczymy najwyżej na godzinkę.

– Może jutro – odparła Rina. – Minie trochę czasu, zanim wrócę do domu, a jeszcze muszę przygotować kolację dla męża. Spotykamy się na występie.

– To się nazywa dobra żona! – wykrzyknęła Joy.

– Czasami, kiedy pracuje nad jakąś ważną sprawą i nie ma go w domu przez całą dobę, zapomina o jedzeniu.

Drzwi windy otworzyły się i znaleźli się w holu.

– Jak wam się wydaje, co Uśmiechnięty Tom robił ze swoim palmtopem? – zapytała Ally.

– Też już się nad tym zastanawiałam – odparła Rina. – Może przypomina sobie zeznanie, zanim je przetłumaczy. Cokolwiek to jest, musiał dostać na to zgodę sądu. Nie sądzę, żeby miał na tyle tupetu, żeby słuchać muzyki.

– Słuszna uwaga – przyznał Ryan.

– Jak dla mnie, wcale nie brakuje mu tupetu – stwierdziła

Joy.

– To prawda, zachowywał się tak, jakby grał w przedstawieniu. – Rina otworzyła podwójne szklane drzwi wiodące do wolności. – Jutro też pójdę z wami na lunch.

– Świetnie – powiedziała Kate. – Do zobaczenia. Życz od nas powodzenia mężowi.

– I wyciągnij od niego jakieś pikantne szczegóły – dodała Joy.

– Zwykle nie puszcza pary z gęby, ale zrobię, co w mojej mocy.

Joy spodobała się odpowiedź Riny.

– A skoro już będziesz mu robić coś do jedzenia, przy okazji możesz zrobić też coś dla mnie. Twoja kanapka wyglądała sto razy lepiej od tego dziadostwa, które jadłam.

Chociaż Rina przyszła wcześniej, Peter był już na widowni. Wszyscy rodzice starali się zająć miejsca jak najbliżej sceny, on jednak siedział w pustym ostatnim rzędzie, z głową odchyloną do tyłu, zamkniętymi oczami i otwartymi ustami. Podeszła do niego i potrząsnęła jego ramieniem. Zachrapał i raptownie zamrugał.

– Co jest?

Rina wyciągnęła kanapkę.

– Proszę.

Decker przetarł oczy i się przeciągnął.

– Cześć, kotku. – Cmoknął ją w policzek. – Masz coś do picia? Moje gardło to Sahara.

– Z kofeiną czy bez?

– Wszystko jedno. Tej nocy na pewno nie będę miał

problemu z zaśnięciem.

Podała mu puszkę dietetycznej coli.

– Zrobiłam ci kanapkę z indykiem i pastrami.

– Umieram z głodu. – Decker zjadł kęs. – Pyszna. Bardzo ci dziękuję.

– Nic nie jadłeś?

– Nie. – Otworzył puszkę coli i wypił wszystko duszkiem. Rina podała mu więc jeszcze puszkę coli bezkofeinowej. – Chyba się odwodniłem.

– Mam też wodę, jeśli chcesz.

– Trochę później, dzięki. – Opróżnił puszkę do połowy. – Jak ci minął dzień na sali sądowej?

– Fajnie. A tobie?

– Okropnie.

– Mówią o tych morderstwach we wszystkich wiadomościach.

– Podobno.

– To prawda, że zginęli też ochroniarze? – zapytała.

Skinął głową i dokończył colę.

– Muszę podziękować Hannah za to, że wyciągnęła mnie z komisariatu. Mamy tam istny dom wariatów.

– Zamierzasz tam wrócić?

– Chyba tak. Czeka mnie jeszcze trochę roboty papierkowej.

Rina wiedziała z doświadczenia, że wielokrotne morderstwo oznacza wielokrotnie większą liczbę podejrzanych.

– Nie zaśniesz za kierownicą?

– Dam radę. – Uśmiechnął się do niej. – Nie martw się. Drzemałem tutaj jakieś dwadzieścia minut. Obudziłem się rześki i wypoczęty.

– Jedna z moich koleżanek ławniczek zażądała, żebym wyciągnęła od ciebie pikantne szczegóły dotyczące zabójstwa Kaffeyów.

– Powiedz jej, żeby zajrzała do gazet.

– Tak właśnie zrobię. – Rina wzięła Petera za rękę. – Cieszę się, że udało ci się tu przyjechać. Hannah bardzo na tym zależało.

– Nie wiem dlaczego. I tak zawsze chowa się w ostatnim rzędzie. Gdyby nie była taka wysoka, w ogóle bym jej nie widział. No i nigdy nie śpiewa solo. Czy nauczyciel ma coś do niej?

– Wręcz przeciwnie, uwielbia ją.

– To dlaczego nigdy nie daje jej solówek?

– Myślę, że Hannah nie ma na to ochoty. Za to bardzo lubi, kiedy jej tata siedzi na widowni. To dla niej dowód, że zależy mu na córeczce.

Decker westchnął.

– Cały czas zastanawiam się, kiedy moje dzieci, włączając w to Cindy, która jest już po trzydziestce, wreszcie mi odpuszczą i już nie będę musiał udowadniać im bez przerwy, że je kocham.

– Bo ja wiem? – Rina wzruszyła ramionami. – Pewnie nigdy. To robota na całe życie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Decker był martwy dla świata od północy do szóstej trzydzieści rano, kiedy zadzwonił budzik. Miejsce na łóżku obok niego okazało się puste, ale słyszał hałasy dobiegające z kuchni. Wziął prysznic, ogolił się, ubrał i o siódmej wszedł do jadalni, gdzie już parzyła się kawa.

– Dzień dobry – powitała go Rina. – Jak się czujesz?

– Całkiem nieźle. – Nalał sobie kawy z ekspresu i wypił łyk. – Pyszna! Mam obudzić naszą księżniczkę?

– Już to zrobiłam. Jest w wyjątkowo dobrym humorze.

– Komu to zawdzięczamy?

– Tobie. Powiedziała: „To miło, że abba przyszedł. Wiem, że ma mnóstwo pracy".

– Urocze. – Zamilkł na chwilę. – Jak myślisz, jak długo będzie mi wdzięczna?

– To nigdy nie trwa zbyt długo, ale w rzeczywistości całe życie. – Rina pocałowała go w policzek. – Podrzucę ją do szkoły, kiedy będę jechać do sądu.

– Byłoby świetnie. – Popatrzył na zegarek. – Czas na mnie. Muszę obudzić w sobie lwa.

– Na razie widzę w tobie więcej owieczki niż lwa.

– Nieważne. – Odstawił kubek. – Liczy się tylko to, że moja córeczka jest mi wdzięczna. Kocham ją. Jeśli stanowię wentyl bezpieczeństwa dla jej frustracji, pogodzę się z tym. Zniosę wszystko, byle tylko Bóg miał ją w swojej opiece.

Oliver zapukał we framugę i nie czekając na zaproszenie, wszedł do gabinetu Deckera. W jednej ręce trzymał kubek z kawą, a w drugiej kartkę papieru. Sprawiał wrażenie wykończonego.

– Spałeś w ogóle tej nocy? – zapytał go Decker.

– Dwie godziny, ale nic mi nie będzie. – Podał szefowi zapisaną kartkę. To, co się na niej znajdowało, na pierwszy rzut oka przypominało drzewo genealogiczne. – Rozpisałem schemat ochrony Kaffeyów – wyjaśnił. – Na samej górze umieściłem Neptune'a Brady'ego, bo on tam rządzi. Pod spodem masz kolejne gałęzie.

– Dobra robota – pochwalił go Decker.

– Nie tak źle jak na żywego trupa, co? – Oliver uśmiechnął się. – Wszystkich ochroniarzy podzieliłem na dwie kategorie: strażników rancza i osobistych ochroniarzy. Osobiści ochroniarze, w skrócie OO, wykorzystywani byli głównie wtedy, gdy Guy i Gilliam pojawiali się gdzieś publicznie, na przykład w restauracjach, na imprezach charytatywnych, na spotkaniach biznesowych, na przyjęciach. Co najmniej jeden OO przebywał z nimi cały czas.

– A jeśli szli gdzieś osobno?

– Nie wiem, jak było z Gilliam, ale jeden z nich zawsze towarzyszył Guyowi. Kiedy nikogo nie było w domu, strażnicy rancza, czyli SR, doglądali posiadłości. Na razie mam czternaście nazwisk, ale jak się przekonasz, niektóre się powtarzają. Rondo Martin, Joe Pine, Francisco Cortez, Terry Wexford, Martin Cruces, Denny Orlando, Javier Beltran i Piet Kotsky pracowali zarówno jako osobiści ochroniarze, jak

i strażnicy rancza.

Decker przyjrzał się kartce.

– Skreśliłeś Alfonsa Lanza i Evana Teasdale’a. To ci, którzy zginęli, tak?

– Zgadza się.

– A te zakreślone nazwiska, Rondo Martin i Denny Orlando, to zaginieni ochroniarze?

– Tak jest. Na razie ich nie znaleźliśmy, ale cały czas szukamy. Kiedy pojechaliśmy do mieszkania Denny’ego Orlanda, zastaliśmy tam całą rodzinę. Wszyscy czekali na jego powrót. Ja i Marge zamieniliśmy słowo z jego żoną. Opisała Denny’ego jako dobrego męża i ojca. Mają dwoje dzieci. Powiedziała też, że to niepodobne do Denny’ego, żeby tak zniknąć.

– To nic nie znaczy.

– To prawda. Dalej będziemy go szukać, chociaż przeczucie mi mówi, że to nie on. W każdym razie nie znaleźliśmy nic, co wskazywałoby, że Denny może być płatnym mordercą. Kiedy zapytaliśmy o niego Brady’ego, sprawiał wrażenie zszokowanego. Denny zawsze mu się wydawał człowiekiem godnym zaufania i uczciwym. Jest przewodniczącym rady parafialnej w kościele.

– Podobnie jak Dennis Rader, ten seryjny morderca.

– Wiem, ale chyba wszyscy się zgadzamy, że nasza sprawa to nie jest robota seryjnego mordercy.

– A ten drugi, Rondo Martin. Co z nim?

– Brady również tym nazwiskiem wydawał się zszokowany, ale chyba robił dobrą minę do złej gry. Nie chciał się

przyznać przed nami, że zatrudnił psychopatę.

– Twoim zdaniem Martin jest psychopatą?

– To ekszastępca szeryfa z Ponceville, osady w środkowej Kalifornii. Brady nie był pewien, w jaki sposób Rondo dowiedział się o posadzie u Kaffeyów. Po prostu zadzwonił do niego i powiedział, że jest zainteresowany. Kaffeyowie lepiej płacili, a poza tym potrzebował odmiany. Przeszedł rozmowę kwalifikacyjną i okres próbny, a potem został zatrudniony na stałe. Przeprowadził się do Los Angeles. Nie ma żadnej rodziny, w ogóle nikogo.

– Hm**...**

– No właśnie. Wynajmuje mieszkanie w North Valley. Kiedy tam zajechaliśmy, nie zastaliśmy go w domu, ale wzięliśmy klucze od właściciela. Powiedzieć, że mieszkanie zostało wyczyszczone, to grube niedopowiedzenie. W nim po prostu nic tam nie ma. Samochód też przepadł. To toyota corolla z dwa tysiące drugiego roku, niebieski metalik. Wysłaliśmy za nim list gończy.

– A co z samochodem Orlanda?

– Żona podwiozła go do pracy. Z powrotem miał go podrzucić Martin.

– Co o tym sądzisz?

Scott zaczął wyliczać, unosząc po kolei palce:

– Albo zarówno Orlando, jak i Martin byli w to zamieszani, albo Martin był w to zamieszany i zastrzelił Orlanda, albo Orlando był w to zamieszany i zastrzelił Martina, albo żaden z nich nie był w to zamieszany i obaj uciekli, bo się przestraszyli.

– A co z odciskami palców? Dużo ich było.

– Sprawdzamy je.

– Macie odciski Martina i Orlanda?

– Jeśli chodzi o Orlanda, to nie wiem, ale wysłaliśmy do Ponceville prośbę o odciski Martina. Każdemu stróżowi porządku publicznego się je pobiera.

– A co z pozostałymi ochroniarzami? – zapytał Decker.

– Po kolei ich sprawdzamy. Rozmawialiśmy przez telefon z Terrym Wexfordem, Martinem Crucesem i Javierem Beltranem, więc możemy ich wyeliminować. Wyjaśnić ci zasady działania systemu?

– Dawaj. – Decker wypił łyk kawy.

– Kiedy Gilliam i Guy przebywali w rezydencji, zawsze pilnowało ich czterech ochroniarzy, dwóch przy bramie i dwóch w budynku. Ochroniarze zmieniali się co dwadzieścia cztery godziny. Czasami ktoś z następnej zmiany przyjeżdżał trochę wcześniej, więc teoretycznie w posiadłości równocześnie mogło być nawet ośmiu ochroniarzy.

– No dobra. – Decker dokonał szybkich obliczeń. – To znaczy, że średnio każdy z nich pracował co trzy dni.

– Coś koło tego. – Oliver dopił letnią kawę. – Ochroniarze nie mieszkają w posiadłości, ale w bungalowach dla personelu są wolne łóżka, więc jeśli któryś jest zbyt zmęczony, żeby jechać do domu, może się przespać. To samo dotyczy tych, którzy przyjechali za wcześnie.

– Ile jest tych bungalowów?

– Dwa. W każdym są cztery łóżka i telewizor. Oprócz tego

jest jeszcze osobny bungalow dla Neptune’a Brady’ego. Zarówno Kotsky, jak i Brady powiedzieli mi, że czasami ochroniarze odpoczywają w nich, czekając na swoją zmianę.

– Czy ochroniarze mają klucze?

– Tylko do bramy. Do domu wchodzi się dzięki karcie magnetycznej. Systemem zawiaduje Brady.

– Jak to działa?

– Każdy wchodzący ochroniarz bierze kartę od wychodzącego. Wpisują się na listy obecności z datą i godziną. Lista z nocy morderstwa zaginęła, ale to nie ma znaczenia, ponieważ Brady ma rozpiskę, kto pracował tej nocy. Dzięki temu wiemy, kto został zamordowany, a kto zaginął.

– Trochę marny ten system, skoro opiera się na listach obecności.

– Przez wiele lat działał dobrze. Brady powiedział mi, że bardzo pilnował kart i że są one prawie niemożliwe do podrobienia. Nic nie zginęło ze skrytki, ale oczywiście brakuje dwóch kart, które mieli ze sobą zaginieni ochroniarze.

– Co to w ogóle za życie – powiedział Decker. – Wprawdzie należeli do lepszego świata, ale za jaką cenę.

– To prawda – przyznał Oliver. – Ranczo Kojota to taki kalifornijski Wersal. A wszyscy wiemy, jak skończyła Maria Antonina.

Drugi dzień przesłuchań do złudzenia przypominał pierwszy.

Kolejni cierpiący na amnezję świadkowie i Uśmiechnięty

Tom, najlepszy aktor wśród tłumaczy. Podczas gdy zastępczyni prokuratora okręgowego wyglądała na profesjonalistkę w każdym calu (granatowy kostium w prążki, biała bluzka i praktyczne czółenka), obrońca prezentował się wyjątkowo nieatrakcyjnie. Ot, zgarbiony facet z zaczeską z niesfornych siwych włosów. Do tego marynarka miała za krótkie rękawy, ale i tak wisiała na chudym ciele. Główną linią obrony adwokata było to, że policjanci nie widzieli, kto kogo pobił, i dlatego jego klient powinien zostać oczyszczony z zarzutów.

Obrońca wezwał na świadka młodego policjanta. Chociaż nie grzeszył inteligencją, wydawał się wiarygodny. Zeznał, że widział, jak pozwany uderza powoda w twarz. I tyle na ten temat. Dla Riny ten proces nie był może całkowitą stratą czasu, ale z pewnością niezbyt efektywnym jego wykorzystaniem. Wszyscy z ulgą przywitali przerwę na lunch.

Ryan miał zjeść z kolegą, więc zapowiadało się babskie popołudnie. W nadziei, że uda się jej uniknąć tematu morderstw u Kaffeyów, Rina przygotowała dodatkowe kanapki z chałki domowego wypieku i przez większość czasu podawała pozostałym kobietom przepis.

– Myślałam, że chałka musi być zapleciona w warkocz – zauważyła Joy.

– Najwyraźniej nie, skoro kromki są kwadratowe – odparła Kate. – O rany, to jest pyszne. Uwielbiam oliwki i suszone pomidory. Pasują do salami.

– Dziękuję – powiedziała Rina. – A wracając do twojego

pytania, Joy: chałka nie musi być warkoczem, chociaż zgodnie z tradycją taka, jaką przygotowujemy w piątek wieczorem, powinna nim być. W żydowski Nowy Rok i w święto Sukkot jest okrągła. Okrągła jest też chałka kulkowa.

– Jak wygląda? – Kate wszystko notowała.

– Robisz kulki z ciasta mniej więcej wielkości limonki i układasz je ciasno w okrągłym naczyniu.

– Taki sam przepis?

– Tak. Podczas pieczenia wszystkie kulki łączą się, tworząc jedno wielkie okrągłe ciasto, ale widać wyraźnie poszczególne części. Bardzo ładnie to wygląda. Gdy częstujesz gości, po prostu odrywają kulki.

– Ktoś mi kiedyś powiedział, że część ciasta specjalnie się przypala – włączyła się Joy. – Czy może coś źle zrozumiałam?

– Dobrze zrozumiałaś. Przypala się niewielki kawałek ciasta. Robimy tak na pamiątkę ofiar mącznych składanych przez Żydów w świątyniach. Ale trzeba mieć do tego odpowiednią ilość mąki. Czasami, kiedy jestem w nastroju, robię naprawdę ogromne ciasto i oddzielam kawałek, żeby go przypalić. Tym razem mi się nie chciało.

– Robisz też inne wypieki? – zapytała Ally.

– Tak, to mnie relaksuje.

– Musisz mieć mnóstwo wolnego czasu, kiedy twój mąż tropi morderców – zauważyła Joy.

– Mniej niż myślisz – odparła Rina. – Peter najczęściej pracuje w godzinach biurowych.

– Nie zawsze, czego dowodzą ostatnie dni. – Joy z ledwością

powstrzymała podniecenie. – À propos, co tam słychać w sprawie Kaffeyów?

– Wiem tyle co ty – stwierdziła Rina. – Peter nie rozmawia ze mną o śledztwach, które aktualnie prowadzi. Wybacz, ale nie mam żadnych dodatkowych informacji.

– Coś mi się wydaje, że raczej nie masz ochoty się nimi podzielić. – Joy odchyliła się na krześle i skrzyżowała ramiona.

– Nieprawda. Po prostu wiem na ten temat tyle, ile przeczytałam.

– Ile czasu, twoim zdaniem, potrwa śledztwo? – zapytała Ally.

– Nawet nie próbuję zgadywać – odrzekła Rina. – Owszem, Peterowi zdarzało się złapać sprawcę już po dwudziestu czterech godzinach, ale niektóre sprawy ciągną się latami, a sprawca nadal pozostaje niewykryty.

– Jakieś fajne? – zapytała Joy.

– Co to w ogóle za pytanie – obruszyła się Kate. – Jestem pewna, że za wszystkimi kryły się tragedie.

Rina uśmiechnęła się.

– Wiesz co, Joy? Na początku naszego małżeństwa próbowałam wyciągać od niego informacje, bo byłam równie ciekawa jak ty. Teraz już nie widzę w tym nic niezwykłego, ot, praca jak praca. Dzięki niej starcza nam na rachunki, a od czasu do czasu też na przyjemności. Sama jesteś mężatką. O czym rozmawiacie z mężem?

– Mój mąż jest księgowym – odparła Joy. – Niby o czym mamy rozmawiać? O odliczeniach od podatku?

Rinie nagle zabłysły oczy.

– Wiesz co? Właśnie odziedziczyłam kilka obrazów, które mogą mieć sporą wartość. Czy muszę od nich zapłacić podatek, czy tylko wtedy, gdy je sprzedam?

– Jestem sekretarką. Niby skąd miałabym coś o tym wiedzieć?

– No właśnie, Joy – włączyła się Kate. – A Rina jest nauczycielką. Skąd ma coś wiedzieć o morderstwach?

– Jest pewna istotna różnica – odparła Joy. – Ledwie Albert zaczyna ględzić o tych swoich liczbach, od razu zasypiam.

– Mam dokładnie odwrotny problem – stwierdziła Rina. – Kiedy Peter zaczyna mówić o okropieństwach, do których zdolny jest człowiek, to nie mogę zasnąć.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Oparł się o ścianę i powoli odwinął z papierka batonik orzechowy. Chłonął całym umysłem hałas panujący w budynku. Zbliżał się koniec przerwy na lunch i zgiełk nadchodził ze wszystkich kierunków. Naprzeciwko niego dwie kobiety rozmawiały o przepisie na chleb. Jedna pochodziła z Michigan. Była starsza, po sześćdziesiątce, sądząc z głosu. Drugą była miejscowa dziewczyna z kowbojskim zaśpiewem, który skojarzył mu się z Dzikim Zachodem.

Hałas rósł, w miarę jak przybywało ludzi.

Po prawej stała kobieta znana mu z procesu Fernandeza. Słyszał jej głos, gdy ławnicy opuszczali salę rozpraw, chociaż szeptała. Kiedy rozmawiała przez telefon, od razu zorientował się, że jej rozmówcą jest mąż lub chłopak. Mimo że słowa były niewinne, ton głosu i śmiech uznał za uwodzący. Wyobrażał sobie jej zmysłowe kształty. Sądząc z głosu, urodziła się i dorastała w Los Angeles.

Zjadł kawałek batonika i czekał na wznowienie rozprawy. Hałas narastał, fale dźwięku odbijały się od twardych powierzchni. Hol miał betonową podłogę i drewniane ściany, pozbawiony był dywanów i tapicerowanych mebli, które pochłaniają dźwięki. Do siedzenia służyły niewygodne ławki. Nie chciał siedzieć. Już dość się nasiedział.

Jeśli wytężył słuch, słyszał wszystko bardzo dobrze.

Po lewej stronie stało dwóch Latynosów, jeden z Meksyku, a drugi z Salwadoru. Rozmawiali szeptem, ale miał taką wprawę, że równie dobrze mogliby krzyczeć do mikrofonów. Mówili o ostatnich wydarzeniach, w tym o tych strasznych morderstwach w West Valley. Słyszał już kilka różnych wersji tej historii o bajecznie bogatym deweloperze, jego żonie i synu napadniętych na wielohektarowym ranczu.

Co za ironia. Biedny sukinsyn miał tyle forsy, a i tak nie zdołał zapewnić sobie lojalnej ochrony. Problem z pieniędzmi polega na tym, że przyciągają wszelkiego rodzaju dziwaków i kretynów. Tyle że zazwyczaj drugorzędni oszuści nie zabijają. Jego nader ograniczone doświadczenie podpowiadało mu, że grube ryby są mordowane przez inne grube ryby, powszechnie szanowane osoby tkwiące po uszy w bagnie i mające wiele do stracenia.

Słuchając tych dwóch Latynosów, zaśmiał się w duchu. Te dwa palanty nazywały Guya Kaffeya, zabitego miliardera, *Señor Café*, czyli Pan Kawa. W pewnej chwili mężczyźni jeszcze bardziej zniżyli głosy. Dziwne, najwyraźniej nie chcieli, żeby ktoś ich podsłuchał, a jednocześnie tak bardzo chcieli porozmawiać, że nie mogli przestać. Słyszał niepokój w ich głosach. Prawdopodobnie stali już przed swoją salą, podobnie jak świadkowie, oskarżeni i ofiary. Przed sądowym barem raczej nie było tłoczno.

Jasno sformułowane zasady mówiły, że osoby zaangażowane w proces nie powinny przysłuchiwać się rozmowom dotyczącym aktualnie toczących się spraw, bo mogło to wpłynąć na ich opinie. Uważał jednak, że nie ma nic

złego w podsłuchiwaniu zwykłych rozmów.

Kobieta po prawej skończyła już rozmawiać przez telefon. Zdaje się, że teraz szukała czegoś w torebce, przez co prawie zagłuszyła rozmowę Latynosów. Musiał wytężyć słuch, żeby rozróżnić poszczególne słowa. Oczywiście ich bredzenie nie miało dla niego żadnego znaczenia, to była po prostu kwestia ambicji.

Traktował to jako kolejne wyzwanie.

Wciąż rozmawiali o morderstwach u Kaffeyów. Nagle coś przyciągnęło jego uwagę. Odwrócił głowę w kierunku, skąd dobiegała rozmowa, żeby wyłapać coś więcej. Dotarło do niego, że mężczyźni rozmawiają o tych morderstwach w taki sposób, jakby byli w nie pośrednio zaangażowani.

Meksykanin mówił o niejakim José Pinonie. „El patrón", czyli szef, szukał go w Meksyku.

– Spieprzył sprawę z synem – powiedział Meksykanin Salwadorczykowi.

– *Qué pasa*? – zapytał Salwadorczyk. Czyli: „Co się stało?".

– Nie trafił go – odparł Meksykanin z pogardą w głosie.

– *Ay… est***ú***pido!* – zawołał Salwadorczyk. – Dlaczego nikt inny go nie wykończył?

– Dlatego, że José to debil. Twierdzi, że poprosił o to Martina, ale coś mi się wydaje, że to kłamstwo. Moim zdaniem po prostu chroni własną dupę. Martin naprawdę się wkurzył.

– *Martin es malo* – potwierdził Salwadorczyk. Czyli: „Martin jest zły".

– *Muy malo pero no tan malo como el patrón* – stwierdził

Meksykanin. Czyli: „Ale nie tak zły jak szef”.

Salwadorczyk przyznał mu rację.

– *José es un hombre muerte.* – Czyli: „José już jest martwy”.

– *Realmente absolutamente muerte* – dodał Meksykanin. – *Hora para que el diga sus rezos.* – Czyli: „Naprawdę martwy. Można już zacząć się modlić o jego duszę”.

Gdy wezwano ławników do sali, mężczyźni zamilkli. Kobieta zamknęła torebkę i odeszła. Włączył kieszonkowe radio i zaczął iść za nią. Po kilku chwilach, kiedy poczuł, że znajduje się już wystarczająco daleko od dwóch Latynosów, przyspieszył i klepnął ją w ramię.

Rina odwróciła się gwałtownie. Przed sobą miała Uśmiechniętego Toma.

– Tak? – zapytała.

– Przepraszam – powiedział, wyłączając radyjko. – Nazywam się Brett Harriman i pracuję jako tłumacz sądowy. Zdaje się, że jest pani ławniczką w jednym z moich procesów. – Kiedy nie zareagowała, dodał: – Chciałbym zapewnić panią, że to, o co zamierzam zapytać, nie ma najmniejszego związku z tą sprawą.

Rina wpatrzyła się w niego, czekając na dalszy ciąg.

– Hm**...** trochę mi niezręcznie**...** – Przerwał. – Wiem, że to dziwnie zabrzmi, ale czy mogłaby pani wyświadczyć mi przysługę?

Wreszcie się odezwała:

– To zależy jaką. – Rina zmierzyła go wzrokiem. Brett Harriman vel Uśmiechnięty Tom sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Nie widziała jego oczu skrytych za

okularami przeciwsłonecznymi, jednak zachowywał się dziwnie.

Zniżył głos do szeptu, choć wciąż mówił jak aktor:

– Błagam panią. Proszę udawać, że nie patrzy pani w miejsce, które zaraz opiszę. I szeptać, dobrze?

Rina zawahała się. Wolałaby przerwać tę dziwną scenę, spytała jednak:

– Co tu się dzieje?

– Zaraz wyjaśnię. Chodzi mi o miejsce, gdzie pani stała jeszcze kilka chwil temu, rozmawiając przez telefon. Kilka kroków dalej stało dwóch Latynosów**...** Proszę na nich nie patrzeć.

– Nie pa**...**

– Czy mogłaby pani bez wpatrywania się w nich i zachowując się tak, jakby nic się nie stało, opisać ich wygląd?

Rina odruchowo spojrzała na mężczyzn, po czym natychmiast odwróciła wzrok. Kiedy znów na nich zerknęła, zrozumiała, że są tak pochłonięci rozmową, iż z pewnością jej nie zauważyli. Popatrzyła na nich ukradkiem, a potem spojrzała pytająco na Toma vel Bretta. On jednak nie zareagował.

Nagle dotarło do niej, w czym rzecz. Było to jak grom z jasnego nieba. Omal nie palnęła się w głowę i nie krzyknęła: „No jasne!”. To, że nosił okulary przeciwsłoneczne w pomieszczeniach, powinno być oczywistą wskazówką. Zmyliło ją to, że tak dobrze sobie radził bez niczyjej pomocy.

Brett Harriman alias Tom Cruise był niewidomy.

Miała ochotę go o to zapytać, lecz nie chciała być niegrzeczna. Wyszeptała więc tylko:

– Dlaczego interesują pana ci mężczyźni?

– Proszę mi ich tylko opisać – odszepnął.

Rina jeszcze raz im się przyjrzała. Obaj byli po dwudziestce, średniego wzrostu, przy czym ten z prawej był nieco wyższy od swojego kolegi. Miał na sobie czarną koszulkę polo. Niższy (to on głównie mówił) ubrany był w koszulkę Lakersów. Obaj mieli ogolone głowy, a na ramionach tatuaże, które z pewnością nie były dziełem profesjonalistów. Domowej roboty tusz, który wniknął pod skórę, wyglądał bardziej na przebarwienie niż dzieło człowieka. Wąż, głowa tygrysa, B12. Zdaje się, że ktoś tu był fanem witamin.

– Domyślam się, że jest pan niewidomy – wyszeptała Rina – ale dlaczego chce pan wiedzieć, jak wyglądają ci mężczyźni?

– Nie mogę powiedzieć.

– Przykro mi, ale jeśli chce pan, żebym mu pomogła, musi mi pan powiedzieć.

– To sprawa osobista**...** – Harriman usłyszał, że na salę wzywana jest grupa dwudziesta trzecia. – Nieważne! Właśnie mnie wołają, muszę iść. – Zniżył głos. – To pewnie i tak nie ma sensu.

Włączył kieszonkowe radio, włożył słuchawkę do ucha i odszedł, a zaciekawiona i zmieszana Rinę popatrywała za nim. Ponownie zerknęła też na mężczyzn. Nie byli przesadnie umięśnieni, ale mieli duże ręce. Obaj nosili dżinsy i buty

o gumowych podeszwach. Pomyślała, że wyglądają na budowlańców.

Kiedy wywołano jej grupę, Rina stanęła z resztą ławników przed salą i zaczęła odliczać, żeby wiedzieć, czy wszyscy są obecni. Brakowało ławnika numer siedem, który zawsze się spóźniał. Wszyscy jęknęli. Ally, Joy i Kate podeszły do Riny.

– O czym rozmawiałaś z Uśmiechniętym Tomem? – zapytała Joy.

– O niczym szczególnym – odparła.

– Chyba wpadłaś mu w oko – zauważyła Ally.

– Dziwisz się? – powiedziała Kate. – Tylko na nią spójrz.

– On jest niewidomy. – Kiedy ławniczki wybałuszyły oczy, dodała: – Albo niedowidzący. Używa radyjka w charakterze urządzenia naprowadzającego. To coś w rodzaju elektronicznej laski.

– Ach tak**...** – Kate westchnęła. – Teraz wszystko rozumiem. Wiedziałam, że coś z nim nie tak.

– Po prostu podszedł do ciebie i powiedział, że jest niewidomy? – zapytała Ally.

– Nie, ale z bliska można to poznać.

– W jaki sposób? – zapytała Joy.

– Kiedy mówi, specyficznie kręci głową i kołysze się do przodu i do tyłu. – Właściwie nie robił ani jednego, ani drugiego, ale musiała coś powiedzieć, a to wydało się jej prawdopodobne. – Rozmawiałam z nim najwyżej jakieś pół minuty.

– Ale właściwie o czym? – zapytała Joy.

– Zapytał mnie o godzinę. Kiedy mu ją podałam, zapytał,

czy po raz pierwszy pracuję dla wymiaru sprawiedliwości. Odparłam, że jestem żoną policjanta. Powiedział, że pamięta mój głos z przesłuchania na ławników. Przypomina sobie, że mój mąż jest porucznikiem. A potem wezwali go na salę, więc musiał lecieć. I tyle. – Rina zmusiła się do uśmiechu. – Chciałam się z nim podzielić swoim przepisem na chałkę, ale nie dał mi szansy.

Jednak ten żart nie wywołał salwy śmiechu.

Ławnik numer siedem w końcu się pojawił i ciężko dysząc, przeprosił wszystkich za spóźnienie. Pracownik sądu otworzył drzwi i zaczęli wchodzić do sali. Nowe przyjaciółki Riny przyglądały się jej z powątpiewaniem.

Chyba jednak nie umiała tak dobrze kłamać, jak jej się wydawało.

Decker podał Neptune'owi Brady'emu kopię listy ochroniarzy przygotowanej przez Olivera. Scott zaznaczył na niej, którzy z nich figurują w policyjnej kartotece. Okazało się, że jest ich zaskakująco wielu. Większość popełniła wykroczenia, ale na dwadzieścia dwie osoby (do oryginalnej listy zawierającej czternaście nazwisk dodano jeszcze osiem) sześć popełniło ciężkie przestępstwa.

Decker przyglądał się twarzy Brady'ego. To oczywiste, że szef ochrony Kaffeyów nie spał od bardzo dawna. Widać to było nawet po ruchach, kiedy przeczesał dłonią przetłuszczone czarne włosy.

– Proszę rzucić na to okiem i sprawdzić, czy coś jeszcze trzeba dodać – powiedział Decker.

Brady przyjrzał się kartce, po czym odparł:

– Wygląda na to, że nie.

– Dlaczego zatrudnił pan aż tylu byłych przestępców?

– Nie ja, panie poruczniku. – Brady westchnął ciężko. – Kaffey miał do nich słabość.

– To prawda, Grant Kaffey wspominał coś o tym, że Guy zatrudniał młodocianych przestępców, ale nie wierzę, że pan się zgodził na przykład na coś takiego. – Decker wskazał jedno z nazwisk. – To nie był wyrok za malowanie graffiti. Ten człowiek, Ernesto Sanchez, ma na koncie dwa napady**...**

– Proszę spojrzeć na daty. To było lata temu. Został zresocjalizowany i poukładał sobie życie na nowo. Trudno o kogoś bardziej bogobojnego od byłego alkoholika. Guy angażował się w wiele programów pomocowych dla społecznie wykluczonych. Wszystkie były gówno warte, ale kiedy Guy wpadał w ten swój nastrój, robiłem bez gadania to, co mi kazał.

Niebieskie oczy Brady'ego były przekrwione. Przebrał się w świeżą niebieską koszulę z bawełny oksfordzkiej i designerskie dżinsy. Bawił się przez chwilę kołnierzykiem.

– W pewnej mierze wynikało to z wrażliwości, ale również z tego, że Kaffey był skąpiradłem, a ci ludzie pracowali za półdarmo.

– Chce mi pan powiedzieć, że ktoś tak bogaty jak Guy Kaffey zatrudniał byłych skazańców, bo stanowili tanią siłę roboczą?

– *Exactamente, mi amigo!* – Westchnął i potarł twarz dłońmi. – Ranczo jest ogromne. Zabezpieczenie go przed intruzami kosztuje krocie. A i tak, mimo ciągnącego się

kilometrami ogrodzenia, drutu kolczastego i alarmów, są dziesiątki sposobów, żeby tu wejść, i tyle samo, żeby stąd wyjść. Do obstawienia wszystkich bram i furtek potrzebna by była cała armia, a Kaffey nie miał zamiaru przepłacać. Dał mi nazwiska i numery telefonów, a mnie nie pozostawało nic innego, jak powiedzieć: „Tak jest, szefie”.

– Na liście znajdują się dwadzieścia dwa nazwiska. Całkiem spora grupa.

– Nie pracowali wszyscy naraz – wyjaśnił Brady. – Ciągle się wymieniali. Potrzebowałem ich tylko tylu, żeby system działał. Kaffey powiedział, że nie muszą być geniuszami, wystarczą nam osiłki. Zwykle na jednej zmianie było tylko czterech ochroniarzy. Przez większość czasu Guyowi zupełnie to wystarczało.

– A kiedy nie wystarczało?

Brady się zawahał, nim odpowiedział:

– Czasami czuł się zagrożony. Kiedy wpadał w taki nastrój, musiałem tu ściągać dodatkowych ludzi. Czasami nawet dwunastu chodziło po posiadłości.

– A w noc morderstwa?

– Mieliśmy czterech ochroniarzy. Gdyby Kaffeyowi to nie wystarczało, zadzwoniłby do mnie, żebym ściągnął posiłki.

– Może nie chciał panu przeszkadzać, wiedząc, że jest pan u chorego ojca.

Brady roześmiał się gorzko.

– Naprawdę pan myśli, że Kaffeya obchodziły sprawy jego pracowników?

– Przecież pozwolił panu jechać do Oakland, żeby zajął się

pan ojcem.

– W tym czasie mój ojciec był o włos od śmierci, więc Kaffey nie miał wyjścia. Poleciałbym tam, nawet gdybym przez to stracił posadę.

– Ale zgodził się, żeby został pan w Oakland jeszcze tydzień.

– To nie Guy Kaffey się na to zgodził, ale jego syn Gil. Nie jest dużo lepszy, ale ma w sobie choć trochę ludzkich uczuć. Guy był głośny, złośliwy i wymagający. A potem ni stąd, ni zowąd – pstryknął palcami – przemieniał się w najmilszego, najbardziej hojnego człowieka pod słońcem. Nigdy nie wiedziałem, z którym Guyem akurat będę miał do czynienia. Miał wyjątkowo zmienne nastroje.

– Przejrzałem kilka artykułów na temat Gila. W żadnym z nich nie znalazłem informacji na temat jego żony.

– Gil jest gejem.

– Rozumiem. – Decker zaczął wertować pisma. – Ale o tym też nie ma żadnej wzmianki.

– Skąd pochodzą te artykuły?

– Z „Wall Street Journal”**...** Z „Newsweeka”**...** Z „U.S. News **&** World Report”**...**

– A niby dlaczego mieliby w nich wspominać o tym, że Gil jest gejem? To bezwzględny biznesmen, a nie prezes Stowarzyszenia Gejów i Lesbijek. Chroni swoją prywatność.

– Ma partnera? – zapytał Decker.

– Nie. Miał partnera przez jakieś pięć lat, ale zerwali pół roku temu.

– Jak się nazywa?

– Antoine Resseur. Mieszka w zachodnim Hollywood. Nie wiem, czym obecnie się zajmuje.

– Dlaczego ze sobą zerwali?

– Nie mam pojęcia. To nie moja sprawa.

– Wróćmy więc do tego, co jest pana sprawą. Czy ochraniał pan również Gila?

– Nie. On nie chciał mojej ochrony. W Trousdale ma dom o powierzchni sześciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych, którego strzeże supernowoczesny system bezpieczeństwa. Sporadycznie widuję przy nim ochroniarza, ale przez większość czasu obywa się bez niego.

– Czy Guy i Gilliam Kaffeyowie byli pana jedynymi pracodawcami?

– Tak. Pracowałem prawie dwadzieścia cztery godziny na dobę. Praktycznie w ogóle nie spałem. – Brady potarł czoło i pokręcił głową. – Ciągle prosiłem Guya o więcej pieniędzy. Nie dla siebie, ale po to, żeby zatrudnić lepszych ochroniarzy. Tysiące razy powtarzałem Kaffeyowi, że wystarczy niewielka suma, by znacznie poprawić poziom bezpieczeństwa. Miał przecież tyle milionów**...** Dlaczego nie wykorzystał ich lepiej?

– Może nie znalazł nikogo lepszego?

– Bezrobocie rośnie w zawrotnym tempie, więc mógł przebierać w najlepszych ochroniarzach. Czemu rozmyślnie wybrał tych wszystkich nieudaczników?

– Trudno to zrozumieć – przyznał Decker.

– To jest wręcz niemożliwe do zrozumienia. Ale taki właśnie był Guy. W jednej chwili całkowicie lekceważył normy

bezpieczeństwa, a w następnej wpadał w paranoję. Tę ostatnią akurat mogę zrozumieć. Natomiast to, czego nie potrafię zrozumieć, to jego niefrasobliwość. Przecież wiedział, że może stać się celem napadu. Dlaczego poskąpił na własne bezpieczeństwo?

Deckerowi przyszła do głowy pewna myśl, dlatego spytał:

– Czy leczył się psychiatrycznie?

– Proszę porozmawiać z jego lekarzem – odparł Brady.

– Nie cierpiał przypadkiem na psychozę maniakalno-depresyjną?

– Na cyklofrenię. – Brady roześmiał się gorzko. – Pewnie mnie wyleją za to, że zdradziłem panu tę tajemnicę**...** Jakbym i tak już nie tkwił po uszy w gównie. – Gdy Decker milczał, mówił dalej: – To wyglądało tak. Kiedy Guy wpadał w ten swój**...** słowotok, mówił wszystkim dookoła o swoim stanie zdrowia. I o tym, że żona nakłania go do brania litu, a on nie chce.

– Dlaczego tego nie chciał?

– Twierdził, że lit działa na niego stabilizująco. Że dzięki niemu nie ma nastrojów depresyjnych. Problem polegał na tym, że po nim nie ogarniała go również euforia. A on nie mógł bez niej żyć. To ona pozwalała mu wykorzystywać szanse. To dzięki niej został miliarderem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Konferencja prasowa wypadła dobrze, chociaż Strapp miał mało czasu, by pławić się w obiektywach kamer. Wszedł do gabinetu Deckera bez pukania, zamknął za sobą drzwi z większym impetem, niż to było konieczne, po czym usiadł na krześle naprzeciwko niego.

Decker uniósł wzrok znad papierów, a szef oznajmił:

– Góra uznała, że tą sprawą powinien zająć się ktoś oprócz wydziału zabójstw.

– Zgadzam się.

Strapp zmrużył oczy i niemal wycedził:

– Zgadzasz się?

– Potrzebujemy wsparcia. – Decker uważniej popatrzył na Strappa. Miał na sobie granatowy garnitur, błękitną koszulę z bawełny oksfordzkiej i czerwony krawat. Sprawiał wrażenie podminowanego. Kojarzył się z butelką szampana, z której zaraz wystrzeli korek. – O co chodzi? Chcą przekazać sprawę tym ze śródmieścia?

– Taki mieli pomysł – odparł Strapp. – Ale udało mi się załatwić, żeby sprawa została u nas. Pomyślałem, że właśnie tego byś chciał.

To znaczyło tylko tyle, że tego właśnie chciał Strapp. Żadnych głębszych przyczyn nie było, szef kierował się jedynie własnym widzimisię, własną kalkulacją. O ich komisariacie zrobiło się głośno kilka miesięcy temu, kiedy

Decker i jego ludzie z wydziału zabójstw rozwikłali starą i skomplikowana sprawę, która wiązała się z obietnicą wielomilionowych funduszy. Strapp znów zwęszył forsę. Pozostali przy życiu Kaffeyowie mogli okazać się hojni, jeśli będą zadowoleni z rezultatów śledztwa.

– Dziękuję, panie kapitanie, chętnie zajmę się tym ze swoim zespołem.

– Ilu ludzi potrzebujesz przy założeniu, że nie możesz sparaliżować pracy całego wydziału?

– Do tak dużej sprawy przydałoby mi się ośmioro. Wystarczająco dużo, żeby się wyrabiali, i na tyle mało, żebym bez problemu ich ogarnął.

– Zacznij od sześciorga. Jeśli będziesz potrzebował więcej, przyjdź do mnie. – Strapp zabębnił palcami o blat biurka Deckera. – Udało mi się przekonać komendanta, że najlepiej będzie, jeśli sprawą zajmiemy się my, z West Valley, ale musisz mi codziennie składać raporty, żebym miał mu co relacjonować. Ilu śledczych pracuje w wydziale zabójstw?

– Siedmioro na pełen etat, wliczając w to Marge Dunn i Scotta Olivera, których już włączyłem do śledztwa. Jeśli miałbym Marge, Olivera i Lee Wanga do wyłącznej dyspozycji, to na początek by wystarczyło.

– Lee do komputerów?

– Do komputerów i finansów. Tylko on ma na tyle dużo cierpliwości, żeby przejść przez te wszystkie kolumny liczb. W ten sposób zostaną wam czterej śledczy do innych zadań. – Decker sięgnął po harmonogram dyżurów. – Z wydziału kryminalnego chciałbym Brubecka, Messinga**...** i Pratt.

Wszyscy przedtem pracowali w wydziale zabójstw. To moja szóstka.

– Siódemka, wliczając ciebie.

– Poza tym – dodał Decker – jeśli chce pan, żebym poświęcił się głównie tej sprawie, ktoś musi mi pomóc ogarnąć robotę papierkową.

– Mamy od tego sekretarkę.

– Tu chodzi nie tylko o papiery, ale i czynnik psychologiczny. Muszę mieć kogoś znającego moich ludzi. Co pan powie na Wandę Bontemps? Pracowała już ze mną, zna się na komputerach i może przygotowywać nasze odprawy.

– To razem daje osiem osób.

– Właśnie tyle, o ile od samego początku prosiłem – odpowiedział Decker z uśmiechem.

Strapp wstał z krzesła.

– Niech będzie na razie ośmioro, a potem zobaczymy. Chcę mieć listę wszystkich, których wybrałeś, i przydzielone im zadania. Chcę też, żeby raporty pisane były w trzech kopiach, dla ciebie, dla mnie i dla komendanta. Możesz migać się od własnej roboty papierkowej, ale codziennie muszę mieć coś na piśmie dla tych ze śródmieścia.

– Rozumiem, panie kapitanie. – Decker się uśmiechnął. – Człowiek jest wart tyle, ile jego ostatni raport.

Zgromadzenie całej ekipy zajęło trochę dłużej, niż się spodziewał, ponieważ Brubeck był w terenie, a Pratt u dentysty. W końcu jednak Decker miał przed sobą swoich pełnych zapału śledczych. Marge przygotowała sprawozdanie, udzielając im niezbędnych informacji. Gdy

wygłaszała swą mowę, nowo przydzieleni do sprawy policjanci pospiesznie robili notatki w notesach. Wszyscy z wyjątkiem Lee Wanga i Wandy Bontemps, którzy pisali na laptopach.

Wyglądało na to, że Wynona Pratt notuje każde słowo. Była szczupłą i żylastą kobietą po czterdziestce, miała metr siedemdziesiąt siedem wzrostu, pociągłą twarz i jasne włosy krótsze niż włosy Deckera. Przedtem pracowała w wydziale zabójstw Pacific Division i cieszyła się dobrą opinią. Kilka lat temu przeniosła się do West Valley i zaczęła pracować w wydziale kryminalnym, czekając, aż zwolni się miejsce w zabójstwach. Kiedy tak się stało, okazała się dobrą i skuteczną policjantką.

Będący świeżo po sześćdziesiątce Willy Brubeck od dziesięciu lat wspominał o przejściu na emeryturę. Ostatecznie jednak, kiedy nastał na to czas, postanowił przepracować jeszcze rok. Decker cieszył się, że ma go w zespole. Brubeck przez dwadzieścia lat pracował w wydziale zabójstw w South Central. Kiedy ostatnie z ich pięciorga dzieci wyjechało z domu, Willy z żoną Daisy zdecydowali się na mniejszy dom w spokojniejszej dzielnicy w San Fernando Valley.

Brubeck miał okrągłą twarz, bystre spojrzenie i skórę o barwie kawy z mlekiem, która około piątej po południu pokrywała się już siwą szczeciną. Łatwo go było rozśmieszyć, a jedną z jego ulubionych rozrywek stanowiło jedzenie. Mając ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, ważył sto trzynaście kilogramów. Jednak podchodził do swojej tuszy

filozoficznie. Życie jest po to, żeby z niego korzystać, utrzymywał, a nie się głodzić.

Andrew Messing znalazł się w szeregach wydziału policji miasta Los Angeles pięć lat temu. Przeniósł się tu z Missisipi, gdzie przepracował pięć lat w wydziale zabójstw. Drew miał chłopięcą twarz i uśmiech niewiniątka. Był dwukrotnym rozwodnikiem. Decker uznał go za dobry wybór ze względu na aktualny brak prywatnych zobowiązań. Poza tym lubił go Oliver. Ostatnio włóczyli się razem po barach, gdzie Scott wykorzystywał Drew jako przynętę. To, że Messing miał kręcone włosy, szeroki uśmiech i południowy akcent, tylko pomagało.

Lee Wang z nieskończoną cierpliwością podchodził do wszelkich szczegółów i liczb. Był policjantem w trzecim pokoleniu i w tym samym pokoleniu Amerykaninem. Nie umiał powiedzieć ani jednego słowa po chińsku, mówił za to biegle po hiszpańsku. Była to bardzo przydatna umiejętność przy coraz liczniejszej latynoskiej społeczności West Valley.

Decker znał Wandę Bontemps od niepamiętnych czasów. Spodziewała się raczej, że będzie brać czynny udział w dochodzeniu, a nie protokołować, ale i tak cieszyła się, że wybrał ją, by go zastępowała, dając tym samym pewną władzę. Decker wiedział, że jej nie nadużyje. Była korpulentną czarną kobietą po pięćdziesiątce, z krótkimi jasnymi włosami i przenikliwym spojrzeniem. Podobnie jak Wang znała się na komputerach i wśród wielu jej zalet była i ta, że potrafiła przywrócić system operacyjny.

Po sprawozdaniu Marge było mnóstwo pytań, co wydłużyło

czas odprawy do dwóch godzin. Decker zarządził dziesięciominutową przerwę na kawę, a kiedy już wszyscy wrócili, stanął przed białą tablicą, na której spisał listę zadań do zrobienia.

Odstawił kubek z kawą i powiedział:

– Punkt pierwszy. Musimy przesłuchać wszystkich ochroniarzy pracujących u Guya Kaffeya czy to obecnie, czy w przeszłości. Sprawdźcie, co robili tej nocy, kiedy doszło do morderstw, i prześwietlcie środowisko, w którym żyją. – Decker rozdał wszystkim kartki papieru. – Ta lista nie uwzględnia dwóch zaginionych ochroniarzy. Nimi zajmiemy się oddzielnie. Jeśli w trakcie śledztwa znajdziecie jakieś dodatkowe nazwisko, dajcie nam o tym znać, zrozumiano? – Gdy zebrani skinęli głowami, mówił dalej: – Scott Oliver sprawdził pierwszych z nich. Jak widzicie, mamy tam byłych przestępców. Według Neptune'a Brady'ego i Granta Kaffeya, Guy Kaffey miał skłonność do zatrudniania byłych gangsterów.

Zebrani wyrazili zdziwienie.

– Ale numer – powiedział jeden.

– Niezłe bagno – dodał inny.

– To dlatego musimy ich wszystkich przesłuchać i sprawdzić, czy mają niezbite alibi – podsumował Decker. – Niektórzy z tych kretynów nadają się na płatnych morderców. Czekam na ochotników.

Pierwszy podniósł rękę Brubeck, potem Messing.

– Dobra, Drew i Willy. – Decker rozdał zebranym pliki kartek spiętych spinaczami. – Macie tu wszystko, co technicy

znaleźli dotąd na miejscu zbrodni. Wydaje mi się, że chłopaki z biura koronera już prawie skończyli badać ciała ofiar. Na niekompletnej liście dowodów znajdują się linie papilarne, włosy, ślina, płyny i kawałki naskórka. Drew i Willy, weźcie ze sobą zestaw do pobierania odcisków palców. Podczas przesłuchań możecie je pobrać wszystkim tym, którzy się na to zgodzą. Przyda wam się też zestaw do pobierania DNA. Jego pobranie jest banalnie proste, choć badania to kosztowna impreza.

Messing podniósł rękę.

– Mam pytanie.

– Tak?

– Podobno ofiary zostały zastrzelone. – Andrew Messing mówił z silnym południowym akcentem. – Skąd te ślady śliny, które wzbudziły wasze zainteresowanie?

– Znaleźliśmy kilka niedopałków i wykałaczkę. Pobierzemy z nich DNA.

– Jeśli przesłuchiwani odmówią poddaniu się badaniu DNA, można je pobrać z plastikowych kubków – dodał Messing. – Mamy budżet na kawę?

– Pod warunkiem, że będzie bez pianki i czekolady. – Decker odwrócił się do Wandy. – Nie musisz umieszczać tej wymiany zdań w protokole.

Wanda uśmiechnęła się do niego.

– Sama się domyśliłam.

– Idźmy dalej**...** – Decker przejrzał papiery. – Wygląda na to, że wykorzystano dwa typy broni: pistolet smith **&** wesson kaliber 38, prawdopodobnie model 315,

i dziewięciomilimetrową berettę. Chcę wiedzieć, który z ochroniarzy używał tej broni. Jakieś pytania?

– Na razie nie – odparł Brubeck.

– Ja też nie – dodał Messing.

– W tej chwili mamy tylko tyle – powiedział Decker. – Dunn i Oliver wciąż szukają dowodów w innych budynkach na terenie posiadłości, więc powinno być tego więcej. A skoro już o tym mowa, możemy przejść do punktu drugiego. – Odhaczył go na białej tablicy. – Jeszcze nie zdołaliśmy przeczesać całego terenu. To około trzydziestu hektarów, więc naprawdę sporo, a my musimy zorganizować gruntowne przeszukanie. Dobrze, gdyby to zajęło dobę, najwyżej dwie. Kto jest zainteresowany?

– Ja to zrobię – zgłosiła się Wynona.

– Dobra – odparł Decker. – Przydzielę ci ośmiu mundurowych. Powiedzmy, że zaczniecie pojutrze o szóstej rano. Musicie wykorzystać jak najwięcej światła dziennego. Ja też się tam zjawię, ale będę musiał wyjechać około piątej, bo to piątek. Poza tym pewnie i tak nie zdążycie się z tym uporać w jeden dzień. Masz coś przeciwko pracy w weekend?

– Ja nie, ale nie wiem jak ludzie, którzy będą ze mną pracować.

– Skontaktuj się z porucznikiem Hammerem i powiedz mu, że potrzebujesz ośmiu ludzi do pracy w weekend.

– Zadzwonię do niego zaraz po odprawie.

– Najpierw zróbcie przeszukanie. Potem będę potrzebował planu całej posiadłości z zaznaczonymi wszystkimi bramami,

furtkami i ogrodzeniem. Teren jest ogrodzony, ale na tak wielkim obszarze muszą być jakieś słabe punkty.

Wynona ledwie nadążała z notowaniem.

– Rozumiem.

– W niedzielę o szóstej rano spotkamy się przy bramie głównej i pochwalisz się tym, co masz. Dzięki temu na naszej poniedziałkowej odprawie będę mógł zapoznać wszystkich z rezultatami przeszukania. – Decker odwrócił się do Marge i Olivera. – Rozumiem, że macie zgodę na wejście do budynku głównego i kwater dla służby?

– Dostaliśmy zgodę od Granta i Gila na przeszukanie domu – odparła Marge.

– Rozmawialiście z Gilem?

– Z jego prawnikiem – odrzekł Oliver. – Wyraził przypuszczenie, że synowie odziedziczą ranczo.

– To ciekawe. Co jeszcze wiecie na ten temat?

– Na razie tylko tyle, ale pracujemy nad tym – odparła Marge.

– Kiedy waszym zdaniem znów będzie można porozmawiać z Gilem?

– Jego lekarz powiedział, że ktoś może wpaść jutro na kilka minut.

– O której?

– Kiedy tylko będzie przytomny – powiedziała Marge.

– Sprawdzimy główny budynek i bungalow Neptune’a Brady’ego. Paco Albanez, ogrodnik, i Riley Karns, stajenny, też wyrazili zgodę na przeszukanie. Jest jeszcze kilka innych budynków. Najprawdopodobniej skończymy w ten weekend

i przedstawimy nasze znaleziska w poniedziałek.

– Ile budynków jest na ranczu? – zapytała Pratt.

– Ile? – zapytała Marge Olivera. – Osiem?

– Dziewięć.

– Jeszcze jakieś pytania? – Kiedy nikt się nie odezwał, Decker powiedział: – Kolejna pozycja na liście przeznaczona jest dla ciebie, Lee. Chcę, żebyś ustalił wszystko, co tylko można, na temat tej rodziny. Interesuje mnie zarówno życie prywatne, jak i zawodowe. Sprawdź wszystkich członków rodziny, ich małżonków, dzieci, powiązania biznesowe. Znajdź też wszystko, co tylko można, na temat Kaffey Industries i Greenridge Project w północnej części stanu Nowy Jork, niedaleko rzeki Hudson. Chcę również, żebyś dowiedział się wszystkiego o Cyclone Inc. i ich dyrektorze generalnym Paulu Pritchardzie. – Decker zapisał te wszystkie nazwy i nazwisko na tablicy, po czym wyjaśnił, że tym ogromnym projektem kierują obecnie Mace i Grant Kaffeyowie. – Chcę, żebyś przejrzał wszystko. Każdy artykuł, każdą analizę, każdy list do redakcji, każda notatkę wewnętrzną**...**

– Wszystko, co może nam pomóc poznać rodzinę i jej interesy – podsumował Wang.

– No właśnie – przyznał Decker.

– Już ich wygooglałem. Ponad dwa miliony trafień. Potrzebuję kogoś do pomocy.

– Jacyś chętni? – zapytał Decker.

Wanda podniosła rękę.

– Nie znam się na komputerach, ale mogę przejrzeć

artykuły w gazetach.

– Ja też – dodał Messing.

– Świetnie – ucieszył się Decker. – Mam też trop prowadzący do niezadowolonego byłego pracownika, księgowego nazywającego się Milfred Connors. – Decker napisał nazwisko na tablicy. – Connors pracował w Kaffey Industries i został przyłapany na malwersacji przez Neptune'a Brady'ego. To wszystko, co wiem o tej sprawie. Pogadam z Bradym. Kto weźmie na siebie Connorsa?

– Ja – zgłosił się Brubeck.

– Jest twój, Willy – powiedział Decker. – Marge i ja rozmawialiśmy wstępnie z Grantem i Mace'em Kaffeyem. Wrócimy jeszcze do nich.

– To dobrze – powiedział Oliver. – Bogacze gadają tylko z szefami.

– W tym przypadku pewnie spróbują porozumieć się z kimś nade mną – odparł Decker. – Nieważne, jakoś sobie poradzę. W końcu jestem znany ze swojej dyplomacji.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Ejże – upomniał ich Decker. – To nie jest śmieszne.

– Tego też mam nie protokołować, prawda? – zapytała domyślnie Wanda.

– Byłoby miło. – Decker uśmiechnął się do niej. – Skontaktuję się też z byłym chłopakiem Gila, niejakim Antoine'em Resseurem. Lee, gdyby udało ci się przedtem znaleźć coś na jego temat, byłbym ci wdzięczny.

– Nie ma sprawy. Mógłbyś zapisać na tablicy jego nazwisko?

Decker spełnił tę prośbę.

– Dobra, mam jeszcze jedną ciekawostkę dotyczącą rodziny. Guy Kaffey cierpiał na psychozę maniakalno-depresyjną, czyli, jak to się teraz nazywa, cyklofrenię. Nie wiem, czy to istotne, ale podczas epizodów maniakalnych mógł komuś grozić. Lee, pamiętaj o tym, kiedy będziesz przeglądał artykuły na jego temat. Skontaktuję się z jego lekarzem. Macie jakieś pytania?

Ponieważ nikt się nie zgłosił, Decker zwrócił się do Marge i Olivera:

– Kiedy już skończycie przeszukiwać budynki, chciałbym, żebyście jeszcze raz przesłuchali Brady'ego, Kotsky'ego, Rileya Karnsa, Paco Albaneza i ocalałą pokojówkę, Anę Mendez. Coś nowego w sprawie zaginionych ochroniarzy?

– Jesteśmy w stałym kontakcie z rodziną Denny'ego Orlanda – odparła Marge. – Ale Rondo Martin, przynajmniej na razie, to biała karta. Dzwoniliśmy kilka razy do biura szeryfa w Ponceville. Chyba moglibyśmy zrobić**...**

– Przepraszam, ale czy powiedziałaś „Ponceville"? – przerwał jej Brubeck.

– Tak – przyznała Marge. – Czemu pytasz? O co chodzi, Willy?

– Rodzina mojej żony ma farmę jakieś piętnaście kilometrów od Ponceville. – Willy uśmiechnął się. – Co cię tak dziwi? Czarni od wieków mają farmy. Jedyna różnica polega na tym, że musieliśmy za to zapłacić.

– Wiem – powiedziała Wanda. – Wykreślę to z protokołu.

– Co takiego wiesz o Ponceville, Willy? – zapytał Decker.

– To jedna z większych osad farmerskich w Kalifornii. Tamtejsi ludzie ciężko pracują**...** Głównie biali, ale jest też kilku czarnych i mnóstwo Meksykanów. Osobiście nigdy nie słyszałem o Martinie, ale jeśli pracował w Ponceville w ciągu ostatnich dwudziestu lat, zadzwonię w kilka miejsc i popytam o niego.

– No to dzwoń.

– Więcej bym się dowiedział, gdybym tam pojechał.

– Pewnie udałoby mi się sfinansować ci podróż, zacznijmy jednak od telefonów. – Decker przeszedł do kolejnego punktu na tablicy. – Ktoś musi sprawdzić też zamordowaną pokojówkę, Alicię Montoyę. Podejrzewam, że sprawcom chodziło o Kaffeyów, a ona oberwała przypadkiem. Ale musimy to potwierdzić. Kiedy Marge i ja rozmawialiśmy z Gilem, zasygnalizował, że mordercy prawdopodobnie mówili po hiszpańsku. Może to zazdrosny chłopak zabił Alicię, a Kaffeyowie oberwali przypadkiem? – Policjanci wzruszyli ramionami. Nikt nie uznał tego za prawdopodobne. – Tak właśnie myślałem – przyznał Decker. – Lee, znasz hiszpański. Pogadaj z rodziną Alicii.

– Potrzebuję kogoś do pomocy, na wypadek gdyby moja znajomość tego języka okazała się niewystarczająca.

Pratt podniosła rękę.

– Wprawdzie nie czytam Cervantesa, ale dogadam się z ludźmi posługującymi się potocznym hiszpańskim.

– Dobra – powiedział Decker. – Razem pójdziecie do rodziny Alicii Montoi. I w ten sposób dotarliśmy do ostatniego punktu na tablicy: telefonów od obywateli. Jak dotąd

mieliśmy ich około dwudziestu, ale ta liczba na pewno się zwiększy, zwłaszcza jeśli rodzina wyznaczy nagrodę.

Oliver jęknął.

– Jeśli tak się tanie, aparat rozgrzeje się do czerwoności.

– A rodzina faktycznie wyznaczy nagrodę? – zapytała Marge.

– Nie mam zielonego pojęcia, ale podejrzewam, że tak, bo pomijając wszystko inne, zawsze to dobrze wygląda. Nieważne, ile będzie telefonów, wszystkie musimy sprawdzić.

– A co z ludźmi, którzy będą do nas przychodzić? – zapytał Oliver.

– Tych biorę na siebie – odrzekł Decker. – Nie zapominajcie, że służymy społeczeństwu. Musimy traktować wszystkich z szacunkiem i powagą. Kiedy ludzie mówią, nie udawajcie uwagi, tylko naprawdę ich słuchajcie. Słuchajcie ich uważnie, bo nigdy nie wiadomo, co lub kto może przynieść przełom w śledztwie. Jeszcze jakieś pytania? – Gdy nikt się nie odezwał, oznajmił: – W takim razie odprawę uważam za zakończoną. Nie zapomnijcie swoich listów, papierzysk i długopisów. Co ważniejsze, nie zapomnijcie swoich oczu, uszu i nóg. Idźcie i nie pokazujcie mi się tutaj, dopóki nie złapiecie kilku morderców.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przed salą, w której leżał Gil Kaffey, stało dwóch mundurowych. Decker zdziwił się, bo zamawiał tylko jednego. Kiedy podszedł, uświadomił sobie, że tylko jeden z nich jest policjantem. Na widok Deckera przestali rozmawiać, wyprostowali się i popatrzyli na niego podejrzliwie. Pokazał odznakę policjantowi, szpakowatemu mężczyźnie po pięćdziesiątce, który nazywał się Ray Aldofar. Na identyfikatorze drugiego mundurowego widniało nazwisko Pepper. Był młody, niski i miał zaczepne spojrzenie.

– Dzień dobry, panowie – powiedział Decker.

– Dzień dobry, panie poruczniku – odparł Aldofar i przedstawił mu swojego towarzysza. Na imię miał Jack.

Decker popatrzył na niego nieufnie.

– Kto pana zatrudnił do pilnowania tej sali, panie Pepper? – zapytał.

– Pan Kaffey nalegał, żeby znajdował się tutaj ktoś z jego prywatnej ochrony – odparł.

– Który pan Kaffey?

– Pan Grant, pan Mace i pan Gil.

Decker zajrzał przez szybę do sali. Gil spał, wciąż był podłączony do niezliczonych rurek.

– Gil Kaffey był w na tyle dobrym stanie, żeby zatrudnić ochroniarza?

– Byłem tutaj, kiedy przyprowadzili Jacka – włączył się Aldofar.

– Co za oni?

– Grant Kaffey i Neptune Brady. To szef ochrony Kaffeyów.

– Wiem, kim jest Neptune Brady.

Aldofar nic nie odpowiedział.

– Pan Kaffey i pan Brady mnie tu oddelegowali – stwierdził Pepper. – Zostałem sprawdzony przez ochronę szpitala.

– Ale nie przeze mnie. – Kiedy Pepper się obruszył, Decker dodał: – Nie wątpię w pana kompetencje, ale prowadzę śledztwo w sprawie wielokrotnego morderstwa. Muszę wiedzieć, kto ma dostęp do Gila Kaffeya, a pan może przegapić coś ważnego.

– Kaffeyowie mieli prawo mnie tutaj umieścić – bronił się Pepper.

– O ile to nie utrudnia śledztwa.

Te słowa znaczyły: skąd mam wiedzieć, czy Mace i Grant Kaffeyowie nie stoją za tymi morderstwami?

– Chcę zobaczyć listę odwiedzających – powiedział Decker do Aldofara.

Policjant wziął blok biurowy i przerzucił kilka kartek.

– Proszę**...** Zgodnie z pana rozkazem mam tu wszystkich, którzy wchodzili do sali i z niej wychodzili.

Decker przyjrzał się liście. Zawierała głównie nazwiska personelu szpitalnego, czyli lekarzy i pielęgniarek. Oprócz tego Gila cztery raz odwiedzili wspólnie Mace i Grant. Ten ostatni był też cztery raz sam i dwa razy z Neptune’em Bradym, który oprócz tego przyszedł jeszcze dwa razy sam.

Dwukrotnie na liście pojawiał się też Antoine Resseur, były chłopak Gila. Ponieważ wpuszczano tylko osoby, które miały zezwolenie na wizyty, nie było innych gości. Kilkanaście razy usiłowano dostarczyć do sali kwiaty, jednak wszystkie bukiety odesłano.

Decker oddał blok biurowy Aldofarowi.

– Uważaj na wszystko i wpisz mnie na listę. Wchodzę. – Spojrzał na Peppera. – Wiem, że ma pan robotę do wykonania, ale ja też. Po prostu spróbujmy nie nadeptywać sobie na odciski. Mówię to dla pana dobra, bo mam większe stopy.

Kiedy Gil otworzył powoli oczy, jego twarz wykrzywiła się w grymasie bólu i zajęczał. Młoda jasnowłosa pielęgniarka o imieniu Didi natychmiast podbiegła do łóżka i dodała czegoś do jego kroplówki.

– To demerol – wyjaśniła Deckerowi.

– Czy to go uśpi?

– Możliwe.

Decker czekał. Gil kilka razy zamykał i otwierał oczy. Po jakichś dziesięciu minutach popatrzył na gościa spod półprzymkniętych powiek.

– Czy my się znamy? – zapytał.

– Porucznik Peter Decker z wydziału zabójstw policji Los Angeles. Prowadzę śledztwo w sprawie wydarzeń na ranczu. Jak się pan czuje?

– Beznadziejnie.

– Przykro mi.

Kiedy przybliżył krzesło do jego łóżka, Didi zapytała:

– Czy uzgodnił pan to przesłuchanie z doktorem Rainem?

– Proszę go zostawić**...** – wyjęczał Gil.

– Tylko kilka minut – powiedziała pielęgniarka Deckerowi. – To, że mówi, nie znaczy jeszcze, że powinien.

– Nie będę go męczył – obiecał Decker.

– Pan tu**...** dowodzi? – spytał Gil.

– Tak, to ja prowadzę śledztwo. Nad sprawą pracuje wiele osób i wszystko, co pan powie, może okazać się przydatne.

– Czuję**...** się**...** naprawdę**...** beznadziejnie**...** – Kiwnął głową. – Cholera.

– Rana po postrzale zawsze boli**...**

Gil otworzył szerzej oczy.

– Czy pan**...**

– Tak, byłem postrzelony. Stąd wiem, że to strasznie boli.

– Jak cholera.

– To prawda.

– Mówili ***sí***, ***sí*****...** Słyszałem.

Decker wyjął notes.

– Sprawcy mówili po hiszpańsku?

– Tak**...** ***sí***, ***sí***.

– Zna pan hiszpański?

– Nie**...** Rozpoznałem tylko to ***sí***, ***sí***.

– A jakieś inne słowa?

– To stało się**...** tak szybko.

– Na pewno był pan w szoku. Ile osób państwa napadło?

Cisza.

– Czasami pomaga zamknięcie oczu – podsunął Decker. – Wtedy obrazy same pojawiają się w głowie.

Gil zamknął oczy.

– Jeden... dwóch... trzech... – Jego dotąd blada twarz stała się ziemista. – Błysk... potem huk... Bum, bum, bum!

Bip, bip, bip – dobiegło z jednego z urządzeń. Puls Gila znacząco przyspieszył.

– Kurwa, ten huk był tak głośny, że rozsadził mi głowę!

– Proszę zobaczyć, co pan zrobił – powiedziała pielęgniarka. – Proszę stąd wyjść!

Gil wciąż mówił, jego gałki oczne poruszały się szybko za zamkniętymi powiekami.

– To było tak, jakby... – Próbował pstryknąć palcami. Po chwili otworzył oczy. – Serce mi... wali. Uciekam... Czuję wystrzał... Upadam.

Didi chciała mu podać więcej demerolu, ale krzyknął:

– Nie!

Decker i pielęgniarka spojrzeli na siebie ze zdziwieniem.

– Złapcie tych... sukinsynów!

– Taki właśnie mamy zamiar, panie Kaffey – powiedział Decker. – A co z ich twarzami? Potrafi pan je opisać?

Mężczyzna przymknął oczy.

– Jeden... dwóch... trzech.

– Pamięta pan trzech napastników, tak?

– Trzech...

– A czy potrafi pan ich opisać?

W oczach Gila pojawiły się łzy.

– Sukinsyny... Ten z pistoletem... widziałem jego rękę... miał tatuaż.

– Co na nim było?

– Beiksi**...** – Zamrugał i łzy zaczęły mu spływać po policzkach.

– Słucham?

– Litery**...** B**...** X**...** I**...** I.

Decker zamyślił się na chwilę.

– A czy to mogła być rzymska dwunastka?

– Może**...**

W skład gangu Bodega z Dwunastej Ulicy wchodziły naprawdę groźne typy, głównie z Salwadoru i Meksyku. Powstał kilka lat temu, ale rozwijał się we wszystkich stanach szybko niczym rak. W tej chwili liczył jakieś pięćdziesiąt tysięcy członków. Głównie składał się z dilerów narkotykowych i morderców. Był jednym z najgorszych gangów w kraju.

Gil miał naprawdę szczęście.

– Miał wytatuowane na ręce BXII – powtórzył Decker. – Czy pamięta pan, na której?

Gil zaczął płyciej oddychać.

– Na prawej. Miał ten tatuaż na prawej ręce.

– Więc ta ręka musiała być odsłonięta?

Gil nie odpowiedział.

– Czy miał na sobie koszulkę z krótkimi rękawami?

– Czarny T-shirt.

– Dobrze. A jakieś inne tatuaże?

– Czarnego kota**...** Z jakimś napisem po hiszpańsku. „Negro” coś tam.

– „Negro” to po hiszpańsku czarny. Mógłby pan zamknąć oczy i spróbować zobaczyć tę rękę? Może ujrzy pan jeszcze

inne słowa?

Gil zamknął oczy.

– G... A... – Potrząsnął głową.

– Może „gato”? To po hiszpańsku kot. Czyli „gato negro” to czarny kot.

Gil nie odpowiedział. Pod jego powiekami wciąż poruszały się gwałtownie gałki oczne.

– Widział pan twarz tego człowieka?

– Jeszcze jeden... tatuaż... tutaj... – Dotknął szyi. – Wąż... B... 1 czy coś takiego.

– B12?

Gil otworzył oczy.

– Zna się pan na tatuażach?

– Znam kilka tatuaży używanych przez gangi. Wśród nich są B12 i BXII.

– Gangi? Jak to?

Najbardziej prawdopodobną odpowiedzią na to pytanie było, że ktoś wynajął członków gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. Ale nie pora na hipotezy. Jeszcze za wcześnie.

– Właśnie to musimy ustalić. Czy pana rodzice mieli w domu dużo kosztowności?

– Mieli... ochroniarzy.

– Niektórzy z nich zaginęli.

– Kto?

– Rondo Martin i Denny Orlando. Może też inni.

– Tylko nie Denny. – Zamilkł na dłuższą chwilę. – Tata lubił Martina.

– Zna ich pan?

– Denny jest dobry**...** Rondo jest zimny. – Gil uniósł rękę z rurkami do twarzy. – Ma zimne oczy.

– Dobrze wiedzieć. – Decker spróbował sprowadzić rozmowę na właściwe tory. – Bardzo nam pan pomógł z tymi tatuażami. Widział pan jego szyję. Czy mógłby się pan skupić na twarzy?

Gil zamknął oczy i tak długo nic nie mówił, że Decker myślał już, że zasnął.

– Ciemne oczy**...** – wyszeptał w końcu Gil. – Chusta na głowie**...** – Wypuścił powietrze z płuc i dotknął brody. – Kozia bródka**...** – Kolejna długa pauza. Łzy znów zaczęły spływać mu po policzkach. – Potem strzelił i mój tata**...** Zacząłem uciekać**...** jestem zmęczony.

Decker delikatnie poklepał go po ramieniu.

– Porozmawiamy, kiedy poczuje się pan lepiej.

Gil zamknął oczy. Decker poczekał, aż zaśnie. Bóg jeden wie, jakie czekają go sny.

Drzwi windy rozsunęły się i wyszedł z niej doktor Rain.

– Witam, panie poruczniku.

– Dzień dobry, panie doktorze. – Decker postanowił zaczekać. – Właśnie skończyłem krótką rozmowę z Gilem Kaffeyem. Był nieco przytomniejszy niż poprzednim razem.

– Mam nadzieję, że pan go za bardzo nie zmęczył. Potrzebuje dużo energii, żeby wyzdrowieć. – Popatrzył na zegarek. – W przyszłości proszę się postarać, żeby pańskie wizyty były krótsze.

– Siostra Didi do pana dzwoniła?

– Tak, i dobrze zrobiła.

– Będę bardziej uważał – zapewnił go Decker. – Nie wie pan przypadkiem, kto był lekarzem Guya Kaffeya?

– Po tego rodzaju informacje musi się pan zgłosić do rodziny. Nie mam prawa ich udzielać.

– Podobno cierpiał na cyklofrenię.

– Nie mam pojęcia. Guy Kaffey nie był moim pacjentem. – Doktora wezwano przez interkom. – Muszę iść – powiedział. – Proszę mi powiedzieć, panie poruczniku, w jaki sposób tego rodzaju informacje mogą panu pomóc w śledztwie?

– Im więcej wiem o ofierze, tym lepiej. – Decker wcisnął guzik windy. – Umarli nie mówią, ale jeśli dobrze się wsłuchać, można się wiele dowiedzieć.

W teczce znajdowały się charakterystyki wszystkich członkach rodziny Kaffeyów.

– Pomyślałem sobie, że nam pomogą, a przy okazji zadowolimy szychy na górze. Gdybym wydrukował wszystko, co znalazłem, ogołociłbym z drzew całe południe Stanów.

– Nie rób tego. Nie spodobałoby się to ekologom. – Decker spojrzał na pierwszy nagłówek: Guy Allen Kaffey. Wang przygotował notki biograficzne Guya, Gila, Granta, Gilliam i Mace’a.

– To główni udziałowcy Kaffey Industries. – Wang podał mu oddzielną teczkę. – Mace ma syna Seana, który pracuje w jednej z dużych kancelarii prawniczych. Nie wiem, dlaczego nie wchodzi w skład rodzinnej firmy, może chce zachować niezależność. Przyciągnęło to jednak moją uwagę, jak wszystko odbiegające od normy.

– Wszelkie dziwactwa zasługują na dokładne sprawdzenie.

– Decker kiwnął głową. – Dzięki. Zawsze to jakiś początek. Wyślij dwie kopie do Strappa. Co teraz będziesz robił?

– Wracam do swojego kompa. – Wang przeciągnął się. – Nieważne, jak bardzo ergonomiczne będzie stanowisko pracy, i tak będą bolały mnie plecy od ciągłego siedzenia, piekły nadgarstki od pisania i szczypały oczy od wpatrywania się w monitor. Człowiek nie nadaje się do siedzącej pracy.

– Mnie to mówisz? Od sześciu lat, czyli od kiedy jestem porucznikiem, nic, tylko pierdzę w stołek. Ale się nie skarżę.

– Ja też nie. Od dawna nie byłem na pierwszej linii. Czasami mi tego brakuje, ale tak naprawdę wcale nie chciałbym tam wrócić.

– Kiedy mam okazję zaznać prawdziwej policyjnej roboty, czuję się naprawdę dobrze. Ale potem zwykle strzelają do mnie albo ja muszę do kogoś strzelać i od razu mi przechodzi.

– Ostatnim razem było o włos. Co się stało z tym szaleńcem?

– Siedzi w wariatkowie.

– Zabił twojego partnera, prawda?

– Tak. Udało mu się go dorwać. Gość był prawdziwym świrem, więc miałem szczęście.

Decker usiadł z kawą w ręce przy biurku i zaczął czytać dokumenty przygotowane przez Lee Wanga. Od czasu do czasu notował coś na marginesach swoim nieczytelnym charakterem pisma.

Data urodzin Guya Allena Kaffeya wskazywała, że w chwili śmierci miał sześćdziesiątkę. Urodził się w St. Louis

w Missouri. Jego rodzice, emigranci, od dawna nie żyli. Guy kiepsko się uczył i w wieku szesnastu lat rzucił szkołę, nie mając żadnych umiejętności, które stanowiłyby wartość na rynku pracy. Jak jednak powiedział w wywiadzie dla „Business Acumen Monthly”: „Miałem lepszą gadkę niż ktokolwiek inny na tej planecie. A to oznaczało, że albo zostanę prezenterem radiowym, albo sprzedawcą”.

Wybrał rynek nieruchomości. Zaczął sprzedawać domy krótko po porzuceniu nauki i w ciągu roku zgromadził wystarczająco dużo pieniędzy, by założyć własną firmę. Jak powiedział w wywiadzie: „Moim pierwszym pracownikiem był mój szesnastoletni brat Mace. Podobnie jak ja rzucił szkołę, ale przynajmniej od razu dostał robotę. Nasi rodzice zastanawiali się, gdzie popełnili błąd. Tymczasem to wcale nie był błąd”.

Pięć lat później przeniósł się ze Środkowego Zachodu do Kalifornii i z budynków mieszkalnych przerzucił się na nieruchomości komercyjne. W wieku dwudziestu dwóch lat zarobił pierwszy milion. Trzy lata później był już multimilionerem. Magazyn „Forbes” umieścił go na liście miliarderów, kiedy miał ledwie trzydziestkę.

W wieku trzydziestu jeden lat poznał swoją przyszłą żonę Jill Sultie. Grał w kości w Vegas i poprosił piękną kobietę, która siedziała obok, by chuchnęła na szczęście. Odszedł od stołu ze stoma tysiącami dolarów i zapytał piękną nieznajomą, czy ma ochotę uczcić z nim wygraną. Cztery miesiące później byli już małżeństwem.

W wywiadzie dla portalu „Corporations USA” Guy

powiedział: „To było przeznaczenie. Dopiero co się rozwiodła. Udało mi się wstrzelić w idealnym momencie”.

Na prośbę Gila Jill zmieniła imię na Gilliam, dzięki czemu mieli takie same inicjały i Gil mógł ich przedstawiać jako „państwo G.”.

Urodziły im się dzieci. Gil przyszedł na świat siedem miesięcy po ślubie, a Grant dwa lata później. Rodzina uchodziła za zżytą, chociaż Gil i Grant nazywali ojca tyranem.

Droga do miliardów nie zawsze była równa. Zdarzały się na niej wyboje i dziury, a czasami nawet rowy i okopy. Piętnaście lat temu Guy Kaffey omal nie zbankrutował podczas kryzysu na rynku nieruchomości, złego zarządzania i oskarżeń o defraudację ciążących na prezesie firmy, którym był Mace Kaffey.

Decker wyprostował się. Podkreślając to zdanie, od razu pomyślał o Milfredzie Connorsie, księgowym, którego malwersacje wykrył Neptune Brady. Czy istniał jakiś związek między Connorsem a Mace’em Kaffeyem?

Wyglądało na to, że bracia od wielu lat toczyli spór sądowy, jednak ani Mace, ani Grant nie uznali za stosowne go o tym poinformować. Może sprawa ostatecznie została wyjaśniona. W każdym razie Mace pozostał w firmie, ale nie zasiadał już w radzie dyrektorów. Nadano mu nowy tytuł: wiceprezesa do spraw Wschodniego Wybrzeża, a więc obszaru, którym zajmował się młodszy syn Guya Grant. Reszta materiałów na temat Guya dotyczyła Greenridge Project. Niektórzy analitycy sugerowali, że to ostatnia szansa Mace’a, żeby

utrzymać się w firmie.

Jeśli tak rzeczywiście było, Mace stąpał po grząskim gruncie. Od samego początku z tą inwestycją wiązały się same kłopoty. Jej lokalizacja sprawiła, że konieczne było zdobycie wielu pozwoleń, a protesty ekologów przyniosły ogromną liczbę zmian w projekcie. W końcu go zaakceptowano, ale opóźnienia oraz kryzys na rynku rozdęły planowany budżet do niebotycznych rozmiarów. W „Journal of News and Buisness" napisano o Greenridge Project:

Chyba już najwyższy czas, żeby Guy Kaffey zrobił to, co powinien był zrobić już lata temu: powściągnąć zapędy swojego brata Mace'a. Braterska lojalność to cecha godna podziwu, jednak w biznesie, nawet jeśli jest to biznes rodzinny, nie powinno być miejsca na sentymenty.

Jeśli Mace'owi nie uda się z Greenridge Project, co się stanie z Grantem? Czy nie zaangażował się w tę inwestycję w takim samym stopniu jak jego stryj? Dlaczego tylko Mace ma być kozłem ofiarnym? – zastanawiał się Decker.

Ostatni akapit zawierał fragmenty artykułu „Guy Kaffey prywatnie", zamieszczonego na portalu propertiesinc.com, który opowiadał bardziej o Guyu człowieku niż o Guyu biznesmenie. Przyjaciele mówili o jego żywiołowości, natomiast wrogowie twierdzili, że jest w gorącej wodzie kąpany. Był dobrze znany ze swoich wybuchów złości i częstych zmian nastroju. Opisywano go jako człowieka aroganckiego i pełnego brawury, lecz również skrupulatnego i drobiazgowego.

Decker zastanawiał się, ile z tych wybuchów złości

wynikało z jego choroby. Czy to, że pozwał swojego brata, też było skutkiem cyklofrenii? Wyglądało na to, że zarzuty były bezpodstawne, skoro Guy ostatecznie go jednak nie wyrzucił.

Decker przeszedł do charakterystyki Mace'a. Nie znalazł tam żadnych rewelacji. Mace rzucił szkołę. Pracował u brata. Przeprowadził się z żoną Carol do słonecznej Kalifornii, by wspomóc Gila w Kaffey Industries. Miał syna o imieniu Sean. Wszystko wydawało się w jak najlepszym porządku, aż do chwili, gdy wniesiono przeciwko niemu oskarżenie.

Tym razem Lee Wang nie skąpił szczegółów. Mace Kaffey został oskarżony o przywłaszczenie pięciu milionów dolarów. Decker aż gwizdnął. Nie wiadomo, w jaki sposób doszło do malwersacji. W każdym razie Guy zauważył rozbieżności podczas rutynowej kontroli ksiąg i wszczął śledztwo, które ostatecznie doprowadziło go do brata. Mace zaprzeczał wszelkim oskarżeniom i nawet zaproponował, że wynajmie prywatnego detektywa, który znajdzie prawdziwego złodzieja. Tyle że Guy miał własne źródła informacji.

Spór braci trwał kilka lat, a w tym czasie akcje firmy znacząco spadły. Wzajemne oskarżenia nie ustawały, aż w końcu Guy wygrał. Miesiąc później zawarto ugodę. Guy zachował stołek dyrektora generalnego, Gil Kaffey objął stanowisko prezesa firmy, Grant zaczął szefować operacjom na Wschodnim Wybrzeżu, a Mace został zesłany do północnej części stanu Nowy Jork, zachowując tytuł wiceprezesa.

Decker był w kropce. Jeśli Mace naprawdę odpowiadał za

tak poważne malwersacje, dlaczego Guy zatrzymał go w firmie? Czy Milfred Connors wrobił Mace'a w swoje przekręty? Czy raczej go krył? A może działali razem? I co się stało z tymi pieniędzmi? Czy chociaż częściowo zostały zwrócone?

Skończył notować na marginesie i przeszedł do następnego pokolenia. Gil miał trzydzieści dwa lata, Grant trzydzieści, a Sean dwadzieścia osiem. Z tej trójki jedynie Grant był żonaty. Jego żona miała na imię Brynn i niedawno urodziła syna. Gil był gejem, a Sean wciąż kawalerem. Wszyscy skończyli Wharton Business School przy Uniwersytecie Pensylwanii. Gil i Grant natychmiast po studiach zaczęli pracować w Kaffey Industries, natomiast Sean poszedł na swoje. Niedawno skończył prawo na Harvardzie.

Zdecydowanie najmądrzejszy z nich wszystkich, pomyślał Decker.

W końcu przeszedł do biografii Gilliam Kaffey, z domu Jill Sultie. Wychowała się w biednej rodzinie mieszkającej w przyczepie samochodowej, jednak z chudego podlotka zmieniła się w piękną kobietę i w wieku osiemnastu lat została tancerką w Las Vegas. Rok później wyszła bogato za mąż za Renaulta Andersona i kupiła swojej matce Erlene pierwszy dom z fundamentami, a nie na kołach.

Przez chwilę wydawało się, że Jill złapała pana Boga za nogi i już zawsze będzie opływać w dostatki, jednak małżeństwo się rozpadło, zresztą głównie z powodu chronicznej niewierności Renaulta. Rozwiedli się na przyjacielskich zasadach. Jill poznała Guya w nie

najciekawszym momencie swojego życia, lecz oto dokonała się wielka zmiana. Od razu przypadli sobie do gustu, no i, jak to mówią w filmach, reszta jest historią.

Decker potarł powieki, popatrzył na zegar na ścianie i uświadomił sobie, że czytał przez ponad godzinę. Wstał i przeciągnął się, a potem spojrzał przez przeszkloną ścianę gabinetu na Wanga piszącego coś na komputerze. Otworzył drzwi.

– Lee? – Gdy Wang uniósł głowę, dokończył: – Masz chwilę?

– Jasne.

Decker poprosił go do siebie, a gdy już razem byli w gabinecie, powiedział:

– Właśnie skończyłem czytać. Historia tej rodziny to gotowy scenariusz opery mydlanej.

– Wyobrażasz sobie, że ktoś naprawdę może się nazywać Renault Anderson?

– To nazwisko zapada w pamięć, bez dwóch zdań. Mam kilka pytań na temat Mace’a Kaffeya. Oskarżano go o malwersacje, a potem nagle doszło do ugody.

– Dziwne, prawda?

– Zdecydowanie. Coś musi się za tym kryć. Zastanawiam się, czy to oskarżenie miało coś wspólnego z zarzutami ciążącymi na Milfredzie Connorsie.

– Też o tym myślałem. Niewykluczone, że dlatego właśnie doszło do ugody. Może Connors wrobił Mace’a, a kiedy to wyszło na jaw, Guy wycofał pozew.

– Tylko dlaczego Mace został odstawiony na boczny tor, skoro okazał się niewinny? A jeśli nie był niewinny, dlaczego

Guy dalej go trzymał w firmie?

– Może takie były warunki ugody.

– Ale z rozmowy z Mace’em i Grantem wynikało, że Mace jest zaangażowany w Greenridge Project, wielomilionowe przedsięwzięcie. Czy Guy dopuściłby do udziału w nim Mace’a, gdyby myślał, że dokonał malwersacji?

– Może to Grant ukradł te pieniądze, Mace wziął winę na siebie, a Guy wysłał Mace’a na Wschodnie Wybrzeże, żeby miał oko na Granta.

Decker zmarszczył brwi.

– Trochę to naciągane, ale niczego nie wykluczam. Greenridge Project, choć wymaga wielkich nakładów, wydaje się równie wielkim nieporozumieniem. Opisałeś Guya jako pragmatycznego biznesmena. Jeśli uważałby, że to pieniądze wyrzucone w błoto, na pewno by ich powstrzymał.

– Na pewno Mace’a, ale czy Granta? Może miał słabość do syna. Znalazłem wywiad na temat Kaffey Industries, którego rok temu udzielił syn Mace’a, Sean. Jedno ze zdań szczególnie utkwiło mi w pamięci. Sean stwierdził: „Powiedzieć o moim stryju, że ma słabość do synów, to grube niedopowiedzenie. On ich ślepo kocha”.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Stanęli przed nią w szeregu policjanci wymieszani z ochotnikami po przeszkoleniu. Wszyscy na szyjach zawieszone mieli gwizdki, a w rękach trzymali mapy. Czekali, aż Wynona Pratt da sygnał. Jedno przeciągłe gwizdnięcie – zaczynają przeszukanie, dwa krótkie – wstrzymują. Pratt przyjechała na ranczo wcześniej, żeby mu się należycie przyjrzeć. Rozległe tereny rozciągające się za budynkami porośnięte były kępkami trawy, kolczastymi dzikimi różami, krzewami o srebrzystych liściach, szałwią, stokrotkami i chaparralem. Dochodziły aż do pogórza, gdzie łączyły siły z aromatycznymi sosnami, eukaliptusami i skarłowaciałymi dębami kalifornijskimi, które zazieleniały zbocza i ocieniały szlaki.

Wynona poprawiła kapelusz przeciwsłoneczny i spojrzała przez okulary z filtrem UV na mapę. Podzieliła teren na pięć sektorów. Przy odrobinie szczęścia uda im się dzisiaj skończyć. Starała się ubrać jak najwygodniej. Miała na sobie spodnie bojówki pozwalające schować wiele rzeczy, T-shirt i tenisówki. Posmarowała się kremem z filtrem przeciwsłonecznym i miała nadzieję, że niekorzystne działanie słońca zostanie ograniczone do piegów. Uniosła rękę i machnęła nią, jednocześnie dmuchając w gwizdek. Na ten sygnał mężczyźni ruszyli tyralierą z oczami utkwionymi w ziemi. Lista rzeczy, których szukali, była długa: odciski

butów, ślady opon, strzępy odzieży, urwane guziki, plamy krwi, resztki jedzenia. Jednym słowem, szukali każdego dowodu, który wskazywałby na obecność człowieka.

Ranek był chłodny, lecz szybko się ocieplało. Na niebie ani jednej chmurki, promienie słońca odbijały się od czerwonych skał. Wokół unosiły się chmary owadów lęgnących się w upale, tych wszystkich komarów, much, pszczół, os. Wrony krakały leniwie, a jastrząb krążył wysoko po niebie, wypatrując czegoś na śniadanie.

Przeszukanie pierwszego sektora trwało trochę ponad dwie godziny, lecz efekty były nader mizerne. Znaleziono kilka pojedynczych włókien i drobnych przedmiotów z metalu, w tym kapsle od butelek. O wiele liczniej reprezentowane były ślady końskich kopyt i wysuszone łajno. Jeden z ochotników znalazł też odcisk buta, który okazał się na tyle wyraźny, że można było zrobić jego odlew. I to wszystko. Przenieśli się więc do sektora drugiego, a gdy skończyli go przeszukiwać, wszyscy byli już zgrzani, zmęczeni i wygłodniali.

Podczas dwudziestominutowej przerwy na lunch Wynona zadzwoniła do Marge.

– Jak wam idzie w budynku? – zapytała.

– Nadmiar informacji – odparła Marge. – W którąkolwiek stronę się odwrócimy, znajdujemy krew, kawałki tkanki, odciski butów, włosy albo łuski.

– Jeśli wy cierpicie na nadmiar informacji, to my odwrotnie, na ich zupełny brak.

– Gdzie jesteście?

– Zaczynamy sektor trzeci. Zadzwonię do ciebie za parę godzin.

Grupa podjęła poszukiwania o drugiej po południu. O czwartej czternaście rozległy się dwa krótkie gwizdnięcia i wszyscy stanęli w miejscu. Tym, który zagwizdał, był Kyle Groger, dwudziestokilkuletni policjant.

Przywołał Wynonę, a gdy podeszła do niego, powiedział:

– Niech pani popatrzy tutaj. Wygląda jakoś dziwnie.

Wynona zdjęła okulary i dokładnie zlustrowała wzrokiem wskazane miejsce. Po chwili zrozumiała, co przyciągnęło uwagę Grogera. Z daleka ten fragment niczym się nie różnił od najbliższego otoczenia. Taki sam kolor ziemi, takie same liście, takie same kamienie. Z bliska jednak wyglądał zupełnie inaczej.

Ten kwadrat ziemi o wymiarach dwa i pół metra na dwa i pół metra był położony jakieś dwa centymetry poniżej otaczającego go terenu. Poza tym pośrodku leżały dwa duże głazy. Okolica obfitowała w kamienie, ale to, że leżały obok siebie, wydawało się trochę dziwne. Także roślinność w tym miejscu wyglądała inaczej. Zamiast normalnej zieleni była tu zwiędnięta szałwia, pożółkłe źdźbła trawy i stokrotki o przywiędłych płatkach. Gdyby ktoś próbował się upierać, że rośliny zmarniały od gorąca, to ewidentnie by kłamał, skoro roślinność dookoła była wyjątkowo bujna.

Podeszła i wyciągnęła jedną z roślin. Wyszła z łatwością, a korzenie miała wyschnięte. Wynona Pratt uklękła i zagłębiła palec w ziemi. Była zbita i stawiała opór, do tego Pratt zauważyła, że jest pokryta siateczką linii biegnących

we wszystkich kierunkach. Przypatrzyła im się z bliska. Zupełnie jakby ktoś ubijał tu grunt łopatą.

Czyżby to był grób?

Wstała i zaczęła szukać śladów butów lub opon, lecz nic nie znalazła. Zadzwoniła do Marge i zapytała, jak jej idzie w budynku.

– Ciągle jak po grudzie. A co u ciebie?

– Chyba mam tu coś, co powinnaś zobaczyć.

Czekając na łopaty i wiadra, Marge przydzieliła jednemu z techników kryminalistycznych rolę policyjnego fotografa.

– Zrób zdjęcia tym wszystkim śladom w ziemi – powiedziała.

Dzień okazał się aż nazbyt owocny. W głównym budynku znaleźli parę różnych odcisków butów, kilka zakrwawionych odcisków palców i dłoni, łuski, strzępki materiału, włosy, niezliczone krople krwi i kawałki tkanki. Ich identyfikacją zajmą się później. Marge cieszyła się, że może się wyrwać z tej kostnicy. Pratt zadzwoniła w samą porę.

Oliver natomiast wolałby dalej pracować w budynku, ponieważ był klimatyzowany.

– To lato nas wykończy – powiedział z westchnieniem.

– Możesz tam wrócić. Poradzę sobie sama.

– Nie, zostanę tutaj. – Otarł pot z czoła. – Możemy pracować w domu całą noc, tak długo, jak nie odetną nam prądu.

Oboje wpatrzyli się w podejrzane miejsce.

– Ziemia jest poruszona – zauważyła Marge. – Oczywista sprawa.

– Duży grób jak na jednego człowieka.

– Więc może leży ich tam dwóch? Moim zdaniem trochę przesadzili z wymiarami. Odkopanie tego zajmie trochę czasu.

– Chyba że to płytki grób – dodał Oliver.

– Zaginęło dwóch ochroniarzy. Jeśli leżą tutaj, ten grób nie może być zbyt płytki. A poza tym ktoś jeszcze zadał sobie trud, żeby z powrotem wsadzić w ziemię rośliny. To było zaplanowane działanie, Scotty.

– Ale nie planowali za bardzo naprzód. W innym wypadku ktoś mógłby zauważyć tę dziurę pośrodku posiadłości.

– Jesteśmy naprawdę daleko od głównego budynku.

– Bo ja wiem? – wybąkał Oliver. – Może i tak.

– Niedługo się przekonamy. – Marge osłoniła dłonią oczy i spojrzała w dal.

Ludzie Wynony rozproszyli się, ale wciąż byli w zasięgu dźwięku gwizdka. Większość z nich siedziała w nielicznych ocienionych miejscach, pijąc letnią wodę i wachlując się rękami lub kapeluszami. Spojrzała na zegarek. Dochodziła piąta. Słońce zachodziło około wpół do ósmej.

– Myślisz, że uporamy się z tym w dwie i pół godziny? – zapytał Oliver.

– To zależy od tego, co tam jest. Jeśli coś znajdziemy, trzeba będzie to potraktować jako miejsce zbrodni. – Marge wyjęła komórkę. – Na wszelki wypadek zamówię reflektory.

Podeszła do nich Wynona i zdjęła kapelusz. Krótkie jasne włosy były mokre i potargane. Wyjęła tubkę kremu i zaczęła wcierać go sobie w policzki.

– Ilu ludzi waszym zdaniem będziecie potrzebować do kopania? – spytała.

– Chyba wystarczy nam ośmiu. A czemu pytasz?

– Ciągle zostało mi jeszcze półtora sektora do przeszukania. Pewnie ostatniego i tak nie skończymy, ale jeśli weźmiemy się zaraz do roboty, przed zachodem słońca uporamy się przynajmniej z czwartym.

– Jeśli zabiorę ci sześciu ludzi, ilu ci zostanie?

– Łącznie ze mną dwunastu. Poradzę sobie, ale chciałabym, żebyś zostawiła mi kilku policjantów.

– A ilu ich masz?

– Ośmiu.

– Podzielimy się po równo – zdecydowała Marge. – Czterech dla mnie i czterech dla ciebie.

– Niech będzie.

Wynona schowała krem do kieszeni spodni i zaczęła personalne przetasowania, a po podziale grupy powiedziała:

– Marge, biorę się do roboty. Zadzwoń, jeśli coś znajdziecie.

Dmuchnęła w gwizdek i jej ludzie podnieśli się, otrzepując się z ziemi.

Ledwie dostarczono łopaty i wiadra, zadzwoniła komórka Marge. Decker zapytał, co się dzieje, a kiedy nakreśliła mu sytuację, powiedział, że zaraz przyjedzie.

– Zanim wbijecie łopaty, zrób jak najwięcej zdjęć – dodał.

– Już zrobiliśmy – uspokoiła go Marge. – Mamy się wstrzymać z kopaniem do twojego przyjazdu?

– Nie, zacznijcie, póki jeszcze jest widno. Muszę coś

dokończyć w komisariacie. To zajmie mi jeszcze chwilę.

Odniosła wrażenie, że jest zdenerwowany.

– Czyżby Strapp dał ci wycisk?

– Chciałbym.

– O rany, Pete. Aż tak źle? Co się dzieje?

– Później ci powiem. To skomplikowane.

Marge popatrzyła na zegarek.

– Zbliża się szabat. Może jednak nie opuszczaj piątkowej kolacji. Jeśli będziemy cię potrzebować, zadzwonię.

– Dzięki za propozycję, ale ta sprawa jest zbyt poważna, żebym brał wolne. Bóg mógł sobie pozwolić na to, żeby odpocząć po sześciu dniach. My, zwykli śmiertelnicy, nie jesteśmy obdarzeni jego talentem.

Marge nie mogła zadzwonić w gorszym momencie.

Chociaż Decker często się spóźniał na piątkową kolację, Rina za każdym razem upierała się, że na niego poczeka. Tego wieczoru jednak zaprosiła kilka znajomych par, więc Decker jej przykazał, by zaczęli bez niego, wiedząc doskonale, że odkopywanie potencjalnego grobu na Ranczu Kojota potrwa do późnej nocy.

Nie było to jednak jego jedyne zmartwienie.

Matka zawsze mu powtarzała, że niegrzecznie jest się na kogoś gapić, ale w tym przypadku nie robiło to różnicy. Dlatego też Decker przyglądał się bez skrępowania mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie jego biurka, zafascynowany jego nienagannym wyglądem.

Brett Harriman sprawiał naprawdę dobre wrażenie. Miał na sobie lnianą marynarkę, niebieską koszulę

z kołnierzykiem na guziki i designerskie dżinsy. Sandały ujawniały, że zrobił sobie pedikiur, a paznokcie u rąk pyszniły się perfekcyjnym manikiurem. Włosy miał ciemne, a twarz pociągłą. Okulary przeciwsłoneczne skrywały nie tylko oczy, ale również brwi. Jedyną oznaką niepełnosprawności było to, że pochylał nieznacznie głowę, co pomagało mu lepiej słyszeć.

Decker zastukał długopisem o biurko.

– Przede wszystkim, panie Harriman, chciałbym podziękować, że przyszedł pan tutaj i zechciał podzielić się ze mną informacjami.

– Proszę mi mówić po imieniu. Podziękowania nie są konieczne, po prostu spełniam swój obywatelski obowiązek. Gdyby nie wymiar sprawiedliwości, nie miałbym pracy. – Zawahał się na chwilę. – Choć to nieprawda. Człowiek ze znajomością tylu języków co ja zawsze będzie miał pracę.

– Iloma językami pan włada?

– Mnóstwem. Głównie romańskimi i germańskimi.

– W jaki sposób pan się ich uczy?

Harriman wzruszył ramionami.

– Niektóre studiowałem, niektórych uczę się z nagrań. Fińskiego i węgierskiego nauczyłem się na prywatnych lekcjach. Poza tym dużo podróżuję. Jedyny naprawdę efektywny sposób nauki języka to słuchanie i mówienie. – Znów przerwał na chwilę. – Zadaje mi pan te pytania, żeby zweryfikować moje zeznania, bo potrzebne panu to do raportu, czy dlatego, że interesuję pana jako osoba?

– Ze wszystkich tych powodów – odparł Decker.

– Nie jestem świrem. Współpracuję z sądem od prawie pięciu lat.

– Jak to się stało, że zaczął pan tam pracować?

– Kolejne osobiste pytanie? – Harriman obnażył w uśmiechu olśniewająco białe zęby, przechylając głowę w prawo. – Wydawało mi się, że usiłuje pan złapać mordercę?

– Właściwie morderców. Więc w jaki sposób zaczął pan współpracować z sądem?

– Znajomy powiedział mi, że sąd poszukuje tłumaczy przysięgłych, głównie języka hiszpańskiego, ale również innych. Złożyłem podanie i zostałem przyjęty.

– Nie przeszkadzało im, że pan jest niewidomy?

Harriman ponownie się uśmiechnął.

– Noszę ciemne okulary, więc minęło trochę czasu, zanim się zorientowali. Ale nic złego się nie dzieje, bo teraz dzięki mnie mogą się chwalić, że zatrudniają niepełnosprawnych. No i jestem cholernie dobrym tłumaczem!

– Gdzie pan przedtem pracował?

– W sześciu różnych szpitalach, ale ta praca była trochę monotonna. Ile razy można tłumaczyć zwrot: „W razie problemów z wypróżnieniem proszę wziąć dwie tabletki”? – Znów przerwał. – Ale to wiązało się nie tylko z tym. Także z ciągłym przekazywaniem złych wiadomości.

– To okropne.

– Strasznie przygnębiające. Na szczęście nie widziałem oczu pacjentów, którym przekazywałem złe wieści. Po krótkim czasie wiedziałem już, kiedy lekarze nie mówią całej prawdy, dając pacjentom lub ich rodzinom cień nadziei.

Poznawałem to po tonie ich głosu.

– W Holandii pracuje niewidomy policjant – powiedział Decker. – Wykorzystują go do analizowania głosów i identyfikowania akcentów, na przykład terrorystów. Potrafi rozpoznać, czy ktoś mówi po holendersku z akcentem czy bez.

– Nie ma czegoś takiego jak język bez akcentu. – Harrison przechylił głowę na drugą stronę. – Jeśli dobrze się wsłuchasz, zawsze coś usłyszysz.

– Czy pan kiedyś widział?

– Ciągle widzę, tyle że nie oczami. Ale nie zawsze tak było. Straciłem wzrok w wieku pięciu lat. Zachorowałem na raka, a konkretnie na mięsaka prążkowanokomórkowego. – Zastukał stopą w podłogę. – Naprawdę zainteresował się pan tym, co powiedziałem, czy uważa pan to za bezwartościowe?

– Myli pan lekceważenie ze zdrową dawką sceptycyzmu. Jestem bardzo zainteresowany tym, co pan powiedział, panie Harriman. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym wysłuchać tego jeszcze raz.

Brett westchnął z rozdrażnieniem.

– Mówiłem już panu, żeby mi pan mówił po imieniu. Poza tym powiedziałem wszystko, co wiem. Nic się od tamtej pory nie zmieniło.

– Ale może zmieniła się moja percepcja. Bardzo proszę.

Harriman odczekał kilka chwil, po czym zaczął:

– Stałem w holu sądu, jedząc batonika. Dwóch Latynosów rozmawiało o morderstwach na Ranczu Kojota. Jeden pochodził z Meksyku, drugi z Salwadoru. Nazywali ofiarę

Panem Kawą, bo Kaffey to po hiszpańsku kawa. Potem zaczęli mówić o mężczyźnie, który nazywa się José Pinon. Zniknął i szef szuka go w Meksyku. Czy pan znowu to zapisuje? Słyszę skrzypienie długopisu.

– Po prostu porównuję to, co zapisałem, z tym, co pan mówi w tej chwili. Wspominał pan, że to Meksykanin głównie mówił.

– To prawda. Powiedział, że szef szuka Pinona i jest wściekły, bo José spieprzył sprawę. A spieprzył ją, bo nie zabił syna. – Ponownie przerwał. – Czy to panu coś mówi?

Cholernie dużo, pomyślał Decker. José Pinon to po hiszpańsku Joe Pine.

– Być może – odparł. – Proszę kontynuować.

– A więc José nie zabił syna – powiedział Harriman. – Salwadorczyk zapytał, czemu ktoś inny go nie wykończył. A Meksykanin odparł, że José to debil. Potem powiedział, że Martin jest wściekły. Obaj się zgodzili, że Martin jest złym człowiekiem, ale nie tak złym jak szef**...** kimkolwiek on jest. Potem stwierdzili, że José już jest martwy. W tym momencie trochę się wystraszyłem. Ta rozmowa sprawiała wrażenie autentycznej. Kiedy wróciłem wieczorem do domu, sprawdziłem te morderstwa w internecie. Mój komputer wyposażony jest w program mówiący.

– Domyśliłem się.

– Syn**...** Gil Kaffey**...** został postrzelony, ale przeżył. Może się mylę, ale wydaje mi się, że oni rozmawiali o Gilu Kaffeyu i o tym, że José nie upewnił się, że Gil nie żyje. – Harriman przekrzywił głowę znów w inną stronę. – Ja tylko panu

przekazuję informacje. Może się to do czegoś przyda.

– Bardzo dziękuję, że pan przyszedł. Wspominał pan, że José, o którym mówili, to José Pinon. A Martin?

– Mówili o nim tylko Martin.

– A może Rondo Martin?

– Z tego, co słyszałem, tylko Martin.

– No dobrze – powiedział Decker. – Czy sądzi pan, że gdyby znowu usłyszał tych mężczyzn, odróżniłby pan ich od innych Salwadorczyków i Meksykanów?

– Gdyby zorganizowali państwo wokalne okazanie?

– Coś w tym rodzaju.

– A robiliście to już kiedyś?

– Nie. To byłby pierwszy raz. Myśli pan, że rozpozna ich głosy?

– Oczywiście – z wyraźna urazą odparł Harriman. – Dlaczego pan pyta? Macie jakiegoś podejrzanego?

– Na razie jesteśmy zainteresowani mnóstwem osób.

– Więc nie było jeszcze żadnych aresztowań.

– Gdyby były, pana gadający komputer powiedziałby panu o tym. Czy ma pan jeszcze coś do dodania?

Harriman wahał się przez chwilę, po czym powiedział:

– Salwadorczyk sprawiał wrażenie nałogowego palacza. To zawęża krąg podejrzanych do jakiegoś gazyliona.

– Jestem niewymownie wdzięczny za pańskie informacje.

– Przydadzą się?

Jak cholera, pomyślał Decker.

– Niewykluczone. – Błyskawicznie przejrzał zeznania Harrimana. – W jaki sposób najlepiej z panem się

skontaktować, gdybym chciał porozmawiać raz jeszcze?

Brett wyjął portfel i wyłuskał z przegródki wizytówkę.

– Tu ma pan numery mojego telefonu stacjonarnego i komórki. A jak mogę się skontaktować z panem, gdybym przypomniał sobie coś jeszcze?

Decker podał mu swój numer, a Harriman powtórzył go do palmtopa.

– Raz jeszcze dziękuję, że zechciał pan spełnić swój obywatelski obowiązek – powiedział na zakończenie Decker. – Ułatwił nam pan życie. Odprowadzę pana.

– Nie trzeba. – Harriman włączył urządzenie naprowadzające. – Wszedłem tu samodzielnie, to i samodzielnie stąd wyjdę.

W drodze na Ranczo Kojota Decker zastanawiał się, co począć z tymi informacjami. Bez rysopisu odnalezienie tych osób było praktycznie niemożliwe, choć nie oznaczało to, że sytuacja jest całkowicie beznadziejna. Zadzwonił do Billy'ego Brubecka.

– Cześć pracy.

– Co się dzieje?

– Właśnie jadę na Ranczo Kojota. – Decker opowiedział mu o tajemniczym znalezisku. – Co dzisiaj robiłeś?

– Przesłuchałem pięciu ochroniarzy. Mam nadzieję, że jutro uda mi się porozmawiać z następną piątką. Z tych dzisiejszych czterech było skorych do współpracy, a jeden nie. Czterech było zszokowanych tymi morderstwami, a jeden wkurzony, że straci pracę. Od wszystkich pobrałem DNA.

– Dobra robota. Czy ty albo Drew dotarliście już do Joego Pine’a?

– Mam go na swojej liście, ale jeszcze do niego nie doszedłem.

– Przesuń go na samą górę. A co z tym księgowym, Milfredem Connorsem? Skontaktowałeś się z nim?

– Jakoś się rozmijamy.

– Natychmiast się z nim skontaktuj. Chcę z nim porozmawiać.

– A co z nim?

Decker opowiedział mu o zarzutach, które obciążają Mace’a Kaffeya.

– Zastanawiam się, czy może Connors go krył.

– Ciekawa hipoteza. Zadzwonię do niego jeszcze raz.

– Dobrze. Jeszcze jedno. Czy twoi informatorzy z Ponceville coś ustalili, jeśli chodzi o Rondo Martina?

– Jeszcze nie.

– Drąż dalej ten temat. – Streścił mu rozmowę z Brettem Harrimanem. – Pewnie uda mi się wysłać cię do Ponceville, ale najpierw musisz ustalić szczegóły telefonicznie.

– Będziemy rozpracowywać informacje niewidomego? – zapytał Brubeck.

– Może i nie widzi, ale za to słyszy jak cholera. Lista ochroniarzy pracujących dla Kaffeyów utrzymywana jest w tajemnicy, a ten gość wymienił dwóch z nich. Od razu się tym zainteresowałem. Zresztą nawet gdyby ta lista była powszechnie znana, to José Pinon na niej nie figurował, tylko Joe Pine. A on mówił o José Pinonie. Marge i Oliver są zajęci

na ranczu. Zajmij się Martinem, a Joego Pine’a przekaż Andrew Messingowi. Przede wszystkim potrzebujemy odcisków palców.

– Zadzwonię do szeryfa z Ponceville. Nazywa się Tim England, ale wszyscy nazywają go T.

– Nie obchodzi mnie, jak go nazywają, po prostu zadzwoń do niego i poproś o odciski palców Martina. Niech Drew skontaktuje się z Neptune’em Bradym. Może odnajdą odciski Joego Pine’a. Kiedy już je będziecie mieli, to porównajcie z krajową ewidencją przestępstw.

– Tak jest.

– Oprócz tego musicie przesłuchać wszystkich ochroniarzy. Najpierw jednak zajmijcie się tym, o czym przed chwilą mówiłem. A pierwszy na celowniku jest Rondo Martin, bo miał tej nocy dyżur i zaginął.

– Powodzenia w poszukiwaniach na ranczu. Może dopisze wam szczęście.

– Dzięki.

Decker rozłączył się i pomyślał o tym szczęściu. Oznaczałoby to, że wykopią coś ważnego dla sprawy, na przykład zwłoki. Więc szczęście chyba nie jest tu najlepszym słowem. Miał tylko nadzieję, że całe to kopanie nie okaże się całkowitą stratą czasu.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pod koniec dnia promienie słońca wydłużyły się i zmieniły teren rancza w płachtę błyszczącej miedzi. Mimo okularów przeciwsłonecznych Decker musiał mrużyć oczy. Mężczyźni kopali w spieczonej ziemi, ostrożnie przenosząc kopczyki kamienistego gruntu. Marge wyjaśniła, że po pierwszych dwóch centymetrach gleba poddała się z łatwością i wszyscy się spodziewali, że zaraz coś znajdą. Ona i Oliver przeszukiwali wyrzucaną z coraz głębszego dołu ziemię, upewniając się, że nie przegapiono czegoś ważnego. Dotąd znaleziska ograniczały się do kapsli, puszek po napojach, resztek jedzenia i niedopałków.

– Zatrzymamy je jako dowody – oświadczyła Marge. – Wyślemy niedopałki do badania DNA. Może dzięki temu dowiemy się, kto tutaj był.

– Niedopałki tkwiły pod ziemią, więc nie przywiał ich tutaj wiatr. Ktoś specjalnie wykopał tę dziurę.

– Śmierdzi – dodała Marge. – Głównie końskim łajnem.

Decker przyznał jej rację, choć dla niego ten zapach miał wartość sentymentalną, przypominał mu bowiem czasy, kiedy miał ranczo. Nie chciał cofnąć czasu, jednak wspomnienia były miłe. Poczuł również odór skunksa. Spojrzał do góry i zobaczył nad sobą stado wron. Krakały głośno mocno zaniepokojone, jako że ktoś najechał ich tereny. Po niebie krążyło też kilka ptaków drapieżnych.

Kształt ich skrzydeł wskazywał, że to padlinożercy, w odróżnieniu od jastrzębi, które wolą świeżo upolowaną zdobycz.

Wrony również żywiły się padliną.

To go zastanowiło. Czyżby wiedziały więcej od niego?

Słońce skryło się za górami, nadając im ognistoczerwony poblask. Mrok zaczynał pochłaniać światło. Marge załatwiła sześć reflektorów zasilanych przez akumulatory ciężarówek. Wkrótce, gdy światło dzienne stanie się już tylko wspomnieniem, będą bardzo potrzebne.

Nie mając nic lepszego do roboty niż gapienie się na wrony i sępy, Decker postanowił na coś się przydać. Wsunął na dłonie lateksowe rękawiczki, przykucnął i zaczął przeszukiwać kopczyki ziemi. Chociaż powinien się skupić, monotonia tego zajęcia sprawiła, że myślami zaczął błądzić gdzie indziej.

Był szabat, więc powinien być w domu z Riną, cieszyć się dobrym jedzeniem i w miłym towarzystwie popijać wino. Powinien być w domu z Hannah, która już za rok wyjedzie do college'u. Zostało im naprawdę niewiele wspólnego czasu. Doświadczenie nauczyło go, że gdy tylko dzieci opuszczą rodzinny dom, niemal od razu stają się inne. To znaczy miłość pozostaje ta sama, lecz stosunki łączące dzieci z rodzicami zmieniają się całkowicie. Stają się młodymi dorosłymi, żyją na pełnych obrotach i w zupełnie innym wszechświecie niż dom rodzinny.

Cindy od lat była niezależna finansowo, a odkąd wyszła za mąż, już się tak o nią nie troszczył jak kiedyś. Teraz był to

obowiązek Koby’ego. Podejrzewał, że tak samo stanie się z pozostałymi dziećmi.

Jego starszy pasierb, Sammy, student drugiego roku medycyny, był na najlepszej drodze, by iść w jej ślady. Związał się z koleżanką ze studiów, uroczą Rachel, którą szczęśliwym zbiegiem okoliczności poznał w zatłoczonej restauracji. Jacob, młodszy pasierb, robił licencjat na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i zamierzał iść na studia magisterskie. Od dwóch lat miał stałą dziewczynę, Ilanę.

Hannah Rose jako ostatnia wysiadała z jego pociągu z dziećmi. Za chwilę dojedzie do stacji końcowej. Była ich jedynym wspólnym dzieckiem i jej marsz ku dorosłości nie tylko oznaczał dla niego nieunikniony syndrom opuszczonego gniazda, ale również wiązał się z tym, że kończył się okres cementowania jego małżeństwa. I chociaż nie mógł się doczekać, kiedy już będą z żoną sami, to jednak wiedział, że strasznie będzie tęsknić za córką i przejmować się za każdym razem, kiedy zadzwoni, aby powiedzieć, że jest jej ciężko.

W chwili, gdy na niebie zaczęły pojawiać się pierwsze gwiazdy, wróciła Wynona Pratt wraz z ekipą poszukiwawczą. Zobaczyła Deckera i wyrwała go z zamyślenia, podając mu mapę z zaznaczonym obszarem, który już przeszukali.

– Jutro o dziewiątej zaczynamy ostatni sektor. Wtedy też zajmę się wszystkimi bramami i furtkami do posiadłości. – Kopnęła lekko ziemię. – Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zaczekam i zobaczę, co znajdziecie.

– Wkładaj rękawiczki. Pomożesz mi przeszukiwać ziemię.

Kiedy zapadł zmrok, Marge włączyła reflektory. Kopano

przez następną godzinę. Im dziura była głębsza, tym dotkliwszy stawał się smród.

Wrony już się skryły, ale sępy ciągle krążyły po niebie.

Smród, na początku słaby, rósł w siłę i stawał się ostrzejszy, aż w końcu wszyscy z łatwością rozpoznali, że to odór rozkładu. Dół na śmieci? Na takie odległe tereny śmieciarki nie zapuszczały się co tydzień.

Po kolejnych dwudziestu minutach kopania ktoś uniósł łopatę i oświadczył, że natrafił na coś twardego. Kiedy pozostali zebrali się wokół dziury, drugi z kopiących oznajmił, że też uderzył w jakiś przedmiot. Od tej chwili pracowali z większą ostrożnością i zamienili łopaty na rydle, by nie zniszczyć tego, co znajdowało się pod powierzchnią. Uklękli i zaczęli systematycznie usuwać ziemię.

Na niebie skrzyły się gwiazdy. Świerszcze cykały, żaby rechotały, a w oddali pohukiwała sowa. Sękate drzewa stały się nieruchomymi czarnymi zjawami.

Po niebie krążyły skąpane w sztucznym świetle sępy.

Minęła kolejna godzina, zanim ziemia zaczęła ujawniać swoje sekrety. Decker ujrzał kilka podłużnych czaszek, ogromne żebra i kości udowe.

Wyglądało na to, że natrafili na koński grób.

Zwierzęta spoczywały w ziemi na tyle długo, by nastąpił proces rozkładu, chociaż nie był całkowity. Decker dostrzegł resztki mięsa, sierści i kopyt. Silny smród wskazywał jednak, że musiało zostać tu więcej tkanek miękkich.

Decker pozwalał im kopać dalej, dopóki smród nie zrobił się nie do wytrzymania. A wtedy rozkazał wszystkim

przestać, cofnąć się i zaczerpnąć świeżego powietrza. Następnie wezwał do siebie swoich ludzi.

– Najwyraźniej odkopaliśmy koński grób. Zakopywanie zwierząt wydaje się czymś naturalnym, kiedy się ma takie rozległe tereny. Jest w tym jednak coś dziwnego. Za bardzo śmierdzi jak na tak małą ilość mięsa. Coś wam przychodzi do głowy?

– Leży tu więcej niż jeden koń – zasugerował Oliver. – Zakopali w tym samym czasie trzy konie. Tylko jak? Trzymali je w chłodni, dopóki nie uzbierali tylu, żeby zapełnić dziurę?

– Wiecie, co jest najdziwniejsze? – zapytała Marge. – Jeśli zakopiecie konia, to po odkopaniu koński szkielet powinien wyglądać tak samo jak wtedy, gdy go zakopaliście. To znaczy powinien leżeć w tej samej pozycji. A tutaj wszystkie kości są rozrzucone.

– A jeśli te kości zostały rozrzucone, bo ktoś zakopał coś pod nimi?

– Na przykład ciała naszych zaginionych ochroniarzy? – spuentowała Marge.

– Prawdopodobnie jeden z morderców wiedział o grobie, bo był przy tym, jak chowano tu padłego konia. Czy można sobie wyobrazić lepsze miejsce do porzucenia ludzkich zwłok?

– Zdecydowanie śmierdzi tak, jakby leżał tam świeży trup – stwierdził Oliver.

– Niech wszyscy włożą rękawiczki i maski – rozkazał Decker. – Kto ma aparat?

– Ja – odparła Marge.

– Ja też – dodała Wynona.

– Dobrze. Zanim usuniemy końskie kości, sfotografujcie wszystko. Potem zaczniemy je wynosić, kosteczka po kosteczce. Za każdym razem, kiedy coś usuniemy, róbcie zdjęcie. Jeśli zacznie śmierdzieć jeszcze gorzej, a obawiam się, że tak się stanie, przerwiemy i wezwiemy lekarzy sądowych. Zostawimy to profesjonalistom.

– Ten, kto go tam zakopał, wyświadczył ci przysługę.

Koroner nazywał się Lance Yakamoto. Miał trzydzieści kilka lat, około metra siedemdziesięciu pięciu wzrostu i ważył jakieś sześćdziesiąt pięć kilogramów. Jego twarz była podłużna, a oczy skośne. Miał na sobie niebieski fartuch i czarną kurtkę z żółtym napisem na plecach, który informował, że jej posiadacz jest z biura koronera.

– Gdyby ciało zostało porzucone na otwartym terenie, rozkład nastąpiłby o wiele szybciej. A fruwa tu tylu padlinożerców, że pewnie nie mielibyśmy nic do roboty.

– Kiedy znajdę i aresztuję sprawcę, z pewnością mu podziękuję, że zakopał swoją ofiarę w ziemi.

– Ja tylko stwierdzam fakt – obruszył się Yakamoto.

– Wiem – odparł Decker. – Co jeszcze możesz mi powiedzieć?

– Stężenie pośmiertne już ustąpiło, trochę plam opadowych, mnóstwo owadów. Kiedy wydobędziemy ciało, umieścimy je w worku i damy do zbadania entomologowi. Prawdopodobnie zdoła ustalić, od jak dawna zwłoki leżały w ziemi. Moim zdaniem od kilku dni. To by pasowało do waszych morderstw, prawda?

– Tak. – Decker spojrzał na oświetlony dół. Hrabstwo

przysłało czterech techników wyposażonych w specjalistyczne kombinezony. Stali w wykopie, zastanawiając się, w jaki sposób włożyć zwłoki do worka. Ponieważ od kilku dni gniły, skóra zaczęła już odchodzić. Mimo że twarz była poczerniała, zdeformowana i nadjedzona przez robaki, dało się rozróżnić rysy. Dla Marge i Olivera twarz trupa była podobna do znanej im ze zdjęcia, a przedstawiającego Denny'ego Orlanda.

– Macie pewność, że jest tam tylko jedno ciało? – zapytał Decker.

– Nie – oparł Yakamoto. – Na razie jeszcze nie.

– Śmierdzi tak, jakby były dwa – stwierdził Oliver.

– Jeśli leży tam Rondo Martin – powiedział Decker – straciłbym głównego podejrzanego.

Opowiedział współpracownikom o rozmowie z Brettem Harrimanem, usiłując powtórzyć ją możliwie jak najdokładniej, choć nie mógł skorzystać z notatek.

– Wierzysz temu gościowi? – zapytał Oliver. – Trudno wydobyć sensowny opis z naocznego świadka, a co dopiero z niewidomego.

– To, że jest niewidomy i ich nie widział, nie znaczy jeszcze, że nie słyszał dobrze ich rozmowy – powiedział Decker. – Ma wprawę w posługiwaniu się uszami, Scott. A poza tym skąd by wiedział o Martinie?

– Jest jednym z zaginionych strażników – zauważyła Marge. – Jego nazwisko mogło pojawić się w którejś gazecie.

– Skoro jest niewidomy, nie może czytać gazet – powiedziała Wynona.

– Ma komputer z programem mówiącym – wyjaśnił Decker. – Niech będzie, mógł przeczytać albo usłyszeć o Martinie. Ale skąd wiedział o Joem Pinie? Którego na dodatek nazywał José Pinonem? Skąd go wytrzasnął?

Na to pytanie Oliver nie miał odpowiedzi.

– Sprawdziłeś go? – zapytała Marge.

– Niby kiedy miałem to zrobić? Zjawił się na komisariacie po południu, zaraz po zamknięciu sądu. Zacznę o niego rozpytywać w poniedziałek.

– Więc nawet nie wiesz, czy naprawdę jest niewidomy? – upewnił się Oliver.

Decker uśmiechnął się.

– Pytasz mnie, czy rzuciłem czymś w niego, żeby sprawdzić, czy się uchyli? Nie, Scott, nie zrobiłem tego.

– Więc powtarzam, skąd wiesz, że naprawdę jest niewidomy? Masz pojęcie, ilu świrów musi wysłuchiwać przez telefon Wanda Bontemps, odkąd Grant Kaffey wyznaczył dwadzieścia tysięcy dolarów nagrody?

– Aż tak poskąpił? – zdziwił się Decker.

– Wygląda na to, że nie tylko Guy był sknerą.

– Harriman może być wariatem, ale to tylko ewentualność. A ja, przynajmniej na teraz, mu wierzę. Willy Brubeck sprawdza, co o Martinie wiedzą w Ponceville. Joe Pine znajduje się na jego liście ochroniarzy, ale na razie nie wiadomo, gdzie jest. Drew Messing go szuka. Ale dość już o tym, Rondo Martin i Joe Pine to zagadki dopiero do rozwiązania. Powiedzcie lepiej, co znaleźliście w domu.

– Mnóstwo śladów do sprawdzenia – powiedziała Marge.

– Odciski palców?

– Większość rozmazana, ale technicy zabezpieczyli kilka, które mogą się przydać – odparł Oliver. – Musimy jeszcze przeszukać pozostałe budynki. To zajmie trochę czasu.

– Możemy wrócić na chwilę do Bretta Harrimana? – zapytała Marge. – Czy podał ci imię lub nazwisko szefa? No wiesz, mówił o nim „el patrón”, ale dla nas to za mało.

– I zostanie za mało – odrzekł Decker. – Jeden z mężczyzn powiedział tylko, że Martin jest zły, ale szef jeszcze gorszy.

Krzyki dobiegające z dziury dowodziły, że udało się załadować zwłoki do worka. Teraz problemem było jego uniesienie. Wykop miał jakieś półtora metra głębokości. Łatwo było wyjść z niego samemu, gorzej, jeśli się musiało trzymać trupa.

Decker przykucnął na krawędzi. Z bliska smród był o wiele gorszy.

– Unieście worek nad głowy, a nasi ludzie wezmą go od was i położą na wózku.

Mężczyźni przez chwilę zastanawiali się nad tą propozycją i ostatecznie na nią przystali. Wymagało to ostrożnego manewrowania, ale w końcu im się udało. Sześciu mężczyzn na górze chwyciło worek i położyło go na wózku.

Yakamoto otworzył worek i spytał:

– Co o tym myślicie?

Marge wpatrywała się w odbarwioną, zniekształconą twarz. Robaki kręciły się, to wchodząc w oczy, uszy, nozdrza i usta trupa, to z nich wychodząc. Trochę tkanki odpadło, trochę zostało zjedzone.

– Trudno stwierdzić z całkowitą pewnością, ale przy odrobinie wyobraźni można uznać, że to Denny Orlando – powiedziała, po czym popatrzyła na Olivera.

– Myślę, że to Orlando, ale niewykluczone, że sfiksowałem na jego punkcie.

– Zrobimy badanie DNA. – Yakamoto zasunął worek. – Niedługo się przekonamy.

Słońce wyszło zza horyzontu, kiedy wreszcie wyjęto z grobu ostatnie kawałki materiału biologicznego. Znaleziono tylko jedno ciało, więc Rondo Martin nadal uważany był za zaginionego. Dochodziło wpół do szóstej rano. Jeśli Deckerowi uda się wyjechać w ciągu godziny, dotrze do domu akurat w samą porę, żeby zjeść śniadanie, wziąć prysznic, ubrać się i iść do synagogi. Prawdopodobnie zjawi się tam jako pierwszy.

Chyba że po powrocie do domu padnie.

Chociaż był nieludzko zmęczony, w niektóre dni duchowa strawa zwyciężała nad potrzebą snu. Czuł, że to właśnie taki dzień.

– Pete, skończyliśmy – powiedziała Marge. – Wyjeżdżam.

– W takim razie ja też – odparł Oliver. – Przyjechaliśmy razem, pamiętasz?

– Nie zostawiłabym cię, Scotty.

– Wstąpimy po drodze na śniadanie? Mam pustki w lodówce. Może do IHOP? Mam ochotę na naleśniki i podwyższony cholesterol.

– Może być. – Marge odwróciła się do Wynony. – Chcesz się przyłączyć?

– Przegryzę coś na szybko. O dziewiątej muszę być tutaj z powrotem.

Decker pomachał im na pożegnanie. Kolejne dwadzieścia minut zajęła mu robota papierkowa. Kwadrans po szóstej był już w samochodzie sam na sam ze swoimi myślami. Przekręcił kluczyk w stacyjce, a kiedy silnik się rozgrzewał, sprawdził wiadomości na komórce.

Były trzy.

Pierwsza od Riny, odebrana dwie minuty po dziewiętnastej. Właśnie zapaliła świece i chciała życzyć mu dobrego szabatu. Kocha go i ma nadzieję, że niedługo wróci. Uśmiechnął się, słysząc jej głos.

Kolejna wiadomość została odebrana o dwudziestej dwadzieścia sześć.

– Dobry wieczór, panie poruczniku, tu Brett Harriman. Nie wiem, dlaczego od razu o tym nie wspomniałem**...** Może za bardzo się starałem wszystko dokładnie powtórzyć. W każdym razie oczywiście nie mogłem zobaczyć tych mężczyzn, ale poprosiłem pewną kobietę, żeby mi ich dyskretnie opisała. Zapytała, dlaczego o to proszę, a ja odmówiłem odpowiedzi. Zrobiło mi się głupio, więc powiedziałem, żeby o tym zapomniała. Może ich jednak widziała i będzie potrafiła przedstawić ich rysopisy, gdy pan ja o to poprosi. Problem w tym, że nie wiem, jak się nazywa. Pamiętałem jednak jej głos z przesłuchania na ławników i wiem, że uczestniczy w jednej z moich rozpraw. Nie mam pojęcia, czy może pan zdobyć listę ławników, ale myślę, że warto spróbować. Na pewno mnie zapamiętała, bo nasza

rozmowa była bardzo nietypowa. Jeśli chce pan jeszcze czegoś się dowiedzieć na ten temat, proszę zadzwonić. Dobranoc.

Decker zachował wiadomość. Harriman sprawiał wrażenie osoby pragnącej cudzej uwagi, dlatego dawkował informacje. A może ma chrapkę na nagrodę?

Zanim do niego zadzwonię, pomyślał Decker, muszę sprawdzić jego referencje, aby upewnić się, czy to nie jakiś psychol.

Ostatnia wiadomość pochodziła z godziny dwudziestej drugiej dwadzieścia osiem.

– Tu ponownie Brett Harriman. W sprawie tej kobiety, o której panu mówiłem. Właśnie przypomniałem sobie, że podczas przesłuchania na ławników wspomniała, że jest żoną porucznika policji. Pewnie chciała, żeby ją odrzucili, ale i tak została ławniczką. O ile dobrze pamiętam, nie wspominała o policji Los Angeles, zapewne chodziło o jakieś inne miasto. Ale to nie powinien być problem, bo w końcu ile żon poruczników policji mogło zasiadać na ławie przysięgłych w ostatnim tygodniu? Może nawet ją pan zna. To tyle. Dobranoc.

Rozłączył się.

Czas mijał bardzo wolno.

Widziała ich?

A oni widzieli ją?

Minęło dużo czasu, zanim Decker wrzucił bieg. Zauważył przy tym, że strasznie trzęsą mu się ręce.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Przeklinał Bretta Harrimana przez całą drogę do domu.

– Nie mogłeś poprosić kogoś innego o opisanie tych gości? – w kółko na przemian myślał i mamrotał. – To naprawdę musiała być moja żona?

Zarazem jednak wiedział, że zachowuje się trochę jak hipokryta, ponieważ gdyby to nie była Rina, musiałby teraz wydzwaniać po sądach, usiłując wyciągnąć od kogoś tę cholerną listę ławników.

Czy naprawdę Rinie coś groziło? Myśl logicznie, powtarzał sobie.

Po pierwsze, ci mężczyźni nie przejmowali się swoim bezpieczeństwem, skoro rozmawiali o sprawie Kaffeyów tak otwarcie. Po drugie, może Rina tylko na nich zerknęła. Po trzecie, nawet jeśli zauważyli, że im się przygląda, pewnie od razu o niej zapomnieli.

Niech cię szlag, Harriman.

Skręcił za róg i zobaczył, że żona wyszła przed dom po poranne gazety. Miała na sobie szlafrok oraz kapcie i trzymała w ręce kubek z kawą. Rozpuszczone włosy opadały na plecy. Serce podeszło mu do gardła.

Tylko nic nie mów, nakazał sobie.

Kiedy wjechał na podjazd przed domem, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

Oddychaj głęboko.

Wysiadł z samochodu, próbując też się uśmiechnąć. Bał się, że uśmiech będzie wyglądał na wymuszony, jak po zastrzyku znieczulającym u dentysty.

– Witamy w domu. – Rina podała mu kubek z kawą. – Ze śmietanką. Wolisz czarną?

Decker wypił łyk.

– Nie, jest świetna, dziękuję. – Cmoknął ją w usta. – Jak kolacja?

– Masz pozdrowienia od wszystkich. Zostawiłam ci trochę łopatki jagnięcej.

– Po drodze marzyłem o twarożku z owocami, ale jagnięcina też może być. Masz szabatową blachę?

– Tak. Chcesz, żebym ją podgrzała?

Decker otoczył ją ramieniem i podeszli do drzwi.

– A co tam. Zaryzykujmy.

– Z domowymi frytkami?

– Ze wszystkim, co się da. – Gdy weszli do domu, Decker ruszył za Riną do kuchni. – Kiedy Randy i ja chodziliśmy do szkoły średniej, mama ciągle robiła nam na śniadanie kiełbaski z ziemniakami i jajkiem sadzonym. Dopóki mam sok pomarańczowy, każde śniadanie uznaję za miłą odmianę po tym, co jadałem jako dziecko.

– Zaraz będzie.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, najpierw wezmę prysznic. Śmierdzę trupami.

– Trupami**...** Było ich kilka?

– Tylko jeden.

– W zupełności wystarczy. – Wyjęła z lodówki jagnięcinę

i położyła ją na blasze. – A nawet o jednego za dużo. Zidentyfikowaliście ciało?

– Podejrzewamy, że to Denny Orlando, jeden z zaginionych ochroniarzy.

– O kurczę. To takie smutne. – Zaczęła przeglądać stojące w lodówce pojemniki, szukając frytek. – A co z drugim?

– Rondo Martin wciąż figuruje jako zaginiony. Sprawdziliśmy każdy centymetr kwadratowy ziemi, ale nic nie znaleźliśmy. Umyję się i ubiorę. Potem zjemy razem śniadanie i pójdziemy do synagogi.

Rina odwróciła się i popatrzyła na niego ze zdziwieniem.

– Chcesz iść do synagogi?

– Akurat w tym momencie swojego życia potrzebuję duchowego wsparcia.

– W takim razie pójdę z tobą. Obudzę Hannah, może będzie miała ochotę się przyłączyć. Jest strasznie wcześnie. Dam jej jeszcze chwilę.

– Niech sobie śpi. Nie musi iść tylko dlatego, że my idziemy.

– W normalnych okolicznościach pewnie nie, ale umówiła się z Avivą. Na pewno nie chcesz położyć się spać?

– Zdecydowanie nie. To w tym tygodniu miał przyjechać ten rabin?

– Tak. – Rina uniosła ciemne brwi. – Słyszałam, że strasznie ględzi.

– Im będzie gadał dłużej, tym lepiej. Zasnę, gdy tylko otworzy usta.

Tęsknota sprawia, że człowiek robi się milszy**...**

A przynajmniej bardziej gadatliwy. Podczas półtorakilometrowego spaceru do synagogi Hannah wtajemniczyła ojca we wszystkie wydarzenia, jakie zaszły w jej życiu przez ostatni tydzień. Ta koleżanka zrobiła to, tamta tamto**...** Już po chwili Decker przełączył się na autopilota. Wydawał tylko pełne zrozumienia pochrząkiwania, ilekroć córka przerywała, aby zaczerpnąć tchu. Chociaż plotła bez sensu, jej głos był muzyką dla jego uszu. Nic go nie obchodziło, o czym mówi, dopóki do niego mówiła. Ledwie doszli do synagogi, pospiesznie cmoknęła Deckera w policzek i zanim zdążył się z nią pożegnać, pobiegła do przyjaciółki. Patrzył, jak dziewczyny rzucają się sobie w objęcia, zupełnie jakby nie widziały się od lat. Poczuł ukłucie zazdrości.

– Niesamowite – powiedziała Rina.

– Co takiego?

– W ogóle się nie zorientowała, że w czasie jej monologu śpisz z otwartymi oczami.

– Słyszałem każde słowo.

– Słuchałeś tego tak, jak słucha się świergotu ptaków. – Rina pocałowała go w policzek. – Jesteś cudownym ojcem. Tylko nie chrap. Do zobaczenia.

Rabin przemawiał prawie godzinę, zapewniając Deckerowi wspaniałą drzemkę. Po wszystkim Barry Gold dał mu sójkę w żebra, dzięki czemu obudził się, wstał i skupił się na musafie. Z okazji przyjazdu rabina odmówiono też kidusz. Większość wiernych narzekała na długość mowy, lecz nie Decker.

– Najlepsze kazanie, na jakim zasnąłem – powiedział Rinie, zajadając się czulentem, tradycyjną żydowską potrawą składającą się z mięsa i fasoli, którą rozdawano za darmo po nabożeństwie.

– Farciarz. – Rina włożyła winogrono do ust. – Millerowie zaprosili nas na lunch. Odmówiłam pod pretekstem, że padasz z nóg.

– To nie pretekst, tylko fakt. Możemy już iść?

– Pewnie.

Ledwo wyszli z synagogi, Decker poczuł, jak serce zaczyna mu szybciej bić. Nie mógł powstrzymać niespokojnych myśli. Wracali do domu, trzymając się za ręce. Wiedział, że powinien coś mówić, ale miał głowę zaprzątniętą czymś innym.

Jak mam poruszyć ten temat? Przed lunchem czy po nim? Zanim pójdę spać czy potem?

Kiedy dotarli do domu, miał już obmyślony cały plan. Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zagrać w otwarte karty.

– Pomóc ci robić lunch?

– Jesteś jeszcze głodny? Nie najadłeś się jagnięciną i czulentem?

– Najadłem się, ale może ty zgłodniałaś.

– Zadowolę się jogurtem i kawą. – Poklepała go po ręce. – Utulić cię do snu?

Decker usiadł na kanapie.

– Najpierw musimy porozmawiać.

– Oho**...**

– Spokojnie. – Klepnął poduszkę, zachęcając żonę, by usiadła obok niego. – To zajmie tylko kilka minut.

– Jasne. – Przytuliła się do niego. – O co chodzi?

Decker wciągnął powietrze, a potem je wypuścił.

– No dobra**...** Wczoraj po południu miałem gościa w komisariacie. Utrzymywał, że ma ważne informacje dotyczące morderstw u Kaffeyów. Traktujemy poważnie każde zgłoszenie, nawet od ciotuchny Edny, która dostała tajne informacje z Marsa. Czasami w szaleństwie jest metoda.

– Rozumiem. Do czego zmierzasz, kotku?

– Ten facet twierdził, że podsłuchał rozmowę dwóch Latynosów. Kiedy mi ją zaczął powtarzać, okazało się, że pojawiają się w niej nazwiska, których osoba niewtajemniczona nie ma prawa znać. Dlatego słuchałem bardzo uważnie.

– Rozumiem.

– Tak więc streścił mi tę rozmowę, tyle że był jeden problem. Nie mógł opisać tych mężczyzn, bo jest niewidomy.

– To rzeczywiście może być problem – przyznała Rina.

– Wiedział, że usłyszał coś ważnego, dlatego poprosił stojąca obok kobietę, żeby opisała mu tych mężczyzn. Zapytała, do czego mu to potrzebne. Nie chciał powiedzieć, a kiedy nalegała, zrobiło mu się głupio i dał sobie spokój. Nie mógł jednak zapomnieć podsłuchanej rozmowy, dlatego przyszedł na komisariat.

– To brzmi trochę znajomo.

– Trochę?

– Nawet bardzo.

– Tego się właśnie obawiałem.

– Nie pamiętam nazwiska tego faceta. Jest tłumaczem w sądzie. Po trzydziestce, kręcone włosy, pociągła twarz, elegancko ubrany.

– Nazywa się Brett Harriman.

– Skąd znał moje nazwisko?

– Nie znał. Pamiętał twój głos z przesłuchania na ławników. Pamiętał, że mówiłaś sędziemu, że twój mąż jest porucznikiem policji. Dodałem dwa do dwóch, chociaż do ostatniej chwili miałem nadzieję, że się mylę.

– Nie mylisz się.

Decker odchylił się do tyłu i na chwilę ukrył twarz w dłoniach.

– Widziałaś tych mężczyzn?

– Spojrzałam na dwóch Latynosów, których, jak mi się wydawało, miał na myśli.

– Przyjrzałaś im się uważnie?

– Pobieżnie. Prosił, żebym zrobiła to dyskretnie.

– Naprawdę?

– Tak, to było dla niego ważne. Podkreślił, że nie wolno mi się na nich gapić, więc uważałam.

– Dzięki, Brett. – Decker odetchnął z ulgą. – Zauważyli cię?

– Chyba nie. Są zamieszani w te morderstwa?

– Na pewno mają dostęp do wiadomości z pierwszej ręki. Więc raczej cię nie zauważyli?

– Raczej nie. Właśnie zaczynała się popołudniowa sesja i w holu tłoczyło się mnóstwo ludzi. – Rina zawahała się. –

Mam ci ich opisać?

– To nie ma znaczenia.

– Nie ma znaczenia?

– Nawet gdyby udało ci się ich zidentyfikować w policyjnej kartotece, i tak nic by mi to nie dało. To on słyszał tę rozmowę, nie ty, prawda?

– Zgadza się.

– Więc**...** to wszystko, co mamy. Nie ma potrzeby cię w to wciągać.

– To dlaczego w ogóle poruszyłeś ten temat?

– Próbuję ustalić, czy ten facet zasługuje na poważne traktowanie.

– Przecież jest tłumaczem w sądzie.

– Na ile wiarygodny, twoim zdaniem, jest Harriman?

– Moim zdaniem? – Rina wskazała na siebie palcem. – Trudno powiedzieć. Wydaje mi się, że gość dobrze zna hiszpański. I jest bardzo teatralny. Nazywamy go Uśmiechnięty Tom, od Toma Cruise'a, bo nie zdejmuje okularów przeciwsłonecznych i ciągle się szeroko uśmiecha. Wszyscy doszliśmy do wniosku, że to zmarnowany talent aktorski.

– Uważasz, że ma skłonność do przesady?

– Nie potrafię powiedzieć. Po prostu traktuje głos jak instrument. Wiesz, niektórzy soliści są bardziej wyważeni, inni mniej. Aż do chwili, gdy zaczął ze mną rozmawiać, nie wiedziałam, że jest niewidomy. Porusza się dzięki jakiemuś elektronicznemu gadżetowi. Chodzi tak, jakby widział.

– No dobrze. – Decker usiłował zachować spokój. – Dziękuję

za pomoc.

– To wszystko?

– Chciałem tylko, żebyś mi opisała swoje odczucia co do tego gościa.

– Peter, mogę przejrzeć tę kartotekę.

– Po co? Nawet jeśli kogoś wskażesz, nie będę miał podstaw do zatrzymania. Jak już mówiłem, to Harriman słyszał tę rozmowę, nie ty.

– Możesz ich poprosić, żeby przyszli dobrowolnie, a jeśli odmówią, to już będzie jakaś wskazówka. Kiedy już ich będziesz miał u siebie, może Harriman rozpozna ich głosy.

– Powiedział, że nie będzie miał z tym najmniejszych trudności, ale nie wiem, czy może to stanowić dowód przed sądem.

– Powiedziałeś, że Harriman wymienił nazwiska, których nie mogła znać osoba postronna. Chcesz mi wmówić, że nie interesuje cię przesłuchanie tych gości? – Kiedy nie odpowiedział, dodała: – Pozwól mi obejrzeć te zdjęcia, Peter. Równie dobrze mogę ich nie rozpoznać albo może ich tam w ogóle nie być.

Dalej milczał.

Odczekała chwilę i dodała z naciskiem:

– Ci mordercy nie powinni być na wolności. Gdyby nie chodziło o mnie, nie wahałbyś się ani chwili.

– Pewnie nie.

– Tylko przejrzę zdjęcia, nic więcej.

– Nie chodzi mi o to, że przejrzysz zdjęcia. Bardziej denerwuję się tym, że rozpoznasz na nich tych ludzi.

Przytuliła się do jego ramienia.

– Nie martw się. Mam silnego faceta, który mnie ochroni. Ma broń i wie, jak jej użyć.

Obudził go dzwonek telefonu. Kiedy otworzyły się drzwi, wpuszczając do środka światło, oświadczył, że już nie śpi, i usiadł. Rina powiedziała, że dzwoni Willy Brubeck z jakąś ważną sprawą.

– Co jest, Willy? – zapytał.

– Dodzwoniłem się w końcu do Milfreda Connorsa. Zgodził się z nami porozmawiać.

– Dobra. – Decker włączył lampkę nocną. – Kiedy?

– Dziś wieczorem. Powiedziałem, że przyjedziemy najszybciej, jak tylko będzie można. Mieszka w Long Beach, więc lepiej się pospieszmy. Mam po ciebie podjechać?

Decker wciąż był nie do końca przytomny. Spojrzał na zegar na stoliku nocnym. Za kwadrans ósma. Spał bite siedem godzin.

– Jasne. Byłoby miło.

– Dobrze się składa, bo jestem już pod twoim domem.

– Serio? – Decker wstał i się przeciągnął. – Daj mi jakieś dziesięć minut. Muszę wziąć prysznic i się ubrać. Wejdź do domu i poczekaj.

– Nie odmówię. Powiedz mi, rabbi, czy twoja żona nadal robi tak pyszne wypieki?

Decker wybuchnął śmiechem.

– Zostało jeszcze trochę ciasta. Zdaje się, że czekoladowego. Możesz wziąć tyle, ile chcesz.

– Wystarczy jeden kawałek, jeśli ci to nie przeszkadza.

– No co ty. Poproszę też Rinę, żeby zrobiła ci kawy. My, ludzie pracy, potrzebujemy kofeiny i cukru.

W odróżnieniu od większości miejscowości na wybrzeżu, w Long Beach ceny nieruchomości nie były przesadnie wysokie, prawdopodobnie dlatego, że miasto miało charakter bardziej przemysłowy niż wypoczynkowy. Z drogi numer 405 roztaczał się widok na kominy rafinerii buchające dymem i zajmujące hektary place komisów i salonów samochodowych. To nie znaczy, że brakowało tu ładnych miejsc. Starówka z wieloma hotelami i słynne akwarium przyciągały tłumy turystów. Niemniej jednak w dzielnicach mieszkaniowych dominowały raczej skromne domy.

Milfred Connors mieszkał w niewielkim bungalowie w stylu kalifornijskim. Zwykła tynkowana fasada i kryty czerwonymi dachówkami dach, który oświetlała latarnia. Przed domem rozciągał się zapuszczony trawnik. Popękany chodnik prowadził na rozpadający się ganek. Decker wcisnął dzwonek. Mężczyzna, który im otworzył, był przygarbiony i strasznie chudy. Miał siwe włosy i pociągłą, wymizerowaną twarz. Wyglądał na jakąś siedemdziesiątkę. Ubrany był w białą koszulę, luźne spodnie i kapcie. Odsunął się, żeby wpuścić policjantów do domu.

Salon był czysty, choć skromny. Całe umeblowanie stanowiły kanapa z kwiecistym obiciem, stolik, skórzany rozkładany fotel i telewizor z płaskim ekranem stojący na komodzie. Decker zwrócił jeszcze uwagę na porysowaną dębową podłogę. Wydawała się oryginalnym wyposażeniem domu.

– Proszę spocząć. – Staruszek wskazał kanapę. – Napiją się panowie kawy lub herbaty?

– Nie trzeba, dziękuję – odparł Decker.

– Ja również dziękuję – dodał Brubeck.

– W takim razie muszą panowie chwilę poczekać, bo ja się napiję. – Wyszedł z salonu. Po dłuższej chwili wrócił z parującym kubkiem herbaty. Usiadł na fotelu, ale się nie oparł. – Rozumiem, że ta wizyta ma związek z morderstwami u Kaffeyów?

– Do pewnego stopnia – odparł Decker.

– Coś strasznego.

– To prawda. – Decker się zawahał. – Przepracował pan u nich wiele lat.

– Trzydzieści.

– Miał pan okazję obserwować kontakty Guya z jego bratem i synami?

– Cały czas.

– Ja określiłby pan ich relacje?

– Cóż**...** – Connors wypił łyk herbaty. – Guy potrafił być szorstki. Ale również miły.

– Dogadywał się pan z nim?

– Nie graliśmy w tej samej lidze. Guy Kaffey był na takim poziomie. – Connors uniósł wysoko rękę. – Ja na takim. – Opuścił dłoń tuż nad podłogę.

– Ale ciągle pan go widywał.

– Bez przerwy sprawdzał moje księgi. Zresztą nie tylko moje, wszystkich. Byłem jednym z dwudziestu głównych księgowych. – Przerwał na dłuższą chwilę. – Przyjechali

państwo do mnie dlatego, że zwolniono mnie za malwersacje.

– Rozmawiamy z wieloma osobami, ale pan jest na szczycie listy.

– Prawdziwy ze mnie szczęściarz. – Connors wypił kolejny łyk herbaty. – To nie tak, jak myślicie. Zostałem zwolniony, ale nie wniesiono przeciwko mnie zarzutów.

– Mimo to nie protestował pan przeciwko temu zwolnieniu – zauważył Decker. – Nie wniósł pan sprawy przeciwko firmie.

Connors nie odpowiedział.

Brubeck wyjął notes i długopis, po czym spytał:

– Może nam pan opowiedzieć, co się stało?

– To skomplikowane.

– Nie wątpię. – Decker również wyjął przybory do pisania. – Najlepiej zacząć od początku.

Connors ponownie napił się herbaty.

– Pracowałem u Kaffeya trzydzieści lat. Nigdy go o nic nie prosiłem, za to on miał do mnie setki próśb. Nie płacił mi za nadgodziny, a ja musiałem być pod telefonem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, zwłaszcza w okresie rozliczeń podatkowych. Wykonywałem wszystkie polecenia bez słowa skargi. Potem jednak zachorowała moja żona.

Decker notował, ale milczał, na razie nie ponaglał pytaniami.

– Byliśmy dla siebie wszystkim – podjął po chwili Connors. – Nie mieliśmy dzieci. Lara była nauczycielką. Myślę, że wystarczały jej dzieci w szkole. A ja, cóż, nigdy nie byłem

zbyt towarzyski, pochłaniały mnie te moje cyferki. To Lara wyciągała mnie do ludzi.

– Tak to już zwykle jest w małżeństwach – zauważył Brubeck.

– Cóż, odpowiadał nam taki styl życia. – Ogrzewał dłonie o kubek z herbatą. – Wychodziłem do pracy, potem wracałem do domu. Akceptowałem wszystkie pomysły Lary. – Jego oczy wypełniły się łzami. – Pięć lat temu umarła na raka. Wciąż nie mogę się z tym pogodzić.

– Moje wyrazy współczucia – powiedział Brubeck.

– Musiało być panu ciężko – dodał Decker.

– To było piekło, panie poruczniku. Nieustannie cierpiała. Żadne tabletki nie łagodziły bólu. Chorowała bardzo długo. Byliśmy ubezpieczeni, ale polisa nie pokrywała wszystkich kosztów. Kiedy zawiodła tradycyjna medycyna, spróbowaliśmy eksperymentalnej terapii, której ubezpieczenie nie obejmowało. Koszty pochłonęły całe nasze oszczędności. Wtedy postanowiłem sprzedać dom. Nie chciałem tego robić, ale musiałem za coś kontynuować leczenie żony.

Decker skinął głową i poprosił go, by mówił dalej.

– Żeby tego uniknąć, schowałem dumę do kieszeni i zapytałem Mace’a Kaffeya, czy nie mógłby mi załatwić jakiejś pożyczki. Znałem go lepiej niż Guya, a poza tym wszyscy pracownicy wiedzieli, że jest łagodniejszy od brata.

– Kiedy to było? – zapytał Decker.

– Jakieś sześć lat temu, w początkach końca. – Connors westchnął. – Mace kazał mi wrzucić tę pożyczkę w koszty

i wypisać czek na dwadzieścia tysięcy. Dodał, że jeśli będę potrzebował więcej, jeszcze coś dołoży. Firma rozlicza się z setkami dostawców, więc z łatwością będzie można gdzieś to ukryć. Wiedziałem, że to nie do końca uczciwe, ale i tak to zrobiłem. Dwa dni później miałem już gotówkę w kieszeni. Próbowałem sobie wmówić, że tylko wykonywałem polecenia szefa. Miałem szczery zamiar wszystko zwrócić.

– W jaki sposób? – zapytał Decker.

– Podejmując się dodatkowych zleceń. Powiedziałem Mace'owi, że oddam wszystko co do centa, ale odparł, żebym się nie martwił. Pogadamy, kiedy żona wyzdrowieje. To było zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale o nic nie pytałem. Dwadzieścia tysięcy to kupa pieniędzy, jednak wierzyłem, że jakoś dam radę. Problem w tym**...** – Odstawił kubek na stolik, milczał przez chwilę. – Problem w tym, że nie skończyło się na dwudziestu tysiącach. Potem zrobiło się z tego czterdzieści tysięcy, sześćdziesiąt**...** W chwili śmierci żony mój dług wynosił sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Mnóstwo pieniędzy do spłacenia, biorąc pod uwagę, że moje oszczędności były równe zeru. Nie zostało mi nic oprócz domu. – Connors otarł łzy.

– Co było dalej? – spytał Brubeck.

– Poszedłem do Mace'a i powiedziałem mu, że zamierzam sprzedać dom, aby zwrócić pieniądze. Odparł, żebym na razie się wstrzymał i nie działał pochopnie. Nie nalegałem. – Zamilkł na dłużej. – Kazał mi też w dalszym ciągu wyprowadzać pieniądze z firmy. Oznajmił, że nie tylko ja mam kłopoty. Musiałem to robić jeszcze przez jakiś czas.

W zamian umorzy mi część pożyczki.

– Jak rozumiem, przystał pan na jego warunki – domyślił się Decker.

– Miałem dług, a on był moim szefem. Skoro mi kazał dalej to robić, to robiłem. Ośmieliłem się nawet go zapytać, czy uzgodnił to z Guyem.

– Co odpowiedział? – zapytał Brubeck.

– Że Guy cały czas to robi. W sumie sfałszowałem czeki na jakieś dwieście tysięcy dolarów.

– Jak się pan z tym czuł? – zapytał Decker.

Connors popatrzył na policjantów.

– Przez dwa lata moje życie było piekłem i miałem ogromne długi. Robiłem bez szemrania wszystko, co szef mi kazał, i nie zadawałem żadnych pytań. No, ale wszystko się wydało, kiedy w firmie rozpoczął się audyt. Malwersacje wyszły na jaw, izba skarbowa oskarżyła Kaffey Industries o przestępstwa podatkowe, a bracia zaczęli się procesować. Myślałem, że pójdę na dno, ale na szczęście Mace mnie krył.

– W jaki sposób? – zapytał Brubeck.

– Powiedział Guyowi, że rozbieżności w księgach wynikały ze zwiększających się kosztów materiałów czy coś równie głupiego. Oczywiście Guy nie uwierzył, stąd ten proces sądowy. Ale niezależnie od tego, w jak wielkich kłopotach znalazł się Mace, nigdy nie wydał mnie władzom. Jestem mu za to niewymownie wdzięczny.

– Panie Connors – powiedział Decker. – Mace został oskarżony o przywłaszczenie pięciu milionów dolarów. Pański udział w tym procederze był stosunkowo niewielki.

Staruszek wzruszył ramionami.

– Może miał podobny układ z innymi księgowymi. Byłem tylko jednym z wielu.

– Był pan głównym księgowym – przypomniał mu Brubeck.

– Jak już mówiłem, byłem jednym z około dwudziestu głównych księgowych w firmie. Każdy z nas obsługiwał inny projekt.

– Jeśli Mace okradał firmę, dlaczego Guy się go nie pozbył?

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że Mace nie kłamał, kiedy mówił, że Guy też to robi. A ponieważ Guy był dyrektorem generalnym, o wiele bardziej prawdopodobne było, że to on pójdzie siedzieć za oszustwa podatkowe, a nie Mace. Pewnie Guyowi bardziej się opłacało go zostawić niż wyrzucić.

– Więc bracia załatwili to między sobą i Mace wrócił na Wschodnie Wybrzeże – powiedział Decker.

– Tak jest – odparł Connor. – Tak to się właśnie odbyło.

– Jedno mi się tu nie zgadza – stwierdził Decker. – Przyłapano pana na malwersacjach już po tym, jak Mace wyjechał z Zachodniego Wybrzeża. – Gdy Connors uniósł ręce, dodał: – Mógłby pan nam to wytłumaczyć?

– Nie wniesiono przeciwko mnie żadnych zarzutów.

– Poprosił pan Mace’a o kolejną przysługę.

– Och, powiedziałem mu, że prędzej palnę sobie w łeb, niż pójdę do więzienia.

– I pomógł panu. – Gdy staruszek tylko wzruszył ramionami, Decker ponaglił go: – Mógłby pan nam wyjaśnić, jak to się stało?

– Po prostu dałem się złapać. – Connors raz jeszcze wzruszył ramionami. – Cóż, najwyraźniej oszustwo weszło mi w krew.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Decker przyniósł Rinie cappuccino i croissanta. Siedziała przy jego biurku.

– Croissant z Coffee Bean – wyjaśnił. – Cappuccino z automatu za rogiem. Z ograniczoną zawartością kofeiny i z mlekiem.

– Idealne. – Rina wypiła łyk. – Do szczęścia brakuje mi tylko niedzielnej gazety.

– Zwykle czytasz niedzielną gazetę, leżąc w szlafroku na łóżku.

Rina miała na sobie flanelową bluzkę, dżinsową spódnicę i tenisówki.

– Jest mi bardzo wygodnie i bawię się o wiele lepiej, niż gdy czytam w „Los Angeles Times” artykuły o morderstwach.

Decker położył przed nią trzy katalogi policyjne.

– Kotku, jeśli chodzi o morderstwa, nic nie przebije tego.

– To prawda, a poza tym robię coś pożytecznego. – Wypiła łyk cappuccino. – Nic się nie martw, wszystko będzie dobrze.

Decker potarł skronie. Miał na sobie koszulkę polo i spodnie. Czuł się świeżo i czysto, ale to nie potrwa długo. Na ranczu było pełno kurzu.

– Kiedy już przejrzysz te, mam jeszcze jakiś tuzin katalogów na stole przed gabinetem. Obejrzyj tyle, ile zdołasz, lub tyle, ile będzie ci się chciało. Skończ, kiedy ogarnie cię zmęczenie. Nie przemęczaj wzroku.

– Jasne.

– I nie zgaduj. Wolałbym, żebyś powiedziała „nie wiem”, niż żeby ktoś cię zadźgał w ciemnościach.

– Rozumiem. Nie chcę naprowadzić was na fałszywy trop. – Otworzyła katalog na pierwszej stronie. Znajdowały się na niej zdjęcia sześciu mężczyzn en face i z profilu oraz opis ich wyglądu: wzrost, waga, kolor oczu, kolor włosów, rasa i znaki szczególne. – Hm**...** Ci, których widziałam, mieli tatuaże. Rozumiem, że w dzisiejszych czasach to normalne.

– Nie wszyscy wytatuowani są kryminalistami, ale wszyscy kryminaliści są wytatuowani. Tatuaże są prawie tak dobre jak odciski palców. Nie ma takich dwóch, które byłyby identycznie. Możesz opisać tatuaże, które wtedy widziałaś?

– Pierwszy z mężczyzn miał tatuaż z tygrysem albo panterą. Drugi**...** chyba węża. I jakieś litery.

– Litery?

– Chyba X**...** Oraz I.

– A to nie były przypadkiem rzymskie liczby?

– Niezła myśl. To mogły być rzymskie liczby.

– A może była to rzymska dwunastka?

– Może. Czemu pytasz?

Decker zgarnął katalogi.

– Przyniosę ci inne. Myślę, że będzie z nich więcej pożytku.

– A co w nich jest?

– Zdjęcia członków gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. Często mają wytatuowane BXII albo samo XII.

– Słyszałam o tym gangu. Zajmuje się głównie handlem narkotykami. Czy to możliwe, żeby jego członkowie wiedzieli

coś o morderstwach Kaffeyów?

– Jeśli brali w nich udział, to jak najbardziej.

– Dlaczego mieliby ich zabić?

– Gang Bodega z Dwunastej Ulicy jest pełen morderców. Poza tym odkryłem, że Guy Kaffey często zatrudniał byłych gangsterów jako ochroniarzy.

– Co ty opowiadasz!

– Taka jest prawda. Brady powiedział mi, że Guy robił to z powodów idealistycznych, ale również dlatego, że pracowali za półdarmo. Pomyślałbym, że wciska mi kit, gdyby nie to, że wcześniej słyszałem już o tym od Granta. Czasami ludzie, a już zwłaszcza bardzo bogaci ludzie, nie zdają sobie sprawy z własnej śmiertelności. Zaczekaj, zaraz wracam. – Po chwili przyniósł jej dwa inne katalogi. – Zacznij od tych. Mam nadzieję, że nie znajdziesz nikogo, kto wydałby ci się znajomy. Jeśli jednak rozpoznasz jakąś twarz, nie mów o tym nikomu poza mną.

– Oto lista wszystkich pocisków i łusek znalezionych na terenie posiadłości. – Wynona Pratt miała na sobie bawełnianą koszulkę z krótkimi rękawami, dżinsy i tenisówki. – Prawie cała amunicja znajdowała się w sektorze północno-wschodnim, tym oznaczonym czwórką, większość w pobliżu stogów siana albo w samych stogach.

– Wygląda na to, że ktoś sobie urządził strzelnicę.

– Też tak myślę. Oprócz tego znaleźliśmy zardzewiały nóż i ostre kawałki metalu, które mogą pochodzić z innych noży, ale wygląda na to, że od dłuższego czasu nikt ich nie ruszał. Posłałam je do analizy. Po południu przejrzę dowody

w komisariacie. Tam jest przynajmniej trochę chłodniej.

– Dobra. Opisz mi jeszcze ogrodzenie i bramy.

– Ranczo jest otoczone dwumetrową siatką zakończoną podwójną warstwą drutu kolczastego. Ogrodzenie nie jest pod prądem, więc gdy się ma dobre szczypce i grube rękawice, da się je pokonać. W sumie na teren prowadzi osiem bram. – Zajrzała do teczki i wyjęła kartkę papieru. – Naszkicowałam ci mapkę.

Decker przyjrzał się rysunkowi.

– Sześć bram wykonano z grubych stalowych prętów, tylko dwie tylne z siatki. Wszędzie kłódki. Szczypce do metalu mogą sobie z nimi poradzić.

– Któraś kłódka została naruszona?

– Nie.

– A co z ogrodzeniem? Jakieś dziury?

– Nic, co rzucałoby się w oczy. Wybacz, ale nie chciało mi się czołgać, żeby sprawdzić każdy centymetr. – Wynona poprawiła kapelusz. – Mam w domu ochraniacze na kolana. Jutro rano jakoś to ogarniemy, chyba że musisz wiedzieć już w tej chwili.

– Jutro mi wystarczy. – Decker otarł chustką spocone czoło. Gdzieś w oddali psy i konie protestowały głośno przeciwko upałowi. – Kto pilnuje zwierząt?

– Wydaje mi się, że ten stajenny, Riley Karns. Był tu wczoraj.

– A dzisiaj?

– Nie widziałam.

– A kto cię wpuścił?

– Piet Kotsky. Podobno powiedziałeś Neptune’owi Brady’emu, że nie życzysz tu sobie żadnych pracowników, dopóki nie zostaną sprawdzeni.

– Coś sobie przypominam – potwierdził Decker. – Czy to oznacza, że Karns nie jest traktowany jak pracownik? Bo na pewno nie był sprawdzany.

Wynona wzruszyła ramionami.

– Ktoś się musiał zająć zwierzętami.

– Zajrzę do stajni. Może gdzieś tam się kręci.

– Weź maskę. Założę się, że tam strasznie śmierdzi.

– Końskie łajno mi nie przeszkadza. Dawno temu miałem ranczo i stajnie. Nie schodziłem z konia.

– Serio? – Spojrzała na niego badawczo.

– Tak. Nie mam żadnego problemu z końmi. To ludzi nie potrafię czasem zrozumieć.

Sześć z ośmiu boksów w stajni było pustych, we wszystkich jednak wymieniono siano. Dwa konie, morgany, wydawały się zadbane i napojone. Decker wyjrzał na wybieg. Trzy konie przypięto do karuzeli – urządzenia przypominającego gigantyczną parasolkę pozbawioną materiału. Mechanizm obracał się razem ze zwierzętami.

Riley wyczesywał umięśnioną klacz o kasztanowej sierści z białą łatą na pysku. Delikatnymi, zaokrąglonymi ruchami szczotki pozbywał się brudu. Spojrzał na Deckera, lecz nie przerwał pracy. Jego drobna, żylasta sylwetka wyraźnie wskazywała na dżokejską przeszłość. Cienkie brązowe włosy zaczesywał na bok, a rysy drobnej, pokrytej warstwą potu twarzy wyglądały tak, jakby wykuto je w skale. Miał na sobie

czarną koszulkę, dżinsy i gumowce.

– Piękny quarter – pochwalił Decker.

– To nie byle jaki quarter – wyjaśnił Karns. – Jej ojcem był Big Ben, dwukrotny mistrz świata w swojej kategorii. W sumie wygrał jakieś pół miliona. – Riley zacisnął usta. – Jeździłem na nim**...** kiedyś.

– To pan polecił pani Kaffey zakup tej klaczy?

– Nie polecam koni – odrzekł Karns. – Zatrudniono mnie do pomocy. Ale kiedy się dowiedziałem, że Big Ben spłodził tę małą, podałem pani numer do właściciela. Z miejsca zakochała się w Zepher. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

– To młode zwierzę, prawda?

– Tak. Zobaczy pan, jaka będzie, gdy urośnie.

– Ładna muskulatura.

– Doskonała.

– Ale pierwsze były morgany? – dopytywał się Decker.

– Tak, pani kochała morgany. Wszędzie je pokazywała. – Karns zamilkł. – Wystawy koni zawsze ją nudziły, więc postanowiła spróbować wyścigów. To dlatego kupiła Tar Baby**...** czarnego ogiera. Od razu wiedziałem, że nic z tego nie będzie, już po pierwszej jeździe. Ale zachowałem to dla siebie, nie wyrywałem się z opiniami.

– Mądrze.

– Jestem tu tylko stajennym. – Karns musnął palcem grzbiet klaczy. – Proszę, niech pan pyta, szefie.

– Poruczniku. Porucznik Decker.

– Jak tam pan sobie chce, szefie. Skąd pan tyle wie

o koniach?

– Miałem hodowlę, no i lubię quartery za ich wszechstronność. Gdy tu jechałem, zauważyłem kilka chartów afgańskich. To też pomysł pani Kaffey?

– Tak, pani kochała te afgany, ale pan już nie. Nie pozwalał wpuszczać żadnych zwierząt do domu. Myślę, że był zawistny.

– Dlaczego?

– Bo też próbował hodować psy, ale nic z tego nie wyszło.

– Niech zgadnę, pewnie greyhoundy?

– Dokładnie, szefie. – Karns pokręcił głową. – Pan Kaffey myślał, że zarobi dzięki nim na wyścigach. Może by mu się i udało, gdyby nie poskąpił przy zakupie psów. Każdy widział, że jego zwierzęta do niczego się nie nadają. Nic a nic się na tym nie znał.

– Albo nie chciał wydawać pieniędzy na prawdziwych czempionów.

– Racja, szefie.

– Do kogo teraz należą zwierzęta?

– Zdaje się, że do chłopaków. To oni mi płacą za opiekę. Młodszy, Grant, wczoraj się mnie pytał, co musiałby zrobić, gdyby chciał sprzedać konie. Powiedziałem, że mu pomogę, jeśli naprawdę tego chce. Stwierdził, że zaczeka, aż jego brat wyzdrowieje, ale poprosił, żebym zorientował się w cenach. Mówił też o sprzedaży psów. To nie powinno być trudne, niektóre z nich to czempiony. – Riley spojrzał czujnie na Deckera. – Ale zgaduję, że pan nie chce kupić psa?

– Zgadza się.

– To czego pan chce?

– Mieszka pan w pobliżu psiarni.

– Jakieś pięć minut drogi od niej.

– Słyszał pan szczekanie psów w dniu zabójstwa?

– Tak, kiedy obudził mnie krzyk Any, usłyszałem ich szczekanie. Ana pewnie obudziła je swoim krzykiem.

– Latem mój seter często sypiał w stajni. Za każdym razem, gdy wracałem na ranczo, wybiegał mi naprzeciw z głośnym szczekaniem. – Gdy Karns milczał, Decker odczekał chwilę, po czym podjął: – Psiarnia jest blisko domu. Nie sądzi pan, że powinny usłyszeć strzelaninę i zacząć szczekać?

– Może zaczęły.

– Ale to pana nie obudziło.

– Już mówiłem, mnie obudziła Ana. – Odłożył szczotkę i sięgnął po pędzel, którym wydobył z końskiej sierści chmurę pyłu. – Słyszałem szczekanie, idąc z nią i Paco do domu. Mogły jazgotać już wcześniej, ale mnie nie obudziły. – Zamilkł na chwilę. – Nie mam takich problemów ze snem jak bogacze. Po całym dniu uczciwej roboty zasypiam jak dziecko.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam. Czy te psy szczekają, gdy ktoś przechodzi w pobliżu psiarni?

– Pewnie tak.

– Nie sądzi pan, że ich ujadanie powinno było pana obudzić?

– Może, ale nie tej nocy, szefie. Nie tej nocy. – Stajenny rzucił okiem na zegarek, a potem zmniejszył obroty końskiej karuzeli. – Gdyby ktoś się przedostał przez bramę, której

używamy do transportu koni, to psy pewnie by się obudziły. Gdyby jednak szedł od drugiej strony, nikt by niczego nie usłyszał, ani ja, ani zwierzęta. Na pana miejscu zakładałbym, że nikt się tutaj nie kręcił.

– A wie pan, że znaleźliśmy ciało zakopane w końskim grobie? – zmienił temat Decker.

– Trudno było nie zauważyć, biorąc pod uwagę zamieszanie, które zrobiliście tej nocy. A może to była poprzednia noc? Wszystko mi się myli, policjanci ciągle się tu kręcą.

– Ktoś musiał rozkopać ten grób, żeby ukryć ciało. Wtedy też pan niczego nie słyszał?

– Grób jest po drugiej stronie rancza.

– Wiedział pan o nim?

– Oczywiście – odparł Karns. – Sam go wykopałem. Znajdzie pan takie na każdym dużym ranczu.

– Pochował pan trzy konie jednocześnie?

– Nie jednocześnie. Najpierw wykopałem grób dla Netherworld, następny, tuż obok, był dla Buttercream. Ale kiedy padł Potpie, uznałem, że nie ma potrzeby kopać nowego grobu. Za dużo z tym roboty. Dlatego rozkopałem ziemię między dwoma poprzednimi końmi, zrobiłem wielką dziurę i zostawiłem je tam wszystkie trzy.

– Kiedy padły te konie?

– Netherworld i Buttercream jakieś dwa lata temu, Potpie w zeszłym roku. Nawet aż tak bardzo nie śmierdziało, tamte dwa zdążyły się już rozłożyć.

– Ktoś jeszcze wiedział o tym grobie?

– Pani. Odmawiała modlitwę nad każdym ze swoich dzieci.

– Ktoś jeszcze?

Karns milczał, wodząc tam i z powrotem rozbieganym spojrzeniem.

– To przecież nie jest trudne pytanie – zachęcił go Decker. – Czy ktoś z żyjących wie jeszcze o tych grobach?

– Paco Albanez. Zajmuje się ziemią na ranczu – powiedział w końcu stajenny. – Ma koparkę. Prosiłem, żeby mi ją pożyczył. Powiedział, że się zepsuła i pytał, do czego jej potrzebuję. Kiedy mu wyjaśniłem, że do wykopania końskiego grobu, zaproponował, że pomoże mi przy robocie.

– Ktoś jeszcze wam pomagał?

– Nie.

– Jak wybraliście miejsce na grób? – zapytał Decker, wpatrując się w zaciśnięte szczęki Karnsa. – Ktoś wam powiedział, gdzie kopać?

– Słuchaj pan, nie chcę żadnych kłopotów.

– Nic panu nie grozi, obiecuję. Ale musi mi pan powiedzieć, kto wam kazał kopać.

– Pan nam kazał. Joe Pine był tego dnia na służbie. To on wskazał miejsce.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Karns powrócił do szczotkowania. Widząc, że Decker nie ma zamiaru odejść, dodał:

– To wszystko, co wiem.

– Wie pan bardzo dużo.

Stajenny westchnął ciężko.

– Dlatego nie chcę być w to zamieszany.

– Riley, mój przyjacielu, już pan jest w to zamieszany, czy pan tego chce, czy nie. Był pan jedną z pierwszych osób na miejscu zbrodni, a przed chwilą mi pan powiedział, że wykopał grób dla Denny'ego Orlanda**...**

– Gówno prawda! – Karnsem aż zatelepało. – Nie wykopałem grobu dla Denny'ego. Wykopałem grób dla koni. Nie moja wina, że ktoś podrzucił tam tego nieszczęśnika Denny'ego.

– Ktoś to jednak zrobił – rzucił ostro Decker. – I była to osoba, która wiedziała o istnieniu tego grobu.

Karns splunął, o mało nie trafiając w but Deckera.

– Byłem z panem szczery, i oto, jak mi się pan odpłaca. Tak pan przekręcił moje słowa, że zaraz wyjdzie na to, że te morderstwa to moja wina. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Decker postanowił nieco spuścić z tonu.

– Mam dla pana propozycję. Jeśli jest pan szczery, proszę pozwolić się przebadać wykrywaczem kłamstw.

– To ustrojstwo jest guzik warte.

– Nieprawda – zaprotestował zdecydowanie. – To się panu tylko przysłuży. Nawet jeśli wynik będzie niekorzystny, i tak nie będę mógł wykorzystać go przeciwko panu. A jeśli korzystny, skieruję swoją energię na kogoś innego.

– Nie ufam panu. Zmusi mnie pan do mówienia rzeczy, których nie miałem na myśli.

– To nie ja będę przeprowadzał ten test. – Kiedy Karns spojrzał na niego, Decker się uśmiechnął. – A poza tym tam się odpowiada tylko „tak” lub „nie”. Przy tego typu odpowiedziach raczej trudno by mi było zmusić pana do mówienia czegoś, czego nie ma pan na myśli.

Karns nie odpowiedział. I chociaż Decker wstrzymywał się z ferowaniem wyroków do czasu, gdy przeczucia zostaną zweryfikowane przez fakty, coś mu mówiło, że stajenny nie chce się zgodzić na badanie nie dlatego, że ma coś na sumieniu. Najpewniej nie ufa wszelkim urządzeniom elektrycznym, ta cała elektronika to dla niego podejrzana sprawa. Ot, kowboj przyrośnięty do siodła.

– Jeśli zmieni pan zdanie, proszę dać mi znać – powiedział.

– Zastanowię się nad tym – obiecał Karns. – A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym wrócić do pracy.

– Mam jeszcze kilka pytań. Te martwe konie na pewno były bardzo ciężkie. W jaki sposób je tam zaciągnęliście?

– Najpierw wykopuje się grób, szefie. A potem przyprowadza się tam konia i go usypia.

– To ma sens.

– Wiedziałby pan o tym, gdyby naprawdę miał pan kiedyś

konie.

– Miałem konie, ale nigdy ich nie grzebałem. Zawsze zajmował się tym weterynarz.

– Tak właśnie podejrzewałem. Nie chciał pan sobie brudzić rąk, co?

Decker puścił mimo uszu ten złośliwy komentarz.

– I jest pan pewien, że ten grób wykopał pan tylko z Albanezem? Jeśli dotąd był pan ze mną szczery, lepiej nie wyłożyć się na tak prostym pytaniu.

Karns opuścił wzrok.

– Być może pomagał nam jeszcze Pine. Dlaczego pan do niego nie zadzwoni?

– Nie możemy go znaleźć. Nie wie pan, gdzie może być?

– Nic nie wiem. – Ponownie nawiązał kontakt wzrokowy. – Niech pan zapyta Brady'ego. On tu rządzi.

To właśnie Decker zamierzał zrobić.

Szef ochrony Kaffeya podniósł słuchawkę po trzecim sygnale, ale bez przerwy coś przerywało.

– Ledwie pana słyszę, poruczniku. Może wyśle mi pan SMS-a?

Decker nienawidził esemesowania. Miał za duże kciuki. Zatrzymał się na poboczu tuż za bramą rancza.

– Gdzie pan jest? – Znów te cholerne zakłócenia. – Nie słyszę pana!

– A teraz? Słyszy mnie pan?

– Teraz lepiej – powiedział Decker. – Proszę się nie ruszać. Gdzie pan jest?

– W rezydencji w Newport Beach. Mace i Gra...

(zakłócenia) wynajęli mnie**...** (zakłócenia) oko na dom, i co ważniejsze, na nich.

Decker miał wrażenie, że się przesłyszał. Jak to możliwe, że Grant dalej ufał Neptune'owi Brady'emu? Przecież jego rodzice zginęli mimo jego ochrony.

– Muszę z panem porozmawiać – powiedział.

– Nie mogę przyjechać **...** (zakłócenia) obiecałem**...** (zakłócenia)**...** chronić.

– Strasznie przerywa, panie Brady.

– Cholernie słaby zasięg.

– Teraz pana słyszę.

– Nie mogę opuścić posterunku, panie poruczniku.

– W takim razie przyjadę do Newport.

– Zapytam Mace'a i Granta. Jeśli**...** (zakłócenia) to proszę bardzo. Kiedy**...** (zakłócenia) tutaj?

– To zajmie mi kilka godzin.

– **...**(zakłócenia) szefowie nie będą mieć nic przeciwko, może o trzeciej?

– Jak najbardziej.

Brady pewnie próbował się pożegnać, ale Decker usłyszał tylko trzaski i szumy, a potem zapadła cisza.

Rina powkładała do katalogów policyjnych karteczki samoprzylepne, a teraz wróciła do pierwszej z zaznaczonych stron.

– Ten facet tutaj, Fredrico Ortez, to może być niższy z tych dwóch.

– Może być czy jest? – zapytał Decker.

– To albo ten**...** – przewróciła kilka kartek – albo ten**...**

Alejandro Brand, ten z blizną. Ci dwaj wyglądają bardzo podobnie, w każdym razie na zdjęciach.

Rzeczywiście tak było. Obaj mieli ogolone głowy, podłużne twarze, małe nosy z wielkimi nozdrzami, grube usta i głęboko osadzone oczy. Poza tym obaj mieli tatuaże ze zwierzętami: Brand węża na ramieniu, a Ortez smoka na piersi. A także XII i B12, czyli oznaczenia gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Myślałam, że to bracia, ale noszą inne nazwiska – powiedział Rina.

– Nie wspominałaś, że jeden z tych gości miał tatuaż z wężem.

– To prawda. Może powinieneś bliżej się przyjrzeć temu Brandowi?

– Może powinienem. A co z wyższym facetem?

– To chyba ten**...** – Rina pokazała mu zdjęcie. – Albo ten**...** Albo ten**...** Nie mam całkowitej pewności. – Zamknęła katalog. – Mówiąc szczerze, po jakimś czasie wszyscy stali się do siebie podobni. Wydawało mi się, że wryłam ich sobie w pamięć, ale obraz zbladł. Przecież ledwie rzuciłam na nich okiem. – Wzruszyła ramionami. – Przykro mi.

Deckerowi ulżyło.

– Świetnie się spisałaś. Zaraz spiszę nazwiska i sprawdzę, czy nie znajdzie się jakiś pretekst, żeby wziąć ich na dołek. Ale nawet jeśli akurat teraz nic na nich nie mamy, to na pewno coś się znajdzie. Wystarczy śledzić ich przez godzinę, żeby przyłapać na czymś nielegalnym.

– Na pewno byłabym precyzyjniejsza, gdybym im się dłużej

przyglądała, ale zakazał mi się na nich gapić**...** Ten niewidomy**...** Harriman.

– Wykazał się zdrowym rozsądkiem.

– Nie wiem, czy umiałabym ich rozpoznać podczas okazania.

– Nie będzie takiej potrzeby. Jeśli ich na czymś przyłapię, nagram przesłuchania i wyślę Harrimanowi. Mówił, że na pewno rozpozna te głosy. Zobaczymy. – Decker zamknął katalog i wstał. – Muszę jechać do Newport Beach. To długa droga. Masz ochotę dotrzymać mi towarzystwa?

– A co tam takiego**...** Ach prawda, główna rezydencja Kaffeyów. Pochodzę po tamtejszych galeriach sztuki. Może uda mi się znaleźć jakieś obrazy do naszej kolekcji.

Decker zmarszczył brwi.

– Większość tej kolekcji leży poupychana po szafach. A poza tym te obrazy nic nas nie kosztowały. Co ci przyszło do głowy, żeby jakieś kupować?

– Nie zamierzam nic kupować. Robię rozeznanie. Chwalę się tym, co mam, a właściciele galerii chwalą się tym, co mają oni. Czasami czymś się wymieniamy. Fajna zabawa.

– Mój pomysł na zabawę polega na tym, żeby sprzedać kolekcję i wpłacić pieniądze do banku.

– Jest to jakaś opcja.

– Ale nie dla ciebie. I dlatego ja jestem filistrem a ty koneserką dzieł sztuki.

– Nie masz takiego sentymentalnego stosunku do malarstwa jak ja. Oglądam jakiś obraz i myślę o Cecily Eden i o tym, jak nam się cudownie rozmawiało o roślinach

i ogrodach, chociaż ciągle pozostaje dla mnie zagadką, dlaczego zapisała te obrazy mnie, a nie swoim krewnym.

– Wiedziała, że je docenisz, i rzeczywiście tak się stało. – Pocałował ją w czubek głowy. – Musimy już jechać. Jeśli zostanie mi trochę wolnego czasu, pójdę z tobą do paru galerii. Sprawia mi wielką przyjemność obserwowanie, jak kusisz marszandów obrazami Martina Heade'a.

Osiemdziesięciokilometrowa podróż minęła im w mgnieniu oka dzięki rozmowie i widokowi bezchmurnego błękitnego nieba odbijającego się w diamentowej wodzie. Pokryte polnymi kwiatami wzgórza na wschodzie i piaszczyste brzegi wyznaczające zachodni kraniec kontynentu zapewniały Newport i jego okolicom opinię jednego z najbardziej malowniczych miejsc na naszej planecie. Nadzwyczajnemu pięknu towarzyszyły jednak nadzwyczajne ceny. Był to jeden z tych przypadków, gdy sprawdzało się powiedzenie, że luksus kosztuje.

Pełno tu było turystów. Kryzys gospodarczy najwyraźniej nie miał wpływu na tutejszą przystań. Tłoczyły się na niej burta przy burcie żaglówki, ślizgacze, katamarany, łodzie z kabinami i jachty wszelkich rozmiarów i kształtów. Galerie, butiki i kawiarnie również świetnie prosperowały. Decker wysadził Rinę przed jedną z galerii, po czym popatrzył na mapę i skierował się do dzielnicy mieszkaniowej.

Kaffeyowie nazwali swoją rezydencję Dzwoneczki Wietrzne. Wstępu do niej strzegły brama z kutego żelaza, wartownia pełna strażników oraz wysoki na trzy i pół metra żywopłot, który wydawał się ciągnąć kilometrami. Po rozmowie ze

strażnikiem wjechał na kręty podjazd obrośnięty sosnami, jodłami, jaworami, wiązami i eukaliptusami. Gdyby nie ochrona, zatrzymałby się, żeby im się przyjrzeć. W końcu zajechał na parking i przed jego oczami pojawiła się rezydencja.

Kiedy Decker był dzieckiem, odbył rodzinną podróż do Biltmore w Karolinie Północnej. Choć wiedział, że budynek, który ma przed oczami, nie jest aż tak ogromny jak tamtejszy zamek, to jednak i tak zapierał dech w piersiach. Wyglądało na to, że Guy Kaffey pragnął podrobić styl Biltmore. Jego rezydencja wzniesiona została z wapienia, a dach z niebieskiego łupka obfitował w szczyty i kominy. Nie zdążył przyjrzeć się szczegółom, bo zatrzymał go ochroniarz. Mężczyzna był przysadzisty, uzbrojony po zęby i wyglądał na zbira. Po sprawdzeniu dokumentów Deckera skonsultował się z kimś przez krótkofalówkę i uznał, że policjanta można wpuścić dalej.

– Proszę wysiąść z samochodu. Podwieziemy pana do wejścia wózkiem golfowym. Aha, broń zostaje u nas.

Decker uśmiechnął się.

– To, że muszę wysiąść z samochodu, mi nie przeszkadza. To, że mnie podwieziecie wózkiem golfowym, też nie. Ale nikomu nie dam dotknąć swojej broni.

Strażnik znów skonsultował się z kimś przez krótkofalówkę.

– Co pan ma? – zapytał.

– Standardową berettę dziewięć milimetrów. Z kim pan rozmawia? Z panem Bradym?

Ochroniarz zignorował to pytanie, jednak nie nalegał już na

pozostawienie broni. Kilka minut później Decker wsiadł w towarzystwie strażników do wózka golfowego i pojechał wybrukowaną dróżką, prowadzącą wśród ogrodów kwiatowych, paprociarni, sadów, altanek i ogródków warzywnych pełnych pomidorów, fasoli, bazylii, kabaczków i cukinii wielkości kija bejsbolowego. Wózek zatrzymał się przy altanie o takim samym dachu jak rezydencja i wszyscy wysiedli. Widać stąd było ogromny basen, który niknął w falach Pacyfiku.

Ubrany w niebieską marynarkę z mosiężnymi guzikami, białe płócienne spodnie i buty z gumowymi podeszwami, Neptune Brady obserwował ocean przez teleskop. Żuł przy tym gumę, poruszając jednostajnie szczękami. Decker skorzystał z okazji, by rozejrzeć się dookoła. Budowla stała na skarpie, jakieś piętnaście metrów nad wodą. Na pierwszym planie widać było dziesiątki łodzi, a na horyzoncie kilka liniowców. Spienione fale leniwie lizały piasek. Z wysokości skarpy huk oceanu przypominał szum wiatru.

Brady odprawił swoich ludzi machnięciem ręki, a gdy zostali sami, powiedział:

– To była pierwsza rzecz, którą zainstalowałem, kiedy wprowadzili się tutaj Kaffeyowie. – Wciąż patrzył przez teleskop. – Guy nie chciał odgrodzić skarpy, bo twierdził, że ogrodzenie zepsuje widok.

– Miał rację – zgodził się Decker.

– To prawda, ale ogrodzenie powstrzymuje intruzów. – Brady oderwał się od lunety i popatrzył Deckerowi w oczy. – Choć nie powstrzymało ich przed wtargnięciem na teren

Rancza Kojota.

W pełnym słońcu Brady wydał mu się starszy niż ostatnio, jakby przybyło mu zmarszczek i siwych włosów. Źrenice miał zwężone, a oczy wydawały się niemal bezbarwne.

– Nie wiem, ile czasu będę mógł panu poświęcić. W każdej chwili mogą mnie gdzieś wezwać.

– Gdzie Grant i Mace Kaffeyowie?

– W szpitalu u Gila. Wraca do zdrowia.

– Miło słyszeć.

– Dzięki Bogu wyszedł z tego. – Brady westchnął ciężko. – Chyba w końcu to do mnie dotarło**...** – Zawiesił głos. – Nadchodzi koniec.

– Koniec czego?

– Wszystkiego. Miałem za zadanie chronić Guya i Gilliam. Nie udało mi się to.

– Przecież rodzina pana zatrzymała.

Brady przez chwilę tylko patrzył na Deckera, po czym odparł:

– A mieli inne wyjście?

– Mogli pana natychmiast zwolnić. – Ciekawe, czemu tego nie zrobili, pomyślał, po czym dodał: – Postanowili jednak pana zatrzymać.

– Wydaje mi się, że na razie są w zbyt wielkim szoku, żeby coś zmieniać. Wyleją mnie, gdy tylko Gil dojdzie do siebie.

– Co pana zdaniem poszło nie tak?

– Mogły być tysiące przyczyn. Kiedy odnaleźliście ciało Denny'ego**...** cóż, wtedy wszyscy pokazali palcem, że winny jest Rondo Martin. Ale ja w to nie wierzę. Wciąż uważam, że

to robota kogoś z zewnątrz, kto zdobył poufne informacje.

– Może pan wskazać kogoś konkretnego? Kogoś, kto wydaje się panu „potencjalnym podejrzanym”? – zapytał Decker, myśląc o roli, jaką mógł odegrać Joe Pine.

Brady usiadł na ławce i zapatrzył się w ocean.

– W Dzwoneczkach Wietrznych i na Ranczu Kojota pracuje mnóstwo osób. Co najmniej dziesięciu pracowników każdego dnia pilnuje terenu i zajmuje się ogrodem. Skąd miałbym wiedzieć, czy ktoś czegoś nie knuje za moimi plecami?

– Czy ci sami ludzie pracują w obydwu miejscach?

– W większości tak, ale jest spora fluktuacja kadr. Kiedy Guy wkurzał się i zwalniał pracowników, musieliśmy zatrudniać nowych.

– Czy sprawdzał pan wszystkich nowo zatrudnionych?

– Prześwietlałem każdego, kogo chciał zatrudnić Guy, ale nie odpowiadałem za zatrudnianie i zwalnianie służby.

– A kto za to odpowiadał?

– Nie wiem. W każdym razie nie ja.

– Nikt nigdy nie zasięgał pańskiej opinii w ich sprawie?

Brady poruszył szczękami.

– Moim zdaniem część tych pracowników nie miała zielonej karty. Mówiłem już panu, Guy był skąpy. Jeśli potrzebował kogoś do pielenia, zatrudniał najtańszego. Może Paco Albanez wie coś więcej. On akurat jest tutaj legalnie. Wiem, bo go sprawdziłem.

– Kto go zatrudnił?

– Guy.

– A Rileya Karnsa?

– Gilliam. Powierzyła mu opiekę nad wszystkimi zwierzętami, czyli nad psami i końmi.

– Skąd go wytrzasnęła?

– Ze stadniny, w której oglądała morgany. Sprawdziłem go i nic nie znalazłem. Cieszył się dobrą opinią. Kiedyś był niezłym dżokejem, jeździł na quarterach.

– Jeszcze do niego wrócimy – zapowiedział Decker. – Pana zdaniem w morderstwa zamieszani byli służący?

– Na pewno nie wszyscy**...** Ale jakieś czarne owce na pewno się znalazły.

– Rondo Martin**...** Co pan sądzi o nim? Był taką czarną owcą?

– Osobiście go sprawdziłem. Pracował w Ponceville przez osiem lat. To spokojna osada, więc nie dochodziło tam do zbyt wielu przestępstw, ale Martin radził sobie świetnie ze wszystkim. Nie znalazłem nic niepokojącego.

– Od jak dawna pracował dla pana?

– Dwa lata.

– Dlaczego wyjechał z Ponceville?

– Wydaje mi się, że zatęsknił za większym miastem, ale mogę się mylić. Sprawdzę w aktach i dam znać pańskiemu człowiekowi. Wypadło mi z pamięci jego nazwisko**...** Taki elegancik**...**

A mówi się, że nie szata zdobi człowieka, pomyślał Decker.

– To pewnie Scott Oliver. Co jeszcze może mi pan powiedzieć o Martinie?

– Nie spóźniał się do pracy i bez szemrania wypełniał swoje obowiązki. Był dobrym pracownikiem.

– Znał hiszpański?

Brady zamyślił się na chwilę.

– Niektórzy strażnicy byli dwujęzyczni, ale nie wiem, czy również Martin. – Spojrzał Deckerowi w oczy. – Rozumiem, że nie wygląda to najlepiej, ale podejrzewał pan również Denny'ego Orlanda, a potem okazało się, że Denny nie żyje.

– Pana zdaniem Martin też nie żyje?

– Nie mam pojęcia.

– A Joe Pine? Mówił po hiszpańsku?

Brady zawahał się, nim odparł:

– Tak, biegle. Dlaczego pan o niego pyta?

– Zaginął.

Milczenie Brady'ego tym razem trwało o wiele dłużej.

– Zaginął? – Kiedy Decker potwierdził, Brady pokręcił głową. – To jeden z byłych gangsterów, których zatrudnił Guy. Na pewno ma niezłą kartotekę. Nigdy za nim nie przepadałem, ale to Guy rządził. – Zadzwoniła jego komórka. – Przepraszam. – Rozmawiał jakiś czas ściszonym tonem, w końcu powiedział głośniej: – Tak, oczywiście. – Odwrócił do Deckera. – Grant i Mace wrócili już ze szpitala. Chcieliby zamienić z panem słowo.

– Tak, jasne**...** Ale kontynuując, Riley Karns przyznał, że to on wykopał koński grób. Powiedział, że Joe Pine pokazał mu miejsce, gdzie ten grób ma być.

– Możliwe – odparł Brady. – Proszę chwilę poczekać. – Przyłożył telefon do ucha. – Przyślijcie tu natychmiast wózek – powiedział, po czym schował aparat do kieszeni. – Zazwyczaj nie miałem nic wspólnego z końmi, ale kiedy

jeden z nich zachorował**...** chyba Netherworld**...** Guy oświadczył, że nie zamierza wydawać pieniędzy na kremację. Kazał mi znaleźć jakieś miejsce na uboczu i zakopać tam zwierzę. Zdaje się, że wyręczyłem się Joem Pine'em. – Przerwał na chwilę. – Chyba powiedziałem mu też, żeby wziął do pomocy Rileya albo Albaneza.

– Więc to nie pan wybrał to miejsce?

– Nie, ale wiedziałem, że konie zostały pogrzebane gdzieś w tamtej okolicy. – Brady nagle się spocił i otarł twarz chusteczką. – Chciałbym panu przypomnieć, że w chwili, gdy popełniono te morderstwa, znajdowałem się około ośmiuset kilometrów od rancza.

To nic nie znaczy, pomyślał Decker, a głośno powiedział:

– Potrzebna mi lista wszystkich, którzy wiedzieli o tym grobie. Jak dotąd moja lista wygląda tak: Riley Karns, Paco Albanez, Joe Pine i pan. Ktoś jeszcze?

– Skąd mam wiedzieć? To było co najmniej rok temu.

– Jest pan szefem ochrony – zauważył Decker. – Musi pan wiedzieć takie rzeczy.

Brady odetchnął głęboko, dopiero potem odparł:

– Ma pan rację. Zajmę się tym.

– Interesuje mnie Joe Pine. Co pan o nim wie?

– Nie za dużo. Kiedy Guy polecił, żebym kogoś przyjął do pracy, po prostu to robiłem. Zdaje się, że jego rodzina pochodzi z Meksyku. Joe mieszka w dzielnicy Pacoima. – Brady zobaczył zatrzymujący się wózek golfowy. – Porozmawiamy później. Pora na spotkanie z szefami. Może oni panu pomogą.

– Skoro już mowa o szefach**...** Słyszałem o poważnych problemach z Greenridge.

Brady zerknął na kierowcę wózka, który ze wszystkich sił udawał, że nic nie słyszy.

– Nic o tym nie wiem. I na pana miejscu uważałbym z insynuacjami. Ktoś może pana opacznie zrozumieć.

– To zabrzmiało jak groźba. – Decker przerwał na moment, po czym dodał: – Choć na pewno nie to miał pan na myśli.

– Proszę to potraktować raczej jak ostrzeżenie. Guya i Gilliam strzegł cały oddział ludzi i proszę zobaczyć, co się stało. Chodźmy.

Po tej w sumie dość ostrej wymianie zdań Brady usiadł obok kierowcy, a Decker z tyłu, i ruszyli w drogę. Neptune miał rację co do jednego. Prowadzenie śledztwa to niebezpieczna robota. Decker otwierał drzwi, nie wiedząc, co znajdzie za nimi. Zazwyczaj było to niegroźne, ale wystarczy jedno potknięcie, by nagle pojawiła się przed nim lufa pistoletu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wózek golfowy zatrzymał się przed wejściem dla personelu. Decker ruszył za Bradym przez labirynt korytarzy, aż wreszcie ochroniarz otworzył przed nimi podwójne drzwi. Mace i Grant czekali w przeszklonej oranżerii. Drzwi balkonowe były szeroko otwarte, wpuszczając do środka świeże słone powietrze i hipnotyzującą pieśń fal oceanu. Pomieszczenie wypełniały kanapy, krzesła i stoliki, na których stały wazony z białymi i fioletowymi storczykami ćmówkami, żółtymi storczykami cymbidium, różowymi bromeliami i różnorodnymi sępoliami. Popołudniowe słońce już tak bardzo nie raziło w oczy.

Kaffeyowie pili drinki z lodem. Grant miał na sobie białą koszulkę polo, dżinsy i sandały. Kalifornijskie słońce w ciągu kilku dni rozjaśniło mu włosy i przyciemniło skórę. Ciemna karnacja Mace'a stała się brązowa. O ile policzki i brodę pokrywał kilkudniowy zarost, o tyle nad górną wargą zdążył wyhodować wąsy. Miał na sobie niebieską koszulę z podwiniętymi rękawami i gabardynowe spodnie.

Grant na widok Deckera uniósł szklankę.

– Lemoniada. Ma pan ochotę? Czy woli pan piwo?

Wybierając piwo, dowiódłbym swojego nieokrzesania, pomyślał Decker.

– Poproszę lemoniadę.

– A ty, Neptune, napijesz się czegoś?

– Dziękuję, ale nie.

– Poruczniku, dolać panu trochę wódki? – zapytał Grant.

– Jestem na służbie.

– Pracuje pan w niedzielę? Cóż za oddanie. – Grant zawołał pokojówkę i poprosił ją o jeszcze jedną lemoniadę. – Miejmy nadzieję, że prawdziwe, a nie udawane. Wiem, że działa pan pod presją.

Decker nie zareagował na tę złośliwość, tylko powiedział:

– Słyszałem, że pański brat ma się lepiej.

– Jego lekarz twierdzi, że wyjdzie ze szpitala za jakiś tydzień. To bardzo dobra wiadomość. Podejrzewam, że zadręczy go pan pytaniami.

– Trudno być oddanym tej pracy, nie zadręczając innych pytaniami.

– Proszę być delikatnym, Gil wciąż jest w szoku. Fizycznie czuje się lepiej, ale**...** wie pan, o co mi chodzi.

– Tak. Gdzie się zatrzyma?

– W swoim domu. Będą przy nim jego były chłopak i pielęgniarka.

– Były pańskiego brata nazywa się Antoine Resseur?

– Tak. To przyzwoity facet. – Grant spojrzał w kierunku oceanu. – Doktor Rain przewiduje pełne wyzdrowienie. Radzi tylko na razie uważać na wątrobę. Absolutnie żadnego alkoholu. Akurat to może być trudne.

Decker wyjął notes.

– Czy Gil dużo pił?

– Tylko w towarzystwie, jak ja. A co tam**...** – Grant podszedł do barku i dolał do lemoniady ginu. – Raz się żyje.

Do oranżerii weszła pokojówka w fartuszku i podała Deckerowi szklankę lemoniady. Podziękował i zwrócił się do Granta:

– Z moich informacji wynika, że Gil mieszka w Hollywood Hills.

– Przy Oriole Way. Nie znam dokładnego adresu, ale to dwupoziomowy nowoczesny dom, co i tak nic panu nie powie, bo większość budynków przy tej ulicy jest właśnie taka.

– Zdobędę adres.

Oczy Granta zaszły łzami.

– Dzwonił do mnie koroner. Powiedział, że to jeszcze potrwa kilka dni**...**

– Niestety, to zawsze zajmuje trochę czasu – przyznał Decker. – Przykro mi.

– Życie toczy się dalej – powiedział Grant. – Jutro odbędzie się nabożeństwo żałobne, a wieczorem Mace wróci na Wschodnie Wybrzeże.

– W razie czego proszę się kontaktować ze mną przez sekretarkę – włączył się Mace. – Będę w dolinie rzeki Hudson. Mam mnóstwo roboty. – Uniósł czarne brwi. – Wolę nie myśleć, co znajdę na biurku.

– Kłopoty? – zapytał Decker.

– Żadne kłopoty – zaprzeczył z uśmiechem. – Po prostu sprawy do załatwienia. Chociaż serce mi krwawi, muszę mieć oko na nasze projekty na Wschodnim Wybrzeżu.

– Postanowiliśmy – oznajmił Grant – że Mace zajmie się Greenridge Project, podczas gdy ja i brat skupimy się na

pogrzebie i dalszej działalności firmy. Zostanę tutaj, żeby wszystkich uspokoić.

– Kaffey Industries działa dalej – powiedział Mace. – To nie była firma jednego człowieka.

– Mój ojciec był na tyle rozsądny, że przekazał sporo swoich kompetencji synom. – Grant spojrzał na Mace'a. – Właściwie nam trzem.

Decker kiwnął głową.

– Jak pan myśli, ile jeszcze czasu zostanie pan w Kalifornii?

– Wyjadę dopiero wtedy, gdy Gil w pełni wróci do zdrowia, a to jeszcze trochę potrwa. – Grant wrzucił do szklanki kostki lodu. – Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli na razie sprowadzę rodzinę tutaj. Zostaniemy w Dzwoneczkach Wietrznych do chwili, gdy wszystko wróci na właściwe tory. To właśnie dlatego chciałem z panem porozmawiać, poruczniku. – Spojrzał Deckerowi w oczy. – Chciałbym się dowiedzieć, kiedy pańscy ludzie opuszczą Ranczo Kojota.

– Żałuję, ale nie wiem. Mamy mnóstwo materiałów do przejrzenia, a do tego znaleźliśmy zwłoki Denny'ego Orlanda, więc wszystko mocno się skomplikuje. – Widząc, że Grant się skrzywił, Decker dodał: – Czy to, że moi ludzie jeszcze trochę tam pobędą, to dla pana jakiś problem?

– Na razie jeszcze nie. Obecnie prawnicy taty dokonują wyceny posiadłości. Nie wiem, co dokładnie zawiera testament, ale liczę na to, że większość majątku naszych rodziców przypadnie bratu i mnie.

– Jest pan tego pewien? – zapytał Decker.

– Raczej tak. Zresztą odziedziczymy nie tylko wielką

fortunę, ale również pokaźny podatek od nieruchomości. Ani Gil, ani ja nie chcemy tego rancza. Zamierzamy je sprzedać. Pieniądze ze sprzedaży pomogą nam zapłacić podatek.

– Robimy, co możemy, ale nie chcielibyśmy przegapić czegoś istotnego dla śledztwa – wyjaśnił Decker. – Na pewno pan to rozumie.

– Niby skąd pan wie, że coś może okazać się istotne?

– Właśnie o to chodzi, że tego nigdy się tego nie wie. Właśnie dlatego musimy być bardzo systematyczni i bardzo drobiazgowi.

Zapadła cisza.

– A w przybliżeniu? – zapytał w końcu Grant. – Ile to jeszcze może potrwać? Tydzień? Miesiąc? Rok?

– Na pewno nie rok – odparł Decker. – Prawdopodobnie nie dłużej niż miesiąc.

– Gdy tylko skończą się wszelkie formalności związane z podziałem majątku, ranczo zostanie wystawione na sprzedaż. Skontaktowałem się już z agentem nieruchomości.

– Cóż, mówiąc wprost, w czasie, gdy tam jesteśmy, nie wolno panu wykonywać żadnych kroków związanych z posiadłością, ale postaram się, żeby trwało to jak najkrócej. Jestem pewien, że nam się uda.

– Tak długo, jak nie wchodzicie mi w drogę, nie mam nic przeciwko temu, żebyście tam byli. Ale to może się szybko zmienić. W obecnej sytuacji gospodarczej niewiele osób stać na tak ogromną posiadłość. Gdy więc znajdziemy chętnego, będziemy kuli żelazo, póki gorące. Nie chciałbym, żebyście go wystraszyli.

– O tych morderstwach jest głośno. Każdy zainteresowany kupnem Rancza Kojota będzie zdawał sobie sprawę z jego historii.

– Mimo wszystko nie chciałbym się z tym afiszować.

– Postaram się, żeby to trwało jak najkrócej – powtórzył Decker.

– Z drugiej strony – powiedział Grant, zupełnie jakby nie usłyszał ostatnich słów porucznika – morderstwa mogą przyciągnąć nieco inny rodzaj kupujących. Mnóstwo osób gustuje w makabrze. Nie wyobraża pan sobie, jakie typy wydzwaniają do moich sekretarek. Wciąż nękają nas media! Wszyscy chcą wyciągnąć szczegóły dotyczące morderstw, naszych interesów, testamentu**...** Na miłość boską, dokąd zmierza ten świat?!

– Dzięki rozpowszechnieniu się elektroniki żyjemy w czasach natychmiastowej gratyfikacji. – Decker wzruszył ramionami. – Dzisiejsze społeczeństwo przypomina gromadę dzieci. Kiedy dzieciak nie dostaje czegoś natychmiast, dąsa się, zaczyna marudzić.

– Święta racja! – zgodził się Grant.

Nie zdawał sobie sprawy, że sarkastyczny komentarz Deckera dotyczył również jego. To chyba dobrze.

W drodze powrotnej do Los Angeles Decker cieszył się, że Rina jest w gadatliwym nastroju. Opowiadała o wizytach w galeriach, obrazach, które jej się spodobały, i o tym, co by mogli kupić za niektóre ze swoich dzieł sztuki.

Decker uniósł brwi.

– Na przykład moglibyśmy opłacić rok nauki Hannah

w college’u – zauważył.

– Niech pan przestanie zgrywać biedaka, panie poruczniku – odparła. – Jak ci minął dzień?

– Tak jak się spodziewałem, żadnych niespodzianek. Ale nie przyjechałem tutaj dlatego, że miałem wielkie oczekiwania.

– To po co tu przyjechałeś?

– Dlatego, że chciałem znaleźć się z tobą sam na pustej drodze.

– Och, to urocze. – Pocałowała go. – Dobrze się bawiłam. Przykro mi, że tobie nie wyszło.

– To nie do końca tak. Sama rozmowa zawsze coś daje. – Zamyślił się na chwilę. – Doświadczony gliniarz, gdy rozmawia z takimi ludźmi, wcale nie liczy na to, że się do czegoś przyznają. I rzeczywiście się nie przyznali.

Rina przyjrzała mu się i skomentowała:

– Wyglądasz na zmartwionego.

– Chciałbym porozmawiać na osobności z Mace’em, ale jutro wieczorem odlatuje do domu. Muszę więc być szybki. Powinienem się z nim umówić, ale nie chciałem tego robić w obecności Granta.

Opowiedział żonie o wczorajszej rozmowie z Milfredem Connorsem. Wspomniał również o tym, że Mace’a obciążają zarzuty o malwersację, o sporze sądowym braci i że w końcu doszli do porozumienia, a także o tym, że Mace Kaffey został zdegradowany.

– Z twojej opowieści wynika, że Mace to taki współczesny Robin Hood – powiedziała Rina. – Zabierać bogatym, dawać biednym!

– I przy okazji uszczknąć też coś dla siebie – dodał Decker. – Właśnie w tym problem. Connors twierdzi, że wypisał czeki na sumę około dwustu tysięcy dolarów, z czego sto dwadzieścia tysięcy poszło dla niego. To oznacza, że jakieś osiemdziesiąt kawałków zostało w kieszeni Mace'a. Mnóstwo kasy, ale i tak daleko im do pięciu milionów.

– Ale to wcale nie było osiemdziesiąt tysięcy, Peter, tylko dwieście.

– No tak, masz rację. Ale nawet jeśli Mace robił to samo z każdym głównym księgowym w firmie, to i tak daje to maksymalnie cztery miliony, nie pięć. A szczerze mówiąc, wątpię, żeby Mace robił taki sam przekręt z każdym głównym księgowym.

– Więc co myślisz?

– Myślę, że Mace mówił prawdę, gdy twierdził, że Guy robi to samo. Kiedy skarbówka zaczęła im grzebać w księgach, Guy był tak samo zagrożony jak Mace. – Decker przerwał na chwilę. – Zastanawiam się, czy cały ten proces sądowy nie stanowił zasłony dymnej.

– To znaczy?

– To była głównie firma Guya. Może to przede wszystkim on dokonywał malwersacji i pojawiła się groźba, że będzie musiał zapłacić skarbówce gigantyczny podatek, grzywnę i jeszcze iść do więzienia? Może Guy obiecał coś bratu, jeśli Mace weźmie to na siebie?

– Ale przecież wcale nie wziął tego na siebie. Sam mówiłeś, że bracia w końcu zawarli ugodę, po której Mace został zdegradowany.

– Dzięki temu wyglądał na winnego.

– On był winny – stwierdziła Rina.

– Ale może nie aż tak winny jak Guy. Pomyśl o tym. Mace został oskarżony o malwersacje, a mimo to Guy nie pozbył się go, tylko przeniósł na Wschodnie Wybrzeże i powierzył Greenridge Project, jedno z największych przedsięwzięć w dziejach Kaffey Industries. Czy to rzeczywiście degradacja?

– Czy to nie Grant kieruje Greenridge?

– Kierował, ale po śmierci Guya wróci tutaj, a Mace będzie zajmował się Greenridge samodzielnie.

– Chcesz powiedzieć, że Mace zabił brata oraz bratową i próbował zabić bratanka, żeby przejąć Greenridge?

– A jeśli Guy zamierzał zrezygnować z tego projektu? Co wtedy stałoby się z Mace’em?

– Ale jeśli Mace podłożył się za Guya, to miał na niego haka. Czemu Guy miałby mu się narażać?

– Nie mam odpowiedzi, tylko same pytania. – Oboje się roześmiali, po czym Decker dodał: – Mnóstwo pytań i żadnych tropów z wyjątkiem rozmowy podsłuchanej przez Harrimana. Sprawdzę tych gości, których wskazałaś, ale nawet jeśli któryś z nich brał udział w tym morderstwie, jestem pewien, że został do niego wynajęty.

– Sądzisz, że Mace to wszystko ukartował?

– Nie wiem. Zawsze patrzy się na rodzinę i na to, kto najwięcej korzysta na śmierci ofiary. Mace być może dostał Greenridge za pomoc Guyowi w problemach ze skarbówką, ale po śmierci rodziców i tak synowie by wszystko

odziedziczyli. Grant już przebąkuje o sprzedaży rancza, bo chce zapłacić podatek. To bracia wciąż są na szczycie mojej listy podejrzanych.

– Ale przecież Gil został poważnie ranny. Jak możesz go podejrzewać?

– To prawda, ale nie zginął, gdy wszystkich innych zamordowano. Nawet jeśli prawdą jest to, co mówił Harriman, że zawinił José, to przecież byli jeszcze inni, którzy mogli władować Gilowi kulkę w łeb. A jeśli Gil zaaranżował to wszystko, żeby nie wyglądać na podejrzanego? A poważne rany odniósł tylko przez przypadek, przez fuszerkę wynajętych speców od mokrej roboty.

– Widziałam coś takiego w *Aktach zbrodni*. To częste zjawisko?

– Niezbyt częste, ale już kiedyś się z nim zetknąłem. Wiesz, dlaczego jeszcze tu przyjechałem, oczywiście poza tym, że chciałem pobyć z tobą? – Zamyślił się na chwilę. – Dlatego, że dobry policjant nigdy nie odpuszcza. Nie naciska, nie przesadza z presją skierowaną do osób, które ma na swojej liście, ale bez przerwy do nich wraca. Wydzwania, składa niezapowiedziane wizyty, pisze mejle, zadaje kolejne pytania. Jeśli robi to wystarczająco długo, sprawca traci pewność siebie, ogarnia go strach. Zaczyna dzwonić, wspólnicy oddzwaniają, narady, spotkania, nerwowa atmosfera, pochopne decyzje. Kiedy ludzie działają pod wpływem impulsu, o wiele częściej niż zwykle popełniają błędy. Pamiętaj, że przestępstwa to zwykle działalność zbiorowa,

a w takich poważnych sprawach prawie nigdy nie zaczyna się od szefa, nawet jeśli to szef jest najbardziej winny.

– Jest za dobrze chroniony.

– Właśnie – przyznał Decker. – Zaczyna się od tych bandziorów, którzy pociągali za spusty. Łatwiej do nich dotrzeć, bo zawsze są wplątani w jakąś nielegalną działalność. Zamykasz ich za narkotyki, a potem dochodzisz do morderstwa. Któryś z nich w końcu zaczyna sypać, a ty powoli wędrujesz aż na sam szczyt. – Przerwał. – O ile byli w to zamieszani. Czasami okazują się niewinni.

– To nie oświadczenie dla prasy – powiedziała Rina. – Nie musiałeś tego uściślać.

Decker roześmiał się.

– Siła przyzwyczajenia. – Przez chwilę jechali w milczeniu. – Wiesz, cały czas zakładam, że synowie wszystko odziedziczą. Ale to wcale nie jest takie pewne. Przecież testament jeszcze nie został otwarty.

– Więc właściwie cały czas nie wiedzą, na czym stoją.

– Zgadza się. Ale Grant jest przekonany, że Gil i on dostaną prawie wszystko. Może Guy rozmawiał na ten temat z synami i zapewnił ich, że tak się stanie. A może Grant tylko na to liczy**...** Tak zresztą to ujął. Powiedział, że liczy na to, że większość majątku jego rodziców przypadnie jemu i bratu. Wiesz, co się odpowiada, kiedy ktoś mówi, że na coś liczy?

– Tak. Nie licz, żebyś się nie przeliczył.

– No właśnie.

– Co się stanie, jeśli Grant przeliczy się z tym testamentem?

– Będzie bardzo rozczarowany.

– A wtedy może się zrobić ciekawie.

– Tym lepiej. Większość zagadek wyjaśnia się właśnie wtedy, gdy robi się ciekawie.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Decker przyniósł dwa półmiski domowych ciastek, Oliver uzupełnił cukrowe szaleństwo dwoma tuzinami pączków. Messing i Brubeck przytaszczyli dwie torby wypełnione bajglami z serem, natomiast Wynona Pratt udekorowała stół paterą z owocami. Wkład Lee Wanga polegał na przyniesieniu soku pomarańczowego i plastikowych kubków, zaś Marge i Wanda odpowiadały za tekturowe talerzyki, papierowy obrus, serwetki i kawę. Kiedy stół już nakryto, wyglądał jak przygotowany do spotkania firmowego.

Tę spontaniczną imprezę składkową wymyśliły Marge, Wynona i Wanda. Przydzieliły zadania i obdzwoniły wszystkich, wiedząc, że żaden facet nie zajmie się częścią organizacyjną przedsięwzięcia. Ich uczestnictwo w podobnych imprezach ograniczało się do jedzenia. Kobiety były jednak uparte.

– Zintegrujemy się – powiedziała Marge do Olivera, gdy już wszystkie smakołyki znalazły się na stole.

– Przeszedłem dziesięć przecznic, zanim znalazłem cukiernię.

– Najbliższa cukiernia jest zaledwie trzy przecznice stąd. Następnym razem sprawdź w internecie.

– Coś nie tak z moim komputerem. Ciągle się zawiesza.

– Nie mam pojęcia, co to może być. Zapytaj Lee.

Wang był zajęty układaniem na stole widelczyków, noży

i łyżeczek. Za każdym razem, gdy okazywało się, że któryś ze sztućców leży choć odrobinę krzywo, zaczynał wszystko od początku.

– Dlaczego mój komputer ciągle się zawiesza? – zapytał go Oliver.

– Prawdopodobnie dlatego, że to chłam lub jest stary. Albo jedno i drugie.

– Lee, twoja aranżacja zapiera dech w piersiach – stwierdziła Wynona – ale zajmuje trochę za dużo miejsca.

To powiedziawszy, zgarnęła wszystkie łyżeczki i włożyła je do jednego kubka, po czym to samo zrobiła z widelczykami i nożami.

– Czy coś jeszcze nie spełnia twoich wymogów? – spytał niepocieszony Wang.

– Nie. I nie bądź na mnie zły. Dzięki temu masz miejsce na to, żeby zrobić origami z serwetek.

– Po pierwsze, to japoński zwyczaj, a ja pochodzę z Hongkongu. Po drugie, moja chorobliwa dokładność przydaje się w naszym zawodzie.

– Jeśli cię uraziłam, to przepraszam. Po prostu usiłuję zmieścić wszystko na tym małym stole.

Brubeck wysypał bajgle na plastikowy talerz.

– Byłoby więcej miejsca, gdybyśmy tyle tego nie nakupowali. Starczyłoby dla całego komisariatu.

– Takie właśnie było założenie – odparła Wynona. – To impreza dla wszystkich.

– Nie chcemy izolować się od reszty – dodała Wanda.

Marge przyniosła wielki termos z kawą i ku wielkiej radości

wszystkich, ogłosiła:

– Śniadanie podano.

Trzydzieścioro policjantów stłoczyło się wokół stołu i zaczęło ładować kopy jedzenia na tekturowe talerzyki, które natychmiast zaczęły się wyginać pod ich ciężarem. O wpół do dziewiątej wynurzył się ze swojego gabinetu Decker z kubkiem kawy w ręce.

– Za dziesięć minut w sali przesłuchań numer trzy odprawa grupy roboczej w sprawie Kaffeyów.

Napotkał wzrok Marge i wezwał ją skinieniem palca. Tego dnia miała na sobie niebieską bluzkę i granatowe spodnie, a na nogach buty na gumowych podeszwach.

– O co chodzi, rabbi? – zapytała.

– Muszę porozmawiać z tobą na tematy osobiste. Masz chwilę?

– Pewnie. – Kiedy Decker zamknął za nimi drzwi gabinetu, dodała: – Wszystko gra?

– Tak. – Uśmiechnął się na poparcie swoich słów. – Pamiętasz Bretta Harrimana, niewidomego, który podsłuchał mężczyzn rozmawiających o morderstwach u Kaffeyów?

– Mówiłeś mi o tym trzy dni temu, Pete. Jeszcze nie mam tak wielkiej sklerozy. Co się dzieje?

– Zadzwonił do mnie w piątek wieczorem, aby powiedzieć, że coś sobie przypomniał. – Decker próbował zachować spokój. – Otóż zaczepił kobietę stojącą obok i poprosił ją, żeby opisała mu tych mężczyzn.

– Poważnie?

– To nie wszystko. Kobieta nie chciała tego zrobić, dopóki

nie wyjaśni jej, do czego mu to potrzebne. Zrobiło mu się głupio i kazał jej zapomnieć o sprawie. Nie znał nawet jej imienia.

– Więc nie ma pojęcia, z kim rozmawiał?

– Niezupełnie. Pamiętał jej głos z przesłuchania na ławników.

– Podał ci numer sprawy?

– Nie, ale nie musiał. – Decker dopił kawę. – Podczas takich przesłuchań pyta się kandydatów, czy ktoś z ich rodziny pracuje w organach ochrony porządku publicznego. Kobieta odpowiedziała, że jej mąż jest porucznikiem policji.

Marge otworzyła szeroko oczy.

– Czy przypadkiem Rina w zeszłym tygodniu nie była ławniczką?

Decker kiwnął głową.

Marge wbiła wzrok w sufit.

– Rozmawiałeś z nią?

– Tak. Próbowałem jej wmówić, że nie dysponuje żadnymi użytecznymi informacjami, ale uparła się, żeby tu przyjechać i przejrzeć katalogi policyjne. Kiedy wspomniała, że ci mężczyźni mieli wytatuowane XII albo BXII, dałem jej katalog ze zdjęciami członków gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Jezu, zrobiło się poważnie. – Marge oblizała usta. – To pasowałoby do tego, o czym mówił Gil.

– Wiem. – Decker się skrzywił. – W każdym razie wybrała kilku z nich. W wolnej chwili może ty albo Oliver spróbujecie ich odnaleźć i zatrzymać pod jakimś pretekstem. Potem

poproszę Harrimana, żeby tu przyszedł i posłuchał ich głosów.

Marge zatarła ręce.

– Możemy aresztować kogoś na podstawie identyfikacji głosowej?

– Nie wiem, ale na pewno możemy ich zapytać o jakieś przestępstwa. Jeśli zatrzymasz któregoś z nich, powiedzmy, za handel narkotykami, może przy okazji okaże się, czy wie coś o morderstwach u Kaffeyów.

– A mamy pewność, że Harriman potrafi rozpoznać te osoby tylko na podstawie ich głosów?

– Nie, dlatego zamierzam go wypróbować. Powiedział, że z akcentu wynikało, że ci mężczyźni pochodzą z Meksyku i Salwadoru. Nagram dwóch gości, którzy też stamtąd pochodzą. Jeśli Harriman powie, że to ich podsłuchał w sądzie, przekonamy się, że jest niewiarygodny. I na odwrót. Tak czy inaczej, jeśli aresztujesz któregoś z facetów wskazanych przez Rinę, będziemy mieli grupę kontrolną.

– Pogadam z Oliverem. Coś wymyślimy.

– Oprócz tego musimy odszukać Joego Pine’a. Mieszka w Pacoimie.

– Wiem, ale nie możemy go znaleźć.

– Jego rodzina prawdopodobnie pochodzi z Meksyku, więc możliwe, że tam wyjechał. Spróbuj nazwiska José Pinon. Zajmij się tym, nawet jeśli ma to oznaczać pracę w nadgodzinach. Przykro mi, ale ta sprawa jest zbyt ważna, żeby pracować od dziewiątej do piątej.

– Spokojnie. Vega wyprowadziła się z domu, a Oliver nie

jest już takim babiarzem jak kiedyś, więc i on, i ja mamy pełno pustych miejsc w kalendarzu. Wiesz, jak to jest. Czasami noc spędzona na obserwowaniu kogoś jest lepsza od samotnej nocy w domu.

Naładowana cukrem i kofeiną ekipa śledczych uwijała się jak w ukropie. Decker zaczął od streszczenia rozmowy z Milfredem Connorsem.

– Zanim przejdziemy do omówienia procesu sądowego między braćmi, chciałbym poznać sytuację finansową firmy. Lee, mógłbyś zacząć?

Wang pospiesznie przejrzał notatki, po czym zaczął referować:

– Wartość księgowa Kaffey Industries wynosiła od około sześciuset milionów dolarów do miliarda stu milionów podczas boomu na rynku nieruchomości. Jakieś pięć lat temu Nowojorska Giełda Papierów Wartościowych usunęła akcje spółki z listy, kiedy członkowie rodziny odkupili akcje znajdujące się w obiegu.

– Stało się to mniej więcej w czasie procesu sądowego braci – zauważył Brubeck.

– To ma sens – przyznał Wang. – Mam wrażenie, że Guy po prostu nie chciał, żeby ktoś mu zaglądał w księgi. W wywiadach prasowych twierdził, że teraz będą podążali własną drogą i nic ich nie obchodzi, co o tym mówią inni.

– Jak wyglądał podział akcji między członków rodziny? – zapytała Marge.

– Guy miał osiemdziesiąt procent akcji, synowie po dziewięć i pół procenta, a Mace jeden procent.

– Więc Guy miał pakiet kontrolny – stwierdził Oliver.

– Ta firma była jego dzieckiem i to on nią rządził.

W tym momencie do rozmowy włączył się Drew Messing. Włosy chłopca z Południa były zmierzwione, a garnitur na tyle sfatygowany, że przypominał serialowych detektywów, którym udaje się wyglądać niechlujnie, ale zarazem przystojnie.

– Z tego, co czytałem, wynika, że Guy był facetem z charakterkiem. Krążą legendy o jego wybuchach wściekłości. Wydzierał się na każdego, kto jego zdaniem okazał mu brak szacunku. Znalazłem w internecie artykuł, z którego wynika, że pobił się z parkingowym. Miał sprawę, ale zawarł ugodę.

– Wydrukowałeś może ten artykuł? – zapytał Oliver.

– Wydrukuję go dla ciebie.

– Czy w firmie też dochodziło do awantur?

– Nie znalazłem informacji o tym, żeby się awanturował, ale oczywiście dużo krzyczał – powiedział Messing. – Z drugiej strony, angażował się w działalność charytatywną. Przeznaczał na ten cel miliony dolarów.

– W tym na fundusz pomagający byłym gangsterom – zauważył Decker. – Facet miał osobliwe podejście do dobroczynności.

– Czy tylko mnie jedną dziwi, że Mace wciąż ma ten jeden procent akcji? – zapytała Wynona. – Według mnie gdyby Guy poważnie myślał, że jego brat okradał firmę, to pozbawiłby go wszystkiego. Co o tym sądzicie?

– Też o tym myślałem – przyznał Decker. – Jestem pewien,

że Mace wyprowadzał pieniądze z firmy, ale wydaje mi się, że Guy wcale nie był od niego lepszy.

Wang zajrzał do swoich notatek.

– Kiedy spółka trafiła na giełdę, Guy miał pięćdziesiąt sześć procent akcji, dwadzieścia procent podzielono po równo między jego synów i Mace'a, a resztę wprowadzono do obiegu. Potem doszło do procesu. Guy oskarżył Mace'a o malwersacje. Mace bronił się, twierdząc, że Guy zrobił kilka chybionych inwestycji i próbował to ukryć, obarczając go winą za kłopoty firmy. – Lee przerwał na moment. – Nie znalazłem ani jednej wzmianki o tym, żeby Mace zarzucał Guyowi defraudację, ale wygląda na to, że obaj mieli coś do ukrycia, bo zawarli ugodę i dalej pracowali razem.

– Tyle że Mace został zdegradowany – zauważył Brubeck.

– To prawda – potwierdził Wang. – Mace zrezygnował z zasiadania w radzie dyrektorów i zgodził się oddać Guyowi 5,33 procenta swoich akcji w zamian za wycofanie pozwu. Zachował jednak pensję i dostał tytuł wiceprezesa. Pozwolono mu też uczestniczyć w zebraniach rady dyrektorów, chociaż nie był już jej członkiem.

– Mace stracił dużo, ale nie wszystko – powiedział Decker. – Może Connors miał rację. Może Guy też dopuszczał się malwersacji.

– Czy firma ma jakieś problemy? – zapytał Oliver.

– Nie są spółką giełdową, więc trudno się czegoś dowiedzieć – odparł Wang. – Mają sporo nieruchomości, co przy obecnym kryzysie może się na nich zemścić. Czytałem, że z powodu Projektu Greenridge mają problemy

z płynnością finansową. Mace i Grant chcieli zorganizować zastrzyk świeżej gotówki, wypuszczając obligacje komunalne poprzez agencję restrukturyzacji. Problem w tym, że aby uzyskać odpowiedni rating kredytowy, obligacje muszą być wsparte czymś konkretnym. Ceny ziemi i nieruchomości ostro spadły, więc pojawiły się pogłoski, że ich zabezpieczenia nie wystarczają, dlatego muszą podnieść stopę oprocentowania albo zmniejszyć kurs sprzedaży.

– To znaczy, że Projekt Greenridge jest zagrożony? – zainteresował się Brubeck.

– Niektórzy mówią, że lepiej dokończyć projekt, inni, że trzeba ograniczać straty i sprzedawać ziemię – wyjaśnił Wang. – Muszą też iść na spore ustępstwa, jeśli chcą przekonać protestujących przeciwko budowie. A każde takie ustępstwo to kolejny uszczerbek dla zysków.

– Kiedy sięgną dna? – zapytał Decker.

– Trudno powiedzieć, poruczniku. W niektórych dziedzinach Kaffeyom wiedzie się całkiem nieźle. Greenridge pochłania część ich zysków, ale nie wiadomo, czy okaże się klęską, czy sukcesem.

– A co z Cyclone Inc.? – włączyła się Marge. – Mace wspominał w rozmowie ze mną i porucznikiem, że ich prezes, Paul Pritchard, zrobiłby wszystko, żeby go dopaść.

– To zbyt mały gracz w porównaniu z Kaffeyami – odpowiedział Wang. – Jego centrum handlowe jest stare i niezbyt prestiżowe, z takimi sklepami jak Bizmart, Dollars czy Sense. Leży jakieś osiem kilometrów od Greenridge. Nowe centrum handlowe na pewno wpłynie na jego

działalność, ale to zupełnie inna półka.

– Czyli Mace zmyślił całą tę rywalizację? – zapytał Decker.

– Może tak, może nie. Natrafiłem na artykuł, w którym cytowano Pritcharda, który powiedział, że Projekt Greenridge to przesada. Dodał też, że zupełnie się tym nie martwi, co dla mnie oznacza, że właśnie jest zmartwiony. Jeszcze się z nim nie spotkałem, ale pracuję nad tym.

– Chciałbym jeszcze wrócić do procesu między braćmi. – Brubeck spojrzał na Wanga. – Możemy się dowiedzieć, co jest w aktach sądowych?

– Oficjalnie nie, ale zwykle nie ma problemu ze zdobyciem anonimowych źródeł informacji – odparł Wang. – Jeśli szukacie kogoś, kto żywił urazę do Guya, to Mace jest równie dobry, jak każdy inny. Z tym że wciąż jest związany z firmą. Coś musi się dziać za kulisami.

– Obaj wyciągali kasę z firmy – przypomniał Oliver.

– Mace przynajmniej część z tego dawał na swoich pracowników – dodał Brubeck. – O ile można wierzyć Connorsowi.

– Connors ma słabość do Mace’a – stwierdził Decker. – A Mace poza tym, że lubił pieniądze, chciał też być kochany przez pracowników.

– Tak, przecież Connors mówił, że poszedł do Mace’a, bo jest łagodniejszy od Guya.

– A może Mace po prostu czekał na właściwy moment? – wtrącił Oliver. – Tak to czasami bywa z zadawnionymi urazami.

– Jest taka możliwość – przyznał Messing.

– A co z synami? – zainteresowała się Wanda Bontemps. – Jakaś rywalizacja między nimi a ojcem?

– Nic, co by się rzucało w oczy – odparł Wang.

– Nie wydaje ci się, że gdyby Guy wstrzymał Greenridge Project, to właśnie Mace straciłby najwięcej? – zapytała Marge.

– Nie powiedziałbym. To Grant stoi na czele tego projektu. I on wyjdzie na durnia, jeśli wszystko padnie.

– A jak wyglądają osobiste finanse Mace'a? – zainteresowała się Wynona.

– Ma dom w Connecticut, apartament na Manhattanie, piętnastometrowy jacht i pieniądze w banku. Szacuje się, że w sumie jest wart trzydzieści milionów dolarów, ale to dane sprzed kryzysu. Radzi sobie, ale na pewno nie jest miliarderem.

– To mi przypomniało o czymś ważnym – włączył się Decker. – Absorbuje nas Mace, na nim się skupiamy, a przecież prawdopodobnie dziedziczyć będą synowie Guya. Sześćset milionów to niezły motyw. Mace jest śliskim gościem, ale nie zapominajmy o tym, kto faktycznie zyskuje na śmierci Kaffeya.

– Zobaczę, co się da znaleźć na temat chłopaków – obiecał Wang.

– Dobry pomysł – pochwalił go Decker. – A co z naszą listą ochroniarzy?

– Sprawdziliśmy połowę – odparł Brubeck. – Idąc alfabetycznie: Allen, Armstrong, Beltran, Cortez, Cruces, Dabby, Green, Howard, Lanz, Littleman, Mendoza i Nunez.

Trójka zabitych ochroniarzy to Alfonso Lanz, Evan Teasdale i Denny Orlando. Rondo Martin wciąż nie został znaleziony.

– Sprawdziliście dwa razy każde alibi?

– Na razie tylko raz, ale jeszcze sprawdzę. A Rondo Martin to prawdziwa zagadka. Zadzwoniłem do biura szeryfa w Ponceville. Z tego, co się dowiedziałem, wynika, że był całkiem przyzwoitym zastępcą szeryfa. Niezbyt towarzyski, ale od czasu do czasu wychodził z innymi chłopakami na kielicha. Gdy miał zły dzień, potrafił się czepiać się farmerów, ale zwykle udawał, że nic nie widzi.

– Masz na myśli to, że nie zwracał uwagi na nielegalnych imigrantów?

– Zdarzało się.

– Czy coś wskazuje na to, że wymuszał haracz od farmerów? – zapytał Decker.

– Nic o tym nie wiem. Mój teść nigdy nie miał z nim problemów. No, tak twierdzi, ale nie mówi się o takich sprawach przez telefon. Dowiem się więcej, jak pogadamy w cztery oczy.

– Załatwię ci kasę, Willy. Kiedy tam możesz pojechać?

Brubeck się skrzywił.

– Chciałem wziąć parę dni wolnego, żebyśmy mogli uczcić z żoną naszą rocznicę. Chyba ci o tym mówiłem, kiedy prosiłeś mnie o dołączenie do grupy.

– Faktycznie – zreflektował się Decker. – Zapomniałem.

– Chętnie bym to odwołał, ale pół roku temu zarezerwowałem pobyt w meksykańskim kurorcie. Przepadłby mi zadatek.

– Niczego nie odwołuj, Willy, nie ma sprawy. – Decker spojrzał na Marge. – Możesz tam jutro pojechać?

– Jasne. – Marge zawahała się. – Chyba że masz dla mnie jakąś inną robotę.

Rzeczywiście. Przecież prosił ją, by sprawdziła zbirów wskazanych przez Rinę. Zaczynał się już gubić w tej mnogości wątków.

– To może poczekać – stwierdził i popatrzył na Olivera. – Pojedziesz z nią.

– Gdzie jest Ponceville?

– Dolecicie do Sacramento, a stamtąd dwie godziny samochodem – wyjaśnił Brubeck.

– Nawet mi nie mów, że mamy lecieć Southwestem – jęknął Oliver.

– Dalej dają darmowe orzeszki – potwierdził jego przypuszczenia Brubeck. – Obgadam wszystko z moim teściem. Może nawet wyciągnięcie od niego więcej, niż mnie by powiedział. Odnosi się z dużym szacunkiem do policji, chyba że akurat rozmawia ze mną. – Popatrzył na Deckera. – Jesteś pewien, że mogę jechać na ten urlop?

– Właściwie, Willy, to miałbym dla ciebie małą robótkę na południu. Krążą plotki, że jeden z ochroniarzy, Joe Pine, może ukrywać się w Meksyku jako José Pinon. – Streścił mu rozmowę z Brettem Harrimanem.

– Nie sprawdziliśmy go, więc może być zamieszany – potwierdził Messing. – Wydaje się nam, że nie jest notowany.

– To miejscowy chłopak, z Pacoimy. Zadzwońcie do Foothill Juvenile i zapytajcie, czy miał kiedyś kłopoty. Przydałyby się

jego odciski palców. – Decker popatrzył na Marge i Olivera. – Rondo Martin był szeryfem, na pewno da się zdobyć jego odciski.

– Dzwoniłem do T. z Ponceville – powiedział Brubeck. – Wygląda na to, że nie może znaleźć karty z odciskami Martina.

– Nie żartuj – powiedział Decker.

– Tam wszystko się toczy w żółwim tempie. Zaczynam wątpić, czy w ogóle je od niego pobrał.

– No to go zapytaj! – Decker podniósł ręce. – A w Meksyku spróbuj pogadać z miejscową policją, dowiedz się, czy coś wiedzą o Pinonie.

– O ile będę miał jakieś wsparcie. Na myśl o meksykańskich więzieniach robię się nerwowy.

– Kontaktuj się z nami, a wszystko będzie dobrze. – Decker odwrócił się do Marge i Olivera. – Jadąc na północ, zahaczcie po drodze o Oakland i dowiedzcie się czegoś na temat Neptune'a Brady'ego. Podczas morderstw był w mieście ze swoim ojcem, ale to nie znaczy, że nie ma z nimi związku.

– Co mógł zyskać na zamordowaniu szefa? – zapytała Wanda.

– Nie wiem. Ale dziwi mnie to, że Mace, a zwłaszcza Grant nadal zatrudniają Brady'ego jako ochroniarza. Gdyby to moich rodziców zamordowano, nie chciałbym go widzieć.

– Jak daleko jest z Oakland do Sacramento? – zapytał Oliver.

– Jakaś godzina drogi – odparł Brubeck.

– Możecie pojechać prosto z lotniska w Oakland. Poza tym

wczoraj odbyłem pogawędkę z Rileyem Karnsem. – Wtajemniczył ich w szczegóły. – Twierdzi, że w czasie morderstw spał. Co oznacza również, że spał, gdy kopano grób, w którym wylądował w końcu Denny Orlando. Nie wiem, czy mówi prawdę, ale wiem, że w tym czasie był na terenie rancza i wiedział o końskim grobie. A to już dwie okoliczności obciążające. – Popatrzył na Drew Messinga. – Zajmiesz się Karnsem, w czasie gdy twój partner będzie się wygrzewał w słonecznym Meksyku i szukał Pinona. To Gilliam Kaffey go zatrudniła do swoich koni, więc od tego bym zaczął. Spróbuj go przekonać do badania na wykrywaczu kłamstw.

– Dlaczego miałoby mu zależeć na śmierci Gilliam i Guya?

Decker wzruszył ramionami.

– Może ktoś mu zapłacił za milczenie. Znajdźcie motyw i będziemy mieli już trzy okoliczności obciążające. Kto sprawdza Anę Mendez i Paco Albaneza?

Marge uniosła rękę.

– Przynajmniej na razie wszystko w jej zeznaniach się zgadza. Ramy czasowe też. Z tego, co wiem, to zwykła, normalna dziewczyna. Paco Albanez, podobnie jak Karns, twierdzi, że spał, dopóki nie obudziła go Ana. Ale jeśli wie coś o końskim grobie, to może ktoś powinien z nim pogadać po hiszpańsku?

– Zajmę się tym – obiecał Decker.

– A co z ocalałym synem? – zainteresowała się Wynona.

– Gil Kaffey za parę dni powinien zostać wypisany ze szpitala. Dopóki nie wydobrzeje, będzie mieszkał ze swoim

byłym chłopakiem, Antoine’em Resseurem. Zdaje się, że Grant załatwił mu też pielęgniarkę.

Oliver skrzywił się.

– Na jego miejscu wyjechałbym jak najdalej stąd i zatrudnił porządnych ochroniarzy.

– Dziwne, że ani Grant, ani Mace nie wspominali o żadnych ochroniarzach – zauważył Decker.

– Może chcą skorzystać z usług Neptune’a Brady’ego?

Wszyscy zamilkli, aż wreszcie Decker wypowiedział to, co chodziło im po głowach:

– Brady pilnujący Gila to jak lis opiekujący się kurami w kurniku.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Na ranczu dzika przyroda kontrastowała ze starannie utrzymaną roślinnością. Za rezydencją rozciągał się surowy pustynny krajobraz. Pełno tam było chaparrali, szałwii, kaktusów i innych sukulentów, mnóstwo piasku i żwiru. Z kolei tereny przed domem były pieczołowicie doglądane i przemienione w ogrody ze strzelistymi drzewami, fontannami, kwiatami, ziołami i rabatami róż, które mieniły się w popołudniowym słońcu.

Jadąc krętą drogą dojazdową, Decker dostrzegł mężczyznę pochylonego nad pomarańczowymi nagietkami obramowanymi szmaragdowymi bukszpanami. Miał na sobie kombinezon khaki, a na głowie ogromny kapelusz zawiązany pod szyją. Decker zaparkował na poboczu, zostawiając innym pojazdom wystarczająco dużo miejsca, aby mogły bez problemu przejechać. Wysiadł i zaczął iść przez pełen słońca ogród. Popołudniowy skwar nie odpuszczał.

Paco Albanez odwrócił się, słysząc kroki, a na widok Deckera powoli się wyprostował, przykładając lewą rękę do biodra. Twarz miał ogorzałą i pomarszczoną. Ujął się pod boki i kiwnął głową.

– *Buenas tardes* - powiedział Decker. – *Est**á** caliente hoy.*

– *El verano es caliente.*

– *Verdad.*

Kiedy Decker skomplementował jego kwiaty, Albanez

uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały nieprzeniknione.

– Jeśli ma pan chwilę, chciałbym porozmawiać o tamtej nocy – powiedział Decker po hiszpańsku.

Albanez przetarł spocone czoło rękawiczką, zostawiając na nim smugę brudu. Ciemne oczy utkwił w swoich butach.

– Nie mam nic nowego do powiedzenia.

Decker wyjął notes.

– Tylko kilka szczegółów.

Paco spojrzał gdzieś ponad ramieniem Deckera.

– Staram się zapomnieć wszystkie szczegóły. – Pochylił się i wyrwał jakiś chwast. – Nie chcę tego pamiętać.

– Czy mógłby pan**...** – Decker strącił muchę z twarzy – wrócić jeszcze raz do tej nocy? – Ponieważ Paco nie odpowiedział, dodał: – Może czas na małą przerwę? Znajdziemy tu gdzieś trochę cienia?

Albanez niechętnie porzucił swoje stanowisko pracy i zaprowadził Deckera do sadu. Stało tu kilka kamiennych ławeczek. Usiedli na nich, każdy na osobnej. Albanez zapatrzył się przed siebie, pocąc się obficie.

– Wróćmy jeszcze raz do tamtej nocy – powiedział Decker.

Albanez zaczął mówić monotonnym głosem. Obudził go se**ñ**or Riley. Było około drugiej w nocy, a se**ñ**or Riley był bardzo zdenerwowany. Paco nie mógł go zrozumieć, bo za szybko mówił. W końcu zrozumiał, że coś się stało państwu Kaffeyom. Se**ñ**or Riley zaprowadził go do swojego bungalowu. Była tam już Ana. Płakała i cała się trzęsła. Powiedziała mu, co się stało, że państwo nie żyją. Krew była wszędzie**...** coś strasznego. Czekali z Aną w bungalowie do

chwili, gdy señor Riley wrócił z policjantami. Potem zabrano ich do głównego budynku, gdzie zostali rozdzieleni.

W środku strasznie śmierdziało. Kilka razy musiał wychodzić, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Chciał wrócić do swojego bungalowu, lecz policjanci kazali mu czekać na przyjazd szefa.

– Wreszcie pan przyszedł, porozmawialiśmy i w końcu mogłem wrócić do siebie.

Jego wspomnienia współgrały z zeznaniami Any. Mimo to Decker wciąż do końca nie wiedział, dlaczego pokojówka poszła do Rileya. To prawda, jego bungalow stoi bliżej od domu Albaneza, jednak Deckerowi coś tu nie grało. Przecież te budynki nie znajdują się wcale aż tak daleko od siebie. Ana jest hiszpańskojęzyczna, powinna była zrobić tych kilka kroków więcej.

Tyle że była spanikowana.

Miał już dosyć monotonnej recytacji Albaneza.

– Czy wiedział pan, że Gil Kaffey przeżył? – zapytał.

– Nie. – Paco oblizał usta.

Decker spojrzał mu w oczy.

– Jak pan uważa, dlaczego tak się stało?

– Jak ja uważam? – Zmarszczył brwi. Między jego oczami pojawiły się głębokie bruzdy. – Nie wiem. To było okropne.

– Dlaczego pana zdaniem Gil nie zginął?

– *Suerte*. – Czyli: „Miał szczęście”.

– Czy ktoś z panem rozmawiał na temat pana przyszłości na ranczu? – Kiedy Paco pokręcił głową, Decker zauważył: – A jednak ciągle pan tu pracuje.

– Ogród ciągle rośnie.

– Kto panu płaci?

Zmrużył oczy.

– Señor Gil mi zapłaci.

– Skąd pan wie? Obiecał to panu?

– Nie, ale przecież żyje – powiedział stanowczym głosem. – Zapłaci mi za opiekę nad ogrodem.

– Skąd pan wie, że nie sprzeda rancza?

Albanez zmieszał się, po czym spytał niepewnie:

– Dlaczego miałby to zrobić?

– Dla pieniędzy.

– A co z jego planami?

Decker miał nadzieję, że udało mu się ukryć zdziwienie.

– Proszę mi opowiedzieć o tych planach – poprosił.

– Chcieli założyć winnicę. To dlatego señor Kaffey kupił tę ziemię. On i señor Gil pracowali nad tym od lat. Mieli wiele projektów. Widziałem je.

Decker zachowaj spokój i niby obojętnie zapytał:

– Naprawdę chcieli tu założyć tu winnicę?

– Tak. Señor Gil i señor Kaffey często rozmawiali o winie.

Decker pomyślał o Grancie Kaffeyu i o tym, jak bardzo zależy mu na sprzedaży rancza.

– Słyszałem, że ranczo ma być sprzedane – powiedział.

Albanez spuścił wzrok.

– Jeśli tak, to poszukam sobie roboty gdzie indziej.

– Sądzi pan, że po śmierci pana Kaffeya Gil będzie kontynuował ich wspólne plany? – Gdy stary ogrodnik tylko bezradnie wzruszył ramionami, Decker zadał kolejne pytanie:

– Gil często tu bywał?

– Tak, ale nie mieszkał.

– Czy pana zdaniem jest szansa, że teraz, po śmierci pana Kaffeya, Gil tu zamieszka?

– Nie wiem, se**ñ**or. Dla niego to ranczo wiąże się ze złymi wspomnieniami.

– Ale czy pana zdaniem zrealizuje te plany?

– Mam nadzieję. Bardzo go lubię. I bardzo lubię tę pracę. – Opuścił głowę. – Starszego pana też bardzo lubiłem. Złościł się, ale miał wielkie serce.

– Podobno często podnosił głos. Krzyczał na pana?

Stary uśmiechnął się półgębkiem.

– Tak, krzyczał. „Dlaczego te kwiaty zwiędły?! Tutaj jest za dużo chwastów! Wyrwij je! Śmierdzący leń!”. A po chwili dawał mi pieniądze. Dwadzieścia dolarów za każdym razem, kiedy na mnie nakrzyczał. Kiedyś dał mi nawet sto dolarów. „Masz, Paco – powiedział. – Zabierz dziewczynę na kolację”.

– A jaka była se**ñ**ora Kaffey?

– Bardzo mało rozmawialiśmy. Mówiła tylko: „posadź cynie” albo „posadź tulipany”. Ale nie była niedobra. Kochała swoje konie i psy. Kiedy se**ñ**or Riley nie miał czasu, wyprowadzałem jej psy. Dużo rozmawiała z se**ñ**orem Rileyem i zawsze o czwartej po południu przynosiła wszystkim lemoniadę i ciastka. Bardzo dobre ciastka.

– Porozmawiajmy jeszcze przez chwilę o Rileyu. – Kiedy stary nie zareagował, Decker zapytał: – Czy pan wie, że w końskim grobie na terenie posiadłości znaleźliśmy jednego z ochroniarzy?

– Tak, wiem. Kopaliście tam wiele godzin.

– To Riley wykopał ten grób. Twierdzi, że pan mu w tym pomagał. To prawda?

– Tak.

– Czy ktoś jeszcze poza panem mu w tym pomagał?

Ogrodnik zmrużył oczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– No tak, jeszcze jeden albo dwóch ochroniarzy. Może Bernardo, może José**...**

– Mógłby pan podać ich nazwiska?

– Bernardo**...** Nie wiem, jak się nazywa. A José**...** To Joe Pine. To chyba on nam pomagał.

– Dobrze pan go zna?

– Jest młody, a ja stary. Nie znamy się za dobrze.

– Ale pomagał panu i Karnsowi kopać ten dół.

Albanez wzruszył ramionami.

– Powiedział: „kop tutaj”, to kopałem. Jego mundur pozostał czysty, mój kombinezon był cały brudny.

Wyglądało na to, że stary nie przepadał za Pine’em.

– Czy señor Gil kiedykolwiek rozmawiał z panem na temat winnicy?

– Obaj ze mną o tym rozmawiali. Mówili: „Paco, będziesz miał zajęcie na lata”. Ale powiedział pan, że chcą sprzedać ranczo, więc może wcale tak nie będzie. – Albanez podniósł się z ławki. – Muszę wracać do roboty.

– Dziękuję za rozmowę. Wie pan, jakie wino chcieli tu produkować?

– Chardonnay i cabernet. Przyjeżdżali tu jacyś ludzie, znawcy. Mówili im, jak sadzić rośliny, jak je pielęgnować, jak

zbierać winogrona. O tylu rzeczach trzeba pamiętać, zanim zrobi się wino.

– Produkcja wina to skomplikowany proces.

Albanez wzruszył ramionami i ruszył w kierunku rabat z kwiatami.

– Jeszcze raz dziękuję, że poświęcił mi pan czas – powiedział Decker, idąc za nim.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłem. Nie wiem już, kto jest dobry, a kto zły. Lepiej, żeby ci źli nie widzieli, że rozmawiam z policją.

Miał rację, ale Decker musiał wykonywać swoje obowiązki.

– Mam jeszcze jedno pytanie. Powiedział pan, że se**ñ**or Kaffey kupił ranczo, żeby założyć na nim winnicę. Mnie z kolei mówiono, że kupił je dla koni se**ñ**ory Kaffey.

Stary przez chwilę milczał. Potem zatrzymał się i zapatrzył w horyzont.

– Myślę, se**ñ**or, że jest tu dość miejsca na jedno i na drugie.

Ledwie wszedł do swojego gabinetu, kiedy dołączyła do niego Marge. Była tak miła, że przyniosła mu kawę. Doskonale wiedziała, że najlepszym sposobem na zmiękczenie serca porucznika jest uraczenie go dobrą małą czarną. Zamknęła drzwi.

– Udało mi się namierzyć jednego z gości wskazanych przez Rinę. To Frederico Ortez, znany jako Rico.

– Szybko ci poszło.

– Komputer to wspaniały wynalazek. Niestety, okazało się, że facet od trzech miesięcy siedzi w więzieniu.

– Skreśl go z listy. A co z tym drugim? No wiesz, Alejandro

Brand.

– Jego też sprawdziłam. Nienotowany jako dorosły. Ma dziewiętnaście lat i mieszka w Pacoimie.

– Więc jakim cudem znalazł się w naszym katalogu?

– Pewnie został zgarnięty podczas nalotu na siedzibę gangu.

– Czy dobrze pamiętam, że Joe Pine też mieszka w Pacoimie?

– Tak. Pine jest starszy od Branda, ale nie za dużo. Jemu też się przyjrzę.

– Jakiej narodowości może być Brand?

– Nie mam pojęcia.

– Przekonajmy się, czy coś na niego znajdziemy. Przesłuchamy go i puścimy Harrimanowi nagranie z jego głosem, może coś zaskoczy. Przed wyjazdem do Ponceville sprowadź tu jeszcze Oscara Vitaleza. Nagramy z nim sfingowane przesłuchanie i puścimy je Harrimanowi, żeby się przekonać, jak zareaguje na jego głos.

– Zrobię to jeszcze dzisiaj.

– Przygotowana na jutrzejszą wycieczkę?

– Pewnie. Willy się wszystkim zajął. Moim jedynym zmartwieniem jest to, że lecę z Oliverem i cały czas będę musiała wysłuchiwać jego marudzenia. A co u ciebie, Pete?

– Właśnie wróciłem z Rancza Kojota. – Streścił jej rozmowę z Albanezem. – Chciałem się przekonać, czy potwierdzi, że był jedną z osób, które wykopały grób dla koni, a dowiedziałem się, że Guy i Gil planowali założenie winnicy.

– Zaraz**...** Przecież mówiłeś, że Grant planuje sprzedaż

rancza.

– Tak, ale od Albaneza usłyszałem co innego. Traktował te winnice jako pewnik. – Zadumał się na moment. – Może Grant nic nie wiedział o planach Gila?

– Albo po tym, co się stało, plany uległy radykalnej zmianie.

– Możliwe też, że Grant zdecydował za Gila. – Decker zawiesił głos. – Oliver powiedział na dzisiejszej odprawie coś ciekawego. Pamiętasz? Że na miejscu Gila wyniósłby się stąd i zatrudnił porządnych ochroniarzy. Fakt, że Gil tego nie zrobił, daje mi do myślenia.

– Dlaczego?

– Nie uważasz, że powinien bardziej się przejmować swoim bezpieczeństwem?

– Niewykluczone, że jest zbyt oszołomiony, by podejmować właściwe decyzje. Ciągle jeszcze leży w szpitalu. Może dopiero wtedy, gdy z niego wyjdzie, zrozumie, że potrzeba mu nie tylko pielęgniarki i byłego chłopaka. À propos, nie powinniśmy porozmawiać z tym ostatnim?

– Już się tym zająłem. Spotykamy się dzisiaj o ósmej wieczorem w jego mieszkaniu w West Hollywood.

– A dlaczego nie w Abby? Słyszałam, że mają tam obłędne jedzenie.

– Ale nie jest to koszerne żarełko, więc i tak nic bym z tego nie miał. W każdym razie zaproponowałem, że porozmawiamy w jakimś wybranym przez niego miejscu publicznym, ale wolał mieszkanie. Podejrzewam, że nie chciał być widziany z policjantem.

– Albo nie jesteś w jego typie.

Decker uśmiechnął się.

– Jeszcze mnie nie widział. Skąd miałby to wiedzieć?

– Wokół policjantów krąży mnóstwo stereotypów. Może wydaje mu się, że jesteś za męski jak dla niego.

– W takim razie kierują nim uprzedzenia. Cóż, jego strata, przez to nigdy nie pozna mojej wrażliwej strony.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Rina rozpoznała go głównie po okularach przeciwsłonecznych, eleganckich i drogich. Harriman, ubrany w niebieską marynarkę, spodnie khaki i czerwony krawat, opierał się o ścianę i jadł batonik. Na pozór wydawał się zrelaksowany, jednak po bliższym przyjrzeniu wyczuwało się w nim napięcie. Rina doskonale wiedziała, co jest jego przyczyną. Właśnie podsłuchiwał rozmowę tych samych Latynosów, co poprzednio. Teraz, gdy wiedziała, co robi, wydał się jej odważny, lecz zarazem lekkomyślny.

Ze wszystkich sił starała się na nich nie patrzeć.

Nie, to zdecydowanie byłoby nierozsądne.

Przeniosła wzrok na kłębiący się obok tłum. Przerwa na lunch dobiegała końca. Do otwarcia sal sądowych zostało około pięciu minut. Gorączkowo próbowała wymyślić jakiś plan. Harriman zwrócił nieznacznie twarz w kierunku mężczyzn. Jeden z nich spojrzał na niego. Zastanawiała się, czy nie podejść do tłumacza i nie zabrać go stąd, ale to jeszcze bardziej zwróciłoby na niego uwagę.

Pracownik sądu wezwał ławników na rozprawę do sali obok. Uznała, że zostało jej jeszcze kilka minut. Wykorzystała ten czas, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyznom i zapamiętać ich wzrost, rysy twarzy, znaki szczególne. A przede wszystkim tatuaże: węża, tygrysa, rekina oraz symbole BXII i XII. Niższy z Latynosów, ten, który więcej mówił, miał

bliznę przy lewym uchu. Niespodziewanie odwrócił głowę i przeszył Harrimana gniewnym spojrzeniem.

A potem coś do niego powiedział.

Harriman spochmurniał. Wybąkał coś, po czym nie zdradzając najmniejszych oznak zdenerwowania, ruszył w kierunku męskiej toalety. Niższy z mężczyzn nie odrywał od niego wzroku. Serce podeszło jej do gardła, gdy nagle zaczął iść w tę samą stronę.

Na szczęście ktoś krzyknął „Alex!” i mężczyzna się zatrzymał.

Alejandro Brand, człowiek z blizną, pomyślała Rina.

Alex, czyli niski facet z wytatuowanymi wężem i tygrysem, odwrócił się i ruszył do mężczyzny w pomiętym garniturze i z zaczeską, prawdopodobnie obrońcy z urzędu. Weszli razem z wyższym mężczyzną, z którym rozmawiał Alex, do jednej z sal.

Dobiegła do Harrimana, gdy zaczęto wzywać na salę jej grupę ławników.

– Musi pan uważać – wyszeptała. – Nie spuszczał z pana wzroku, kiedy szedł pan do toalety.

Tłumacz cofnął się o krok.

– Który? – zapytał bez zbędnej zwłoki.

– Ten niższy.

– To nic mi nie mówi. Meksykanin czy Salwadorczyk?

– Nie mam zielonego pojęcia. Nie znam hiszpańskiego. Zdaje się, że ktoś zawołał do niego „Alex”.

– W takim razie wie pani o nim więcej niż ja. Powinna pani pomówić z policją.

– Codziennie z nią rozmawiam. Muszę już iść. Czekają na mnie.

– Zaraz, czy to znaczy, że Decker to pani mąż? – zapytał Harriman.

– Nie powinien mi pan zadawać osobistych pytań, ale wiem, że porucznik Decker mówi płynnie po hiszpańsku, więc może będzie mógł panu pomóc.

– Musimy porozmawiać.

– Nie możemy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, zadzwoni do pana porucznik Decker.

Rina podbiegła do pozostałych ławników. Na szczęście i tak czekali jeszcze na kogoś, więc w sumie nic się nie stało.

– Jesteś cała rozczochrana – zauważyła Joy, przyglądają się jej złośliwie. – Coś ty robiła w przerwie na lunch?

Co za bezczelne babsko!

– Wierz mi, nie to, co myślisz. – Rina miała nadzieję, że powiedziała to niedbałym tonem. Ich proces zapewne zakończy się tego popołudnia i nigdy więcej nie zobaczy żadnej z tych osób. Liczyła, że to już koniec rozmowy, ale Ally okazała się bardziej spostrzegawcza od Joy.

– Rozmawiała z Uśmiechniętym Tomem – powiedziała.

– Naprawdę? – Joy uniosła brwi ze zdziwieniem. – O czym znowu z nim rozmawiałaś?

– Ponieważ nie widzi, zapytał mnie o godzinę. – Rina przewróciła oczami, udając, że jej się to nie podobało. – O, jest już Spóźnialski Kent. Zaraz wchodzimy.

– Znasz go? – zapytała Ally.

– Kogo?

– Uśmiechniętego Toma.

– Nie, nie znam go. Niby dlaczego miałabym go znać?

– Szkoda. – Ally westchnęła rozczarowana. – Miałam nadzieję, że mi go przedstawisz.

– Co takiego?

Ally zarumieniła się.

– W dzisiejszych czasach strasznie trudno poznać kogoś odpowiedniego, a on wydaje się całkiem fajny.

Kiedy Decker zobaczył na wyświetlaczu swojej komórki numer żony, natychmiast odebrał.

– Już po wszystkim?

– Tak.

– To dobrze. I co, skazaliście go?

– Skąd wiesz, że to był mężczyzna?

– Miałem pięćdziesiąt procent szans na to, że uda mi się trafić. Nie, sporo ponad pięćdziesiąt procent, bo większość oskarżonych to mężczyźni. Ale co mnie obchodzi ta sprawa, powiedz lepiej, czy znów ich widziałaś.

– Tak, widziałam.

– Cholera jasna! Przepraszam. Mam nadzieję, że cię nie zauważyli.

– Byłam prawie niewidzialna. Cały czas się pilnowałam.

– Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło.

– To nie wszystko. Harriman znów ich podsłuchiwał, ale tym razem jeden z nich go na tym przyłapał. Zamienili kilka słów i Harriman ruszył do męskiej toalety. Latynos zaczął za nim iść, ale na szczęście ktoś go zawołał. Trochę się wystraszyłam. No, może nie trochę.

Decker poczuł cierpki posmak w ustach.

– Zadzwonię do niego.

Rina odetchnęła głęboko, po czym dodała:

– Ten Latynos miał bliznę i wytatuowanego węża. Ktoś zawołał do niego „Alex!”.

To Alejandro Brand, pomyślał Decker.

– Dzięki – powiedział.

– Tym razem lepiej im się przyjrzałam. Chciałabym jeszcze raz spojrzeć w wasze katalogi.

Cierpki posmak zmienił się w gorzki. Decker na moment przymknął oczy. Czy miał jakiś wybór?

– Dobrze, coś wykombinuję. Kiedy będziesz w domu?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, zjedzmy kolację na mieście. Hannah uczy się u Avivy do egzaminów. Wykorzystajmy to, że nie ma jej w domu.

– Świetny pomysł. Pojedź na razie do swoich rodziców. Ja muszę się jeszcze z kimś spotkać.

– Dobrze. Gdzie pójdziemy?

– Wszystko jedno, byle podawali tam steki.

– Coś znajdę.

– Możesz też zaprosić rodziców. Dawno się nie widzieliśmy.

– To miło z twojej strony.

– Przecież wiesz, że lubię twoich staruszków. – Naprawdę ich lubił. Po tylu latach darzyli się wzajemnym szacunkiem. – Tylko powiedz swojemu tacie, że tym razem ja stawiam.

Rina roześmiała się.

– Dobrze wiesz, że do tego nie dopuści.

– Tak, wiem. – Decker westchnął. – Jeśli ma go to

uszczęśliwić, pozwolę mu uregulować rachunek. Jeśli chce, może nawet zostawić napiwek.

Mieszkanie znajdowało się w stojącej na granicy Hollywood i West Hollywood kamienicy z beżową fasadą i oknami mansardowymi. W lśniącym od luster i marmurów holu stały fotele o obiciach z brązowego aksamitu i czarne stoliki. Portier w liberii skierował Deckera do mosiężnych, utrzymanych w stylu art déco drzwi windy i poinformował, że powinien pojechać na szóste piętro.

Z dwóch panoramicznych okien w salonie Antoine'a Resseura rozciągał się olśniewający widok. Na umeblowanie składały się czerwone skórzane sofy, klonowe stoliki i regały na książki. Czarna granitowa podłoga płynnie przechodziła w palenisko kominka. Światło było przyćmione, a z głośników dobiegały dźwięki muzyki klasycznej.

Ubrany w dżinsy, niebieską koszulę z bawełny oksfordzkiej z zapinanym na guziki kołnierzykiem i mokasyny, Resseur trzymał w dłoni kieliszek czerwonego wina. Był niski i drobny, z regularnymi rysami, ciemnymi włosami i orzechowymi oczami, które przypominały szklane kulki.

– Napije się pan czegoś, poruczniku?

– Nie, dziękuję. Cieszę się, że zgodził się pan ze mną porozmawiać.

Głos Resseura był cichy i łagodny. Usiadł i pokazał Deckerowi miejsce na sąsiedniej kanapie.

– To był koszmar.

– Wciąż jest pan blisko związany z Gilem?

– Jesteśmy najlepszymi przyjaciółmi. – Wypił łyk wina.

– To bardzo miło z pana strony, że zaproponował pan, że się nim zajmie.

Resseur spuścił wzrok.

– W tej chwili Gil ufa tylko mnie.

– A nie bratu?

– To nie Grant został postrzelony, prawda? – Resseur westchnął. – Wiem, że zabrzmiało to okropnie. Wydaje mi się, że Gil ma lekką paranoję.

– Po czymś takim trudno się dziwić. Czy Gil powiedział panu wprost, że nie ufa Grantowi?

– Powiedział, że nie ufa nikomu oprócz mnie.

Decker wyjął długopis i notes. Jeśli o niego chodzi, to nie ufał bohaterowi tej opowieści i temu, w jaki sposób Resseur przedstawiał siebie.

– Jak długo pan i Gil byliście parą?

– Około sześciu lat.

– To szmat czasu. Dlaczego się rozstaliście?

Resseur zamieszał wino w kieliszku.

– Gil był bardzo zapracowanym człowiekiem. Jego ojciec o to zadbał. Nie miał za dużo czasu na związki.

Decker pokiwał głową, ale nic nie komentował.

– Ciągle tylko zajęty i zajęty. – Resseur wypił kolejny łyk. – Kiedy Guy i Mace zaczęli się wzajemnie oskarżać, wszystko jeszcze się pogorszyło. Myślałem, że po ugodzie trochę się uspokoi, ale gdzie tam, było jeszcze gorzej.

– Jak to?

– Mace został odesłany z powrotem na Wschodnie Wybrzeże i większość obowiązków spadła na barki Gila. To

było straszne.

– Możemy o tym porozmawiać? Zastanawiam się, dlaczego Mace został w firmie, mimo że został przyłapany na malwersacjach.

Resseur przesunął językiem po wnętrzu policzka.

– Jak by to ująć**...** W Kaffey Industries nic nie działo się bez wiedzy Guya.

– Guy wiedział, że Mace dokonuje malwersacji?

– Trudno mówić o malwersacjach, jeśli szef o wszystkim wie. – Resseur wzruszył ramionami. – To właśnie robią bogacze, kiedy nie mają drobnych. Sięgają po lewą kasę. Właściwie czemu nie? Przecież to wszystko ich pieniądze.

– No dobrze – powiedział Decker. – To po co cały ten proces?

– Kaffey miał kłopoty ze skarbówką, więc Mace wziął to na siebie. Z pozoru wyglądało to tak, że Mace poszedł w odstawkę. W rzeczywistości dostał w nagrodę Greenridge. – Resseur znów napił się wina. – Nie powinienem tyle pić, za dużo gadam.

Decker zapewnił go, że nie wykorzysta tych informacji przeciwko niemu. W istocie sprawiły one, że Mace spadł ze szczytu listy podejrzanych, choć wciąż plasował się w czołówce.

– Jak Mace i Guy się dogadywali?

Resseur potarł brodę.

– Nadspodziewanie dobrze z uwagi na to, że Guy był bardzo porywczy. Grant to jego wierna kopia.

– Zaznał pan porywczości Granta?

– Nie bezpośrednio, ale niejedno widziałem. Gil jest o wiele spokojniejszy, tak jak Mace. To dlatego tak trudno mu było po odejściu Mace’a, który pełnił funkcję mediatora między nim a ojcem.

– Słyszałem, że Guy i Gil byli ze sobą bardzo blisko.

– Jeśli rozumie pan przez to wspólną pracę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, to rzeczywiście byli ze sobą bardzo blisko.

– Ale przecież planowali założyć winnicę na Ranczu Kojota?

– Naprawdę? – Resseur sprawiał wrażenie szczerze zaskoczonego. – Pierwsze słyszę. No, ale wypadłem z obiegu. To nawet niezły pomysł. Gil jest nie lada znawcą wina. A przy okazji zrobiliby dobry użytek z tego giganta.

– Giganta?

– Ta posiadłość ma wielkość parku narodowego.

– Wygląda na to, że ma pan wiele przemyśleń dotyczących tej rodziny. – Decker odłożył notes. – Jak pan myśli, do czego tam właściwie doszło?

– Ja mam to panu powiedzieć? – Pokazał na siebie palcem. – Nie wiem.

– Ale na pewno zastanawiał się pan nad tym.

– Oczywiście. – Podszedł do okna i wpatrzył się w panoramę miasta. Potem odwrócił się do Deckera. – W sumie nie wymyśliłem nic odkrywczego. Biorąc pod uwagę wszystkie te zabezpieczenia, to musiała być robota kogoś z wewnątrz. Zdaje się, że jeden z ochroniarzy zaginął, prawda?

– Zgadza się. Ale nie uważa pan, że jedna osoba nie byłaby w stanie przeprowadzić tego sama?

– Nie, to zupełnie nie tak się odbyło. Ktoś wynajął zbirów do tych morderstw. Gil pamięta, że zanim upadł i stracił przytomność, widział gości z tatuażami.

– Ma pan jakichś kandydatów do roli mózgu tego przedsięwzięcia poza ochroniarzem, a kiedyś zastępcą szeryfa, który nazywa się Rondo Martin?

– Sprawdziłbym szefa ochrony, Neptune'a**...** jak mu tam?

– Neptune Brady. Dlaczego podejrzewa pan właśnie jego?

– Odpowiadał za bezpieczeństwo Guya i Gilliam. Oboje są martwi.

– Grant zatrzymał Brady'ego na stanowisku ochroniarza. Co pan o tym myśli?

– To świadczy albo o głupocie Granta, albo o tym, że Gil ma rację, że się go boi.

– Naprawdę myśli, że to jego brat stoi za tymi morderstwami?

– Gil mówił dużo rzeczy. Ale bredził odurzony środkami przeciwbólowymi. Nie myśli logicznie.

– Czy zorganizuje pan jakiś rodzaj ochrony po wyjściu Gila ze szpitala?

Resseur zastukał palcami o blat stolika.

– Poruszyłem tę kwestię, ale Gil niechętnie rozmawia na ten temat. Nalega, żeby go zabrać ze szpitala, bo myśli, że lekarze próbują go otruć. To dlatego nie traktuję zbyt poważnie tego, co mówi o Grancie.

– Nawiasem mówiąc, Grant w rozmowie ze mną nazwał pana przyzwoitym facetem.

– Naprawdę tak powiedział? – Resseur dokończył wino. – To

miłe. Moim spotkaniom z rodziną Gila zawsze towarzyszyło**...** pewne napięcie. Na wielkie przyjęcia przychodziłem w towarzystwie swojej niezwykle atrakcyjnej siostry. Nie żeby udawało nam się kogoś nabrać. Matka Gila zawsze serdecznie odnosiła się do mnie, ale jego ojciec był**...** powiedzmy, że skrępowany.

– Czy Guy kiedykolwiek skomentował w pańskiej obecności pana związek z Gilem?

– Nie. – Resseur wstał i nalał sobie następny kieliszek wina. – Gil był zawsze bardzo opiekuńczy. Troszczył się o mnie, a ja z radością zgadzałem się na wszystko, czego pragnął.

– Nie czuje pan do niego urazy?

Resseur zareagował wymuszonym śmiechem.

– Urazy? Nigdy w życiu. – Znów przypuścił atak na wino. – Jak mógłbym do niego czuć urazę, skoro wakacje spędzaliśmy w Monako albo na hiszpańskiej Riwierze?

Decker uśmiechnął się.

– Rozumiem.

– Tak to się właśnie odbywało. Gil mówił, gdzie się wybieramy, a ja, w zależności od tego, co usłyszałem, pakowałem smoking albo kąpielówki. Nie widziałem sensu w robieniu awantur, zwłaszcza że widywaliśmy się tak rzadko. – Zapatrzył się na swój kieliszek, jakby czytał z fusów. – A teraz wygląda na to, że spędzimy ze sobą mnóstwo czasu.

– Chyba to panu odpowiada.

W oczach Resseura pojawiły się łzy.

– Kocham Gila. Biorę, co dają.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

– To on. – Rina wskazała na zdjęcie z podpisem „Alejandro Brand”. – Ten niższy, do którego ktoś wołał „Alex”. Pamiętam twarz, tatuaże, tego węża i tygrysa oraz bliznę. To na pewno jego widziałem tego popołudnia z Harrimanem.

– Dobra. – Decker spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta trzecia i czuł się wykończony, jednak entuzjazm Riny tchnął w niego nową energię. – Zobaczmy, co tu mamy. – Wpisał nazwisko do komputera, ale maszyna się zawiesiła. – Sprzęt nam się zbuntował. Wrócimy do tego rano, a teraz chodźmy już do domu.

– A nie chcesz, żebym sprawdziła tego wyższego? To nie powinno zająć dużo czasu.

– Nie, zróbmy już sobie wolne.

Rina omiotła spojrzeniem opustoszały posterunek i ponownie spojrzała na męża. Chociaż oboje byli od świtu na nogach, dla Petera ten dzień okazał się trudniejszy i bardziej wyczerpujący. Natomiast żona nie kryła, jak bardzo jest rozemocjonowana. Dokonała ważnego dla śledztwa odkrycia, uczestniczyła w najgłośniejszej od lat sprawie kryminalnej, to było dla niej nowe i ekscytujące.

– Masz rację. Pewnie będzie lepiej, jeśli odpocznę.

– Tak, na pewno. – Zamknął katalog ze zdjęciami.

Wyszli z komisariatu, a po chwili odjechali z parkingu porsche Deckera.

– Po identyfikacji tego drugiego faceta twój udział w tej sprawie się zakończy, rozumiesz? – powiedział.

– Spokojnie. Chętnie się wycofam. I tak nie mam nic więcej do dodania.

– Po tym, co właśnie powiedziałaś**...** – Zabębnił palcami o kierownicę. – Pewnie wyjdę na hipokrytę, ale muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie.

– Wcale nie jesteś hipokrytą. Miotasz się po prostu między chęcią zdobycia informacji a potrzebą zapewnienia mi bezpieczeństwa. A ja ci mówię, żebyś przestał się martwić. Nikt mnie nie widział. Zanim doszłam do Harrimana, oni już poszli na salę rozpraw.

– A co, jeśli mają szpiegów?

– Na pewnie nie mają żadnych szpiegów – odparła łagodnym głosem. – Wiem, że gang Bodega z Dwunastej Ulicy składa się ze strasznych bandziorów, ale to nie CIA, nie mają wszędzie swoich agentur i wtyczek. O co chciałeś mnie zapytać?

– Hm, zaraz**...** – Wyraźnie zgubił wątek. – A prawda. Jesteś pewna, że Harriman nie zająknął się o swojej rozmowie z Aleksem?

– W ogóle nie wspominał, że rozmawiali. Powiedział tylko, że musimy pogadać.

– Zapomnij. Nic z tego. Nie tylko nie macie o czym ze sobą rozmawiać, ale na dodatek gdyby jakiś sprytny adwokat dowiedział się o waszych pogaduchach, mógłby stwierdzić, że spiskowaliście przeciwko jego klientowi.

– Słuszna uwaga, panie mecenasie. Widzę, że jednak nie

zmarnowałeś czasu na studiach prawniczych. – Rina usiadła wygodniej w fotelu. – Powiedziałam mu, że nie będę z nim rozmawiać, a jeśli ty będziesz chciał z nim pogadać, to sam zadzwonisz.

– Dobra odpowiedź. Nie zna twojego numeru telefonu, prawda?

– Nie.

– Świetnie. Coś mi w nim nie pasuje.

– W Harrimanie? Czemu? Chyba nie myślisz, że zmyśla?

– Nie, ale czemu się narażał, znów podsłuchując tych bandziorów?

Rina dumała przez chwilę, po czym odparła:

– Czasami ludzie nie zdają sobie sprawy z konsekwencji tego, co robią. Harriman od dłuższego czasu pracuje w sądzie, więc pewnie oswoił się z groźnymi typami. Poza tym jest niewidomy, więc nie wyłapuje komunikatów niewerbalnych. I wiesz, jak sława działa na ludzi. Może to dla niego jedyna szansa, żeby zostać głównym świadkiem, a nie tylko nic nieznaczącym tłumaczem.

Kursując regularnie między Los Angeles a Santa Barbara, Marge często mijała ciągnące się całymi kilometrami farmy w okolicach miast Oxnard i Ventura, niekończące się pola z każdym składnikiem sałatki, jaki tylko można sobie wyobrazić, począwszy od awokado, a skończywszy na ziemniakach. Wzdłuż drogi stały stragany ze świeżo zebranymi produktami spożywczymi i kwiatami. Wielokrotnie zdarzało się jej dojeżdżać do domu swojego chłopaka z torbą wypełnioną pomidorami, marchewką, burakami chioggia,

czerwonymi cebulami i woreczkami zieleniny.

Jednak podczas kilkuminutowej jazdy wynajętym na lotnisku samochodem Marge zorientowała się, że nikt w Ponceville nie zawracał sobie głowy zaspokajaniem potrzeb klientów detalicznych. Wszystko tutaj było ukierunkowane na przemysł rolny, na wielkotowarową produkcję i hurtową sprzedaż. Mijali plantacje oddzielone od siebie ogrodzeniami i zakazami przejścia. Żadnych przyciągających oko straganów. Jechali wśród profesjonalnie uprawianych i pielęgnowanych pól i sadów. Gałęzie awokado ocieniające niedojrzałe cytrusy, srebrzyste listki drzewek oliwnych, rzędy drzew owocowych, na których rosły brzoskwinie, morele, śliwki i nektarynki. Teren pokrywała siatka kolorowych pól, porośniętych mieszaniną aromatycznych upraw: kolendry, jalapeño, cebuli i zielonej papryki, od których aż kręciło w nosie.

Trudno było znaleźć jakieś drogowskazy, a nie licząc samotnej stodoły czy pługa na polu, krajobraz wciąż wyglądał tak samo. Jechali dwupasmową szosą wiodącą przez najżyźniejszy obszar Ameryki, i korzystając z zawiłych wskazówek Willy’ego Brubecka, szukali drogi do farmy jego teścia. GPS w wynajętym samochodzie był zepsuty i po jakichś trzydziestu minutach jazdy dotarło do nich, że się zgubili.

– Możemy zadzwonić po pomoc – zasugerowała Marge.

– Możemy – zgodził się Oliver. – Ale nie mam pojęcia, gdzie jesteśmy.

Marge zatrzymała samochód na poboczu.

– Zadzwoń do niego i powiedz, że jesteśmy między melonami a paprykami habanero.

Oliver uśmiechnął się do niej.

– Podaj mi numer – powiedział.

Marge spełniła jego prośbę.

– Gdyby odebrała jego żona, to na imię jej Gladys.

– Dzięki**...** Dzień dobry, z tej strony Scott Oliver z wydziału zabójstw policji Los Angeles. Chciałbym porozmawiać z Marcusem Merrym**...** Tak, właśnie. Jak się pani ma? Pani mąż był tak dobry, że umówił się z nami dziś na spotkanie i**...** Tak, zabłądziliśmy. Stoimy między polem melonów a paprykami habanero, jeśli to w czymś pomoże**...** Tak?**...** Ależ nie musi**...** Tak, to na pewno pomoże. Dziękuję. Do usłyszenia. – Spojrzał na Marge. – Starszy pan po nas przyjedzie. Przygotowali nam coś na ząb po podróży.

– To pewnie w ich języku oznacza wielką ucztę.

– Nie mam nic przeciwko temu. Nie jadłem śniadania. Nawet nie zdążyłem wypić kawy.

– To prawda, linie lotnicze nie popisały się, jeśli chodzi o jedzenie i napoje.

– „Nie popisały się” to łagodnie powiedziane. Zanim dotarł do nas wózek, zostały tylko woda i orzeszki. Czy ja jestem sójką? Nawet w więzieniu lepiej karmią.

– O ile lubisz cukier i skrobię.

– Naczelnicy nie są głupi. Cukier i skrobia wpędzają podopiecznych w śpiączkę cukrzycową. Oni, w odróżnieniu od linii lotniczych, wiedzą, jak uszczęśliwić ludzi.

Siedzieli w salonie na krzesłach z perkalowymi obiciami.

Ściany pomalowane były na cytrynowo, podłoga z sosnowych desek, a na ścianach wisiały dziesiątki rodzinnych zdjęć, zarówno kolorowych, jak i czarno-białych, oraz duży abstrakcyjny obraz, które wydawał się tutaj kompletnie nie na miejscu.

„Coś na ząb” okazało się szynką, serem, świeżymi owocami, pokrojonym zielonym ogórkiem, pomidorami, cebulą, awokado i kilkoma rodzajami białego i ciemnego pieczywa. W żółtej miseczce podano musztardę.

Początkowo Oliver próbował zachowywać się kulturalnie, ale kiedy Marcus Merry przygotował sobie gigantyczną kanapkę, Scott dopuścił do głosu swój żołądek. Teść Willy’ego Brubecka mógł mieć od siedemdziesięciu do dziewięćdziesięciu lat. Korpulentny, siwowłosy i o skórze barwy kawy z mlekiem. Miał na sobie dżinsową koszulę, ogrodniczki i buty na gumowych podeszwach. Jego dłonie i paznokcie były porządnie wyszorowane.

Gladys wyraźnie się ucieszyła, widząc, że apetyt im dopisuje.

– Mam jeszcze ciasto – powiedziała.

Żona Marcusa była drobną kobietą z siwymi kręconymi włosami przyciętymi przy samej skórze. Miała okrągłą twarz i brązowe oczy. W typie chłopczycy, przypominała starszą, opaloną wersję Audrey Hepburn. Nosiła dżinsy, białą bluzkę i tenisówki o takim samym kolorze, a w jej uszach połyskiwały niewielkie brylantowe kolczyki.

– Wszystko jest naprawdę przepyszne – pochwaliła ją Marge.

– Ciekawa jestem, co powiecie o cieście. Porozmawiajcie sobie z Marcusem, a ja po nie pójdę.

– Chyba nie zmieszczę ciasta – zaprotestowała Marge. – Jestem już pełna.

– To nie jedz.

Koniec dyskusji.

– Zawsze pracował pan na farmie, panie Merry? – zapytała Marge.

– Mówta mi Marcus. Tak, cała moja rodzina od pokoleń robi na roli. – Mówił z mieszaniną teksańskiego akcentu i gwary czarnych mieszkańców Południa. – Nazwisko Merry nadał mojemu pradziadkowi jego właściciel. Pułkownik go wyzwolił, dał mu pięćdziesiąt dolców i własne nazwisko. – Merry odgryzł kawałek kanapki. – Pewnikiem ten pułkownik był moim prapradziadkiem. Widzita, jaką mam jasną skórę.

Marge skinęła głową.

– Z drugiej strony tak samo. Moja córka**...** żona Willy'ego**...** każden jeden marzył o tym, żeby się z nią chajtnąć. Prawdziwa z niej była pięknisia**...** Zupełnie jak moja stara. Szlag, ale mi brakuje tej dziewczyny. Choć Willy też nie jest taki najgorszy. Tylko mu nie mówta, że to powiedziałem – Zaśmiał się. – Mój dziadek postanowił zaryzykować i przenieść się z Georgii do Kalifornii. Wtedy roiło się tutaj od różnych ludzi: Meksykanów, Chińczyków, Japończyków, Indian**...** Kilku czarnych nie robiło nikomu różnicy. Dopiero później, kiedy doktor King zaczął mówić o swoim śnie, zaczęły się kłopoty.

– Nadal macie tu takie problemy? – zapytał Oliver.

– Nie. Robimy swoje i do niczego się nie wtrącamy. Nawet mamy czarnego w Białym Domu. – Machnął ręką. – Po co ja wam to mówię. Sami najlepiej wiecie, jak to wygląda. – Zamilkł na chwilę. – Willy twierdzi, że nie macie u siebie za dużo przestępstw.

– Nie jest najgorzej – potwierdziła Marge.

– To dobrze. – Marcus ugryzł kolejny kęs. – Nie chciałbym, żeby chłopak się narażał. Ale o tym też mu nie mówta.

– Będę milczeć jak grób – obiecała Marge. – Jak twoja córka go poznała?

– W kościele.

– Przecież Willy nie pochodzi z tej okolicy – zdziwił się Oliver.

– Nie, ale był w Wietnamie z chłopakiem, który mieszka trzy farmy dalej, na północ. Przyjechał do niego w odwiedziny i zaskoczył mnie tym, że pomyślał o wizycie w kościele. – Pokręcił głową.

– A co się stało z tym jego kolegą? – zapytał Oliver.

– Wrócił do korzeni. Hoduje kukurydzę na biopaliwa. Ja nie sadzę roślin, żeby karmić samochody. Karmię ludzi. – Kolejny kęs kanapki. – I co z tym ciastem?! – zawołał.

– Wolnego, zaraz będzie!

Kiedy Gladys w końcu przyniosła ciasto, ochom i achom nie było końca. Czekoladowe, pokryte lukrem i przełożone warstwami jagód. Oliver nie mógł powstrzymać ślinotoku, gdy podała mu pierwszy kawałek.

– Dziękuję bardzo.

– Ależ proszę. I weźcie sobie po kawałku do domu. On nie

powinien tyle jeść.

– Skoro nie chcesz, żebym jadł, to po co żeś je upiekła? – obruszył się Marcus.

– Dla sztuki – odparowała jego żona.

– To oddaj je do muzeum. – Pochłonął swój kawałek w czterech kęsach. – Wiem, że chceta porozmawiać z szeryfem, ale dopiero za jakieś pół godziny będzie miał dla nas czas. Póki co musita wysłuchiwać naszych sprzeczek.

– Ale z ciebie głupek. – Żona klepnęła go w ramię. – Kawy?

– Chętnie – poprosił Marcus.

– To zaparzę świeżej. – Ponownie ruszyła do kuchni.

– Jak dobrze znasz Rondo Martina? – zapytała Marcusa Marge.

– I czy w ogóle go znasz? – dodał Oliver.

– Wiem, kto to, ale nie znałem go za dobrze. Chceta wiedzieć, czy robiłem z nim jakieś interesy?

– Tak naprawdę ciekawi nas wszystko na jego temat. – Marge sięgnęła po notes. – Wiesz, dlaczego się nim interesujemy, prawda?

– Tak. Robił jako ochroniarz na tym ranczu, a potem zaginął.

– Co możesz nam o nim powiedzieć?

– Niewiele. Nie rozmawialiśmy ze sobą, nie licząc pozdrowień. Miałem wrażenie, że trzyma się na dystans z powodu mojego koloru skóry, ale inni twierdzili, że po prostu nie jest towarzyski. Coraz mniej towarzyskich ludzi w okolicy. Wszystkie farmy są w rękach wielkich firm.

Marge pokiwała głową.

– Kilku z nas się jeszcze trzyma. Parę razy próbowano mnie namawiać na sprzedaż ziemi, ale to dziedzictwo moich dzieci. – Przerwał na moment. – No, dość już o polityce, przecież chceta rozmawiać o Martinie. – Marcus odchrząknął. – Kilka razy zajrzałem do gospody na piwo i widziałem go, jak pił whisky, gadając z Mattem lub Trevorem czy kto tam akurat stał za barem. Kiedy jest dobra pogoda i długie dni, pracujemy od świtu do zachodu słońca. Zimą robi się chłodno, to wtedy gospoda ma największy utarg.

– Często tu dochodzi do przestępstw? – chciał wiedzieć Oliver.

– Szeryf pewnie będzie lepiej zorientowany – wyjaśnił Marcus. – Ale z tego, co czytam w naszej gazecie, najwięcej przestępstw dotyczy emigrantów, którzy w weekendy po pijaku leją się po pyskach. Nie ma tu zbyt wiele do roboty. Jest sklep, kościół, kino, biblioteka, parę restauracji i ulica z knajpami. To wszystko.

– Czy emigranci chodzą do waszego kościoła?

– Nie. My są baptyści, a wśród nich są głównie katolicy i zielonoświątkowcy. Nie mamy tu takich kościołów. Muszą chodzić gdzie indziej.

– Gdzie mieszkają? – zapytała Marge.

– Na obrzeżach. Nazywamy te okolice „ciudads”, znaczy się miasta po ichniemu. Ponceville jest zbudowane na planie kwadratu. W samym środku miasteczko otoczone przez farmy, a na skraju mieszkają emigranci. Żyją w dość prymitywnych warunkach, zapewnianych im przez wielkie

firmy. Mają bieżącą wodę i prąd, ale nie ma tam żadnych luksusów. Tak czy siak, robotników przybywa. Pewnikiem będzie tak, dopóki warunki życia w ich kraju będą gorsze niż tutaj.

– Są tu legalnie? – zapytał Oliver.

– Firmy załatwiają im pozwolenia i wszyscy mają zielone karty. Nie da się inaczej, bo w innym razie urząd emigracyjny może zamknąć firmę. Ale zdaje się, że my mieli rozmawiać o Martinie.

– Próbujemy się trochę rozeznać w sytuacji w miasteczku – wyjaśniła Marge. – Może dzięki temu lepiej zrozumiemy Martina. Mówił po hiszpańsku?

– Każden jeden, który tu mieszka przez jakiś czas, łapie trochę hiszpańskiego.

Marge pokiwała głową.

– A co**...** ciebie z nim łączyło? Wiem, że już o to pytaliśmy, ale może jakieś szczegóły?

Marcus spojrzał na nią z uśmiechem.

– Naprawdę rzadko z nim rozmawiałem. Od czasu do czasu zaglądał do kościoła. Śpiewam w chórze, moja żona też, a Rondo kiedyś pochwalił mój śpiew. To chyba najdłuższa rozmowa, jaką z nim odbyłem. – Rzucił okiem na zegarek i wyprostował się na krześle. – Musimy się zbierać, jeśli chcemy zdążyć.

Dokładnie w tej chwili pojawiła się Gladys z kawą. Marcus spojrzał na tacę.

– No dobra. Możemy się parę minut spóźnić.

– Na pewno. – Żona uśmiechnęła się do niego. – Pojęcie

czasu w tej okolicy jest dość płynne.

Marcus podał wszystkim kubki z kawą, a Gladys zachęciła, aby częstowali się cukrem i śmietanką.

Gości uprzejmie podziękowali, a Marge powiedziała:

– Bardzo ładne zdjęcia.

Gladys uśmiechnęła się.

– Nie lubię gołych ścian.

– Obraz też mi się podoba.

– Naprawdę? Ja za nim nie przepadam. To prezent od malarza dla moich teściów. Jego ojciec był rolnikiem w Chino i chyba przyjacielem ich rodziny**...** Dobrze to pamiętam, Marcus?

– Coś w tym stylu. Paul był dziwakiem. Mama trzymała ten obraz, żeby nie było mu przykro. – Merry wybuchnął śmiechem. – Okazało się, że zrobił się sławny.

– Paul Pollock – dodała Gladys. – Mówi wam to coś?

– Nie – przyznała Marge. – Ale maluje jak Jackson Pollock. To jego krewny?

– To on – oświadczyła Gladys. – Paul to jego prawdziwe imię.

– Hm, faktycznie dość znany – zauważył Oliver. – Jego ojciec był farmerem?

– Właśnie tak.

– W takim razie to bardzo cenny obraz, pani Merry.

– O tak, zdecydowanie. Ale mów mi Gladys.

– Nie boicie się kradzieży? – zaciekawiła się Marge.

Gladys pokręciła głową.

– Tutejsi myślą, że namalowało to któreś z moich wnucząt.

– Spojrzała na obraz. – A ja nie wyprowadzam ich z błędu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Ostatnim znanym adresem, pod którym przebywał Alejandro Brand, była Pacoima, nieobca Deckerowi z czasów pracy na posterunku przy Foothill. W dzielnicy tej mieszkało około tysiąca osób. Jej głównym powodem do chwały – poza okropną katastrofą samolotową z 1957 roku, w której zginęły dzieci bawiące się na boisku szkolnym – było gimnazjum, do którego chodził Ritchie Valens, wschodząca gwiazda muzyki lat pięćdziesiątych. Kariera biedaka zakończyła się raptownie, kiedy samolot, którym leciał wraz Buddym Hollym i J.P. Richardsonem (zwanym Big Bopperem), rozbił się w Iowie w 1959 roku. Zginął na miejscu. Szkoła Pacoima Junior High przechrzciła się na Pacoima Middle School, ale chyba tylko to tu się zmieniło. Wciąż była to pełna przemocy dzielnica latynoskich robotników.

Teren obfitował w fabryki i magazyny do wynajęcia, ale również w lokalne biznesy, takie jak lumpeksy, sklepy monopolowe i spożywcze, pralnie samoobsługowe, punkty z fast foodami i komisy samochodowe. Gdzieniegdzie znajdowała się również bodega, czyli latynoska winiarnia. Właścicielom raczej się nie przelewało, chyba że akurat był piątkowy wieczór. Wówczas wszystko zaczynało tętnić życiem.

Decker krążył po ulicach, zwalniając od czasu do czasu, by przyjrzeć się wyrostkom okupującym chodniki i zarośnięte

podwórka. Patrzyli na niego wyzywająco i robili groźne miny.

Brand mieszkał w kamienicy z lat pięćdziesiątych ze zszarzałym tynkiem i błękitnym szyldem z napisem „Karaiby”. Dwa przygnębiające piętra z praniem suszącym się na balkonach. Decker bez trudu znalazł miejsce postojowe i podszedł do zamkniętej furtki. Była na tyle niska, że bez trudu przełożył nad nią rękę i dosięgnął gałki po drugiej stronie. Na podwórku dostrzegł niewielki basen, z którego akurat korzystała gromada dzieci. Kilka kobiet w kostiumach kąpielowych siedziało na plastikowych krzesełkach, opalając się i plotkując. Popatrzyły na niego podejrzliwie.

Podszedł do pierwszej z nich, Latynoski około trzydziestki o krótkich czarnych włosach i pulchnym ciele wylewającym się z bikini. Powiedział po hiszpańsku, że jest z policji (pokazał przy tym odznakę) i szuka Alejandra Branda.

– To była zakała – powiedziała z niechęcią Latynoska.

W tym momencie do rozmowy włączyła się kobieta siedząca obok niej. Starsza i grubsza, miała na sobie bluzkę z odkrytymi plecami i obcięte dżinsy.

– Prawdziwa zakała – potwierdziła. – Raul, daj spokój siostrze. W tej chwili ją puść! – Odwróciła się z powrotem do Deckera. – Handlował narkotykami w mieszkaniu swojej matki, a po śmierci pani Cruz było jeszcze gorzej. Wezwaliśmy policję, ale powiedzieli nam, że nie mogą nic zrobić, dopóki ktoś nie złoży oficjalnej skargi. W końcu w mieszkaniu wybuchł pożar. Mało brakowało, a zajęłaby się cała kamienica. Na szczęście straż pożarna przyjechała

prawie natychmiast, *gracias a Dios*. – Przeżegnała się.

Decker pomyślał, że jeśli było tu laboratorium metamfetaminy z łatwopalnymi składnikami, mogą mówić o sporym szczęściu.

– Czy z mieszkania dobiegały jakieś dziwne zapachy?

– A kto by tam podchodził tak blisko.

– A co ze śmieciami? Czy może znajdowała pani dużo butelek po odmrażaczach, pojemników po granulkach do udrażniania rur pod zlewami, ług, jodynę?

– Nie zaglądam w cudze śmieci – odparła kobieta. – Nie wiem, co ludzie robią i nic mnie to nie obchodzi. Wiem tylko, że teraz jest spokojniej.

– Chociaż w mieszkaniu K też dzieją się podejrzane rzeczy – odezwała się pierwsza z kobiet.

– Ale nie aż takie jak u Alejandra. Schodziło się tam mnóstwo szemranych typów. Musiałam pilnować córek jak ta kwoka. Miał mnóstwo forsy i przystojną twarz, a to fatalna kombinacja dla nastolatek.

– Nie wie pani, gdzie obecnie mieszka?

– Nie, i nic mnie to nie obchodzi – powiedziała druga kobieta.

– *Gracias a Dios* – zawtórowała jej pierwsza. – Na szczęście to już nie nasz kłopot.

– Czy mieszkał tam ktoś jeszcze poza jego matką?

– A kto to może wiedzieć? – odparła kobieta numer dwa. – Przez to mieszkanie przewalały się dzikie tłumy**...** Raul, jeszcze raz ją uderzysz, a wychodzisz!

– Czy Alejandro Brand miał rodzeństwo?

– Wydaje mi się, że był jedynakiem – powiedziała kobieta numer jeden. – Pani Cruz była bardzo stara.

– To była jego babka – sprostowała kobieta numer dwa.

– Mówiła do niego *mi hijo*.

– Ale kiedyś nazwał ją *abuela*. Była jego babką, a może nawet prababką. Była bardzo stara.

– Więc nie wiecie panie, dokąd Alejandro się przeprowadził?

– Mieszka gdzieś niedaleko – powiedziała kobieta numer jeden. – Od czasu do czasu spotykam go w sklepie. Udaję, że go nie zauważam.

– Bardzo dobrze – pochwalił ją Decker. – Co to za sklep?

– Spożywczy Andersona. Trzy przecznice stąd.

Decker zanotował nazwisko właściciela.

– Ile miesięcy minęło od śmierci staruszki do pożaru mieszkania? – zapytał.

– Jakieś trzy miesiące – odparła kobieta numer jeden.

Jej towarzyszka się z nią zgodziła, po czym dodała:

– W końcu się wyniósł. Wreszcie jest tu spokojnie i bezpiecznie. Zrzuciliśmy się na furtkę. – Nagle zmrużyła oczy i przeszyła Deckera gniewnym spojrzeniem. – A właściwie to jak pan się tutaj dostał?

– Przełożyłem rękę i otworzyłem furtkę od środka.

– Hm**...** No to mamy problem. Ta furtka miała nas chronić. Jeśli tak łatwo udało się panu ją sforsować, to powinniśmy pomyśleć o jakimś innym i lepszym zabezpieczeniu.

– Ile ma pan wzrostu? – zapytała kobieta numer jeden.

– Metr dziewięćdziesiąt cztery.

– Ilu znasz mężczyzn, którzy mają metr dziewięćdziesiąt cztery wzrostu? – zapytała kobieta numer jeden kobietę numer dwa.

– Ani jednego.

– No właśnie. Więc to żaden problem. – Spojrzała na Deckera. – Proszę pamiętać o zamknięciu furtki, kiedy będzie pan wychodził. A następnym razem niech pan użyje dzwonka. W końcu po to tam jest.

– Przed chwilą wyszedł stąd Harriman – rozległ się w telefonie głos Wandy Bontemps.

– Czego chciał? – Decker miał nadzieję, że nie powiedział tego kwaśnym tonem. Prowadził auto i myślał o czymś intensywnie, ale na pewno nie o Harrimanie.

– Przecież sam mu kazałeś przyjść – odparła Wanda.

Decker dopiero po kilku chwilach przypomniał sobie, że faktycznie tak było. Bez reszty skupił się na bezpieczeństwie Riny i po prostu zapomniał o zadaniu, które postawił przed Harrimanem.

– A tak, prawda. Miał wysłuchać nagrania z fałszywego przesłuchania Oscara Vitaleza. I jak?

– Powiedział, że to nie on. Próbowaliśmy mu wmówić, że to właśnie tego człowieka wskazała Rina, ale nie dał się nabrać. Powtarzał stanowczo, że to nie jest człowiek, którego słyszał w sądzie. Zbiorę jeszcze kilku innych gości i poproszę go, żeby ich posłuchał. Umówiliśmy się z nim na piątą po południu.

– Dobra robota, Wando, dziękuję. Alejandro Brand, ten Latynos, którego rozpoznała Rina, nie mieszka już pod

znanym nam adresem, ale prawdopodobnie w tej samej dzielnicy. Właśnie się rozglądam. Udało wam się znaleźć Joego Pine'a?

– Nie dostałam żadnych wiadomości od Messinga. Mam do niego zadzwonić?

– Tak, proszę. Mam telefon na drugiej linii. Możesz poczekać?

– Nie mam nic więcej do dodania. Zadzwonię później.

Decker uwielbiał rzeczowość Wandy Bontemps.

Przełączył na drugą rozmowę. To była Rina.

– Mam dziś po południu trochę czasu, więc mogłabym przejrzeć wasze katalogi.

Dobrze wiedział, że nie uda mu się jej powstrzymać.

– Jasne. Może o**...** trzeciej?

– Świetnie. Przywieźć ci coś?

– Nie, kotku, nie trzeba. Jestem właśnie w Pacoimie. Pogadamy później.

– Co robisz w Pacoimie?

– Szukam Alejandra Branda.

– Daj mi znać, kiedy go znajdziesz.

– Niby po co?

– Zidentyfikuję go osobiście, a nie na podstawie zdjęcia.

– Twoja identyfikacja nie ma znaczenia, bo nie słyszałaś go, jak rozmawiał o morderstwach u Kaffeyów. To Harriman może go zidentyfikować, nie ty.

– A dlaczego nie my oboje?

– Dlatego, że to on usłyszał coś podejrzanego, a nie ty.

– Mogę ci powiedzieć, czy to ten gość, którego podsłuchał

Harriman.

– Jestem pewien, że Harriman podsłuchuje wiele osób. Przez to właśnie ma kłopoty. Przejrzysz katalogi, ale nic więcej. Proszę, posłuchaj swojego zmęczonego męża i nie angażuj się w to jeszcze bardziej, dobrze?

– Przestań się zamartwiać. Przecież tylko staram się pomóc.

Dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane, pomyślał Decker, ale głośno powiedział:

– Wiem, kotku. Do zobaczenia o trzeciej.

– Jesteśmy umówieni. Przyniosę ciasto dla całego wydziału. Jeśli będziesz się dobrze sprawował, zasłużysz na kawałek.

– A jeśli nie?

– Jeśli nie, nie dostaniesz ani okruszka i będziesz musiał po raz siedemsetmilionowy przejść na dietę. Tak czy owak, wszyscy wygrywamy.

Marcus Merry pędził fordem bronco rocznik 1978 z prędkością stu sześćdziesięciu czterech kilometrów na godzinę. Tłoczyli się we troje w szoferce, która była przeznaczona dla dwóch osób. Staruszek oświadczył, że po drodze musi gdzieś zajechać i powiózł ich przez pola. W końcu zatrzymali się przy stodole na pustkowiu. Zgasił silnik.

– Muszę wyładować towar.

– Pomóc ci? – zapytała Marge.

– Mam na pace sześć skrzyń. Jeśli chcecie mi pomóc, nie będę protestował.

– Musiałaś pytać? – wyszeptał Oliver.

– Dzięki temu znajdziemy się szybciej u szeryfa – odparła, po czym wysiadła z samochodu i dźwignęła z paki skrzynię cebuli.

– Gdzie jesteśmy, Marcus?

– To nasza spółdzielnia. Chociaż rośnie u nas wszystko, to nie u każdego farmera. Tutaj każden jeden może wymienić się z innymi uprawami. – Marcus poruszał się szybko jak na staruszka. W ciągu pięciu minut sześć skrzyń z cebulą i czosnkiem zostało wyładowane i Marcus dostał punkty za swoje produkty. – Ostatnio miałem ich trochę mało. Tera Gladys może już spokojnie jechać na zakupy.

Kiedy wszyscy znaleźli się z powrotem w szoferce, Marcus ruszył do, jak to ujął, „miasta". Główna ulica Ponceville była dwupasmówką, przy której stało kilka sklepów: odzieżowy, spożywczy, z tkaninami i z częściami do samochodów (wielki szyld głosił: „Części do traktorów"), bank i komis samochodowy, w którym były również traktory. Oprócz tego znajdowały się tam dwa sklepy z artykułami żelaznymi, kino, dwie restauracje i kilka barów z wyszynkiem.

W ostatnim budynku wznoszącym się przy głównej ulicy mieściły się sąd i areszt. To białe gmaszysko nie było zbyt wielkie jak na standardy sądowe, ale i tak nie miało sobie równych przy tej ulicy.

Biuro szeryfa znajdowało się na drugim piętrze. Rozciągał się z niego widok na zielone pola. W recepcji siedziała staruszka o siwych włosach częściowo przykrytych jaskrawoczerwonym beretem. Tej samej barwy były jej sukienka i paznokcie. Uniosła wzrok i wyciągnęła do nich

długą, poznaczoną plamami wątrobianymi rękę.

– Edna Wellers. Jak rozumiem, jesteście kolegami Willy'ego?

Marge uśmiechnęła się. Edna powiedziała słowo „kolegami" w taki sposób, jakby byli dziećmi, które przyszły się pobawić z Willym Brubeckiem.

– Tak, to my – odparła. – Miło nam poznać.

Edna zerknęła na Olivera.

– Cóż za przystojny młody człowiek. Jest pan żonaty? Mam córkę. Rozwódka, ale dzieci ma już odchowane.

– Dziękuję, ale już się z kimś spotykam – odparł Oliver.

Zmierzyła go wzrokiem.

– Coś mi się wydaje, że nawet z kilkoma naraz. Dobrze mówię, Marcus?

– Przestań, Edna – odparł staruszek. – Te ludzie mają sprawę. Sprowadź no tu zara szeryfa T., bo się nie wyrobią na samolot.

– Kiedy wylatujesz, przystojniaczku?

– Dziś wieczorem – odparł Oliver.

Staruszka spochmurniała.

– Do bani – stwierdziła.

– Gdzie jest T., Edna? – zapytał Marcus.

– Jeszcze nie wrócił – odparła. – Na pewno nie możecie zostać do jutra?

– Niestety, nie.

– No to przylecicie jeszcze raz.

– Nie przylecą, Edna – zaprzeczył Marcus. – Mają bardzo ważną sprawę do rozwiązania u siebie, na południu.

– Chodzi o morderstwo tych bogatych ludzi, prawda? Tych, u których pracował Rondo. Powinniście porozmawiać ze mną. Pracuję tutaj najdłużej ze wszystkich. Dobrze mówię, Marcus?

– Dobrze.

– Co może nam pani powiedzieć o Martinie? – Oliver wyciągnął notes.

– Nie był taki przystojny jak ty, złotko.

– Mało kto jest.

Edna uśmiechnęła się.

– Przez kilka miesięcy umawiał się z moją córką Shareen. Nie wyszło im. Shareen to gaduła, a Rondo milczek, zresztą jak większość mężczyzn. Jednak on oprócz tego nie umie słuchać. Myślę, że byli ze sobą dla**...** no wiecie czego. Nie chcę wchodzić w szczegóły.

– Domyślam się – powiedziała Marge. – Czy to był taki układ bez zobowiązań? A może jednak Shareen miała nadzieję na coś więcej?

– To pierwsze. – Edna Wellers zawahała się. – Rondo był samotnikiem, z nikim za dużo nie gadał. Dobrze mówię, Marcus?

– Ledwie go znałem.

– No właśnie. Robił, co do niego należało, ale z nikim się nie przyjaźnił. Nawet gdy był trochę wstawiony, zwykle trzymał gębę na kłódkę.

– Czy kiedykolwiek coś mu się wymsknęło? – zapytała Marge.

– Kiedyś wspomniał coś o swojej rodzinie.

– A tak, pamiętam – włączył się Marcus. – To było przed świętami. Zimnica panowała przeokrutna. Każden jeden był przemarznięty do szpiku kości, więc bary miały utarg, że ho, ho!

– W każdym razie nie mówił o swojej rodzinie nic dobrego – stwierdziła Edna.

– Tak, psioczył na swojego starego**...** Ponoć straszny był z niego skurczybyk. Okropnie go lał. Aż wreszcie pewnego dnia Rondo mu się odwinął. Pamiętam to dobrze, bo nie zawsze się słyszy takie rzeczy przed samiuśkimi świętami.

– Tak, miał same złe wspomnienia – potwierdziła Edna.

– Coś jeszcze? – zapytał Oliver.

Oboje pokręcili głowami. Ednie przekrzywił się przy tym beret.

– Skąd pochodzi Martin? – zapytała Marge.

– Zdaje się, że z Missouri – odparła Edna. – Dobrze mówię, Marcus?

– Myślałem, że z Iowa – zaprotestował.

W tej chwili do biura wkroczył szeryf T. Miał około metra siedemdziesięciu wzrostu, ważył jakieś sześćdziesiąt pięć kilogramów, jego twarz była poorana zmarszczkami, a oczy jasnobłękitne. Cienkie usta ledwie było widać, ale uścisk ręki był zaskakująco silny. Może szeryf nie miażdżył kości, ale wyraźnie dawał do zrozumienia, że należy do tych facetów, którzy potrafią zadbać o siebie. Ubrany był w uniform khaki, a na głowie miał kowbojski kapelusz. Kiedy go zdjął, okazało się, że ma włosy obcięte na jeża.

– Tim England. Przepraszam, że tak długo to trwało, ale

mieliśmy drobny problem w ciudad**...** Komuś rzekomo skradziono pieniądze. Okazało się, że facet po prostu zapomniał, gdzie je schował. Pewnie zrobił to po pijaku.

– Ciudad to po hiszpańsku miasto – wyjaśniła Edna. – Tak nazywamy tereny zamieszkiwane przez emigrantów. Hej, T., może rozstrzygniesz spór? Skąd pochodzi Rondo Martin? Z Missouri czy z Iowa?

– Najpierw twierdził, że z Kansas, ale potem przyznał, że z Nowego Jorku. Podobno uznał, że lepiej się tu wpasuje, jeśli powie, że jest ze Środkowego Zachodu. Ponoć jego ojciec był farmerem w północnej części stanu Nowy Jork.

– To prawda? – zapytała Marge.

– A kto go tam wie? – T. wzruszył ramionami. – Zawsze czułem, że ten facet coś ukrywa, ale nigdy się nie dowiedziałem, o co biega. Tyle że to nie miało znaczenia. Martin nie figurował w kartotece policyjnej, miał też dobre referencje.

– Którą szkołę policyjną skończył? – zapytała Marge.

– Nie wiem. Przedtem kilka lat był policjantem w Bakersfield. Cieszył się dobrą opinią. Żadnych bumelek, żadnych oskarżeń o nieuzasadnione użycie przemocy, żadnych dochodzeń wydziału wewnętrznego. Kadrowy powiedział mi, że zawsze przychodził do pracy na czas i terminowo składał raporty, tylko nie mówił za wiele. Jednym słowem, porządny gliniarz.

– Dlaczego odszedł? – zapytał Oliver.

T. zamyślił się na chwilę.

– Podobno stęsknił się za wsią. Miał dosyć wielkiego

miasta.

– Bakersfield jest wielkim miastem?

– Może i nie dorównuje Los Angeles, ale ma ponad czterysta tysięcy mieszkańców. To mnóstwo ludzi. Tutaj, w Ponceville, miał swoją wieś.

– Więc dlaczego ją porzucił, żeby zostać ochroniarzem w Los Angeles?

– Nie mam pojęcia, proszę pani. Moim zdaniem Rondo to niespokojny duch. Żeby mieszkać tutaj, nie będąc farmerem, trzeba mieć określone upodobania. Nie ma tu za dużo możliwości spędzania wolnego czasu. Albo chodzi się do baru, albo do kościoła, a Rondo nie umiał się zdecydować. Bywał i tu, i tu. I nigdzie nie pasował.

– Skoro już o tym mowa – włączyła się Edna – Shareen mówiła mi, że Rondo spędzał dużo czasu w ciudads. – Zniżyła głos do szeptu. – Mają tam dziwki.

– Przestań, Edna. – T. przewrócił oczami. – Chociaż może coś w tym jest. Gdy jesteś samotny i nie masz potrzeby modlitwy, chodzenie do takich przybytków jest jakimś wyjściem.

– Gdzie są te ciudads? – zapytał Oliver.

– Otaczają farmy – odparł T. – Są cztery, jak cztery strony świata: na północy, południu, wschodzie i zachodzie.

– Czy Shareen wie, kogo Martin tam odwiedzał? – zapytała Marge.

– Być może – odrzekła Edna.

– Mogłaby pani zadzwonić i zapytać ją o to?

– W tej chwili?

– Tak, w tej chwili – powiedział T. – Państwo są tu w pracy.

– No dobrze. – Zadzwoniła do córki, a po pięciu minutach rozłączyła się. – Zdaniem Shareen spędzał czas głównie w północnym ciudad. Kto tam mieszka, T.? Mnóstwo Gonzalesów, prawda? A także Ricardów, Mendezów, Alvarezów i Luzonów. Moim zdaniem wszyscy są ze sobą spokrewnieni.

– To prawda. – T. spojrzał na Marge i Olivera. – Nigdy nie pytam swoich ludzi, co robią po godzinach. Nie moja sprawa. Znacie państwo hiszpański? – Gdy przecząco pokręcili głowami, dodał: – W takim razie nie macie po co tam jechać. Nie zrozumiecie ani słowa z tego, co będą do was mówić. – Jego komórka zaczęła dzwonić. – Przepraszam.

Odebrał i przez kilka chwil rozmawiał przyciszonym głosem.

– Kolejna sprawa w ciudad – powiedział po zakończeniu rozmowy. – W południowym. Może chcecie ze mną pojechać i przekonać się, z czym mam na co dzień do czynienia? Podwieziecie mnie.

– Ja ich przywiozłem – powiedział Marcus. – A muszę wracać do roboty.

– Możemy zabrać się z panem? – zapytał Oliver.

– A juści, ale to zajmie jaką godzinę. O której odlatuje wasz samolot?

– Mamy czas – odparła Marge.

– No jasne – wtrąciła Edna. – Na dziwki znaleźli czas, ale na moją córkę to nie.

– W tej chwili przestań. To nie jest serwis randkowy. Daj

państwu wykonywać obowiązki. – T. wcisnął kapelusz na głowę. – O rany. Cztery wezwania w ciągu czterech godzin. Oto co się dzieje w taki skwar jak dzisiaj. Miejscowi zaczynają się burzyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Wyposażenie posterunku przy Foothill znacznie się zmieniło od czasu, gdy Decker pracował tu przed piętnastu laty, ale zapach pozostał ten sam.

Śledcza Mallory Quince, drobna brunetka po trzydziestce, wystukała coś na klawiaturze i na monitorze pojawiła się twarz Alejandra.

– A, to ten**...** Pichcił metamfetaminę. Omal nie spalił kamienicy, w której mieszkał.

– Słyszałem.

– Od kogo?

– Od lokatorek. Rozmawiałem z nimi dziś rano. Od razu pomyślałem, że musiało być tam laboratorium, ale mieszkanki domu nic nie wiedziały. Jak poważny był pożar?

– Jego mieszkanie kompletnie spłonęło a sąsiednie mieszkania poważnie ucierpiały, ale straż pożarna uratowała budynek. Zgarnęliśmy go kilka dni później. Twierdził, że nie ma z tym nic wspólnego i nie był w tym mieszkaniu od śmierci babki. Oczywiście kłamał, ale żaden z lokatorów nie wniósł oskarżenia. Chyba wszyscy bali się odwetu.

– Kobiety twierdziły, że dzwoniły na policję w jego sprawie. Jest po tym jakiś ślad?

– Sprawdzę, ale chyba wciskały ci kit. – Mallory przewróciła oczami. – Przecież wiesz, że sprawdzamy wszystkie laboratoria, a o tym nie wiedzieliśmy.

– Więc nie macie nic na Alejandra Branda? – upewnił się Decker.

– Nie.

– A pobraliście mu odciski palców?

– Zobaczę. – Nacisnęła kilka klawiszy. – Przykro mi, ale nie był nigdy aresztowany. – Wydrukowała zdjęcie i podała Deckerowi wydruk. – Rozpytamy o niego.

– Byłbym wdzięczny. – Uścisnął dłoń Mallory. – Dziękuję za pomoc.

– Tęsknisz za naszym posterunkiem?

– Nie różni się za bardzo od tego, w którym obecnie pracuję, choć to zamożniejsza dzielnica. Jest mniej morderstw i przemocy.

– Nie brakuje ci naszych akcji?

– Czasami, ale podoba mi się tam, gdzie jestem. Mam oddzielny gabinet z drzwiami, które mogę zamknąć.

To nie był Meksyk zamieszkiwany przez Amerykanów sączących margaritę i leżących na białym piasku obmywanym przez ciepłe lazurowe fale. To była Kalifornia Dolna, region Meksyku składający się z dwóch stanów, dobrze zapamiętany przez Olivera z czasów z dzieciństwa. Dzielnice nędzy pełne chwiejących się bud i komórek o dachach z blachy falistej. Tijuana leżała tuż za granicą, a mimo to wydawała się oddalona o lata świetlne. Kiedy dorósł, on i jego koledzy z wojska często odwiedzali pas przygraniczny z powodu taniego alkoholu i starych dziwek. Był to swoisty rytuał przejścia. Tutejsze ciudad składało się z rzędów prowizorycznych domków stojących na pustkowiu.

Jego rezydenci próbowali naśladować mieszkańców Tijuany, malując swoje domostwa na jaskrawe kolory: turkusowy, cytrynowy, zielony i liliowy. Kiedy Oliver miał osiemnaście lat, ta feeria barw wydawała mu się egzotyczna, ale obecnie napawała go smutkiem.

Choć nie było tu żadnych punktów orientacyjnych, szeryf T. nie musiał pytać o drogę. Jechali trzydziestoletnim chevroletem suburban. Kiedy T. manewrował po drogach gruntowych, wszyscy troje podskakiwali na twardych siedzeniach. Wreszcie zatrzymali się na środku drogi przed parterową pomarańczową chałupiną.

Gdy wysiedli, T. podszedł do drzwi i zaczął walić w nie pięścią. Otworzyła dziewczyna w wieku około trzynastu lat. Na biodrze trzymała pulchne niemowlę, a w jej spódnicę wczepione było wychudłe mniej więcej dwuletnie dziecko. Była bardzo ładna – ciemne włosy, gładka kawowa skóra, szeroko rozstawione oczy i wystające kości policzkowe. Pociła się obficie, kropelki potu kapały jej z nosa i brwi. Otworzyła szeroko drzwi i policjanci weszli do środka.

Na zapadającej się sofie siedział czterolatek i oglądał kreskówki na starym telewizorze ustawionym na skrzynkach. Umeblowania dopełniały stół z krzesłami, dwa składane krzesełka i kojec z zabawkami. Przetarty chodnik przykrywał niedokończoną podłogę, która sprawiała wrażenie, jakby została zbita ze starych skrzynek. Na wiszącej na ścianie półce znajdowało się kilka książek, płyt DVD i amerykańska flaga wetknięta w pustą puszkę po kawie.

Było skromnie, lecz czysto. Wokół rozchodził się zapach

przygotowywanej właśnie potrawy. Gorąco buchające z piekarnika dodawało kilka stopni do tego i tak dusznego dnia. Marge poczuła kropelki potu spływające po twarzy. Wyjęła chusteczki i jedną z nich podała Oliverowi.

Dziewczyna położyła niemowlę i dwulatka w kojcu i dała im po ciastku. Leżeli wśród starych zabawek, jedząc je bez grymaszenia, i wpatrywali się w kolorowe animowane obrazy pochłaniające uwagę czterolatka.

Nastolatka miała poważną minę. Otarła pot z czoła i zaczęła coś mówić wzburzonym głosem. Podskakiwała przy tym i wymachiwała rękami. Szeryf kiwał głową, wyrażając zrozumienie. Ich rozmowa była krótka. Po kilku minutach T. wstał i położył rękę na ramieniu dziewczyny. W tej chwili jej oczy wypełniły się łzami i zaczęła powtarzać „gracias”.

– Mieszka z rodzicami, którzy akurat są w polu – wyjaśnił T., gdy już wyszli. – Jest najstarsza z siedmiorga rodzeństwa. Troje pozostałych jest w szkole, ale ktoś musi zostawać w domu, żeby zajmować się najmłodszymi.

– A ona nie chodzi do szkoły? – zapytała Marge.

– Z jej aktu urodzenia wynika, że ma szesnaście lat, więc nie dotyczy jej obowiązek szkolny.

– Wygląda na jakieś trzynaście.

– I pewnie tyle ma, ale wyświadczam jej rodzinie przysługę, nie zadając zbyt wielu pytań.

– O co chodziło? – zapytał Oliver.

– Przystawia się do niej jakiś dwudziestojednoletni typek pracujący w polu. Urywa się z roboty i próbuje dostać się do domu, bo ma na nią ochotę. Nazywa się Ignacias Pepe czy

jakoś tak. Za wielu ich jest, żeby to wszystko objąć. Ledwie zapamiętam, gdzie kto mieszka, a już się wyprowadza i ktoś inny zajmuje jego miejsce. Powiedziała, że ten Ignacias zrywa truskawki na farmie McClellanów. Pojadę tam i pogadam z palantem. Powiem mu, żeby trzymał ptaszka w spodniach, bo inaczej go zamknę.

Wsiedli z powrotem do suburbana.

– W drodze na farmę Ardesa McClellana mijam dom Marcusa. Wiem, że macie inne sprawy do załatwienia, więc was podrzucę.

– Byłoby świetnie – powiedział Oliver. – Pana sekretarka Edna mówiła, że Rondo Martin jeździł do północnego ciudad. Czym się różni od tego, w którym byliśmy?

– Praktycznie niczym. Żałuję, że nie mogę powiedzieć wam więcej o gościu, którego szukacie, ale wiecie, jak to jest. Jeśli ktoś nie sprawia kłopotów, nie sprawdza się go.

– Dziękujemy, że wziął pan nas ze sobą – powiedziała Marge. – Wprawdzie nie dowiedzieliśmy się niczego więcej o Martinie, ale przynajmniej wyrobiliśmy sobie opinię o tym miejscu.

– To straszny wygwizdów, ale kocham to miasto. Przestrzeń i błękitne niebo. No i nie mam nad sobą żadnych przemądrzałych dupków, którzy mówiliby mi, co mam robić.

– Musi pan komuś podlegać – zauważył Oliver.

– Oczywiście to nie jest tak, że przed nikim nie odpowiadam – przyznał T. – Mamy tutaj burmistrza i radę miasta, ale zajmują się swoimi sprawami i dają mi wolną rękę.

– Pewnie z korzyścią dla wszystkich – powiedziała Marge.

– Zawsze się przed kimś odpowiada, chyba że jest się Bogiem. Podejrzewam, że On nie odpowiada przed nikim, chociaż nigdy go nie poznałem, więc właściwie skąd mam wiedzieć.

Była bardzo uparta i mogłaby być niezłą śledczą. Popatrzyła na Deckera i powiedziała:

– Nie idzie mi tak łatwo jak z Brandem. Nie jestem pewna żadnej z tych twarzy.

– Może go tutaj nie ma.

– Na ramieniu miał wytatuowane BXII.

– To znaczy tylko, że jest członkiem gangu Bodega z Dwunastej Ulicy, a nie że znajduje się w naszym katalogu. Nic na siłę, Rina. Jest już po piątej. Może pora skończyć.

Zamknęła katalog.

– Przepraszam.

– Za co? Już i tak wiele dla nas zrobiłaś. – Decker popatrzył na zegarek. – Mam jeszcze kilka spraw do załatwienia. Będę w domu za godzinę.

– Dobrze. – Wstała i dała mu buziaka. – Na razie.

– Odprowadzę cię.

– Nie trzeba. Znam drogę. Dokończ, co masz skończyć.

– Dzięki za ciasto. Wszystkim bardzo smakowało.

– Proszę bardzo. Po tych wszystkich latach pieczenia trudno mnie odciągnąć od piekarnika. To jak narkotyk. Robienie ciast dla całego wydziału sprawia, że mogę zaspokoić swój narkotyczny głód.

– Za każdym razem, gdy będziesz chciała przyćpać, możesz

na nas liczyć.

Rina uśmiechnęła się. Wychodząc z komisariatu, zobaczyła zbliżającego się Harrimana. Nie zatrzymała się, pozwalając, by ją minął, a zarazem zrobiło się jej ciężko na sercu. Zachowała się bardzo nieuprzejmie.

Nie daj się w to wciągnąć, powiedziała sobie. Zwykle szła za głosem serca, ale nie tym razem. Zbyt wiele by ryzykowała. Przed jej oczami pojawiły się krwawe obrazy.

Pobyt w ciudad sprawił, że Oliver i Marge byli nieco spóźnieni. Ponieważ czekała ich jeszcze dwugodzinna jazda do Oakland, zrezygnowali z obiadu, zadowalając się zjedzonymi po drodze kanapkami z tuńczykiem. Nieco ponad godzinę później zatrzymali się w Bay Area i zadzwonili do Portera Brady'ego, żeby umówić się na rozmowę. Podejrzewali, że po poważnej operacji serca raczej nie będzie ruszał się z domu, więc nie byli zaskoczeni, gdy odebrał już po trzecim dzwonku.

– Dlaczego chcecie ze mną rozmawiać? – Porter Brady sprawiał wrażenie zdenerwowanego. – Mówiłem już policji, że Neptune był w tym czasie u mnie. Sprawdźcie billingi, jeśli nie wierzycie.

– Dobrze by było, gdybyśmy mogli porozmawiać osobiście – powiedziała Marge.

– Ale po co to wszystko? Mój syn nigdy nie sprawiał najmniejszych kłopotów. – Przerwał na chwilę. – Czy on w ogóle wie, że się do mnie wybieracie?

– Nie, nie wie.

– Nie mam za wiele do powiedzenia. To dobry chłopak. –

Kolejna przerwa. – No dobrze. W sumie nie zaszkodzi mi towarzystwo.

– W takim razie będziemy za kilka minut.

Porter mieszkał niedaleko Jack London Square, ulicy stanowiącej jedną z największych atrakcji turystycznych Oakland. Stojące przy niej stare magazyny przerobiono na centra handlowe. Mieszkanie Brady'ego składało się z trzech pokoi z kuchnią i dwoma łazienkami. Jego właściciel nie zmieniał wystroju od lat pięćdziesiątych. Z biegiem lat wykończenia z klonu nabrały barwy porto, a eleganckie detale zaczęły pasować do trendów obowiązujących w dwudziestym pierwszym wieku.

Staruszek przywitał ich w piżamie, szlafroku i kapciach. Był przeraźliwie chudy i odznaczał się niezdrową bladością. Miał pociągłą twarz, kręcone siwe włosy, brązowe oczy i wydatne usta. Obecnie kolor jego skóry nie wskazywał na przynależność do jakiejkolwiek rasy, lecz włosy sugerowały, że był Afroamerykaninem. Jeszcze większą niespodziankę stanowił jego wiek. Neptune był po trzydziestce, natomiast Peter wyglądał na kogoś, kto solidnie przekroczył siedemdziesiątkę.

Zagadka rozwiązała się już po kilku sekundach:

– Tak naprawdę jestem jego dziadkiem – oznajmił Peter. – To jednak ja go wychowywałem, dlatego uważa mnie za ojca.

Marge wypiła łyk mrożonej herbaty.

– Bardzo dobra.

– Sam ja przyrządzam.

– Pyszna. – Wyjęła notes. – Jest pan dziadkiem ze strony

matki?

– Ze strony ojca – odparł Porter. – Jego tata, mój syn, został zamordowany przed przyjściem na świat Neptune’a. Miał osiemnaście lat. Zadarł z niewłaściwymi ludźmi.

– A matka Neptune’a? – zapytał Oliver.

Staruszek usiadł na sofie. Szlafrok rozchylił się, ukazując zapadnięta klatkę piersiową. Poprawił go.

– Pochodzi z białej rodziny z drugiej strony zatoki. Pracowała jako nauczycielka**...** nie, nie nauczycielka**...** Jak się nazywa osoba pomagająca głównemu nauczycielowi?

– Pedagog wspierający – odparła Marge.

– O, właśnie. – Pokiwał głową. – Właśnie tak. Była może z rok starsza od swoich uczniów. Erstin, mój syn, chodził do jej klasy. Był z niego nie lada przystojniak. Wysoki, postawny, wygadany. Moja żona umarła, kiedy miał pięć lat. Starałem się ze wszystkich sił być dla niego i matką, i ojcem, lecz nie dawałem rady. Musiałem przecież jeszcze pracować.

– Czym pan się zajmował? – zapytała Marge.

– Byłem dokerem. Całe życie spędziłem przy załadunku i wyładunku towarów ze statków. Wyczerpujące zajęcie, ale dobrze płatne. Dzięki temu regulowałem wszystkie rachunki na czas i nigdy nie byłem nikomu dłużny ani centa. – Wypił kolejny łyk. – Dolać pani herbatki?

– Nie, dziękuję.

Porter spojrzał na Olivera.

– A panu?

– Na razie wystarczy, dziękuję. Jak rozumiem, pański syn nie odziedziczył pańskiej etyki pracy?

– A gdzie tam. – Porter machnął ręką. – Erstinowi tylko jedno było w głowie. Po raz pierwszy został ojcem w wieku piętnastu lat, po raz drugi gdy miał szesnaście. Do czasu, kiedy zakrzątnął się przy Wendy, był już starym wygą.

– To mnóstwo dzieci – zauważyła Marge. – Utrzymuje pan kontakt ze swoimi wnukami?

– Jeden z nich siedzi w więzieniu. – Porter przewrócił oczami. – Drugi od samego początku uwielbiał samochody. Przeprowadził się do Saint Louis i jest dilerem marki Porsche. To dobre dziecko. – Ponownie napił się herbaty. – Erstin został zastrzelony dwa miesiące przed przyjściem na świat Neptune'a. Oczywiście rodzice dziewczyny chcieli oddać dziecko do adopcji. Kiedy się o tym dowiedziałem, zacząłem o nie walczyć. Tym bardziej mi na nim zależało, że przecież straciłem syna**...** – Zamyślił się na chwilę. – Sędzia stanął po mojej stronie. Dziewczyna zrzekła się praw do dziecka, a ja zostałem jedynym opiekunem.

– Pamięta pan, jak się nazywała?

– Wendy Anderson**...** – Uderzył dłońmi o kolana. – Pewnego dnia pojawiła się znienacka**...** zupełnie jak państwo. Chciała zobaczyć się z synem, a ja się zgodziłem. Neptune był ładnym dzieckiem, wysokim i wygadanym po ojcu, ale podobnym do mamy. – Przerwał, a policjanci cierpliwie czekali. Wreszcie podjął opowieść: – Nazajutrz Wendy zjawiła się u mnie ze swoimi rodzicami. Wszyscy pełni słodyczy. Jeszcze do niedawna nie chcieli mieć z nim nic wspólnego, a teraz próbowali wywołać moje współczucie. Wendy**...** płakała i płakała. Uwierzyłem, że naprawdę się

przejęła. Ale jej rodzice? Ha! Ten chłopiec tak naprawdę w ogóle ich nie obchodził.

Marge ze zrozumieniem pokiwała głową, nawet chciała coś dodać od siebie, ale zrezygnowała.

– Nie mieli prawnych możliwości, by go odzyskać – mówił dalej Peter. – Ale przecież prawo to nie wszystko. Było mi żal tej dziewczyny. Straciłem syna, a ona tęskniła za swoim. Nie zrzekłem się praw do niego, absolutnie nie! Ale powiedziałem sędziemu, że może dojdziemy do porozumienia. – Dopił herbatę i wyszczerzył w uśmiechu pożółkłe zęby. – I doszliśmy. Zabierała go do siebie co drugi weekend i w każdą środę na noc. Kiedy poszedł do szkoły i w tygodniu nie mógł już u niej spać, przyjeżdżała tutaj, zabierała go na kolację, a potem odwoziła z powrotem. Mówiąc szczerze, gdy podrósł, zaczął łobuzować, więc dzięki niej miałem trochę wytchnienia. Kiedy chłopiec miał osiem lat, wyszła za mąż, potem urodziła dzieci, wciąż jednak utrzymywała kontakt z Neptune’em. Co drugi weekend i w każdą środę przyjeżdżała tutaj punktualnie jak w zegarku. Byłem dla chłopca ojcem, a ona stała się świetną mamą.

– Gdzie mieszka? – zapytał Oliver.

– Kiedy Neptune miał osiemnaście lat, przeprowadzili się z mężem na Wschodnie Wybrzeże. Co roku dostaję od niej świąteczną kartkę. Dzwoni w moje urodziny. To naprawdę bardzo dobra kobieta. – Oczy zaszły mu łzami. – Z ludźmi nigdy nic nie wiadomo. Dlatego właśnie dobrze jest dawać im drugą szansę.

Marge przewróciła stronę w swoim notesie.

– Co robił Neptune po szkole średniej?

– Myślałem, że pójdzie do college'u, ale zamiast tego zaczął pracować w policji w Oakland.

– Zaraz po szkole?

– Tak.

– Nie wie pan, w jakich okolicznościach zatrudnił się u pana Kaffeya? – zapytał Oliver.

– Nie mam pojęcia. Nigdy mi nic nie mówił, ale podejrzewam, że przeniósł się do Los Angeles, bo marzył o karierze aktorskiej. Ma warunki ku temu.

Marge i Oliver kiwnęli głowami. Kolejny sen o sławie, pieniądzach i czerwonym dywanie.

– Neptune jest zadowolony z tego, co osiągnął – dodał Porter, jakby komentując ich myśli. – Ma pieniądze. Kupił sobie dom i nowiutkie porsche u przyrodniego brata w Saint Louis. – Uśmiechnął się. – Ma udane życie. – Staruszek pokręcił głową. – A jednak bardzo się martwię o niego. Jest kłębkiem nerwów, choć stara się to przede mną ukryć.

– Czy rozmawiał z panem o tych morderstwach? – zapytał Oliver.

– Nie za dużo. Wspominał, że ktoś z wewnątrz narobił mu kłopotów.

Marge próbowała ukryć podniecenie.

– Wspomniał jego imię?

– Martin jakiś tam**...**

– Rondo Martin? – Kiedy Porter skinął głową, Marge zapytała: – Co o nim mówił?

– Niech no pomyślę**...** – Peter zamilkł na chwilę. – Tylko to, że Martin narobił mu kłopotów i zniknął. I że gdy policja go znajdzie, to się dowie się, kto to zrobił.

– Kiedy Neptune panu to powiedział?

– Nie wiem**...** Chyba zaraz po tym.

Porter zaczął powoli podnosić się z kanapy. Widząc, że ma z tym trudności, Marge wstała i podała mu rękę.

– Może panu w czymś pomóc?

– Cóż, skoro już pani pyta, chętnie napiłbym się herbaty z odrobiną mleka.

– Proszę bardzo. – Nalała mu herbaty, po czym postawiła kubek na stoliku przy nim. – Czy pamięta pan, o której zadzwoniono z wiadomością o morderstwach?

– Spałem. Neptune obudził mnie i powiedział, że zdarzył się wypadek i musi natychmiast wyjechać.

– Czy będzie pan miał coś przeciwko temu, żebyśmy przejrzeli pana billingi?

– Proszę bardzo, ale do niczego wam się to nie przyda. Neptune używał tylko telefonu komórkowego. Trzymał to dziadostwo przy uchu nawet wtedy, gdy oglądał mecz.

– Ma pan rację – przyznała Marge. – Prawdopodobnie nie korzystał z pana telefonu. Ale mój szef lubi wszystko sprawdzić.

– Dostaniecie spis połączeń, gdy tylko mi go przyślą.

– Możemy uzyskać go bezpośrednio od operatora – powiedziała Marge. – Musi pan tylko udzielić nam zgody i podać swój numer klienta.

– Nie znam swojego numeru klienta, ale dopiero co

opłaciłem rachunek. Potwierdzenie leży na blacie kuchennym.

Oliver wstał.

– Przyniosę je.

– Dzięki. – Marge przeniosła uwagę z powrotem na Portera. – Czy możemy coś jeszcze dla pana zrobić?

– Tak, znajdźcie tego Martina. Całe to zamieszanie bardzo ciąży mojemu dziecku.

– Robimy, co w naszej mocy – powiedział Oliver, wracając z kuchni. Wyciągnął do staruszka rękę. – Niedługo mamy samolot. Dziękujemy, że poświęcił nam pan swój czas. – Uścisk ręki Portera był bardzo słaby. Oliver pomyślał, że stary pewnie już długo nie pociągnie. Podał mu swoją wizytówkę. – Tutaj ma pan numer na komisariat oraz do mnie na komórkę.

– A tutaj mój. – Marge również wręczyła mu wizytówkę.

– Po co mi to?

– Na wypadek, gdyby jeszcze pan coś sobie przypomniał – wyjaśnił Oliver.

– Albo gdyby pan po prostu chciał porozmawiać – dodała Marge.

– Mogę zadzwonić do pani, kiedy po prostu najdzie mnie ochota na pogawędki? – Porter uśmiechnął się od ucha do ucha. – Proszę uważać na to, co pani proponuje. Jestem samotnym starym człowiekiem, a gadane mam jak mało kto.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Gdy tylko samolot wystartował, Oliver odchylił fotel i wyjrzał przez okno. Byli jedynymi podróżnymi w tym rzędzie, mieli więc nieco prywatności, mimo to Marge wolała mówić przyciszonym głosem:

– Billingi młodszego pana B. są czyste, prawda?

– Tak. A ponieważ B. nie jest głupi, nie sądzę, żebyśmy znaleźli coś w billingach jego staruszka. Ale oczywiście sprawdzimy je na wszelki wypadek.

– Jasne – powiedziała Marge. – A co z dzieciństwem pana B.? Myślisz, że ma znaczenie?

– Sugerujesz, że to czarny udający białego i nienawidzący białych bogaczy?

– Tyle że według dziadka pan B. nie ma powodu, żeby mieć żal do matki – zauważyła Marge. – Poza tym wcale nie ukrywa swojego pochodzenia etnicznego. Bez oporu posłużył się czarnym dziadkiem, żeby zapewnił mu alibi. I rzeczywiście poleciał do Oakland, żeby się nim zająć.

– To prawda. – Oliver skinął głową.

Marge wyjęła notes.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy.

– Co takiego?

– Powiem ci, kiedy to znajdę.

– Jezu, co za przygnębiający dzień. – Oliver potarł czoło. – Te ciudads to okropne miejsca.

– Ciągle o nich myślisz?

– Cały czas.

– Widocznie i tak życie w nich jest lepsze niż tam, skąd pochodzą ci ludzie – odparła, przeglądając notatki. – W innym wypadku jeździliby w odwrotnym kierunku.

– Czasami to robią.

Marge uniosła wzrok.

– Ci, którzy kupują tam drugi dom na plaży, się nie liczą. Jakoś nie słyszałam o Amerykanach próbujących nielegalnie przekroczyć granicę, żeby znaleźć się w Meksyku.

– Cyniczka – skomentował Oliver.

– Wrażliwiec. – Marge klepnęła go w kolano. – Właściwie ta twoja empatia jest wzruszająca.

– Po prostu ciągle mam przed oczami tę dziewczynkę**...** Opiekuje się młodszym rodzeństwem i cały czas musi znosić umizgi napalonego kretyna. Co ona ma za życie?

– Przestań. – Marge przeniosła uwagę na notatki. – Przypomniałeś mi setki spraw, nad którymi pracowałam z rabbim w wydziale do spraw nieletnich. Wszystkie te piękne twarzyczki błagające o pomoc**...** A ja przecież nie mogłam nic zrobić. Wydział zabójstw bywa okropny, ale wydział do spraw nieletnich to codzienne cierpienie.

Do ich foteli podeszła stewardesa z wózkiem.

– Co państwu podać?

Marge uniosła wzrok.

– Poproszę dietetyczną colę.

– Płaci pani dolara.

Marge otworzyła szeroko oczy.

– Kasujecie za napoje bezalkoholowe?

– Woda i sok pomarańczowy są za darmo – odparła kobieta.

– W takim razie wezmę sok pomarańczowy.

– Precelki albo orzeszki?

– A one też są za darmo?

– Tak, proszę pani.

– Wybór jest tak wielki, że nie potrafię się zdecydować. Może precelki. A co dla ciebie, Scott?

– Sok i orzeszki. Myślisz, że wydział zwróci mi pieniądze, jeśli poproszę o dodanie do tego soku trochę wódki?

– Pewnie nie – odparła Marge.

– Jaki wydział? – zaciekawiła się stewardesa.

– Jesteśmy w podróży służbowej. – Marge pokazała odznakę. – Dostaniemy zniżkę?

Stewardesa nie wahała się ani chwili.

– Nie mówcie nikomu, że to zrobiłam. – Otworzyła puszkę dietetycznej coli i podała ją Marge. – Mój tata był policjantem. – Następnie odwróciła się do Olivera i podała mu sok pomarańczowy i buteleczkę wódki. – Na koszt firmy.

– Dziękujemy bardzo – powiedziała Marge, jednak stewardesy już przy nich nie było. – Pierwszy raz w życiu dzięki odznace dostałam coś za darmo! – skomentowała z uśmiechem.

Oliver dolał wódki do soku.

– O rany, niebo w gębie. Chcesz łyka?

– Zaraz**...** O, znalazłam! – Marge znów zaczęła szeptać. – Córka Edny powiedziała, że pan R.M. jeździł do północnego ciudad, żeby odpocząć po pracy.

– Raczej na dziwki, ale mniejsza o szczegóły.

– Edna zapytała T., kto tam mieszka. Zapisałam nazwiska, które wymieniła: Gonzales, Ricardo, Mendez, Alvarez, Luzon. Któreś z nich brzmi znajomo?

Oliver wyprostował się raptownie.

– Paco Alvarez?

– On się nazywa Albanez. Ale co powiesz o tej pokojówce? O Anie Mendez?

– No tak**...** Potwierdziliśmy jej alibi, ale to nic nie znaczy. – Oliver zawahał się. – Podobnie jak i jej nazwisko. Jest bardzo popularne w hiszpańskojęzycznym świecie.

– Na pewno, ale wyobraź to sobie. R.M. i Ana poznają się w Ponceville. Przyjeżdżają razem do Los Angeles. I wpadają na pewien pomysł. Oboje wiemy, że prawdopodobnie była to robota kogoś z wewnątrz. A jeśli to właśnie oni? Żeby tak szybko się poruszać po tym domu, trzeba dokładnie znać rozkład pomieszczeń.

– Na pewno pan R.M. go znał.

– Rozkład pomieszczeń w głównym budynku, ale na pewno nie w skrzydle dla służby. Nie ma śladów włamania. Wszystko wskazuje na to, że napastnicy weszli właśnie stamtąd. Ana mówiła, że o północy kuchnia zwykle była zamykana i niedostępna dla służby, prawda? Dzięki temu pracownicy nie mogli wchodzić do głównego budynku, kiedy państwo spali. Tej nocy jednak ktoś naruszył zasady bezpieczeństwa. Powiedzmy, że Ana wraca do domu, lecz nie sama. Otwiera skrzydło dla personelu, napastnicy zabijają wszystkich, którzy są na dole, a potem idą na górę do drzwi

kuchennych, które pan R.M. zostawił dla nich otwarte. Mówi im, gdzie są wszyscy, i napastnicy robią to, po co przyszli. Potem wychodzą przez skrzydło dla służby, a Ana udaje, że dopiero teraz wróciła do domu.

– Była w kościele, wszyscy ją pamiętają. – Oliver wzruszył ramionami, zaraz jednak dodał: – Ale może nikt nie zauważył, że wyszła wcześniej.

– Albo po prostu dała panu R.M. kod do drzwi. Dzięki temu jej alibi byłoby niepodważalne i nikt nie pomyślałby, że jest w to zamieszana.

– To ma sens. – Oliver pociągnął łyk soczku z prądem.

– Nie wiem, czy trochę nie poniosła mnie fantazja. W końcu Mendez to bardzo popularne nazwisko. Ale co nam szkodzi wysłać kogoś do ciudad ze zdjęciem Any?

– Jak to sobie wyobrażasz? – odparł Oliver. – Jeśli mieszka tam jej rodzina, od razu ją ostrzegą. Nie chcę, żeby uciekła na do Meksyku.

– Ani ja. I nie chcę też angażować szeryfa T. w wyjaśnianie czegoś, co może okazać się zwykłymi spekulacjami.

– Zgadzam się – powiedział Oliver. – Wyślemy tam kogoś innego, nie wspominając o tym szeryfowi.

– Może Brubecka i Deckera? – zaproponowała Marge. – Decker mówi płynnie po hiszpańsku, a Brubeck ma znajomości na miejscu.

– Czarny i Żyd. – Oliver dopił drinka. – I kto mówi, że policja Los Angeles nie jest wielokulturowa?

Gdy tuż po wylądowaniu Marge włączyła komórkę, na wyświetlaczu natychmiast pojawił się komunikat, że ma

nowe wiadomości w skrzynce głosowej. Pierwsza nagrała się Vega. Życzyła owocnej podróży. Marge uśmiechnęła się. Jej córkę musiało sporo kosztować zstąpienie do grona zwykłych śmiertelników i przekazanie czegoś tak banalnego jak życzenia.

O wiele bardziej niepokojąca była druga wiadomość.

– Zadzwoń do mnie, gdy tylko wylądujesz.

– O kurczę. – Marge wybrała numer Deckera. – Szef jest zdenerwowany. Niedobrze.

Peter odebrał po trzecim sygnale.

– Wróciliście?

– Jesteśmy na lotnisku. Przed chwilą wylądowaliśmy.

– Jestem w szpitalu Świętego Józefa. Przyjedźcie tu jak najszybciej.

– Co się stało?

– O piątej Gil Kaffey wyszedł ze szpitala. Właśnie wsiadał do samochodu, kiedy ktoś otworzył ogień**...**

– Jezus Maria! – Marge przybliżyła telefon do ucha Olivera, żeby i on słyszał. – Kto z nim był?

– Grant, Neptune Brady, Piet Kotsky, Antoine Resseur i Mace Kaffey, który miał wczoraj wyjechać, ale przełożono datę nabożeństwa żałobnego i dlatego został jeszcze jeden dzień. Dzięki refleksowi Brady'ego kule ominęły Gila i Granta. On i jeden z jego ludzi rzucili się na nich i zasłonili ich własnymi ciałami. Neptune oberwał w bark, a Mace w rękę. Właśnie są operowani. Mogło być znacznie gorzej.

– Brady odpowiedział ogniem?

– Nie, i bardzo dobrze zrobił. Wokół było mnóstwo ludzi.

– Gdzie są w tej chwili Gil i Grant? – zapytał Oliver.

– Z tym mamy spory problem. Razem z Resseurem odjechali limuzyną, która czekała na Gila. Brady pewnie wie, gdzie są, ale akurat jest na sali operacyjnej. Policja z West Hollywood już sprawdziła mieszkanie Resseura. Nikt nie otwiera, a nie mamy nakazu, więc nie możemy wejść do środka.

– Co wiemy o napastnikach? – zapytała Marge.

– Brady miał na tyle przytomności umysłu, żeby spojrzeć na odjeżdżający samochód. On i Kotsky twierdzili, że był to czerwony sedan, japończyk, honda albo toyota, tak to zapamiętał. Jakieś piętnaście minut temu patrol znalazł samochód porzucony niecały kilometr od szpitala. To rdzawoczerwona honda accord bez tablic. Wysłałem Messinga i Pratt, żeby ją zabezpieczyli. Jak daleko jesteście od Świętego Józefa?

– Dopiero co wyszliśmy z terminalu. Powinniśmy dotrzeć do was gdzieś za kwadrans.

– Jedźcie od razu na dziesiąte piętro. Nie dzwoń do mnie, bo będę miał wyłączoną komórkę. Przepisy szpitalne. Pogadamy na miejscu. – Rozłączył się.

Marge doszła do samochodu.

– Ty prowadzisz. – Rzuciła Scottowi kluczyki. – Zapowiada się kolejna ciężka noc.

– Po bardzo ciężkim dniu – dodał Oliver.

– Ostatnio ciągle nam się trafiają dwudziestoczterogodzinne dyżury. Gdybym chciała tak harować, skończyłabym medycynę i teraz spała na forsie.

– Chodziłem kiedyś z jedną lekarką. Wciąż narzekała, że musi ciężko pracować za psie pieniądze. Ale takie są właśnie kobiety. Na wszystko bez przerwy narzekają.

– Ty też na wszystko nieustannie narzekasz.

– Bo taką mi wyznaczono rolę. Chroniczny zrzęda, do usług.

– Dlaczego to ty zostałeś zrzędą, a nie ja?

– Tobie też mogła przypaść ta rola, Margie, ale zamiast niej wybrałaś rolę osoby radosnej, optymistycznej i chętnej do pomocy. Teraz na pewno tego żałujesz, ale jest już za późno. Nie obwiniaj mnie o swoje złe decyzje. To ci nic nie da.

Do strzelaniny doszło na parkingu, ale centrum dowodzenia znajdowało się na dziesiątym piętrze. Pełno tu było mundurowych: ochrona szpitala w mundurach khaki, ochroniarze Kaffeyów w tych samych barwach i kilku funkcjonariuszy policji odzianych na granatowo. Decker rozmawiał z Pietem Kotskym, potężnie zbudowanym mężczyzną o żółtawej skórze. Widząc Marge i Olivera, przywołał ich gestem.

– Trzeba porozdzielać ludzi – powiedział. – Grupują się w jednych miejscach, gdzie indziej ich za mało. I musimy skoordynować nasze działania ze szpitalną ochroną.

– Dalej nie wiadomo, gdzie są Gil i Grant? – zapytał Oliver.

Decker skrzywił się i przeniósł wzrok na Kotsky’ego.

– Być może niektórzy wiedzą, gdzie są, ale nie chcą nam powiedzieć.

– Co się pan tak mnie uczepił? – Piet Kotsky skrzyżował ramiona na piersiach. – Niczego nie ukrywam, po prostu czekam na instrukcje od pana Brady’ego.

Decker starał się powściągnąć gniew.

– Próbuję wytłumaczyć panu Kotsky’emu, że życie Gila Kaffeya może być w niebezpieczeństwie.

– Jest ze swoim bratem – odparł Kotsky.

– Grant jest jednym z naszych podejrzanych. Mógłbym wezwać pana sądownie do ujawnienia miejsca ich pobytu, ale do tego czasu Gil Kaffey może już nie żyć.

Kotsky machnął ręką.

– Nie wierzę w to, że Grant mógłby skrzywdzić swojego brata.

– Czy mogę pana zacytować, gdy znajdziemy zwłoki Gila? Napastnicy mogą ich w każdej chwili dopaść.

– Niby po co?

– Jak to po co? – zdumiał się Decker. – Żeby zabić Gila i w pełni wywiązać się ze zlecenia. Może tym razem będą mieli więcej szczęścia i uda im się zabić wszystkich.

– Czekam na Neptune’a Brady’ego. – Kotsky pozostał niewzruszony. – On jest tu szefem. Już się wybudza po operacji. Lekarz mówi, że będziemy mogli z nim porozmawiać za jakieś pół godziny.

– Jak w ogóle do tego doszło? – zapytała Marge Deckera.

– Jego zapytaj. – Wskazał go palcem. – To on tam był.

– Ktoś zaczął strzelać – powiedział Kotsky. – Pan Brady skoczył na panów Gila i Granta i przygniótł ich do ziemi. Ja przewróciłem Mace’a, ale i tak dostał w rękę. Poczułem podmuch**...** Kula świsnęła tutaj. – Musnął dłonią prawy policzek. – Zupełnie jakby trzmiel przeleciał koło ucha. Miałem szczęście.

– Widział pan, kto strzelał? – zapytał Oliver.

– Nie za bardzo. Kiedy uniosłem wzrok, zobaczyłem czerwonego sedana, toyotę albo hondę.

– A co z Antoine’em Resseurem?

– Nie został ranny. Odjechał z innymi.

Decker spojrzał na Kotsky’ego.

– Wybaczy pan na chwilę.

– Jasne. Nigdzie się nie wybieram.

– Cieszę się**...** – Dał znak Oliverowi i Marge i odeszli na bok. – Rina zidentyfikowała Alejandra Branda jako jednego z ludzi, których podsłuchał Brett Harriman. Poprosiłem kolegów z posterunku przy Foothill, żeby spróbowali go odszukać. Pomogą im Messing i Pratt. Chcę wiedzieć, gdzie Brand był przez ostatnie kilka godzin, bo w tej chwili jest naszym jedynym podejrzanym.

– A kto szuka Kaffeyów i Resseura? – zapytała Marge.

– Wysłałem za nimi list gończy.

– Może ta trójka wszystko ukartowała – zasugerował Oliver. – Gil i Grant chcieli dorwać się do pieniędzy, a Resseur chciał odzyskać Gila. Sam mówiłeś, że nie może pogodzić się z zerwaniem, o które obwinia jego rodziców.

– Dość radykalny sposób na odzyskanie chłopaka.

– Kto wie, kiedy w grę wchodzą uczucia**...** I dlaczego by uciekali, gdyby ktoś naprawdę próbował ich zlikwidować? Za bardzo by się bali, żeby porzucić ochronę.

– Na wiele im się ta ochrona nie przydała – zauważyła Marge. – Może za bardzo się boją, żeby pozostawać w pobliżu. Może nie ufają już nikomu poza sobą.

– No dobra, załóżmy, że ta strzelanina nie była sfingowana – powiedział Oliver. – Kto był jej celem?

– A kto to może wiedzieć? – odparła Marge. – Jedynym Kaffeyem, który dotąd nie oberwał, jest Grant. Warto by się mu bliżej przyjrzeć.

– Ciągle zastanawiam się nad wujkiem malwersantem – powiedział Oliver. – Jak poważne są jego obrażenia?

– Nie zagrażają życiu, ale postrzał to postrzał – odparł Decker. – Nie zapominajcie o zaginionym strażniku. Rondo Martin**...** Co się z nim dzieje, do cholery?

– Ten facet był zagadką również w Ponceville. Nikt nie wiedział, skąd naprawdę pochodzi.

– Martin nie był za bardzo towarzyski – dodał Oliver. – Od czasu do czasu napił się piwa w barze, ale to wszystko. Po pracy jeździł do dzielnicy zamieszkiwanej przez robotników rolnych. Nazywają ją ciudad. Coś jak Tijuana w gorszy dzień.

– Dzielnica nędzy – wyjaśniła Marge. – To oczywiste, że kwitnie tam prostytucja.

– Niewiele więcej można tam robić – dorzucił Oliver.

– Rondo Martin odwiedzał północne ciudad.

– Północne**...** Czyli ta dzielnica składa się z czterech części? – upewnił się Decker.

– Tak – potwierdziła Marge. – Szeryf nazywa się Tim England, ale wszyscy mówią do niego T. Jego sekretarka wspomniała o rodzinach mieszkających w ciudads. Wymieniła między innymi nazwisko Mendez.

– Tak jak Ana Mendez? – zapytał Decker.

– No właśnie – odparła Marge. – Musieliśmy wyjechać,

zanim zdążyliśmy się rozejrzeć, choć to może nic nie znaczyć. Mendez jest popularnym hiszpańskim nazwiskiem. Najprościej byłoby zapytać o to Anę, ale nie chcemy jej spłoszyć.

– Pomyśleliśmy, że może ty i Brubeck wolelibyście sami przyjrzeć się tym ciudads – wtrącił Oliver.

– Widzę, że przydzieliliście mi zadanie – z uśmiechem skomentował Decker.

– Brubeck zna miejscowych, a ty mówisz po hiszpańsku – wyjaśniła Marge.

– Lepiej nie wtajemniczać w to wszystko szeryfa T. – dodał Oliver. – Może mu się nie spodobać, że ktoś węszy na jego terenie.

– Czyżby nie przypadł wam do gustu? – zapytał Decker.

– Niewiele o nim wiemy – odrzekła Marge. – Nie był zbyt wylewny, ale w sumie dlaczego miałby być?

– No dobra**...** – Decker westchnął. – Wygląda na to, że to była pożyteczna podróż. A co z Oakland? Skontaktowaliście się z ojcem Neptune'a?

– Właściwie to jego dziadek – sprostował Oliver. – Porter Brady. Ojciec Neptune'a był czarny, a matka biała. To tłumaczy jego permanentną opaleniznę.

– Co kwestia jego przynależności rasowej ma wspólnego z morderstwami u Kaffeyów? – zapytał Decker. – Sugerujecie, że to wybuch tłumionej przez lata wściekłości?

– Według Portera Neptune nie czuł żalu do swojej matki. – Oliver zdał relację z tego, czego się dowiedzieli.

– To wyjaśnia, dlaczego Brady jest po trzydziestce, a Porter

po siedemdziesiątce.

– Z billingów wynika, że Brady podczas strzelaniny był w Oakland – powiedział Oliver. – Wciąż uważasz go za jednego z głównych podejrzanych, rabbi?

– Wcale go nie wykluczam. Na razie nikogo nie wykluczam, nawet tego gościa. – Decker wskazał Kotsky'ego, który stał nieruchomo z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Mógłby być strażnikiem w londyńskim Tower. – A teraz, no cóż, musimy poczekać, aż pozwolą nam porozmawiać z Neptune'em. Wygląda na to, że on tutaj rządzi. – Wzruszył ramionami. – Może nawet bardziej, niż nam się wydaje.

Doktor Rain po znajomości pozwolił zobaczyć się z rannym Deckerowi. Zastrzegł jednak, że musi być sam, a rozmowa ma być krótka.

Twarz Neptune'a Brady'ego zszarzała, pojawiły się na niej plamy. Do nosa podłączona była rurka doprowadzająca tlen, a do ręki kroplówka. Usta miał popękane, lecz oczy szeroko otwarte. Owinięty bandażami tors był odkryty. Popatrzył na Deckera zdziwionym wzrokiem i powiedział:

– My się już znamy**...**

– Porucznik Decker. Jak pan się czuje?

– Jakbym leciał**...** Nie chcę się rozbić. Postrzelili pana kiedyś?

– Kilka razy.

– To tak, jakby ktoś pana dźgnął rozgrzanym pogrzebaczem. Kurwa, ale parzy.

– Tak właśnie to wygląda.

– Na szczęście ból już trochę zelżał.

– Postaram się, żeby nasza rozmowa była jak najkrótsza.

– Długość ma znaczenie**...** Nie tylko w przypadku wacków.

– Czy wie pan, gdzie są młodzi Kaffeyowie?

– A skąd! Nie mam pojęcia.

– Po prostu wskoczyli do limuzyny i rozpłynęli się w powietrzu?

– Mówiłem im**...** Spieprzajcie z tego dodge'a.

– A Antoine Resseur?

– Co z nim?

– Pojechał z Kaffeyami?

– Tak?

– Nie wiem – powiedział Decker. – To ja pana pytam.

– A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć?!

– Dokąd pana zdaniem mogli pojechać?

– Na koniec galaktyki**...** – Uniósł dłoń w geście Spocka ze *Star Treka*: palec wskazujący i środkowy po jednej stronie, serdeczny i mały po drugiej.

Decker wiedział, że taki gest wykonywał kohen, żydowski kapłan, gdy błogosławił wiernych. Zwyczaj ten pochodził sprzed dwóch tysięcy lat.

– Może jednak ograniczy się pan do Ziemi?

– Nie mam pojęcia. – Neptune uśmiechnął się głupkowato. – Dla mnie liczy się to, że się zrehabilitowałem. To ja zaliczyłem kulkę, nie Kaffeyowie.

– Mace też został postrzelony.

Brady zamyślił się.

– Tak**...** to mi wszystko komplikuje. – Przerwał na chwilę. – Demerol to świetna rzecz. Chyba się uzależnię. Chcieli mnie

wysłać na rehabilitację, ale się nie zgodziłem.

– Kto poza Kotskym i panem wiedział o Gilu?

– Wiele osób. Ujawnił się już jakiś czas temu.

– Chodziło mi o to, kto poza wami wiedział, że Gil wychodzi ze szpitala.

Zakaszlał, krzywiąc się z bólu.

– Cholera, ale boli.

– Potrzebuje pan pielęgniarki?

– Potrzebuję więcej środków przeciwbólowych.

Decker wcisnął guzik. Postanowił uprościć sprawę.

– Wiedział pan, kiedy Gil wychodzi ze szpitala, prawda?

– Prawda.

– Wiedzieli o tym też Grant, Mace, Antoine Resseur i Piet Kotsky, zgadza się?

– Zgadza się.

– Ktoś jeszcze wiedział?

– O czym?

– O tym, kiedy Gil wychodzi ze szpitala. – Decker postanowił porozmawiać inaczej: – Czy do ochrony Kaffeyów zatrudnił pan jeszcze kogoś poza Pietem Kotskym?

To pytanie zbiło Brady'ego z tropu.

– Chyba nie**...** widzę jak za mgłą**...** boli mnie głowa**...**

– Na razie nie strzelano tylko do Granta i Resseura – zauważył Decker. – Co pan o tym sądzi?

– Spełniłem swój obowiązek. Gdybym tego nie zrobił, ich mózgi zachlapałyby mi kurtkę.

– Czy zatrudniał pan kiedykolwiek niejakiego Alejandra Branda?

Kilka razy zamrugał powiekami.

– Nic mi nie mówi to nazwisko. Kto to?

– Skręca się pan z bólu.

– Powinni mi dać kolejną dawkę szczęścia.

Decker ponownie wcisnął guzik. Postanowił postawić wszystko na jedną kartę:

– Czy pan wie, że Rondo Martin i Ana Mendez byli parą?

– Pokojówka Ana? – upewnił się Brady.

– Tak, Ana Mendez. Słyszałem, że ze sobą chodzili.

– Hm**...** – Brady zamyślił się. – Kiedyś wszedłem do kwater ochroniarzy. – Wciągnął głęboko powietrze, po czym je wypuścił. – Rondo siedział tam ubrany po cywilnemu**...** i jadł jakąś meksykańską potrawę**...** – Zamknął oczy. – Enchiladę z ryżem i fasolą. Na ranczo nie przyjeżdżały dostawy z meksykańskim jedzeniem.

– Tak właśnie przypuszczałem. Zapytał go pan o to?

– Tak. Powiedział, że sam to przyrządził, i zaproponował, że się ze mną podzieli. „Nie, dziękuję”, powiedziałem, a on na to: „Jak tam sobie chcesz”. A potem wstał i wyrzucił wszystko do śmieci. Powiedział, że idzie się przebrać, bo zaraz zaczyna pracę. – Znów skrzywił się z bólu.

– Myśli pan, że to Ana przygotowała mu ten posiłek?

– Nie wiem. Kuchenka i mikrofalówka były czyste, więc na pewno sam tego nie ugotował. I nie wyglądało mi to na mrożonki**...** Jestem zmęczony.

– Wiem, ale bardzo mi zależy na odnalezieniu Gila i Granta. Martwię się o nich.

– Niech pan lepiej zajmie się gwałcicielami i złodziejami**...**

Do sali weszła pielęgniarka. Sprawdziła kroplówkę i spytała:

– I jak się czujemy?

– Nie wiem jak pani, ale ja do dupy – odparł Brady.

– Dodam trochę więcej środków przeciwbólowych do pana kroplówki – obiecała. – Trochę pan sobie pośpi.

– Niech będzie – zgodził się Brady. – Wszystko, byle tylko nie czuć tego cholernego bólu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Sala, w której leżał Mace, znajdowała się po drugiej stronie korytarza. Z powodu charakteru obrażeń musiał pozostać na noc w szpitalu, ale jeśli wszystko dobrze pójdzie, rano powinien zostać wypisany do domu. Siedział na łóżku z ręką na temblaku i ubrany w piżamę oraz szlafrok oglądał telewizję. Pod oczami miał wory, usta były blade i przesuszone, a czarne włosy przetłuszczone.

– Nie mogę się doczekać, żeby się stąd wynieść – powiedział na samym wstępie. – To istny dom wariatów.

– Kiedy pan wyjeżdża? – zapytał Decker.

– Gdy tylko będę mógł podróżować, nawet jeśli miałoby to oznaczać konieczność wynajęcia prywatnego odrzutowca. – Wyłączył telewizor. – Guy zawsze wpędzał mnie w kłopoty. Jak widać, zarówno za życia, jak i po śmierci.

– Czytałem o tym – przyznał Decker. – Cały ten proces sądowy**...**

Mace machnął zdrową ręką.

– Zwykłe nieporozumienie. Mógłbym dalej to ciągnąć, ale tylko dałbym zarobić prawnikom. Ostatecznie i tak dostałem to, co chciałem, podobnie jak on. Nie będę wchodził w szczegóły.

– Chciałem zapytać pana o to, co się wydarzyło na parkingu. Widział pan coś?

– Niestety nie. – Mace pokręcił głową. – To się działo zbyt

szybko.

– Brady i Kotsky zapamiętali samochód odjeżdżający z piskiem opon zaraz po strzelaninie.

– No to mają szczęście. Ja nie pamiętam nic oprócz tego, że myślałem, że już po mnie. Wiedziałem, że dostałem. Wszędzie krew**...** Byłem całkiem skołowany, wydawało mi się, że postrzelili mnie w klatkę piersiową. Na szczęście to tylko ręka.

– Czy mógłby pan odtworzyć kolejność zdarzeń? Wyszli panowie ze szpitala i**...**

– Niech no pomyślę. – Mace zamknął oczy. – Gil jechał na wózku. Antoine był po prawej, Grant po lewej. Brady przed nami, a ten, jak mu tam, z tyłu. – Zawahał się. – A gdzie byłem ja? – Znów zamilkł na chwilę. – Między Gilem a tym jak mu tam.

– Kotskym? – podpowiedział mu Decker.

– Tak, właśnie. Szedłem przed Kotskym, ale za Gilem, Grantem i Resseurem. Usłyszałem świst i nagle Kotsky**...** przewrócił mnie na ziemię. Następne, co pamiętam, to jak trząsłem się jak galareta i myślałem: „Boże, proszę, nie pozwól mi umrzeć, i to jeszcze na dodatek w Los Angeles”.

– Wygląda na to, że Bóg wysłuchał pańskiej modlitwy.

– Cóż, wysłuchał. – Zawahał się, po czym dodał: – Przynajmniej na razie.

Decker wręczył mu wizytówkę.

– Gdyby pan sobie coś jeszcze przypomniał**...**

Mace wziął wizytówkę, a potem z powrotem włączył telewizor.

Przesłuchanie skończone.

– Najnowsze materiały na temat Greenridge. – Lee Wang położył stertę papierów na biurku porucznika. Odgarnął czarne włosy z twarzy i nie czekając na zaproszenie, usiadł na krześle. Brązowa marynarka poszerzała go w ramionach, za to miała za krótkie rękawy. Sprzedawczyni w sklepie odzieżowym pewnie była na haju.

Decker odgarnął na bok papiery i stłumił ziewnięcie. Ostatniej nocy spał cztery godziny i nawet mimo dwóch porannych kaw miał problemy z koncentracją.

– Co tam mamy, Lee?

– Na górze ostatnie artykuły o Paulu Pritchardzie z Cyclone Inc.

– Czyli o głównym przeciwniku Greenridge. Mógłbyś mi je streścić w maksymalnie dziesięciu słowach?

– Pritchard uważa, że Greenridge będzie fiaskiem. Ten projekt w obecnym kształcie jest niewykonalny. Wiem, że to dwanaście słów, ale mniej już się nie dało.

– Może po prostu im zazdrości?

– Pewnie tak, ale przeczytaj ten artykuł. Pritchard uważa, że koszty Greenridge osiągnęły taki pułap, że projekt musi paść. Czeka tylko na oficjalny komunikat.

– Skąd wie tak dużo o finansach Kaffeyów?

– Nie prześwietlił Kaffey Industries, tylko Greenridge Project. Wstępna analiza kosztów znalazła się w prospekcie, który Kaffeyowie przygotowali, gdy starali się o wypuszczenie obligacji komunalnych, jednak obecna sytuacja na rynku na pewno dała im się we znaki. Jakby tego

było mało, koszty Greenridge sporo wzrosły z powodu opóźnień i zmian, których trzeba było dokonać w projekcie, by zadowolić społeczność lokalną. Ostatecznie z powodu sytuacji na rynku i przekroczenia kosztów rating kredytowy Greenridge spadł z A1 do niemalże poziomu obligacji śmieciowych. To oznacza, że aby nakłonić ludzi do kupna obligacji Greenridge, Kaffeyowie muszą zaproponować bardzo wysoką stopę procentową.

– A to jeszcze bardziej zwiększy koszty.

– No właśnie – potwierdził Wang. – Mogę zaryzykować twierdzenie, że ktoś tak łebski jak Guy Kaffey z pewnością próbowałby ukręcić łeb tej inwestycji. Kto jednak wie, co się stanie teraz, gdy Guya nie ma wśród żywych?

– Masz jakieś informacje o tym, kto przejmie Kaffey Industries?

– W większości artykułów przewiduje się, że synowie odziedziczą udziały w firmie mniej więcej po połowie.

– A co z Mace’em? Mówiłeś, że ma jakieś udziały w firmie. Niewielkie, ale ma.

– Tak, naprawdę niewielkie, minimalne.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Jeśli Gil i Grant będą mieli różnie opinie na jakiś temat, to głos Mace’a przeważy. Możliwe są różne opcje. Na przykład Grant i Mace mogą zawiązać koalicję przeciwko Gilowi i utrzymać Greenridge przy życiu.

– Jeśli synowie odziedziczą po tyle samo akcji, Mace ze swoimi dwoma procentami rzeczywiście będzie dysponował decydującym głosem.

Decker odchylił się w fotelu i pogładził wąsy.

– Lee, co właściwie sądzisz o tych morderstwach? Czy Gil miał zginąć razem ze swoimi rodzicami?

Wang zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym odparł nie całkiem wprost:

– Grant Kaffey to jedyny członek rodziny, który w ogóle nie ucierpiał.

Decker złączył koniuszki palców obu dłoni i powiedział w zadumie:

– Grant, Gil i Antoine Resseur zaginęli. Czy dla Granta nie byłaby to idealna okazja do pozbycia się brata?

– Gdyby Gil w tej sytuacji odniósł śmiertelne obrażenia, wyglądałoby to bardzo podejrzanie. A poza tym Grant musiałby zabić również Resseura.

– Jasne**...** – Decker pokiwał głową. – Tak tylko głośno myślę. – Gdy zadzwonił telefon, odebrał połączenie i powiedział po chwili: – Cześć, Willy, już wróciłeś?**...** Nie ma sprawy, nie oczekiwaliśmy, że go znajdziesz. To jak szukanie igły w stogu siana. Ale mam dla ciebie jeszcze jedno zadanie**...** Nie, nie musisz przychodzić już dzisiaj. Ciesz się urlo**...** – Uśmiechnął się. – Cóż, jeśli doprowadza cię do szału, możesz jej powiedzieć, że cię natychmiast potrzebuję. Rozkazuję wracać**...** Jasne. Do zobaczenia.

Wang uśmiechnął się.

– Jego żona?

– Ponieważ Willy ma jeszcze kilka dni wolnego, wymyśliła, że mógłby wymienić płytki w łazience. – Decker wrócił myślami do wcześniejszej rozmowy. – Przez chwilę spróbuję

odgrywać adwokata diabła. Guy Kaffey był nieprzeciętnym człowiekiem. Wystarczy przyjrzeć się jego ranczu. Ma rozmiary małego europejskiego państwa. Uwielbiał wygrywać i z tego, co mówią ludzie, wynika, że w interesach często podejmował ryzyko.

– Zgadza się to z tym, co o nim czytałem – przyznał Wang.

– Nie sądzisz, że prędzej pozwoliłby, żeby Grant i Mace doprowadzili budowę Greenridge do końca, niż podniósł ręce i przyznał się do porażki?

– Mógłbym to zrozumieć, gdyby Greenridge było pomysłem Guya. Ale to pomysł Granta, a dokładniej, Granta i Mace'a. Ten projekt nie ma szans. W czasach recesji i cięć Greenridge to dinozaur. – Wang zamyślił się na chwilę. – Niewykluczone, że Guy zbudowałby Greenridge na mniejszą skalę, ale nawet wtedy musiałby ten projekt zasilać pieniędzmi z innych działów Kaffey Industries.

– Pójdźmy krok dalej – zaproponował Decker. – Jeśli Grant i Mace chcieli doprowadzić budowę Greenridge do końca, to czy Guy i Gil nie musieli odejść?

– Gil na pewno stanowiłby przeszkodę, ale ktokolwiek to zrobił, nie może zabić wszystkich. – Wang wstał z krzesła. – Mam trochę wolnego po południu. Nie chcesz, żebym się włączył w poszukiwania Granta, Gila i Antoine'a?

– Mam tam już wystarczająco dużo ludzi. Może lepiej pójdź do sędziego i poproś, żeby wystawił im wezwanie do sądu pod pretekstem, że są świadkami strzelaniny. To trochę naciągane, ale przynajmniej pozwoli nam ich zatrzymać, kiedy już ich znajdziemy.

Znów zadzwonił telefon, więc Wang pomachał szefowi na pożegnanie i wyszedł.

– Cześć, tu Mallory Quince. Złapaliśmy Alejandra Branda.

– O kurczę! – Decker wyprostował się. – To się nazywa tempo. Dobra robota. Jak go dopadliście?

– Sam się dopadł. Wysadził w powietrze swoje laboratorium.

Obraz z kamery wideo zainstalowanej w sali przesłuchań pokazywał dziewiętnastolatka w za dużym T-shircie i workowatych zielonych krótkich spodenkach, które sięgały do kolan. Na głowie miał czapkę z logo drużyny Los Angeles Dodgers. Daszek rzucał cień na jego oczy i nos. Chłopak miał wąskie wargi i kozią bródkę. Jego ciało było niebieskie od tatuaży. Po ramionach pełzały dwie anakondy, a na szyi widać było znak B12.

Mallory Quince spojrzała nad ramieniem Deckera na monitor i powiedziała:

– Podobno chłopakom z wydziału narkotyków nie podoba się, że marnujesz ich czas na nagrywanie zeznań, które dasz do wysłuchania jakiemuś niewidomemu. Zgodzili się jedynie dlatego, że jesteś porucznikiem i dotyczy to sprawy Kaffeyów.

– To już dwa powody. Co takiego złego się stanie, jeśli puszczę mu to nagranie? Niewidomi mają bardzo wyczulony słuch.

Mallory wyprostowała się i skrzyżowała ramiona na piersiach. Miała krótkie ciemne włosy i ubrana była w pomarańczowy kostium.

– Skąd wiesz, że ten niewidomy, nie powie: „Tak, to ten drań, którego słyszałem” tylko po to, żeby poczuć się kimś ważnym i dostać nagrodę? – zapytała ostrym głosem.

– Powiedziałem mu, że świadek wskazał czterech podejrzanych. Harriman już odrzucił nagrania głosu dwóch hiszpańskojęzycznych policjantów.

– Może domyślił się, że go wypróbowujesz?

Decker wzruszył ramionami.

– Powiedz chłopakom z wydziału narkotyków, że nie zaproponuję Brandowi żadnego układu. Chcę tylko nagrać go, gdy będzie mówił po hiszpańsku. To umożliwi identyfikację.

– Myślisz, że sąd uzna ten dowód?

– Nie zamierzamy wnosić oskarżenia przeciwko Brandowi. My tylko chcemy ustalić, co wie o morderstwach u Kaffeyów. To nie potrwa długo. Nawet się nie zająknę o tych morderstwach, dopóki Harriman nie zidentyfikuje jego głosu.

– Więc jaki masz plan? – Głos Mallory nieco złagodniał.

– Powiem mu o zarzutach, które na nim ciążą**...** Postraszę go. Mieszkanie jego babki spłonęło. Zasugeruję, że zamierzam oskarżyć go o podpalenie.

– Naprawdę to zrobił?

– Prawdopodobnie. Kto wie, może nawet się przyzna? Usiądę tam. – Decker pokazał na monitorze puste krzesło naprzeciw Branda. – Dzięki temu będziesz widzieć mój lepszy profil.

Decker przedstawił się po hiszpańsku i podał Brandowi rękę.

Chłopak podrapał się w bliznę koło oka i powiedział:

– Znam angielski.

Decker nie pokazał po sobie, jak bardzo się zdenerwował, słysząc te słowa, tylko gładko przeszedł na angielski:

– Jak wolisz, Alejandro.

Gangster wyciągnął przed siebie ręce i położył je na stole. Włoski na jego przedramionach pachniały spalenizną. To musiało się stać, kiedy wybuchło laboratorium. Może to stąd też ta blizna.

– Wiesz, dlaczego tu jesteś?

– Nie.

– Wybuchło twoje mieszkanie.

– I co z tego? Nie mam z tym nic wspólnego.

– Możesz mi powiedzieć, co się stało?

– Nie mogę, bo nie wiem. – Przeszedł na hiszpański. – *Estallado***...** Bum! *Comprende*?

– *Sí*.

– To chyba gaz. Śmierdziało tak, jakby się gaz ulatniał.

– Ile czasu tam mieszkałeś? – zapytał Decker po hiszpańsku.

– *Posible seis meses*. – Czyli: „Sześć miesięcy”.

– A ile czasu byłeś w mieszkaniu przed wybuchem?

– Hm**...** *Posiblemente viente minutos*. – Czyli: „Prawdopodobnie jakieś dwadzieścia minut”.

Nie mówił za dużo, ale przynajmniej rozmawiali we właściwym języku.

– I poczułeś gaz? – zapytał Decker.

– Tak. Śmierdziało.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś do gazowni?

– Nie zdążyłem.

– Siedziałeś po prostu tam**...** *usted acaba sentarse alli y***...** bum!?

– *S**í**, s**í**. Exactamente*.

– Policjanci znaleźli w twoich śmieciach pojemniki po odmrażaczach – powiedział Decker po hiszpańsku.

– Zima była wyjątkowo mroźna – odparł chłopak również w tym języku.

– Raczej taka sama jak w ostatnich sześciu latach.

– Mam kiepski samochód.

– Znaleźli też pojemniki po acetonie, rozpuszczalniku do farb, kwas akumulatorowy**...** Wszystko to bardzo wybuchowe środki.

– Przekonałem się na własnej skórze.

– Były tam też puste butelki po napojach gazowanych, rurki, zapałki i płyta grzewcza.

– To dlatego, że nie miałem kuchenki. Pogadajcie z właścicielem mieszkania.

– Daj spokój, Alex. – Decker nachylił się do niego. – Coś ty robił z tym wszystkim?

– Od kiedy posiadanie różnych rzeczy jest przestępstwem?

– To żadne przestępstwo mieć rozpuszczalnik do farb, jeśli jest się malarzem. To żadne przestępstwo mieć odmrażacz, jeśli zimą jedzie się do Kolorado. To żadne przestępstwo mieć aceton, jeśli prowadzi się salon kosmetyczny. Podejrzane staje się to dopiero wtedy, gdy masz te wszystkie rzeczy, a nie tworzysz obrazów, nie jeździsz samochodem

w zimie i nie malujesz paznokci.

Chłopak tylko wzruszył ramionami.

– Ciążą na tobie poważne zarzuty, synu – mówił dalej Decker. – Możesz sobie pomóc, jeśli powiesz nam, co się stało. Sędziowie lubią szczere wyznania.

Kolejne wzruszenie ramion.

– Jeśli powiesz nam prawdę, może będziemy trochę bardziej wyrozumiali w sprawie podpalenia mieszkania twojej babki.

Brand uniósł gwałtownie głowę i spytał niespokojnie:

– Jakiego znów podpalenia?

– Daj spokój, Alex! Wszyscy widzieli, jak uciekałeś. Mamy kilkudziesięciu świadków.

– To kłamcy, tacy sami jak ty. Nic na mnie nie macie.

– Alex, masz poważne kłopoty. W twoim mieszkaniu znaleziono materiały, które sugerują, że prowadziłeś nielegalną działalność. Pewnie nie tylko rozprowadzałeś narkotyki, ale również je wytwarzałeś. Grozi ci w najlepszym razie dwadzieścia lat odsiadki.

Chłopak miał rozbiegane oczy.

– To nie były moje materiały.

– A czyje?

– *La Boca*. – Czyli: „Usta”.

– To osoba?

– Tak.

– Opowiedz mi o niej i o tym, w jaki sposób te materiały trafiły do twojego mieszkania.

Chłopak zaczął opowiadać. Najpierw mówił niepewnie, wręcz nieśmiało. Wyjawił, że La Boca miał znajomych, którzy

wypadli z interesu i chcieli mieć jakieś miejsce, w którym mogliby przechować swoje materiały. O tym, że się zgłosił, bo jest miłym człowiekiem. Kiedy Brand zorientował się, że Decker mu nie przerywa, rozkręcił się na dobre. To nie miało żadnego znaczenia, bo przecież to wszystko były kłamstwa. Ale kiedy już chłopak zaczął mówić, nie mógł przestać.

Tego właśnie Decker chciał. Branda, który mówi po hiszpańsku. Głosu, który mogli nagrać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Nawet jeśli nie łamał prawa, przyjście tutaj na pewno było nieetyczne. Rina dość długo przyglądała się Brettowi Harrimanowi przez wizjer, by sprawdzić, czy ktoś mu towarzyszy, ale najwyraźniej był sam. Miał na sobie dżinsy i niebieską koszulkę.

– Czego pan chce? – zapytała przez zamknięte drzwi.

– Mogę wejść? Chcę tylko porozmawiać. – Cisza. – Niezręcznie tak gadać przez drzwi.

Uchyliła je, nie zdejmując łańcucha.

– Niezręczna to jest pana wizyta. Nie mamy o czym rozmawiać.

– Rozpoznałem głos człowieka, którego słyszałem w sądzie. – Znów zapadła cisza. – Może teraz pani mogłaby go zidentyfikować.

Rina milczała. Nie podobało się jej to najście.

– Powinniśmy współpracować – mówił dalej Harriman. – Ta identyfikacja mogłaby pomóc pani mężowi. Takie mam przeczucie.

Miło, że postanowił spełnić swój obywatelski obowiązek, ale to jeszcze nie powód, by otwierać szampana. Chyba że zależy mu na nagrodzie wyznaczonej przez Kaffeyów. Ale po co w takim razie zawraca jej głowę? Jeśli nadal będzie milczała, być może zrozumie aluzję i sobie stąd pójdzie.

Harriman rzeczywiście postanowił się poddać.

– Przepraszam za najście – powiedział i odwrócił się od niej.

Nie czuła się z tym najlepiej. Zazwyczaj była gościnna, ale ten człowiek zachowywał się dziwnie, a ona została całkiem sama. Patrzyła na niego, kiedy stawiał ostrożnie stopy na betonowych schodach. Kiedy w końcu przestała go widzieć przez wizjer, podeszła do okna i odsunęła zasłony dokładnie w chwili, gdy wsiadał od strony pasażera do nowej czarnej hondy accord. No jasne, nie przyjechał tu sam. W końcu nie mógł prowadzić.

Rozejrzała się po pustej ulicy.

No, prawie pustej.

Po drugiej stronie stał liczący sobie dobre ćwierć wieku biały suburban należący do Addison Ellerby. Kilka metrów dalej zauważyła grantowego saturna z przyciemnianymi szybami. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek widziała tutaj ten samochód, jednak z drugiej strony rzadko zwracała uwagę na auta. Były dla niej wizualnym szumem, barwnymi plamami, jak drzewa czy różane krzewy.

Gdy tylko honda ruszyła, sedan pojechał za nią. Rina zmrużyła oczy, chcąc zobaczyć rejestrację.

Nic z tego. Zamiast tablicy rejestracyjnej zobaczyła tekturę z napisem:

KOLEJNY SATURN SPRZEDANY PRZEZ POPPER MOTORS

Decker mówił z zaskakującym spokojem, dzięki czemu jego groźby wydawały się jeszcze bardziej przerażające.

– Zabiję go.

Rina podała mu kanapkę. Siedzieli przy jego biurku. Kiedyś jej powiedział, że dopiero mając własny gabinet, poczuł się

tak, jakby był na swoim miejscu. Pomieszczenie było wielkości schowka na szczotki.

– Jestem pewna, że to było zupełnie niewinne.

– Nie obchodzi mnie to. – Odgryzł kawałek kanapki i mówił dalej z pełnymi ustami. – Przekroczył granicę. Na pewno cię wystraszył.

– Tak, to prawda**...** Sałatki? – Podsunęła mu pudełko, nie czekając na odpowiedź. – Może nie jestem Xeną wojowniczką, ale chyba poradziłabym sobie z niewidomym.

– A może on widzi, a to wszystko jest jednym wielkim oszustwem?

– Miałby udawać niewidomego? – Zaśmiała się z niedowierzaniem.

– Na pewno zależy mu na wzbudzaniu zainteresowania. Widziałaś kiedyś jego oczy? Może wszystko doskonale widzi i zależy mu tylko na tym, żeby dobrać się do twoich majtek.

– Daj spokój, to głupie.

– Wezwij mnie natychmiast, jeśli znowu się pokaże.

– Zapomnij. To ostatni pomysł, jaki mógłby przyjść mi do głowy. Jesteś uzbrojony.

– I wiem, jak korzystać z pistoletu. A teraz powiedz mi lepiej o tym saturnie.

Rina zjadła kęs swojej kanapki z indykiem.

– Już mówiłam. Granatowy, przyciemniane boczne szyby, dwu- lub trzyletni, bez rejestracji.

– Sedan, SUV czy coupé?

– Sedan.

– No to pewnie astra albo aura. I tabliczka poświadczająca

zakup w Popper Motors zamiast rejestracji.

– Tak. Ruszył za Harrimanem.

– Nie widziałaś kierowcy?

– Nawet nie wiedziałam, że ktoś jest w środku, dopóki nie zaczął jechać. Szyby miał naprawdę bardzo ciemne. Ten samochód zaniepokoił mnie bardziej niż Harriman.

– Czemu?

– Nie widziałam kierowcy. Może powinieneś zadzwonić do tej firmy?

– Marge już się tym zajęła. Myślisz, że obserwowali Harrimana czy nasz dom?

– Trudno stwierdzić. Zgaduję, że raczej Harrimana. A może nikogo nie obserwowali.

– Kierowca saturna widział okno, z którego patrzyłaś?

– Nie wiem.

– Czyli wychodzi na to, że ten osioł nie tylko nachodzi cię w domu i może manipulować informacjami, które mi przekazuje, ale jeszcze na dodatek wciąga cię w niebezpieczne sytuacje. – Decker z trudem panował nad sobą. – Nie powinniście zostawać w domu z Hannah, jeśli mnie nie ma z wami.

– Chyba żartujesz.

– Pracuję nad bardzo głośnym morderstwem, a pod twoim domem parkuje jakiś dziwny samochód z przyciemnianymi szybami i bez rejestracji. Może to nie ma nic wspólnego z Harrimanem, może wiąże się to jakoś ze mną.

– To dlaczego ruszył za Harrimanem?

– Nie wiem. A skoro jeszcze nie wiem, to naprawdę warto

zachować ostrożność. Zrób coś dla mnie i zostań u rodziców, dopóki nie ma mnie w domu.

– Rodzice mieszkają godzinę drogi ode mnie, a Hannah musi chodzić do szkoły.

– Może wstąpić do koleżanki. A ty jedziesz do rodziców. Zrozumiano?

– Tak jest, kapitanie. – Spojrzała na niego z szerokim uśmiechem. – Tyle że przez jakiś czas będziesz się musiał obyć bez domowych obiadków. Co powiesz na mrożonki?

– Podzwoń po znajomych, może ktoś nas zaprosi.

Sytuacja musiała być naprawdę poważna, skoro Peter był gotów podjąć życie towarzyskie.

– A to podobno ja przesadzam?

– Wcale nie przesadzam, a nawet jeśli, to lepiej dmuchać na zimne – W jego głosie wciąż słychać było wzburzenie. – Nie mogę uwierzyć, że do ciebie przyszedł. Co za kretyn! On naprawdę ma coś z głową. Zabiję go, po prostu go zabiję!

– Nie rób tego. – Rina z uśmiechem wzięła go za rękę. – Gliniarze w więzieniu zwykle mają przechlapane. – Nie zaśmiał się, więc dalej próbowała poprawić mu humor: – Gdybym ci nie ufała, pomyślałabym, że próbujesz się nas pozbyć. Jeśli wpadnę do domu i okaże się, że na twoich kolanach siedzi jakaś striptizerka, gwarantuję, że urwę ci głowę.

– Jedyne, co będę trzymał na kolanach, to moja spluwa. Jeśli ktoś dokucza mojej żonie, będzie miał ze mną do czynienia.

Rozmowa z Harrimanem była krótka. Dałoby się ją streścić

jednym zdaniem: trzymaj się z dala od tego domu i mojej żony.

– Nie chciałem nic złego – protestował Harriman. – Zależało mi na tym, żeby się upewnić, czy wie**...**

– To nie pańska sprawa, panie Harriman, tylko moja. Pański udział w śledztwie jest już zakończony. Koniec. Po wszystkim. Rozumie pan?

– Panie poruczniku, wiem, że uważa mnie pan za dziwaka, ale wcale taki nie jestem. Od pięciu lat współpracuję z sądem i rzadko mam okazję spróbować czegoś nowego. Być może przeceniłem swoją rolę. Proszę dzwonić, gdyby mnie pan potrzebował.

– W porządku – zgodził się Decker. – Doszliśmy do porozumienia. Ale zanim się rozłączę, chciałbym zadać panu kilka pytań. Przede wszystkim kto pana tam przywiózł.

– Moja dziewczyna, Dana. Chce pan jej numer?

– Tak.

Harriman podał mu ciąg cyfr, po czym wyjaśnił:

– W tej chwili jest w pracy. Rozmawiałem z nią kilka minut temu. Na pewno ją pan złapie.

– Zauważył pan coś dziwnego, odjeżdżając spod mojego domu?

– Zauważyłem? – Zaśmiał się cicho. – Przecież jestem niewidomy.

Nie dał się złapać w pułapkę.

– To może usłyszał pan coś dziwnego?

– To znaczy?

– To pan powinien wiedzieć.

– Dziwnego? – Harriman zamilkł na chwilę, próbując sobie przypomnieć. – Podszedłem do auta, a pańska żona zamknęła drzwi**...**

– Mówiła mi, że w ogóle ich nie otwierała.

– Przykro mi, ale muszę zaprzeczyć, na pewno je otworzyła. Zapewne tylko odrobinę, bo jej głos wciąż wydawał się przytłumiony. Macie państwo łańcuch? Może tylko je uchyliła**...**

– Proszę mówić dalej. – Decker zignorował pytanie. – Usłyszał pan trzask drzwi i**...**

– Hm**...** Na pewno nie słyszałem żadnych kroków. Gdzieś dalej szczekał pies, najpewniej golden retriever albo labrador, w każdym razie średniej wielkości. Nie słyszałem żadnych rozmów. Ruszyliśmy i**...** – Zamilkł na chwilę. – I chyba za nami ruszył też inny samochód. Musiałby pan zapytać Dany.

– Tak zrobię. Jak brzmi jej nazwisko?

– Cochelli. A teraz muszę już wracać do sądu. Przepraszam za moją nadgorliwość.

– Żaden problem – zakończył rozmowę Decker.

Miał właśnie zadzwonić do dziewczyny Harrimana, gdy na komisariat wparował Grant Kaffey. Miał rozczochrane włosy, jakby próbował je sobie wyrwać, i obłąkane spojrzenie. Decker zerwał się z miejsca i próbował wprowadzić go do swojego gabinetu, ale Kaffey był za bardzo wzburzony, żeby mu się to udało.

– Zniknął! – oznajmił na wstępie.

– Kto? – zapytał zdezorientowany Decker.

– Gil! Pojechałem na targ po kilka rzeczy, a kiedy wróciłem, jego już nie było. – Grant złapał go za ramię. – Musicie go znaleźć!

– Proszę do mojego gabinetu. Porozmawiamy i**...**

– O czym tu rozmawiać! – wrzasnął Kaffey. – Zniknął. A wy musicie go znaleźć. To wasz pieprzony obowiązek!

– Gdybyście wszyscy wcześniej nie zniknęli, to nie byłoby konieczne – odpowiedział spokojnie Decker. – Jeśli zależy panu na znalezieniu brata, zapraszam do mojego gabinetu. Może mi pan o wszystkim opowiedzieć. A jeśli uznam to za wiarygodne, wydam rozkaz rozpoczęcia poszukiwań. W tej chwili to pan jest dla mnie głównym podejrzanym.

Grant zbladł jak ściana.

– Myśli pan, że go skrzywdziłem? – Jego policzki nabiegły krwią. – Uważa pan, że zrobiłem coś złego własnemu bratu?!

Decker otworzył drzwi gabinetu.

– Proszę.

Kaffey pomyślał chwilę i w końcu wszedł do środka.

Jeden zero dla porucznika.

– Dzwonił pan pod 911? – zapytał Decker, zamykając drzwi.

– Dzwoniłem na policję, ale powiedzieli, że godzinna nieobecność dorosłej osoby nie kwalifikuje się do zgłoszenia zaginięcia. Próbowałem wyjaśnić sytuację, ale trafił mi się jakiś dupek. – Grant krążył tam i z powrotem po niewielkim pomieszczeniu. – Natychmiast się rozłączyłem i przyjechałem tutaj.

– Gdzie się pan zatrzymał?

– Gdzieś w okolicach Hollywood Hills. U jakiegoś

znajomego Gila. Powiedział bratu, że mogę tam mieszkać przez miesiąc.

– Przejechał pan całą drogę z Hollywood? – zdziwił się Decker.

– Spanikowałem! Nie chciałem zostać sam w domu, a nie miałem pojęcia, co robić. Wybrałem znane zagrożenie, czyli pana, zamiast nieznanego.

– Jesteśmy po tej samej stronie barykady, panie Kaffey. Poda mi pan adres tego domu?

Grant wciąż dreptał w kółko.

– Nie znam adresu, ale mogę panu pokazać. Stoi przy ruchliwej ulicy pełnej kafejek. Gil i ja jedliśmy w tej okolicy wczoraj kolację.

– Hillhurst?

– Tak, tak zgadza się, Hillhurst.

– Wschodnia czy zachodnia strona?

– Zachodnia**...** między Hillhurst a Tower.

– Gower?

– Racja, Gower. Jeżeli pojedziemy przez Hollywood, mogę pana poprowadzić.

– Jak pan tu dojechał?

– Mam nawigację. – Grant stanął i spojrzał na Deckera. – Musimy jechać.

– A gdzie jest Antoine Resseur?

– Antoine? – Na twarzy Kaffeya pojawiło się zaskoczenie. – Chyba u siebie. Czemu pan pyta? Niby gdzie miałby być?

– Wydawało mi się, że Gil miał się u niego zatrzymać. Dlaczego zmienił zdanie?

– Antoine uważa, że mieszkania jego i Gila są obserwowane, więc mój brat wybrał nowe miejsce. Dlaczego pyta pan o Antoine’a?

– Też zaginął. Wydawało mi się, że wyjeżdżał razem z wami.

– Tak, ale potem wrócił do siebie. Tak mi się przynajmniej zdaje. – Zamilkł na chwilę. – Myśli pan, że Antoine ma z tym coś wspólnego?

Decker zignorował to pytanie. Resseur od dwóch dni nie pojawiał się w swoim mieszkaniu. Mogło to oznaczać, że jest podejrzany lub jedynie bardzo przestraszony.

– Pamięta pan imię kierowcy, który was wiózł do domu? Może podałby nam adres?

– Nie. – Twarz Kaffeya poczerwieniała ze złości. – Dlaczego pan po prostu nie zadzwoni do swoich ludzi?

– Żeby do kogokolwiek zadzwonić, muszę mieć najpierw adres. Proszę mi dać chwilę, niech pomyślę**...** – Decker sięgnął po telefon i poprosił o połączenie ze śledczą Kutiel z komisariatu w Hollywood. Miał szczęście, jego córka wciąż była w pracy. – Hej, to ja, twój ulubiony ojciec. Odwiedził mnie właśnie Grant Kaffey. Twierdzi, że jego brat rzekomo zaginął.

– Wcale nie rzekomo! – krzyknął Grant. – On naprawdę zaginął! Dlaczego mi nie wierzycie?

– Słyszę go – potwierdziła Cindy przez telefon. – Jak długo go nie ma?

– Godzinę, może trochę dłużej – wyjaśnił Decker.

– Godzinę? – zdziwiła się. – Może poszedł na spacer.

– Dopiero co wyszedł ze szpitala, więc to raczej mało

prawdopodobne. Chyba że ktoś po niego przyjechał, żeby**...**

– Niemożliwe! – zaprzeczył Grant.

– Przyjechał, żeby zabrać go od brata? – domyśliła się Cindy.

– Przyszło mi to do głowy – przyznał Decker. – Antoine Resseur, były chłopak Gila, zaginął po strzelaninie w szpitalu. Jeśli obaj uciekli**...**

– Gil na pewno z nim nie uciekł! – przerwał mu po raz kolejny Kaffey. – Ktoś go, kurwa, porwał!

– Zaczekaj – poprosił Decker, po czym zakrył dłonią słuchawkę i popatrzył na Granta. – Proszę mi pozwolić dokończyć tę rozmowę. Jeśli mamy coś zdziałać, potrzebuję trochę spokoju. – Wrócił do rozmowy z córką. – Kaffeyowie zatrzymali się na twoim terenie. Gdzieś między Gower a Hillhurst, ale nie znam dokładnego adresu**...**

– Beachwood – przypomniał sobie nagle Grant. – Jest tam taka ulica albo bulwar? – Decker pokiwał głową. – No to zatrzymaliśmy się właśnie tam, w Beachwood.

Porucznik przekazał informację Cindy, po czym oznajmił:

– Jedziemy do was. Kaffey może wskazać dom. Masz teraz czas?

– I co mam zrobić? Wsiąść do radiowozu i krążyć po ulicach?

– Całkiem niezły początek.

– Za czym mam się rozglądać?

– Za autem Antoine’a Resseura, to bmw 328i z 2006 roku. – Podał jej numery rejestracyjne. – Jeśli ktokolwiek zabrał Gila, to założę się, że właśnie on. Może po prostu pojechali gdzieś

na obiad**...**

– Jezu Chryste – jęknął Grant. – Przecież Gil nie był w stanie się ruszać.

– Jak to nie? – zdziwił się Decker. – Sam pan mówił, że byliście wczoraj na kolacji.

– Wsadzenie na wózek oraz zdjęcie go z niego zajęło mi dobrych dwadzieścia minut. Poza tym gdyby się gdzieś wybierał, na pewno zostawiłby jakąś wiadomość.

Chyba że chciał ci się urwać, pomyślał Decker, a głośno zapytał:

– Wózek wciąż jest w domu?

– Nie pamiętam – przyznał Grant po dłuższej chwili zastanowienia.

Decker ponownie sięgnął po słuchawkę.

– Gdybyś przekazała innym patrolom, żeby też rozejrzały się za samochodem Resseura, trochę by to nam pomogło – poprosił.

– Nie ma sprawy. I tak już właściwie skończyłam robotę, więc mogę się pogapić na ulice. To mnie odpręża, a Koby i tak jeszcze jest w pracy. Zadzwoń, gdy dojedziecie.

– Jasne. Dziękuję. – Odłożył słuchawkę. – Proszę pomyśleć, panie Kaffey. Dokąd mógł się wybrać pański brat?

Grant opadł ciężko na jedno z krzeseł przy biurku.

– Nie wiem!

– Dzwonił pan do Neptune’a Brady’ego?

– Nie – odparł po chwili wahania. – Szczerze mówiąc, nie umiem mu zaufać. Pan przynajmniej zachowuje neutralność.

– Jak pan tutaj dotarł?

– Przyjechałem. Gil wynajął nam samochód.

– Gil?

– Albo Antoine. – Grant znów zaczął krążyć po gabinecie. – Nie wiem. Nic już, kurwa, nie wiem. Dlatego tu przyjechałem.

– A gdzie pański wuj?

– Mace? – Kaffey wyraźnie się skrzywił. – Nie wiem. Wydawało mi się, że wrócił do domu.

– Już wydobrzał?

– Nie wiem. Nie rozmawialiśmy. Nie jestem pewien, czy mogę mu ufać. Już w ogóle nie wiem, komu ufać. Chciałbym tylko, żeby mój brat był bezpieczny. – Głos mu się załamał, a w oczach pojawiły się łzy. – Możemy już jechać?

Decker sięgnął po kluczyki. Wciąż miał mnóstwo pytań, ale uznał, że może je zadać po drodze. Być może w samochodzie łatwiej będzie się dogadać.

W końcu nie ma lepszego rozmówcy od człowieka, który nie ma gdzie uciec.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Dom, który wskazał Grant, okazał się modernistyczną bryłą z lat sześćdziesiątych postawioną na szczycie skalistego wzniesienia. Szkło i stal, a wokół ogromne krzewy kamelii w pełnym rozkwicie. Klucz pasował do zamka, więc Grant się nie pomylił.

Pierwsze, na co zwrócił uwagę Decker, to przyprawiający o zawrót głowy widok całego Los Angeles. Wnętrze było w całości przeszklone, kojarząc się ze szklarnią. Dom był parterowy, wygodny dla kogoś poruszającego się na wózku, o ile rzecz jasna ten ktoś nie wjechał w którąś ze szklanych ścian. Na podłodze czernił się heban, całą resztę – sklepione sufity i ściany – pomalowano na kolor szarobrązowy.

Umeblowanie utrzymane było w stylu lat sześćdziesiątych, lecz sprawiało wrażenie zbyt nowego, by rzeczywiście pochodzić z tego okresu: niska sofa z obiciem z szarego aksamitu, mała skórzana kanapa w wielobarwne kropki na aluminiowym stelażu, czerwone plastikowe krzesło w kształcie dłoni i jaskrawy dywan.

Decker i córka wymienili spojrzenia. Na pierwszy rzut oka wszystko wydawało się pozostawione na miejscu. Żadnych śladów walki. Na stolikach i półkach stały wazony i bibeloty. Krzesła wsunięte były równiutko pod stół kuchenny, a w kuchni panował wzorowy porządek.

Za salonem połączonym z kuchnią i jadalnią biegły dwa

długie korytarze. Jeden prowadził w lewo, a drugi w prawo. Grant usiadł na kanapie i zamknął oczy. Nie wyglądał najlepiej.

– Kiedy ostatnio pan coś jadł? – zapytał Decker.

– Nie pamiętam.

– Więc proszę to zrobić. Musi pan nabrać sił. Gdzie jest pokój Gila?

– Na końcu korytarza na lewo. Obie sypialnie są właściwie oddzielnymi apartamentami, co bardzo się podobało Gilowi.

– Ja pójdę na lewo, a ty na prawo – powiedział Decker do córki.

– Będzie pani grzebać w moich rzeczach? – zapytał ją Grant.

– Tylko je przejrzę.

– Może lepiej pójdę z panią.

– Niech pan coś zje – przykazał mu Decker – i pozwoli nam wykonywać nasze obowiązki.

O dziwo Grant nie protestował.

– Przyjdzie pan, kiedy poczuje się lepiej – dodała Cindy.

Chociaż ubrała się głównie pod kątem wygody, udało się jej zachować styl: brązowe spodnie, złota bluzka i pomarańczowy żakiet, który pasował do rudych włosów. Uczesała je w koński ogon, który kołysał się, gdy szła. Jedynymi ozdobami, które nosiła, były perłowe kolczyki.

Do czasu, gdy dwadzieścia minut później wrócili z Deckerem do salonu, niebo nad Los Angeles zdążyło przybrać barwę różowopomarańczową.

Grant rozmawiał przez telefon. Na ich widok pospiesznie

się pożegnał i rozłączył.

– Znaleźliście coś?

– Jak dla mnie wszystko jest na swoim miejscu – odparła Cindy. – Straszny z pana porządnicki. Starałam się nie narobić bałaganu.

– Znalazłaś wózek inwalidzki? – zapytał Decker.

Cindy pokręciła głową.

– Ja też nie. – Odwrócił się do Granta. – Pański brat nie ma zbyt dużo ubrań. Trzy koszule, dwie pary spodni, dwie piżamy, dwa szlafroki, kapcie i mokasyny.

– Powiedział pan, że ile jest tych szlafroków?

Decker zerknął na listę.

– Dwa. Biały frotowy wisi w łazience, a bordowy jedwabny w szafie.

– Gil miał o wiele więcej jedwabnych szlafroków. Uwielbiał tak chodzić po domu. Jedwabny szlafrok narzucony na jedwabną piżamę.

Decker pokręcił głową.

– W szafie jest sporo pustych wieszaków. – Usiadł obok Granta. – Wiem, że nie spodoba się panu to, co powiem, ale wydaje mi się, że pański brat spakował się i wyjechał pod pańską nieobecność.

– Był w kiepskiej formie. – Grant sprawiał wrażenie szczerze zdziwionego. – Niby dlaczego miałby to robić?

– Niech pan mi to powie.

– Może ktoś przystawił mu pistolet do głowy.

– Niewykluczone. – Decker przerwał na chwilę. – Ale rzeczy w jego pokoju są starannie poukładane. Gdyby pakował się

w panice, porozrzucałby wieszaki po całym pokoju, a w szufladach panowałby bałagan. Znalazłaś coś, co mogłoby wskazywać na porwanie? – zapytał córkę.

– Wręcz przeciwnie. Wszystko w idealnym porządku.

Grant spojrzał na Cindy. Oczy miał pełne łez.

– Dlaczego wyjechał bez słowa? Czemu nie zostawił choćby kartki?

Decker uniósł brwi.

– To także może się panu nie spodobać, ale chyba panu nie ufał.

– Bzdura! – zaprotestował Grant. – Jesteśmy nie tylko braćmi, ale również przyjaciółmi. To raczej ja mam prawo do podejrzeń. Zostawił mnie całkiem samego. Tak to już jest, gdy człowiek próbuje komuś pomóc.

Decker wzruszył ramionami.

– Dopóki nie wiemy, co się stało, dobrze by było przedsięwziąć środki ostrożności. Proszę zatrudnić ochroniarza. Jeśli nie ufa pan Brady'emu, niech pan poszuka kogoś na własną rękę. I chyba lepiej będzie się stąd wyprowadzić. Tylko proszę mnie powiadomić o nowym adresie, dobrze?

– Myśli pan, że Dzwoneczki Wietrzne w Newport byłyby odpowiednie?

– Jeśli zatrzyma się pan w Dzwoneczkach Wietrznych, będzie pan potrzebował armii ochroniarzy. Na pana miejscu wybrałbym coś mniejszego.

– Co pan sądzi o Neptunie? – zapytał Grant. – Mogę mu zaufać?

– Może porozmawiamy w drodze na komisariat? Proszę się spakować i pojedziemy.

– Czy to bezpieczne?

– Pójdę z panem – powiedziała Cindy. – Jest tutaj mnóstwo okien i żadnych zasłon. Sprawdzę, czy ktoś nie czai się na dworze.

Grantowi zajęło dwadzieścia minut spakowanie się do dwóch walizek. W tym czasie niebo za oknami nabrało barwy grafitu. Nad migoczącymi światłami miasta unosiły się gwiazdy. Na dworze było przyjemnie, zewsząd dobiegało cykanie świerszczy. Panowała niemal całkowita ciemność, latarni było niewiele i znajdowały się daleko od siebie. Grant miał problemy z trafieniem kluczem do zamka. Nagle Decker usłyszał wystrzał i zobaczył pomarańczowy rozbłysk. Bez zastanowienia pchnął Cindy w krzewy kamelii po prawej, po czym rzucił się na Granta i potoczył się z nim w krzaki po lewej. W następnej chwili wyjął pistolet i krzyknął do Cindy, żeby przekonać się, czy nic jej nie jest.

– Wszystko w porządku! – odkrzyknęła. – Mam broń.

– Nie strzelaj! – wrzasnął Decker.

Zapadła grobowa cisza.

– Słyszysz mnie? – wyszeptał.

– Jakbyś przy mnie stał.

– Nie strzelaj. Niech wzrok przyzwyczai się do ciemności.

– Tak jest, szefie.

Wpatrzył się intensywnie w zarośla. Pojedyncze punkciki światła**...** domy**...** zaparkowane samochody**...** drzewa. Żadnego człowieka.

– Nic panu nie jest? – zapytał Granta.

– Nie. Tylko noga mnie boli. – Zastękał, ale nic dziwnego. Decker swoje ważył.

– Bardzo?

– Chyba ją obtarłem. Nic mi nie będzie.

Nagle Decker usłyszał oddalające się kroki, nie dostrzegł jednak żadnej postaci. Po chwili rozległ się warkot silnika i pisk opon odjeżdżającego samochodu. Kilka chwil później wszystko ucichło.

– Może pan wyciągnąć komórkę?

– Pewnie**...**

Decker czekał w bezruchu, w dalszym ciągu przeszukując wzrokiem zarośla.

– Proszę zadzwonić pod 911 i przyłożyć mi telefon do ucha, dobrze? Jesteś tam, Cin?

– Trwam na posterunku z metalowym przyjacielem w ręce.

Świerszcze na nowo rozpoczęły swój koncert. Czas wlókł się niemiłosiernie. Wreszcie poczuł, że Grant przykłada mu telefon do ucha i usłyszał głos operatorki wypowiadający upragnione słowa:

– Dziewięćset jedenaście, w czym mogę pomóc?

Spokojnym szeptem, który kłócił się z szybkim biciem serca, Decker wyjaśnił, że jest funkcjonariuszem policji Los Angeles, że doszło do strzelaniny, że jedna osoba może być ranna i że potrzebują natychmiastowego wsparcia. Podał adres i poprosił operatorkę, żeby radiowozy zatrzymały każdy samochód zjeżdżający ze wzgórza.

– Tylko uważajcie. Kierowca może być uzbrojony.

Operatorka powtórzyła adres. Decker go potwierdził. Nawet nie wiedział, że zapamiętał numer domu. Ot, taki nawyk przychodzący po trzydziestu latach pracy. Zawsze odruchowo ustalał, gdzie aktualnie przebywa.

Pięć minut później usłyszał syreny nadjeżdżających radiowozów. Przez telefon Granta powiadomił policjantów, gdzie mają ich szukać. Wiedział, że zabezpieczenie terenu zajmie trochę czasu, tym bardziej że trzeba będzie usunąć liście.

Wszystko wokół było czarno-białe. Ciekawscy sąsiedzi stali za żółtymi taśmami policyjnymi. Kiedy Decker, Cindy i Grant otrzepywali się z ziemi, Grant odkrył, że ma rozdartą nogawkę spodni i krwawi. Decker wziął latarkę od jednego z mundurowych, ukląkł i ostrożnie podniósł rozdarty materiał.

To było albo paskudne zadrapanie, albo lekka ranka. W lepszym świetle mógłby zobaczyć, czy nie doszło do postrzału. Grant wprawdzie krwawił, ale krew nie lała się strumieniami. Otoczył go ramieniem w pasie i poprosił Cindy, by pomogła mu zaprowadzić rannego do radiowozu. Najlepiej go unieruchomić, a potem oddać w ręce specjalistów.

Gdy Kaffey siedział już w radiowozie, Decker wezwał karetkę.

– Trochę zejdzie mi jeszcze w pracy. – Decker starał się, by jego głos brzmiał spokojnie. – Zostań na noc u rodziców, dobrze?

– O której wrócisz? – zapytała Rina.

– Nie mam pojęcia. Mieliśmy tu strzelaninę. Mogę wrócić naprawdę bardzo późno.

– Jaką znowu strzelaninę?

– Na razie nie mogę zagłębiać się w szczegóły. Pogadamy później. Zadzwoń, gdy dojedziesz do rodziców.

– Sprawiasz wrażenie zdenerwowanego. Coś przede mną ukrywasz?

– Nie mogę teraz o tym mówić.

Rina usłyszała w tle jakieś głosy. Jeden z nich brzmiał łudząco podobnie do głosu jej pasierbicy.

– Jest tam Cindy?

– Dlaczego pytasz?

– Wyraźnie ją słyszę. Co wy robicie w Hollywood?

– Pewnie jest w West Village. Muszę lecieć.

– Najpierw powiedz, co się dzieje. Od siedemnastu lat jestem żoną policjanta. Tak łatwo mnie nie zbędziesz. W tej chwili mi powiedz!

Przedstawił jej skróconą wersję, mając nadzieję, że ją zadowoli.

– Ale tobie i Cindy nic się nie stało? – zapytała drżącym głosem.

– Rina, nic nam nie jest. Mam lekkie zadrapanie na twarzy, ale poza tym wyszedłem z tego bez szwanku.

– *Baruch Haszem*. Odmówię za ciebie gomel.

Była to modlitwa o wyjście cało z opresji.

– Za Cindy też.

– Jasne. Co teraz robicie? – zapytała płaczliwym głosem.

– Próbujemy znaleźć wszystkie kule i ustalić trajektorię ich

lotu.

– Chcesz się dowiedzieć, jak duże mieliście szczęście?

Decker uśmiechnął się.

– Niestety, nic nie widziałem. Sama wiesz, jak ciemno jest na tych wzgórzach. Musiałem dać nura w krzaki.

– To może coś słyszałeś?

– Oddalające się kroki i pisk opon odjeżdżającego samochodu. Technicy sprawdzą, czy uda się wykonać odcisk opon. Może coś znajdziemy. – Gdy Rina milczała, spytał: – Jesteś tam jeszcze?

– Zastanawiam się nad tym niebieskim saturnem, który stał przy naszej ulicy.

– Tym z przyciemnianymi szybami i tekturką Popper Motors? Kazałem Marge sprawdzić tę firmę. Sprzedają nowe i używane saturny. Marge rozmawiała ze sprzedawcą, nazywa się Dean Reeves. Przejrzą dokumentację. Jeśli to samochód od nich, powinni mieć wzmiankę o oponach.

– To byłoby ciekawe, gdyby pasowały do śladów opon, które zabezpieczycie.

– Może nie tyle ciekawe, co przerażające. Muszę już kończyć. Zadzwoń, gdy dojedziesz do rodziców.

– Dobrze. Depczesz im po piętach. Możesz dorwać ich wcześniej, niż myślisz.

– Przyjadę najwcześniej, jak tylko będę mógł.

– Cieszę się – odparła Rina. – Zostawię włączone światło i zagrzeję pościel.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Zbliżająca się para wyglądała jak Marge i Oliver. Kobieta miała na sobie szary sweter z rękawami podciągniętymi nad łokcie, ciemnoniebieskie spodnie i tenisówki, natomiast mężczyzna szykowną niebieską marynarkę, spodnie khaki i półbuty. W miarę jak się zbliżali, ich twarze stawały się coraz wyraźniejsze.

– Co wy tu robicie? – zapytał Decker.

– Zadzwoniłam do Marge – wyjaśniła Cindy. – Pomyślałam, że chciałaby wiedzieć. Cześć, Scott, jak leci?

– W porządku, Cynthio. Jak ci się układa w małżeństwie?

– Jak dotąd świetnie.

– Cieszę się.

– Dziękuję.

– Skoro już mamy wymianę uprzejmości za sobą, to może powiecie nam, co tu się, u licha, stało? – Marge spojrzała na Cindy. – Albo jedno z was.

Dobrze było zobaczyć znajome twarze.

– Kiedy wychodziliśmy z domu – zaczął Decker – ktoś zaczął strzelać. Nic poważnego nam się nie stało, ale Grant pojechał do szpitala z raną nogi.

– Postrzał? – zapytał Oliver.

– Nie wiem. Było za ciemno, żebym mógł jednoznacznie stwierdzić. Może obtarł sobie nogę, kiedy się na niego rzuciłem.

– Strzelaliście? – zapytał Oliver.

– Nie.

– To dobrze – stwierdziła Marge. – Mniej papierków do wypełnienia.

– Przyjechali, oddali strzały i odjechali – powiedziała Cindy.

– Oni?

– Oni, on, ona**...** Trudno powiedzieć. Tata nie chciał przypadkowo trafić jakiegoś sąsiada, który akurat wyszedł z psem.

– Jeśli Grant został postrzelony, to znaczy, że już każdy Kaffey zaliczył bliskie spotkanie z ołowianą kulką – zauważył Oliver.

– O tym samym pomyślałem. – Decker potarł czoło. – To wyłącza z kręgu podejrzanych członków rodziny.

– Może właśnie o to chodzi – wysnuła przypuszczenie Marge. – Chcą nas zmylić. Jakoś żaden z tej trójki nie zginął.

– Albo wszyscy trzej byli celem – powiedział Oliver.

– Tak też może być – przyznała Marge. – To by oznaczało, że Grant miał największe szczęście.

– Obrażenia Mace’a również były raczej niewielkie – stwierdził Decker. – Nie zapominajcie też, że wciąż nie odnaleźliśmy Antoine’a Resseura.

– Dlaczego miałby próbować zabić Granta? – zapytał Oliver.

– Żeby mieć Gila całego dla siebie. – Decker uniósł ręce. – No co, to pierwsza rzecz, jaka przyszła mi do głowy.

Cindy popatrzyła na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Byli tutaj już od trzech godzin.

– Dobrze, że posłuchałam taty i nie wystrzeliłam. Byłam już

po służbie. Zamiast wypełniać dodatkowe papierki, mogę jechać do domu.

– Niezły pomysł. – Decker pocałował córkę w policzek. – Dopóki nie zorientujemy się, kto jest dobry, a kto zły, miej oczy szeroko otwarte.

Cindy pokazała palcem na siebie.

– My jesteśmy dobrzy. A to**...** – machnęła ręką na migoczące światła Los Angeles – ci źli. – Ucałowała Marge i Scotta. – Zajmijcie się tatą pod moją nieobecność.

Decker patrzył, jak córka wsiada do samochodu, a potem odjeżdża. Odwrócił wzrok dopiero wtedy, gdy światła jej wozu zniknęły w mroku.

– Dobra, na mnie też już pora.

– Mówiłem ci, że niepotrzebnie tu jedziemy – powiedział Oliver do Marge.

– A ja ci mówiłam, że nie musisz ze mną jechać – odparła.

– Skoro już oboje się tu pofatygowaliście – włączył się Decker – bądźcie tak mili i pojedźcie ze mną do Beverly Hills. Przedyskutujemy kilka spraw. – Wypuścił powietrze z płuc. – Mój mózg wciąż pracuje na najwyższych obrotach. Przyda mi się czyjeś świeże spojrzenie.

– Co takiego jest w Beverly Hills? – zapytał Oliver.

– Mieszkają tam rodzice Riny. Śpimy dziś u nich. – Podał im adres. – To jakieś dwadzieścia minut drogi stąd.

Oliver skrzywił się.

– Z własnej woli śpisz u swojej teściowej?

– To, że śpię u teściowej, nie jest równoznaczne z tym, że śpię z nią – odparł Decker. – Lubię Magdę. Ugości nas po

królewsku niezależnie od pory, a do tego dochodzi darmowy nocleg.

Oliver zamyślił się.

– A nie potrzebuje przypadkiem ochrony? Znam pewnego przystojnego funkcjonariusza policji, który mógłby się podjąć tego zadania.

– Tak się składa, że ma już ochroniarza. To jej zięć.

Magda zaserwowała minikanapki, surowe warzywa z sosem cebulowym, świeże owoce, ciasto biszkoptowe, ciasto czekoladowe, ciasteczka migdałowe, chipsy, żeby było coś do chrupania, orzechy i miętówki.

– Mogę też zaparzyć kawę bezkofeinową, jeśli ktoś sobie życzy – dodała.

Była zdrowo po osiemdziesiątce, chuda jak patyk i nigdy nie pojawiała się publicznie bez makijażu. Blond włosy poddawała pieczołowitym zabiegom, między innymi dla zwiększenia objętości tapirowała je i utrwalała lakierem. Rina zwykła powtarzać, że matka jest nocnym markiem, a ojciec, Stephan, rannym ptaszkiem. Spał już w chwili, gdy jego połowica bawiła się w panią domu. Magda miała na sobie czarne spodnie, które na niej wisiały, i czerwony sweter z kaszmiru.

– Poproszę, jeśli to nie problem – powiedział Oliver.

– Zaraz zaparzę – odparła. – Co warte ciasto bez kawy?

– Ja to zrobię, mamo – zaofiarowała się Rina.

– Mowy nie ma. Lubię parzyć kawę. Siadaj i jedz, Ginny. – Uśmiechnęła się do Olivera. – Biszkopt jest dziełem mojej wnuczki – oświadczyła z dumą.

– Wyraźnie widać, że Hannah uczy się od najlepszych – skomplementowała ją Marge.

Magda klepnęła Rinę w ramię.

– Nie wiem, czy miała pani na myśli mnie, czy Ginny, ale obojgu nam bardzo miło. – Po tych słowach zniknęła w kuchni.

– Strasznie się ucieszyła, kiedy jej powiedziałeś, że jesteś głodny – powiedziała Rina do Deckera.

Uśmiechnął się.

– Naprawdę myślisz, że nie znam swojej teściowej?

– Niebo w gębie – zachwyciła się Marge, jedząc kęs kanapki z pastą jajeczną. – Czuję się tak, jakbyśmy zostali zaproszeni na wykwintny podwieczorek.

– Gdybyście jej dali więcej czasu, upiekłaby jeszcze babeczki. – Rina wstała. – Dotrzymam jej towarzystwa. Pilnujcie Petera. Wystarczy, że stracę go z oczu na kilka godzin, a już do niego strzelają. Nie podoba mi się to. – Ruszyła do drzwi.

– Nie planowałem tego, naprawdę – rzucił w ślad za nią Decker.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

– W odróżnieniu od poprzedniego razu?

– Ile razy mam cię jeszcze przepraszać**...** – zaczął, ale jej już nie było. – Ta kobieta przechowuje w pamięci gigabajty wspomnień. Większość z nich to krzywdy, które rzekomo jej wyrządziłem przez ostatnich dziewiętnaście lat.

– Właśnie na tym to polega – odparł Oliver. – Istniejesz po to, żeby miała ci co wypominać.

– Jesteście niesprawiedliwi – stanęła w jej obronie Marge. – Rina wcale taka nie jest. To po prostu niecodzienna sytuacja.

– No dobrze, zmieńmy temat – zadecydował Decker.

Oliver z miejsca się zastosował do polecenia szefa i powiedział:.

– Co sądzicie o tym, że wszyscy Kaffeyowie odnieśli obrażenia? Czy waszym zdaniem ktoś naprawdę chce unicestwić tę rodzinę, czy to tylko fortel?

Decker włożył do ust nerkowca.

– Niby kto chciałby wybić tę rodzinę?

Oliver wziął kolejny kawałek ciasta czekoladowego.

– Może ten facet ze Wschodniego Wybrzeża, który konkuruje z Greenridge Project?

– Paul Pritchard z Cyclone Inc. – Decker sięgnął po miętówkę. – Lee Wang dał mi kilka artykułów, w których się go cytuje. Twierdzi, że w ogóle się nie przejmuje Greenridge. Uważa, że ten projekt skazany jest na porażkę. Być może zgrywa chojraka. Ale nawet jeśli Pritchard by się martwił o swoje interesy, myślicie, że to wystarczający powód do zlecenia morderstwa całej rodziny?

– Naciągane, lecz niewykluczone. – Marge poczęstowała się kolejną minikanapką z pastą jajeczną. – Czy jeszcze jakiś członek rodziny będzie dziedziczył, jeśli reszta zostanie zamordowana?

– Dobrze pamiętam, że Mace ma syna? – zapytał Oliver z ustami pełnymi ciasta.

– To prawda – przyznał Decker. – Ma na imię Sean.

– Nawet jeśli umrą wszyscy Kaffeyowie mający udziały

w firmie, Sean nie odziedziczy wszystkiego. Przecież Grant ma dziecko. I czy Sean byłby na tyle głupi, żeby próbować ich wszystkich zabić w ciągu dziesięciu dni?

– W sumie co mi szkodzi go prześwietlić? Może i wydaje się nam to głupie, ale zachłanni ludzie cały czas zachowują się głupio.

– Dobra, prześwietl Seana, bylebyś tylko przy tym nie zaniedbał naszych głównych zadań. Musimy znaleźć Gila Kaffeya i Antoine'a Resseura.

Marge wyciągnęła notes.

– A jakie masz zadania dla mnie?

– Priorytet numer jeden na naszej liście – oznajmił Decker. – Dowiedz się wszystkiego, co tylko można, o Resseurze. Grant wspominał, że Gil i Antoine rozstali się jak przyjaciele, ale może wcale tak nie było.

– Może ich zerwanie zostało zaaranżowane, żeby odsunąć od Resseura podejrzenia, gdy Gil będzie pozbywał się członków swojej rodziny. Ciągle się zastanawiam, dlaczego mordercy Guya i Gilliam oszczędzili Gila.

– No dobrze. – Decker wziął całą garść orzeszków. – Ale przecież wiemy, że Gil też miał zginąć i tylko przypadkiem przeżył.

Marge i Oliver pokiwali głowami.

– Ach, na śmierć bym zapomniał – powiedział Decker. – Szeryf T. z Ponceville w końcu przysłał nam odciski palców Martina. Okazały się takie same jak zakrwawione odciski znalezione na miejscu zbrodni. – Policjanci przybili piątki. – Teraz możemy już udowodnić, że Rondo Martin tam był.

Musimy go znaleźć.

– Oznaczę to jako priorytet numer dwa – powiedział Oliver.

Decker uśmiechnął się.

– W takim razie pora na numer trzy. Brett Harriman zidentyfikował głos Alejandra Branda jako jeden z głosów, które podsłuchał w sądzie. Niestety to za mało, żeby oskarżyć Branda o te morderstwa.

– Twoim zdaniem to on je popełnił? – zapytała Marge.

– Coś na pewno wie. – Decker wsypał orzeszki do ust i zaczął je żuć. – Chłopaki z posterunku przy Foothill oskarżyli Branda o wytwarzanie metamfetaminy i przy okazji pobrali mu odciski palców. Nie mamy ich w systemie i nie pasują do odcisków pobranych z miejsca zbrodni.

– No to wtopa – zauważył Oliver.

– Niekoniecznie – odparł Decker. – Brand siedzi w areszcie i za szybko nie wyjdzie. Mógłbym mu obiecać złagodzenie wyroku w zamian za informacje o naszych morderstwach.

– Ciągle uważasz informacje Harrimana za prawdziwe?

– Wskazał głos Alejandra Branda po odrzuceniu dwóch innych. Poza tym Rina zidentyfikowała Branda jako człowieka, którego widziała w sądzie. I wreszcie, jeśli Harriman wszystko to sobie wymyślił, to niby jaki cudem wiedział o Joem Pinie? – Decker przerwał na chwilę. – Choć z drugiej strony, no cóż, to świr. Dziś po południu przyszedł do mnie do domu.

– Dlaczego? – zdziwił się Oliver.

– Po prostu chciał porozmawiać z Riną. Pytał ją, czy zamierzam urządzić konfrontację, żeby zidentyfikowała

Branda.

– Po czymś takim obrona zrobiłaby z nas miazgę w sądzie.

– Rina odesłała go w cholerę – powiedział Decker. – Ale zauważyła, że za Harrimanem pojechał jakiś samochód.

– To dlatego sprawdzałam saturny w Popper Motors – wyjaśniła Marge Oliverowi.

– Ciekawe, czy ślady opon z tej nocy będą pasowały do typu opon figurujących w dokumentach dilera samochodowego.

– Najpierw musimy znaleźć samochód – stwierdziła Marge. – Jeśli pracownicy Popper Motors podadzą mi nazwiska osób, które kupiły te samochody, pojadę do nich i sprawdzę, czy któryś z nich to ciemnoniebieski saturn z przyciemnianymi szybami.

Decker zerknął na czekoladowe ciasto, ale postanowił poczekać na kawę.

– Pojadę z Willym Brubeckiem do Ponceville i spróbujemy dowiedzieć się czegoś więcej o Martinie. Sprawdzimy też rodzinę Mendezów i ich ewentualne powiązania rodzinne z Aną Mendez. W tym czasie wy zajmijcie się jeszcze raz Karnsem i Albanezem. Obaj wiedzieli, gdzie zakopywano konie, więc obaj mogli pogrzebać Denny’ego Orlanda.

– Ja biorę Karnsa, a ty Albaneza – powiedziała Marge do Olivera.

– Może być.

– I wreszcie musimy znaleźć Joego Pine’a alias José Pinona.

– Czy to na pewno jedna i ta sama osoba?

– Dobre pytanie. Zaczniemy od José Pinona, bo to o nim wspominał Harriman.

– Ciągle staramy się dostać kopię jego odcisków palców. Brady nie ma ich w swoich aktach osobowych. Poprosiliśmy o pomoc zakład poprawczy w Foothill. Powinni tam mieć odciski palców swoich wychowanków. Niestety, odmówili nam dostępu do tych informacji, wciąż jednak próbujemy.

Z kuchni wynurzyła się Magda. Rina wyszła za nią, niosąc tacę ze srebrnym serwisem do kawy i pięcioma filiżankami.

Decker poderwał się z krzesła.

– Ja to wezmę.

– Dziękuję – odparła Rina.

– Kto ma ochotę na kawę? – zapytała Magda.

– Poproszę. – Decker wziął kawałek ciasta czekoladowego i zjadł je w czterech kęsach. – Pyszne. Czyje to dzieło?

– Moje. – Magda rozpromieniła się. – Twoja żona zrobiła ciastka migdałowe.

– Też są pyszne – stwierdziła Marge. – Jestem beznadziejną kucharką, tymczasem wy we trzy mogłybyście otworzyć cukiernię.

Decker po chwili zastanowienia wziął drugi kawałek.

– To spisek mający na celu uczynienie mnie człowiekiem tłustym i szczęśliwym. – Poklepał się po brzuchu. – Jedna z tych dwóch rzeczy nie jest taka zła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Decker miał nadzieję, że pobyt w areszcie uczyni Branda bardziej skorym do zwierzeń, tymczasem chłopak wyglądał tak, jakby właśnie wrócił z wakacji. Kozia bródka zniknęła wraz z trądzikiem, a brązowa skóra nabrała blasku. Wyglądał bardziej na studenta niż gangstera. Kiedy Decker skomplementował jego wygląd, Alejandro Brand przypisał go „zdrowemu trybowi życia”.

– Trzy posiłki dziennie i światło gaszone o dziesiątej – powiedział po angielsku. Ubrany był w ciemnoniebieski kombinezon. – Przedtem wstawałem o czwartej po południu. – Zamyślił się. – Może światło słoneczne nie jest takie złe.

– Cieszę się, że podobają ci się tutejsze warunki.

– Tego nie powiedziałem. – Przerwał na chwilę. – Na szczęście nie będę tu tkwił wiecznie.

– To prawda, nie można siedzieć w areszcie w nieskończoność – przyznał Decker. – Po rozprawie czeka cię więzienie. Twój następny przystanek to Folsom.

– Coś mi się nie wydaje. Przyszedł pan pogadać, a to znaczy, że czegoś pan ode mnie chce. – Nachylił się do policjanta. Śmierdział papierosami. – Już drugi raz pan ze mną rozmawia, o jeden raz więcej niż ten gówniany adwokat, którego mi przydzielili. – Odchylił się na krześle. – Ale nie mogę panu nic dać, bo nie wiem, czego pan chce.

Decker wyjął papierosa z paczki i zapalił go.

– Bystry z ciebie chłopak.

– Tak zawsze mówiła o mnie moja *abuela*. – Czyli babcia.

– Jednak czasami podejmujesz złe decyzje.

– To też mówiła. Dlaczego tym razem mówi pan do mnie po angielsku?

Podał mu papierosa. Chłopak podziękował skinieniem głowy, a Decker przeszedł na hiszpański.

– Wszystko mi jedno, w jakim języku będziemy rozmawiać.

Brand znów odchylił się na krześle i zaciągnął głęboko.

– Mówi pan jak Kubańczyk.

– Masz dobre ucho, Alex. Pochodzę z Florydy. Opowiedz mi o swoich przyjaciołach.

– Mam ich mnóstwo. – Chłopak uśmiechnął się krzywo. – Jestem lubiany.

Decker wyjął długopis i notes.

– Opowiedz mi o La Boce.

Brand przez chwilę patrzył na niego pustym wzrokiem, ale zaraz się ożywił i powiedział:

– A tak, musicie go znaleźć. Narobił mi niezłego gnoju.

– Cały czas go szukamy – skłamał Decker – choć na razie bez skutku. Gdzie go można znaleźć?

– Nie wiem. Kręci się to tu, to tam.

– A czym się zajmuje?

Przez następne dziesięć minut Brand opowiadał o tym dilerze nad dilerami.

– Prawdziwy mistrz – powiedział. – Musicie uważać.

– Wygląda na to, że znasz wielu takich mistrzów. Chcesz coś jeszcze dorzucić na jego temat?

– To wszystko, stary. – Brand zgasił niedopałek. – Mogę jeszcze jedną fajkę?

Decker zapalił drugiego papierosa i zaciągnął się głęboko, po czym wydmuchał dym prosto w twarz Aleksa.

– Może wystarczy ci bierne palenie.

Oczy Branda pociemniały.

– Nie muszę z panem gadać.

– Czy La Boca należy do gangu Bodega z Dwunastej Ulicy?

– Nie wiem.

– Na pewno wiesz.

– Dlaczego miałbym panu coś mówić?

Decker rozmawiał z Aleksem już przez jakieś pół godziny, ale jeszcze nie zapisał w notesie ani słowa. Na razie chłopak panował nad sobą.

– Opowiedz mi o swoich kumplach z gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Jakiego gangu, stary? Po prostu razem się szlajamy.

– Słyszałem, że prawdziwi z was twardziele.

– Trzeba jakoś dawać sobie radę, co nie?

– Pewnie – zgodził się Decker. – Ale czasami coś może pójść nie tak**...** Naprawdę coś ci się spierdoli. Rozumiesz, co mam na myśli? – Gdy Brand nie odpowiedział, mówił dalej: – Na przykład mieszkanie może ci wybuchnąć. Ale nic mnie to nie obchodzi, Alex. To sprawa między tobą a twoim gównianym adwokatem. Nie jestem z wydziału narkotyków.

– Nic panu nie powiem, dopóki pan nie powie mi, co może dla mnie zrobić.

– Nie jestem z wydziału narkotykowego, Alex, jestem

z wydziału zabójstw. Zajmuję się mordercami.

– Co to ma wspólnego ze mną? – Brand wydawał się szczerze zdziwiony. – Nikogo nie zabiłem.

– Czy ja twierdzę, że kogoś zabiłeś? – Decker podał chłopakowi do połowy wypalonego papierosa. – Nic takiego nie powiedziałem. Owszem, może i to zrobiłeś, ale ja tego nie powiedziałem.

– Nikogo nie zabiłem. – Brand wciągnął dym. Z każdym sztachnięciem wydawał się bardziej odprężony.

Dobra, pakuj w niego nikotynę, a może gdzieś dojedziemy, pomyślał Decker.

– Jestem z West Valley. Pracuję nad pewną paskudną sprawą. Podwójne morderstwo – powiedział. – Byłoby potrójne, gdyby nie to, że jedna z ofiar przeżyła. Dzięki temu mamy podwójne morderstwo i usiłowanie morderstwa. Guy i Gilliam Kaffeyowie. Słyszałeś o nich?

– A kto o nich nie słyszał? – odparł Brand. – Są we wszystkich wiadomościach.

– Ta niedoszła ofiara**...** coś widziała. Opowiedziała mi o tym. Napastników było kilku, Alex, i rozmawiali po hiszpańsku. No i mieli tatuaże gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– To nie byłem ja! Nie mam z tym nic wspólnego!

– Ofiara cię rozpoznała.

– Bzdura! Nie było mnie tam. Mogę to udowodnić.

– To gdzie byłeś?

Brand natychmiast przeszedł do swojego alibi. Mówił szybko i niewyraźnie, hiszpański wyraźnie rozwiązywał mu

język. Decker musiał się skupić, żeby wszystko zrozumieć. Alibi przedstawiało się tak:

Całą noc spędził z dziewczyną. Poszli do kina, potem na hamburgera. Wrócili do jego mieszkania i uprawiali seks. Potem znów wyszli.

– O której godzinie? – zapytał Decker.

– Koło pierwszej, może trochę później. – Noga zaczęła mu latać. – Wpadliśmy na naszych ziomów.

– Gdzie?

– W Pacoimie. – Podał nazwę ulicy. – Trochę się poszwendaliśmy.

– To znaczy? Pytam, co konkretnie robiliście.

– No wie pan**...**

– To było coś związanego z narkotykami? – Jak się Decker mógł spodziewać, znów odpowiedziało mu milczenie. – Już i tak masz poważne kłopoty, Alex, więc kilka pigułek więcej nie zrobi różnicy.

– To nie było nic wielkiego. – Noga trzęsła mu się coraz bardziej. – Tylko trochę trawki.

– Paliłeś czy sprzedawałeś?

– Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania, jeśli nie jest pan z narkotykowego?

– Próbuję zrozumieć sytuację. Paliłeś czy sprzedawałeś?

Jakby dla podkreślenia wagi swoich słów Brand przeszedł na angielski.

– To było tylko trochę trawki.

– Już to mówiłeś. – Decker również zaczął mówić po angielsku.

– Milion ludzi mnie tam widziało tamtej nocy.

– Naprawdę milion?

– No, może nie milion, ale wie pan**...** Byłem tam całą noc. Ludzie mnie widzieli. Ja widziałem ludzi. Nikogo nie zabiłem.

– Wiesz co, Alex? Nie mogę sobie nawet przypomnieć, co jadłem na kolację kilka dni temu. – Decker popatrzył mu prosto w oczy. – Jakim cudem tak dobrze pamiętasz wydarzenia sprzed tygodnia? I to co do najdrobniejszego szczegółu?

– O tych morderstwach zrobiło się głośno. Usłyszałem o nich następnego dnia.

– Mam propozycję. Powiesz mi, co tak naprawdę się stało, a ja zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić. Założę się, że wiedziałeś o tych morderstwach, zanim jeszcze dowiedzieli się o nich inni.

– Nie było mnie tam, stary! Jeśli ktoś twierdzi, że mnie widział, to pieprzy bzdury!

– Wierzę ci. Może i ciebie tam nie było, ale byli tam za to twoi kumple z gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Nieprawda. – Pokręcił głową.

– Kłamiesz.

Chłopak ponownie przeszedł na hiszpański.

– Przysięgam, że nie wiem!

– To dlaczego niedoszła ofiara cię rozpoznała?

– Dlatego, że pewnie dla tego durnego białasa wszyscy Latynosi wyglądają tak samo. Nie wiem, dlaczego mnie rozpoznał. Mnie tam nie było.

Decker nie ustępował.

– Ale wiesz, kto tam był!

– Nie wiem – odpowiedział chłopak, ale błysk w oczach zdradził, że to kłamstwo.

Przez kolejne dwadzieścia minut bawili się w kotka i myszkę. Decker był już tutaj prawie dwie godziny. Kropelki potu pokrywały twarz, tors i ramiona Branda. Anakonda na jego ręce wyglądała tak, jakby przepływała rzekę.

Porucznik poczęstował chłopaka kolejnym papierosem, mając nadzieję, że to go uspokoi.

– Jedna z ofiar przeżyła. Widziała**...**

– Nie mnie.

– Możesz sobie pomóc. Wystarczy, że powiesz mi, co o tym wszystkim wiesz.

– Nie było mnie tam!

– Nie twierdzę, że tam byłeś. Wystarczy, że powiesz mi, co o tym wszystkim wiesz.

Chłopak spuścił wzrok.

– Nic nie wiem.

– To nieprawda, Alex. Wiesz wszystko o José Pinonie i o tym, że spieprzył sprawę, bo nie dobił ofiary, która przeżyła. Wiesz wszystko o dwóch jeszcze facetach. Rondo Martin i el patrón, szef. Więc mi teraz powiedz, bo ludzie słyszeli, jak to mówiłeś.

Brand wyglądał na oszołomionego. Ściągnął usta, jakby to mogło go powstrzymać przed wypowiadaniem słów.

– Opowiedz mi o el patrónie – naciskał Decker.

Chłopak wzruszył ramionami, ale unikał jego wzroku. Noga mu wciąż latała. I milczał uparcie.

– Daj spokój, Alejandro. Chyba nie chcesz, żeby el patrón dowiedział się, że o nim nadawałeś.

Cisza.

– Poza tym prowadzimy poszukiwania Pinona w Meksyku – skłamał Decker. – Ciekawe, co zrobi José, kiedy się dowie, że plotkowałeś na jego temat?

– Słuchaj, stary, mówię prawdę! Nie było mnie tam!

– Wierzę ci – cicho powiedział Decker. – Wierzę, że cię tam nie było. Ale wiesz, kto tam był.

– Wcale nie wiem, tylko coś tam słyszałem. Nie wiem, co z tego jest prawdą, a co nie. Dlaczego tak na mnie naciskasz, stary?

– Mów, co słyszałeś.

Znów milczenie. Decker wziął chłopaka na przetrzymanie, aż w końcu Alex zapytał:

– Pracuje pan dla tego gościa w okularach przeciwsłonecznych?

Dopiero po dłuższej chwili uświadomił sobie, że chłopak ma na myśli Bretta Harrimana. Niedobrze. Na szczęście Decker był wytrawniejszym kłamcą od Aleksa.

– O kim mówisz? – zareagował błyskawicznie.

– Ciotowaty koleś, którego widziałem w sądzie. Mógłbym przysiąc, że mnie szpiegował. Powinienem go załatwić, kiedy miałem na to szansę.

– Nie wiem, o kim mówisz. Jak już wspominałem, jestem z wydziału zabójstw.

– Wiedziałem, że to jakiś skurwiel. Poznałem po tym, jak na mnie patrzył.

– Alex, skup się. – Decker wiedział, że musi się skontaktować z Harrimanem. – Opowiedz mi o tych plotkach, które słyszałeś.

– A co na tym zyskam?

– To, że oprócz gównianego adwokata będziesz miał po swojej stronie również porucznika z wydziału zabójstw.

– Powie pan tym z narkotykowego, że ten sprzęt nie był mój?

– Tego nie mogę zrobić, ale jeśli będziesz ze mną współpracował, porozmawiam z sędzią, który będzie cię sądził. Może zmniejszy ci trochę wyrok.

– O ile?

– Nie wiem. Ale co masz do stracenia?

– Nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, że z panem gadałem.

– Więc powiedz mi, co wiesz, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Brand zamyślił się.

– Słyszałem tylko to, co już pan powiedział. Że José spieprzył sprawę i że el patrón go szuka.

– Chcę się upewnić, że mówimy o tym samym el patrónie. Opowiedz mi o nim.

– Nie wiem, jak się nazywa. – Brand odwrócił oczy. – Robi interesy z Bodega z Dwunastej Ulicy, jeśli pan wie, o co mi biega.

– Narkotyki?

– Tak, sprowadza je od ważnych gości. Wszyscy mówią, że to on zlecił te morderstwa.

– Opisz mi go.

– Wiem tylko, że to białas, który szpanuje kasą. Nigdy go

nie widziałem. – Nagle chłopak się uśmiechnął. – Wcale pan nie wie, kim on jest.

– Skąd wiesz, że to on zlecił te morderstwa?

– Usłyszałem od kumpli.

– Których kumpli?

– Nie pamiętam**...** – Brand spojrzał na Deckera. – Mówię prawdę, stary. Po prostu to usłyszałem.

– Co jeszcze słyszałeś o José Pinonie i o tym, co zrobił?

– Że José to nieudacznik.

– Co o nim wiesz?

– Kiedy byłem dzieckiem, był porządną Dwunastką, a potem zaczął chodzić w jedno takie miejsce, które się nazywa Umpa czy jakoś tak. Bogaci *vacas* „rehabilitują” tam członków gangu. – Zachichotał. – Jakiś czas go nie widziałem, a potem wpadliśmy na siebie i powiedział mi, że jakiś bogaty gostek najął go na ochroniarza. Pomyślałem, że jaja sobie ze mnie robi. – Gdy Decker kiwnął głową, Alejandro podsumował: – Co za głupi fiut!

– José czy mężczyzna, który go zatrudnił?

– Jeden i drugi – odparł Brand. – Ten idiota kazał mu włożyć mundur. Dał mu pistolet. I tytuł. Przez to José zaczął myśleć, że jest kimś lepszym od nas, wie pan, o co mi biega, nie? Mam nadzieję, że el patrón znajdzie go i przypali mu jaja fajką.

– Opisz el patróna.

– Przecież już mówiłem. Nigdy go nie widziałem. – Brand zgasił niedopałek. – A teraz niech mi pan powie, co może dla mnie zrobić.

– Cóż, szkopuł w tym, że właściwie nie powiedziałeś mi nic nowego. Wiedziałem o José Pinonie i el patrónie. Potrzebuję jego nazwiska.

– Nie znam go.

– W takim razie podaj mi nazwiska napastników.

– Już panu mówiłem. Był tam José Pinon.

– Kto jeszcze?

Brand milczał.

– To tylko kwestia czasu, kiedy niedoszła ofiara zidentyfikuje ich wszystkich i twoje informacje staną się bezużyteczne.

– To niech wam powie.

Decker zmienił taktykę.

– Czy José kiedykolwiek mówił ci o osobach, które z nim pracowały?

– Rozmawiałem z nim tylko ten jeden raz. Przestał się szlajać, gdy dostał tę swoją pieprzoną robotę.

– I nie podał ci żadnych nazwisk?

Chłopak westchnął przeciągle.

– Chyba wspominał, że większość z nich to Latynosi. Nawijał, że jestem bystry i jak tylko rzucę dragi, to może będzie mógł naraić mi robotę. Ale musiałby najpierw pogadać ze swoim szefem. Odparłem, że nie jestem zainteresowany.

– Kim był ten szef?

– Nie wiem. Jakiś koleś.

Decker wyjął listę ochroniarzy i na początek przeczytał:

– Neptune Brady.

Brandowi zalśniły się oczy.

– Tak, to właśnie ten tępy kutas, który go zatrudnił.

– Znałeś go?

– Nie.

– Czy Neptune Brady może być el patrónem?

– Tak, pod warunkiem, że to białas z mnóstwem kasy.

– Przeczytam ci jeszcze kilka nazwisk. Powiedz, które wydają ci się znajome.

Kiedy Decker dotarł do Denny'ego Orlanda, Brand uniósł rękę.

– O, to jest znajome. Gość pracuje z Pinonem.

– To prawda, pracuje. Czy też raczej pracował. Nie żyje.

– José go załatwił?

– Ktoś to zrobił.

– Wiadomo. Nie opłaca się zadzierać z Bodega z Dwunastej Ulicy.

Decker przeczytał:

– Rondo Martin. – Brand nie zareagował. – Nic ci to nie mówi? – naciskał.

Chłopak zamyślił się na chwilę.

– Tyle tych nazwisk**...** Wszystko mi się już myli.

– To biały twardziel. Myślisz, że to el patrón?

Brand odniósł się do tego pytania sceptycznie.

– Nie wiem, jak się nazywa el patrón, ale na pewno nie jest to ktoś tak głupi jak Rondo Martin.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Jakiś białas, który szpanuje kasą? – zakpiła Marge. – Naprawdę postawił wszystko na jedną kartę.

– Jak się to mówi w internecie: wkładasz śmieci, dostajesz śmieci – powiedział Oliver z uśmiechem.

– Jakiś ty obyty.

– Znam też takie skróty jak LOL i MSZ.

– Nie masz żadnego „skromnego zdania”, Scott.

– To przecież znaczy „moim słusznym zdaniem”.

– Albo „moim szczerym zdaniem” – włączył się Decker, po czym westchnął głośno. – Wiecie co? To dużo ciekawsze niż gadanie z oszustami, którzy wciskają mi kit.

Siedzieli we troje w jego gabinecie, przerzucając się pomysłami. Oliver miał na sobie czarny garnitur, Marge włożyła szarą garsonkę, a Decker ubrał się na brązowo. Włożyli te stroje na pogrzeb, ale idealnie podkreślały ich coraz gorsze nastroje.

Gil zaginął, podobnie jak Resseur, Grant leczył rany w posiadłości Kaffeyów w Newport, a Mace**...** cóż, może i nie zaginął, ale i tak nie odbierał telefonów Deckera. Ekipę Neptune’a Brady’ego wylano na zbity pysk. Zostało im niewiele śladów, sprawa coraz bardziej wymykała się z rąk.

Decker przygładził wąsa.

– Zastanawiam się nad Brettem Harrimanem. Było coś dziwnego w oczach Branda, gdy o nim mówił.

– Ten chłopak siedzi za kratkami – przypomniał mu Oliver. – Ma teraz inne zmartwienia.

– Przecież należy do gangu – wtrąciła Marge. – Zna ludzi poza murami.

– Właśnie – potwierdził Decker. – Gadałem z kilkoma strażnikami więziennymi. Będą mieli na niego oko. Ale ktoś musi porozmawiać z Harrimanem, powiedzieć mu, żeby uważał na siebie.

– Raczej nie może oglądać się za siebie – zauważył Oliver. – To znaczy może, ale nic mu to nie da.

– Może ma jakieś sposoby na stwierdzenie, czy ktoś wokół niego się kręci. Na razie, dopóki nie dowiemy się, o co chodzi z Brandem, nie powinien nigdzie chodzić sam.

– Mam trochę informacji na temat tego saturna – zmieniła temat Marge, zaglądając do notesu. – Ale nie ma się czym podniecać. Samochód został sprzedany do wypożyczalni Cheap Deals. Tego dnia, gdy Harriman pojawił się w waszym domu, saturna wynajęła niejaka Alyssa Mendel. Pojechała nim odwiedzić swoją osiemdziesięciopięcioletnią ciotkę Gwen. Mieszka przy waszej ulicy, kilka domów dalej.

– Jedno zmartwienie mniej – odetchnął Decker. – Chociaż nijak nam to nie pomaga w sprawie. Rina się pewnie ucieszy, że to nic takiego. Byłem tak bardzo przestraszony, że nakupowałem od groma sprzętu alarmowego. Ale i tak go chyba zainstaluję. W końcu jestem policjantem, a na dodatek zajmuję się sprawą podwójnego zabójstwa.

– Ja mam trzy zamki w drzwiach – przyznała Marge. – Jeśli dostanę zawału, ratownicy nigdy nie dostaną się do środka.

– Co chcesz instalować? – zainteresował się Oliver.

– Ulepszyć alarmy, dodać parę syren, kamer, czujników ruchu, zmienić zamki, sprawdzić okna**...** same podstawowe rzeczy. Zawodowca to nie powstrzyma, ale amator może się zawahać. – Decker spojrzał w swoje notatki. – Jeszcze jedno**...** to może być ważne. Kiedy wspomniałem o Martinie, Brand wyglądał, jakby nie miał pojęcia, o kogo chodzi.

– Może kłamał – stwierdził Oliver.

– Moim skro**...** – Decker uśmiechnął się. – MSZ nie kłamał.

– Ale nadal nic nie wiemy na temat zaangażowania Martina – zauważyła Marge. – Może w odróżnieniu od Joego Pine'a czy też José Pinona nie wszyscy wiedzieli o jego udziale.

– Racja. Brand potwierdził, że zna Pinona i że ten należał do Bodega z Dwunastej Ulicy, zanim przeszedł resocjalizację w miejscu, które nazywało się Umpa. Poprosiłem Wanga, żeby sprawdził ośrodki rehabilitacyjne dla gangsterów. Znalazł jeden, który nazywa się OMPU i jest finansowany przez rząd oraz prywatnych darczyńców.

– Ocalmy Młodzież Przed Ulicą – rozwinęła skrót Marge. – Trafiłam na nich przy okazji sprawy Bennetta Little'a, kiedy szukałam Jervisa Wenderhole'a.

– Guy Kaffey był w zarządzie tej fundacji. Wang sprawdził dla mnie listę jego osobistych ochroniarzy oraz tych zatrudnionych przez firmę. Okazało się, że Guy zatrudniał całkiem sporą ekipę byłych członków Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Mógł też dać broń Pinonowi – zauważył Oliver. – Zaraz**...** Przecież mu ją dał.

– Brand twierdzi, że Pinon nie tylko był w to wszystko zaangażowany, ale też strasznie wkurzył szefa tym, że nie wykończył Gila Kaffeya.

– No właśnie, co z Gilem? – zapytał Oliver. – Traktujemy go jak podejrzanego czy jako ofiarę?

– Z początku myślałem, że jest ofiarą, ale potem zaginął, a do mnie ktoś strzelał. To mogła być sprawka Granta. Albo Gila. Lub Resseura. Albo żadnego z nich. – Decker westchnął. – Może czegoś się dowiemy, jeśli uda nam się znaleźć Gila i Resseura.

– Właśnie mi się coś przypomniało – wtrąciła Marge. – Brand mówił ci, że el patrón handluje narkotykami.

– Nic dziwnego, z taką ksywką**...** – zauważył z uśmiechem Oliver.

– Wiem, że nie brzmi to przekonująco, ale posłuchajcie. Rondo Martin był policjantem w rolniczej okolicy. Założę się, że musiało tam być paru spryciarzy, którzy posadzili nie do końca legalne rośliny.

Decker zastanawiał się przez chwilę.

– Myślisz, że Martin nawiązał kontakty z hodowcami marihuany i przeniósł interes do Los Angeles?

– Taki luźny pomysł.

– Jesteś pewna, że w Ponceville są nielegalne uprawy?

– Nie, ale od szeryfa na pewno się o tym nie dowiemy. Może teść Brubecka będzie coś wiedział.

– Bardziej prawdopodobne, że ktoś z ciudads – zasugerował Oliver.

– Jedziemy tam jutro o dziesiątej – oznajmił Decker. –

Będziemy pytać nie tylko o to, czy Rondo Martin strzelał, ale i o to, czy handlował narkotykami.

– Uważaj, Pete – ostrzegła go Marge. – Diler, który umie się posługiwać bronią, to niebezpieczny przeciwnik.

Rina spojrzała na kamerę wiszącą pod dachem ganku i wycelowaną w drzwi.

– Zaczynam się czuć jak w fortecy.

– Przecież nawet jej nie widać z ulicy. – Decker dokręcał ostatnie śrubki, stojąc na drabinie

– To jak ma kogoś odstraszyć?

– Ma ci zapewnić widok z góry na to, co dzieje się przed drzwiami.

– Żebym mogła podglądać dziewczynę odwiedzającą ciotkę?

– Dzięki temu całkiem niewinnemu saturnowi przynajmniej poprawimy bezpieczeństwo tego domu. Czemu się mnie czepiasz, skoro próbuję chronić rodzinę?

– Masz rację, już nie będę.

– Co powiedziałaś? – Decker zamarł z młotkiem w ręce.

Rina uśmiechnęła się do męża.

– To, co słyszałeś. – Podziwiała barwy zachodzącego słońca, olśniewającą feerię złota i purpury. Dzień był upalny, ale wieczór przyniósł ukojenie od żaru. Przebrała się w białą bluzkę z krótkimi rękawami i dżinsową spódniczkę. Ciemne włosy nakryła kolorową jedwabną chustą. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie, dzięki. – Poprawił odrobinę ustawienie kamery. – Już prawie skończyłem.

Na werandzie pojawiła się Hannah ubrana w piżamę i puchate kapcie.

– Kiedy jemy?

– Gdy tylko tata skończy.

– Za jakiś kwadrans – powiedział Decker.

Hannah prychnęła i wróciła do domu.

– Jesteśmy głodne – ponagliła go Rina.

– Chcę to skończyć. Może w tym czasie nakryjesz do stołu?

– Już nakryte.

– No to napij się wina albo co.

– Wino może mnie uspokoić, ale nie załatwi problemu naszego potomstwa.

– Daj jej jakąś przekąskę.

– Przed kolacją? Nie będzie chciała.

Decker spojrzał na nią z drabiny.

– No to zacznijcie beze mnie. I tak was dogonię. Zresztą im rzadziej mnie Hannah widzi, tym bardziej mnie lubi.

– Przecież cię kocha.

– Skoro tak twierdzisz**...** Cindy zawsze była dla mnie miła.

– Ale Cindy z tobą nie mieszkała.

Czyż mógł polemizować z tak żelazną logiką?

Po kilku minutach Decker przestał bębnić młotkiem i zszedł z drabiny.

– Gotowe. – Razem weszli do domu. – Najpierw idę pod prysznic. Jedzcie, za chwilę do was dołączę.

To był dobry pomysł. Hannah siedziała już za stołem, wbijając drapieżne spojrzenie w porcję kurczaka. Rina nalała sobie pół kieliszka wina.

– Jedz.

– Wreszcie. – Córeczka złapała dwie kurze nóżki, a potem usypała na talerzu górę brokułów i pieczonych ziemniaków. – Co mu się stało? – zapytała. – Skąd ta paranoja? Przecież nie od dzisiaj pracuje w policji.

– Zajmuje się sprawą, która ma związek z gangiem Bodega z Dwunastej Ulicy. Jeden z jego członków siedzi w areszcie, a ja pomogłam go zidentyfikować. Twój tata trochę się tym niepokoi.

– Przecież to nie ty posłałaś tego gościa za kratki.

– Wydaje mi się, że facet nie ma pojęcia o moim istnieniu, ale tata woli zachować ostrożność.

– Żeby dojechać na czas do szkoły od babci i dziadka, muszę wstawać pół godziny wcześniej – poskarżyła się Hannah.

– To tylko parę dni.

– Tyle że akurat przed egzaminami. I nie, nie chcę nocować u żadnej koleżanki.

Rina ścisnęła ją za rękę.

– Jesteś bystra, poradzisz sobie.

Hannah skupiła się na brokule, w jej oczach lśniły łzy.

Decker pojawił się parę minut później. Zaczesał do tyłu mokre włosy i usiadł za stołem.

– Wyglądasz jak Drakula – zauważyła jego córka.

– Potraktuję to jako komplement. – Uśmiechnął się do niej. – W końcu był hrabią.

Hannah zachichotała.

– Przepraszam. Jestem jakaś taka spięta.

– To z powodu egzaminów – powiedziała Rina.

– Kiedy zdajesz? – zapytał Decker.

– Jutro, jak już ci zresztą mówiłam.

– Jestem stary. Zapominam. I wiem, że zdasz. – Zamilkł na chwilę. – Na pewno pójdzie ci lepiej niż mnie. Gdyby nie dali mi punktów za poprawne wpisanie imienia i nazwiska, pewnie miałbym ujemny wynik. Choć to w sumie bez znaczenia, bo i tak nie wybierałem się na studia.

Hannah przestała jeść i przyjrzała się ojcu.

– Czemu? Przecież jesteś bardzo inteligentny.

– Dziękuję. Ale cóż, moi rodzice nie przykładali wagi do edukacji. Wiem, wiem, chętnie byś się ze mną zamieniła. – Sprowokował ją do uśmiechu. – Dziadek pracował fizycznie, więc pomyślałem, że ze mną pewnie będzie tak samo.

– I wybrałeś pracę, która wymaga ciągłego myślenia.

– To wszystko było dość przypadkowe. Kiedy wyszedłem z wojska, akurat szukali ludzi do akademii policyjnej. Gainesville w tamtych czasach**...** cóż, to było miasto uniwersyteckie i naprawdę nie znosiłem tych wszystkich protestujących na ulicach, bo mieli z tego stanowczo za dużo uciechy. Policja też nienawidziła studentów, więc doszedłem do wniosku, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem.

– Mogłeś zrezygnować – stwierdziła Hannah po chwili namysłu.

– Okazało się, że całkiem nieźle pasuję do tej roboty. – Zamyślił się. – Nie chce mi się wierzyć, że robię to już trzydzieści pięć lat.

– Mam nadzieję, że kiedyś też znajdę jakąś pasję. Na razie

jedyne, co kocham, poza wami oczywiście, to słuchanie muzyki.

– W takim razie zostań krytykiem muzycznym – zaproponował Decker.

– Nie powiem, żebym nie chciała.

– Czemu miałbym cię powstrzymywać? Dopóki żyjesz uczciwie, możesz robić to, co chcesz.

– Abba, ale z tego nie da się wyżyć.

– Kochanie, jeśli będziesz wystarczająco ciężko pracować, wyżyjesz z tego, co kochasz. Jasne, nie dorobisz się majątku i paru rzeczy może ci brakować przez całe życie, ale nie ma nic lepszego, niż kiedy robisz to, co kochasz. Nie zawsze jestem zachwycony moją robotą, ale za nic bym się nie zamienił. – Nalał sobie wina i stuknął się kieliszkiem z Riną. – Nie można wszystkiego przeliczać na pieniądze.

– Naprawdę nie miałbyś nic przeciwko, żebym została krytykiem muzycznym?

– Nie. Dlaczego miałbym mieć? To przecież twoje życie.

– Czyli mogę olać studia i ruszyć w pogoń za marzeniami?

– Słucham? – Rina spojrzała na córkę.

Decker zaczął się śmiać.

– Wolałbym, żebyś skończyła studia i miała nieco większy wybór. Poza tym nie mam żadnych innych wymagań.

Hannah odsunęła talerz.

– Muszę się spakować, zanim pojadę do babci.

– Jeśli bardzo tego chcesz, możesz tu zostać na noc – zaproponowała Rina. – Okazało się, że z tym samochodem to fałszywy alarm.

– I dopiero teraz mi to mówisz?

– Nie chciałam rozczarować dziadków, bo bardzo się ucieszyli, że przyjedziemy. Ale musimy też myśleć o tobie, nie tylko o nich. Zadzwonię i powiem**...**

– Nie, nie – zaprotestowała Hannah. – Mam tam swój pokój i wezmę ze sobą laptopa. Będzie dobrze, mamo. I tak za dużo nie pośpię. – Podniosła się z krzesła i przytuliła do ojca. – Dzięki za tę rozmowę. Naprawdę mi pomogła.

Wróciła do swojego pokoju.

– Dobra robota, abba – pochwaliła go Rina. – Możesz sobie pogratulować.

– Nawet mnie co jakiś czas coś się udaje. – Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

– Nie bądź taki skromny. Byłeś naprawdę bardzo wiarygodny.

– Wcale nie próbowałem taki być. Szczerze w to wierzę. W końcu sam nie jestem żadną gwiazdą, tylko pracownikiem państwowym.

– Dla mnie zawsze będziesz gwiazdą – zapewniła. – Jesteś moim bohaterem.

Decker wbił wzrok w talerz.

– Dziękuję. Ty też jesteś moją bohaterką. – Pocałował ją w rękę i przytrzymał przez chwilę, a potem ponownie sięgnął po kieliszek. Po tylu latach wciąż nie umiał znaleźć słów, by wyjaśnić, jak wielką przyjemność sprawiły mu słowa córki i jak miły był komentarz żony. Zamiast tego napawał się tą chwilą, wznosząc kolejny toast.

Cudownie jest być przez kogoś uwielbianym.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Poprzecinane rowami pola przypomniały Deckerowi dzieciństwo, kiedy jeździł z rodziną do dziadków w Iowa. Odbywało się to dwa razy do roku – na Wielkanoc i Boże Narodzenie. Wyruszali z Florydy i przemierzali ciągnące się kilometrami, nieskończone równiny. Zimą za szybą rozciągał się ocean brązu i bieli. Wiosną – zielone pola błyszczące od porannej rosy i kwitnące drzewa. Podróże te zapadły mu głęboko w pamięć z powodu obietnicy czekającej na drugim końcu tęczy. Zjazdy rodzinne i wielkie uczty, światła, dekoracje, kuzyni, z którymi mógł się bawić, i oczywiście prezenty. Nieważne, czy były małe, czy duże, zawsze odwijał papier z dreszczykiem emocji. Decker wiedział, że czasy się zmieniły i przyjechał tutaj z zupełnie innego powodu, ale i tak nie umiał powstrzymać podniecenia.

Coś mu mówiło, że to może być przełom.

Brubeck prowadził z pewnością autochtona. Drogi gruntowe były nierówne, liczne wyboje potwierdzały słuszność wypożyczenia samochodu z napędem na cztery koła. W pewnej chwili oderwali się od ziemi i opadli na nią z głuchym odgłosem.

– Wybacz, szefie. – Brubeck zwolnił. – Cholerne drogi. Władze powinny wreszcie załatać te dziury.

– Nie zmienimy dróg, ale możemy zwolnić. Zyskanie kilku minut nie jest warte złamanego kręgosłupa.

– Cholerne drogi – wymamrotał ponownie Brubeck. Miał na sobie granatową koszulkę z krótkimi rękawami i czarne dżinsy. Brzuch mu się wylewał zza paska.

Decker wybrał brązową koszulkę polo, dżinsy i tenisówki. Teraz wyciągnął niepełną listę rodzin z północnego ciudad, którą Brubeck przygotował z pomocą teścia, Marcusa Merry'ego. Figurowało na niej dwanaście nazwisk.

– Umówiłeś się z teściem?

– Daisy chyba by mnie zabiła, gdybym do niego nie wstąpił. Umówiliśmy się na lunch około drugiej**...** Dla niego to bardziej jak kolacja. Chodzi spać o ósmej. – Brubeck zawahał się. – Nie za dobrze się czuje z tym, że nam pomaga za plecami szeryfa T. Musi tu jakoś żyć, a Bóg mi świadkiem, już i tak ma nagrabione.

– Myślałem o tym – powiedział Decker. – Wbrew radom Olivera zadzwoniłem do T. i zostawiłem mu wiadomość, że przyjedziemy.

Brubeck spojrzał na niego.

– Naprawdę to zrobiłeś?

– Patrz na drogę.

– Widzę. Dlaczego do niego zadzwoniłeś?

– Żeby twój teść nie miał jeszcze bardziej nagrabione, kiedy T. o wszystkim się dowie i wpadnie we wściekłość. A poza tym może się okazać, że będzie potrzebna nam jego pomoc.

Samochód podskoczył na wyboju i wylądował na ziemi niczym niezdarna tancerka.

– Myślisz, że można zaufać T.? – zapytał Brubeck.

– Nie wiem, ale zawsze dobrze mieć miejscowego stróża

prawa po swojej stronie.

– O ile jest po naszej stronie.

– Właśnie dlatego zawiadomiłem go, że wpadniemy tutaj po południu, a około czwartej spotkamy się z nim w mieście. Dzięki temu zrobimy, co do nas należy, nie mając go na karku.

– A jeśli wpadniemy na niego w ciudad?

– Powiem mu, że udało nam się złapać wcześniejszy samolot i bez skutku próbowaliśmy się do niego dodzwonić.

– To ma sens. A jeśli zastaniemy go w ciudad, to też nam coś powie.

– No właśnie. Byłeś tam kiedyś?

– Tylko przejazdem. Nigdy nie miałem powodu, żeby się zatrzymywać.

– Jak sobie radzisz z hiszpańskim?

– Tak sobie, ale od biedy się dogadam – odparł Brubeck. – Najlepiej będzie, jeśli ja będę prowadził, a rozmowami zajmiesz się ty.

– Dobra. Tylko dowieź nas tam w jednym kawałku.

Rzesze przybyłych z zagranicy robotników rolnych to smutna rzeczywistość Kalifornii. Ci ludzie mieli pozwolenia na pracę i zarabiali na życie, wykonując konkretne zadania przez konkretny okres, jednak poczucie tymczasowości oraz marne zarobki bardzo mocno wpływały na ich warunki życiowe. To nie była typowa dzielnica nędzy, bo stało tu trochę drewnianych domów z otynkowanymi ścianami, ale nie można też było mówić o jakiejkolwiek trwałości, o jakiejkolwiek perspektywie sięgającej w przyszłość. Domy

wznoszono w ciągu jednego dnia i zrównywano z ziemią jednym pchnięciem spychacza.

– Całkiem często się zdarza – powiedział Brubeck Deckerowi – że gdy jakiś aktywista zaczyna płakać nad losem biednych robotników, wszystko zostaje zrównane z ziemią. A już po tygodniu wszystko zaczyna się od początku. Kiedyś pracownicy mieszkali na farmach, ale w naszych czasach nikogo nie stać na to, żeby ich karmić, zapewniać dach nad głową i jeszcze im płacić. Coś trzeba było wymyślić.

Decker zauważył słupy energetyczne, więc przynajmniej w niektórych domkach musiał być prąd. Większość budynków stała do siebie przytulona, co upodabniało je do domów w zabudowie szeregowej. Jedynym elementem ożywiającym ponure pustkowie były jaskrawe ściany domków: żółte, pomarańczowe, fioletowe, zielone i czerwone. Zamiast nazw ulic stosowano tu litery. W północnym ciudad oznaczenia zaczynały się na A, a kończyły na P. Mendezowie mieszkali przy H, I oraz J. W pewnej chwili Decker zauważył świeżo umytego dwudziestoletniego suburbana stojącego przed jednym z domów.

– Zatrzymaj, Willy. – Gdy Brubeck zahamował na żwirowej nawierzchni, Decker dodał: – Nie wiesz przypadkiem, czyj to samochód?

– Nie, ale na pewno jakiegoś przyjezdnego. Samochód jest stary, ale za czysty, żeby należał do kogoś z miejscowych.

Decker otworzył drzwi.

– Rzućmy na niego okiem.

Po cichu wysiedli z auta i podeszli na palcach do suburbana. W środku dostrzegli skórzaną kurtkę, papierowy kubek z kawą, radiostację policyjną i uchwyt na strzelbę. Wymienili spojrzenia i wrócili do swojego samochodu.

– Pełen policyjnego sprzętu – powiedział Brubeck.

– Zauważyłem. A także ten pusty uchwyt na strzelbę.

– Zadzwonię do teścia i zapytam, czym jeździ T. – Po krótkiej rozmowie telefonicznej potwierdził: – To samochód szeryfa.

Przez chwilę milczeli.

– Coś mi się nie wydaje, żeby śledzenie szeryfa było najlepszym pomysłem – powiedział w końcu Decker.

– Też tak myślę.

Ponownie zamilkli.

– Może zadzwonię do T. i powiem mu, że właśnie przyjechaliśmy do miasta.

– Co nam to da? – zapytał Brubeck.

– Zaczekamy w ukryciu, aż odjedzie, a potem wejdziemy do tego domu. No, chyba że ktoś tam ma broń.

– Tutaj każdy ma broń. A kiedy T. odkryje, że go nabraliśmy, nieźle się wkurzy.

I była to słuszna uwaga.

– To może w takim razie zaczekamy w ukryciu, aż stąd wyjdzie, i zobaczymy, czy przyjechał tu z bronią.

– A jeśli nie, to co? – Brubeck parsknął śmiechem. – Chyba nie chcesz powiedzieć, że go zaatakujemy?

Decker wzruszył ramionami.

– Wycofaj i stań tak, żeby nas nie widział. Zadzwonię do

niego.

Brubeck wjechał na wstecznym za różowo-zieloną wiatę, pod którą stała czerwona toyota corolla z niezbyt profesjonalnie położonym nowym lakierem. Przyglądali się przez chwilę autu, w końcu Decker zadrapał karoserię paznokciem. Spod nowego lakieru przedzierał niebieski.

– Martin jeździł niebieską toyotą corollą z 2002 roku.

– I co z tego? – zapytał Brubeck.

– Jeszcze nie wiem. Zadzwonię do biura szeryfa, przynajmniej nikt nam nie powie, że się nie staraliśmy.

Edna, sekretarka szeryfa T., poinformowała ich, że szefa nie ma.

– Spodziewa się panów dopiero po południu.

– Złapaliśmy wcześniejszy samolot.

– Ale zaledwie pół godziny temu dostaliśmy wiadomość o panów wizycie.

– Najwyraźniej moja komórka miała jakieś opóźnienie. – To wyjaśnienie nie trzymało się kupy, ale Edna go nie zakwestionowała.

– Nie wie pani, gdzie może być szeryf?

– Niestety nie. Wiem tylko, że wyjechał w sprawie służbowej.

– Ma przy sobie komórkę?

– Na pewno, ale zabronił komukolwiek podawać jej numer. Mogę zadzwonić do niego w pana imieniu, jeśli pan sobie życzy.

– Byłbym wdzięczny.

– Gdzie panowie są?

– W wypożyczalni samochodów przy lotnisku.

– Droga tutaj zajmie panom jakieś pół godziny. Powiedzieć, jak dojechać?

– Nie trzeba, jest tu ze mną Willy Brubeck. Zna te tereny.

– Willy Brubeck? Zięć Marcusa Merry'ego?

– Tak, proszę pani. Pracuje ze mną.

– Mów mi Edna, złotko.

– Do zobaczenia za pół godziny, Edna. – Decker rozłączył się. Znajdowali się jakieś trzydzieści metrów od obserwowanego domu, ale nie widzieli zbyt wyraźnie jego drzwi wejściowych.

– Zostań tutaj, Willy. Muszę podejść bliżej.

– Zwariowałeś? Będzie cię miał jak na widelcu.

– Nie powiedziałem, że zamierzam go zaatakować. Powiedziałem tylko, że zamierzam podejść trochę bliżej. Po prostu zostań tutaj. Jeśli dostanę, nie mów mojej żonie, jak to się stało.

Zanim Brubeck zdążył zaprotestować, Deckera już nie było.

Skradając się, podszedł bliżej drzwi domu.

Pięć minut później wyszedł z niego T. Miał na sobie koszulę w kratkę, dżinsy i zniszczone skórzane buty. Taszczył strzelbę. Wyglądała na starego remingtona 1100. Niezbyt nowoczesna broń. T. był raczej chucherkowaty, ale uzbrojony mógł być naprawdę niebezpieczny.

Szeryf rozejrzał się dookoła, po czym otworzył drzwi suburbana i wsiadł do środka. Z powodu słońca za przednią szybą auta nie było nic widać, ale T. popełnił błąd taktyczny, nie zamykając za sobą drzwi. Decker przeszedł w miejsce,

z którego widział ramię szeryfa. Zaczekał, aż T. umieści strzelbę w uchwycie, po czym uderzył z zaskoczenia.

– Dzień dobry, szeryfie. Porucznik Decker z wydziału zabójstw policji Los Angeles.

T. odruchowo sięgnął po broń. Decker chwycił go za przegub i szeryf upuścił kluczyki samochodowe.

– Nie radzę – powiedział Decker, wykręcając mu rękę. Nie było możliwości, żeby szeryf mu się wyrwał.

– Pojebało cię? – krzyknął T.

– Nie, po prostu nie chcę, żebyś mnie zastrzelił.

– To nie podkradaj się do ludzi, na miłość boską! Puszczaj, jeśli nie chcesz, żeby twoje pieprzone dupsko wylądowało w areszcie.

– Wysiądź z samochodu, to pogadamy.

– Nie mogę nic zrobić, bo wykręcasz mi rękę.

Decker wyciągnął go z samochodu i puścił jego przegub.

Był od niego prawie trzydzieści centymetrów wyższy i jakieś czterdzieści kilogramów cięższy, więc nie ulegało wątpliwości, po czyjej stronie jest przewaga. Jak to mówią, rozmiar ma znaczenie.

Po chwili podszedł do nich Brubeck.

– Nic ci nie jest? – zapytał Deckera.

– Czy to jego pytasz? – obruszył się T., poruszając ostrożnie dłonią. – Ten dupek o mało nie złamał mi ręki. Co z tobą, kurwa, nie tak?

– Nie mam broni – wyjaśnił Decker. – Musiałem wyrównać szanse.

– Niby czemu, miałbym do ciebie, kurwa, strzelać? – T.

spiorunował go wzrokiem. – Powinienem cię zamknąć do pierdla. Jak mogłeś mu na to pozwolić, Willy?

– Przepraszam, T., ale on jest moim szefem.

– To wariat!

– Nie przeczę, ale co zrobić, muszę z nim pracować.

Decker wyjął odznakę, ale T. strącił ją na ziemię.

– Po kiego chuja podkradałeś się do mnie**...** Omal nie zszedłem na atak serca.

– Przecież się przedstawiłem.

– I niby co, miałem być pod wrażeniem?

– Przepraszam, szeryfie.

– Pieprzony idiota.

Decker próbował powstrzymać uśmiech.

T. to zauważył.

– Zawiadomię o wszystkim twojego przełożonego! – pieklił się.

– Dlaczego pan tutaj jest? – zapytał Decker.

– Mieszkam tutaj, kretynie!

– Chodziło mi o to, co pan robił w domu Mendezów. Wie pan, że prowadzimy śledztwo. Czy to przypadek, że przyjechał pan tutaj zaledwie pół godziny po tym, jak dzwoniłem?

Tym razem T. już nie przeklinał, tylko spojrzał w kierunku domu, a potem znów na Deckera.

– Spieprzaj stąd, zanim oskarżę cię o napaść.

– A ja pana o utrudnianie śledztwa. A może raczej o udzielanie schronienia osobie poszukiwanej.

– Pierdol się. – Znów odruchowo spojrzał w kierunku domu.

– Jesteś porąbany. Nikogo nie ukrywam.

– Stoi tu toyota corolla z 2002 roku, która jest zaskakująco podobna do samochodu, którym jeździ Rondo Martin. Ciekawe, ile czasu zajmie nam sprawdzenie numeru VIN. – Ponieważ T. milczał, Decker dodał: – Jeśli udziela pan Martinowi schronienia powodowany lojalnością wobec dawnego kolegi z pracy, gotów jestem przymknąć na to oko. Chcę tylko, żeby pan mi pomógł doprowadzić go przed oblicze sprawiedliwości.

– Nie narażaj się dla niego, T. – dodał Brubeck. – Załatwimy to tak, żebyś nie ucierpiał.

Szeryf pokręcił głową.

– To nie tak, jak myślicie. Nie ukrywam żadnego mordercy. – Poruszył nadgarstkiem. – Cholera, boli!

– Naprawdę bardzo mi przykro. Pokryję ewentualne koszty leczenia**...**

– Nie potrzebuję leczenia. Nie jestem pieprzoną ciotą.

– Musimy tam wejść, szeryfie.

– Nic nie rozumiecie.

– Więc niech nam pan to wytłumaczy.

– Upuściłem w samochodzie kluczyki. Jest wśród nich klucz do uchwytu na strzelbę. Weź ją, jeśli chcesz. Mam nadzieję, że nie wykorzystasz jej przeciwko mnie.

– Przepraszam, że się do pana podkradłem. – Decker wyciągnął do niego rękę.

Po kilku chwilach T. ją uścisnął.

– Poczekajcie chwilę, zaraz wracam. – Skinął głową do Brubecka. – To wcale nie znaczy, że nie jest dupkiem.

Odszedł do auta.

Decker wypuścił głośno powietrze.

– Chyba do końca tego nie przemyślałem.

– Tak, raczej nie – zgodził się z nim Brubeck. – Nie chciałem nic mówić, ale po co to, kurwa, robisz? Nie lepiej pozwolić mu odjechać i dopiero potem wejść do środka?

– I pozwolić, żeby Rondo Martin powystrzelał nas jak kaczki? Kto wie, czy to nie zasadzka.

– I tak się w niej znajdziemy.

– Zaczekaj w samochodzie T., Willy. Zadzwonię, jeśli wszystko będzie dobrze.

– Nie pozwolę, żebyś wszedł tam sam – powiedział Brubeck.

– Nie masz wyjścia. To rozkaz.

– Odbiło ci?

– Przecież już dawno to ustaliliśmy. Jeśli usłyszysz strzały, zabieraj się stąd. To też rozkaz.

Willy pokręcił głową.

– Nie musisz mi tego powtarzać.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Zdecydowanie nie tego Decker się spodziewał.

Rondo Martin leżał na podwójnym materacu, jego bladą twarz pokrywały kropelki potu, a tułów owinięty miał kilometrami bandaży. Opatrunek sprawiał wrażenie dopiero co zmienionego, ale spod niego wyzierały zakrwawione, przyciemnione kawałki wcześniejszych. Pokój wypełniał smród środków antyseptycznych i gnijących ran. Martin zapewne miał niebieskie oczy, ale choroba sprawiła, że poszarzały i zapadły się, a wokół nich pojawiły się ciemne obwódki, upodabniając go do szopa pracza. Podłużną twarz pokrywała siwa szczecina, która przeradzała się już w brodę. Grafitowe włosy były przetłuszczone.

Po lewej siedziała pokojówka z Rancza Kojota, Ana Mendez, ocierając Martinowi twarz mokrą ściereczką. Po prawej siedział ogrodnik Paco Albanez, próbując go nakarmić zupą. Martin skrzywił się, przełykając gorącą potrawę, po czym przeniósł wzrok ze swoich opiekunów na Deckera.

Z kolei wzrok Deckera wędrował między Albanezem a Aną. Ponieważ nigdy nie widział ich razem, do tej pory nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo są do siebie podobni. Ojciec i córka? Wujek i siostrzenica? W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie kobiety, ale trudno było mu zgadywać, kim są.

Wszędzie stały buteleczki z lekarstwami, głównie

z antybiotykami i środkami przeciwbólowymi. Z etykiet wynikało, że to środki dla zwierząt. O wiele łatwiej było załatwić lekarstwa dla psa niż próbować dostać receptę od lekarza, jednak Rondo Martin zdecydowanie potrzebował czegoś więcej, żeby wyzdrowieć.

– Trzeba go zawieźć do szpitala – powiedział Decker.

– Myślisz, że nie próbowaliśmy? – z ciężkim westchnieniem odparł T.

Martin nerwowo zamrugał i spytał:

– Znaleźliście Joego Pine'a?

– José Pinon – powiedziała Ana Mendez i splunęła na ziemię.

– Nie – odparł Decker. – Ciągle jeszcze nie wiemy, gdzie jest.

– Więc nigdzie nie jadę. Szuka mnie, chce mnie zabić.

W tej chwili do środka wszedł Willy Brubeck ze strzelbą. Rozejrzał się po pokoju, po czym jego oczy spoczęły na Deckerze, który wyjaśnił:

– Rondo właśnie powiedział, że szuka go Joe Pine. Chce go zabić.

– Popatrzył mi w oczy i pociągnął za spust – dodał Martin.

– Tym bardziej musi pan być w jakimś bezpieczniejszym miejscu. Jeśli ja pana znalazłem, jemu również się to uda.

– To samo staram mu się wytłumaczyć – włączył się T.

– Gdzie była policja, kiedy zabito Kaffeyów? – zapytała po hiszpańsku Ana. – Gdzie była policja, kiedy mój Rondo został podziurawiony kulami?

– Zrozumieliście? – upewnił się T.

– Tak. – Decker wyciągnął komórkę. – Dzwonię pod 911.

T. powstrzymał go gestem.

– Szybciej będzie zabrać go moim samochodem. Karetka przyjedzie tu dopiero za jakieś pół godziny.

– Nigdzie nie jadę – zaprotestował Martin. – Umrę tutaj.

– Całkiem możliwe, jeśli nie opatrzy się należycie pana ran.

– Czy rozpoznał pan tylko Joego? – zapytał Brubeck.

– Tylko jego pamiętam**...** – Martin skrzywił się z bólu.

– Musimy go zawieźć do szpitala – nalegał Decker.

T. skinął głową i kobiety zaczęły zbierać koce. Potrzebne były do wyłożenia tyłu suburbana. Ana uparła się, że zostanie przy Martinie.

– Kto ma kluczyki?

Brubeck rzucił je szeryfowi, który z kolei podał je kobietom.

– Zobaczysz, Rondo, wygrzebiesz się z tego.

– Jeśli zawieziecie mnie do szpitala**...** zginę**...** za dużo widziałem.

– Co takiego pan widział? – zapytał Decker.

– Było ich co najmniej czterech**...** Może nawet więcej.

– Rozpoznałby ich pan?

– Nie wiem**...** Joe bardzo szybko do mnie strzelił.

– W jaki sposób pan uciekł?

– Kiedy się pracuje w posiadłości**...** u takich bogaczy**...** w końcu musi ich ktoś napaść**...** Chodzi mi o to, że byłem na to przygotowany.

– Co się dokładnie wydarzyło? – zapytał Brubeck.

– Usłyszałem hałas w bibliotece**...** Wbiegłem tam i zobaczyłem Joego z pistoletem. Strzelił do mnie kilka razy.

Hałas przyciągnął też Denny’ego. Ktoś do niego strzelił. Uciekłem.

– Dokąd? – zapytał Decker.

– Zamknąłem się w szafie. Strasznie krwawiłem**...** – Minęło kilka minut, zanim odzyskał oddech. – Słyszałem mnóstwo wystrzałów**...** wreszcie wszystko ucichło. Czekałem**...** Chyba straciłem przytomność**...** Potem usłyszałem, jak Joe pyta kogoś, czy nie ma więcej amunicji. – Znów przerwał na dłuższy czas. – Nie miał – dodał w końcu.

– Czy dlatego napastnicy nie dobili Gila Kaffeya?

– Nie wiem, czy dlatego, ale to całkiem prawdopodobne. Nie słyszałem już więcej wystrzałów. W końcu udało mi się zejść na dół**...** Zobaczyłem, co zrobili Alicii. I znowu straciłem przytomność. – Nikt nic nie mówił. Po policzkach Any spływały łzy. Paco siedział nieruchomo z łyżką w ręce. – Alicia była siostrzenicą Paco**...** – dodał cicho Rondo. – Kuzynką Any.

Decker odwrócił się do ogrodnika.

– Przykro mi.

Paco skinął głową.

– Kiedy go zobaczyłam, myślałam, że nie żyje – dziwnie przytłumionym głosem powiedziała Ana. – Gdy okazało się, że jest inaczej, pobiegłam do Paco.

– Ukrywali mnie, aż wreszcie z Ponceville przyjechał syn Paco i zabrał mnie tutaj.

– Gdzie pana ukrywali? – zapytał Brubeck.

– W jednej z przyczep do przewożenia koni.

– Jakie pokrewieństwo łączy Anę i Paco? – zapytał Decker.

– *Mi tio, tambien* – odparła Ana. Paco był jej wujkiem.

– Czy Paco nazywa się Albanez czy Alvarez? – pytał dalej.

– Albanez – odparł Martin.

– Edna powiedziała moim ludziom, że mieszkają tutaj Alvarezowie.

– Edna nie byłaby sobą, gdyby czegoś nie pokręciła – powiedział T.

Martin oblizał spękane wargi.

– Ana to moja dziewczyna. Mieliśmy się pobrać, ale zainteresował się nią urząd do spraw emigrantów.

Do domu wróciły kobiety. Powiedziały, że samochód T. jest już gotowy.

– Mówiłem, że nigdzie nie jadę.

– To już nie ode mnie zależy, Rondo. – T. mrugnął porozumiewawczo do Deckera. – On tu rządzi. Musisz współpracować.

– Kto mnie ochroni?

– Pozostanę przy tobie, dopóki nie zorganizujemy dwudziestoczterogodzinnej ochrony policji.

– Skąd weźmiesz policjantów? To nie jest wielkie miasto.

– Jeśli będzie trzeba, przydzielę ci swoich ludzi. Ile razy oberwałeś, Rondo?

– Nie wiem**...** Na pewno więcej niż jeden. Ciągle mam w sobie mnóstwo ołowiu.

– Zabierzemy się teraz do suburbana. Dasz radę iść?

– Nie bez pomocy.

– To akurat nie problem – stwierdził Decker.

Było ich czterech chłopa, lecz Martin nie był ułomkiem,

więc podniesienie go z materaca bez zrobienia krzywdy nie należało do prostych zadań. W końcu stanął na nogach. Oddychał ciężko, a jego ciało śmierdziało z powodu zakażenia. Gdyby się tu nie zjawili, prawdopodobnie umarłby za kilka tygodni, może nawet dni.

Krok za krokiem poprowadzili go do suburbana. Stanęli z tyłu samochodu, po czym złapali Martina za ręce i nogi i dźwignęli. Krzyczał z bólu, kiedy go kładli w środku wozu. Po wszystkim dołączyła do niego Ana.

– Nie możesz jechać ze mną, kochanie – powiedział Rondo. – Deportują cię.

Odpowiedziała mu po hiszpańsku, że go nie zostawi. Sprzeczali się przez dłuższą chwilę, w końcu Martin skapitulował.

– Ale z ciebie uparciucha – stwierdził z westchnieniem. – No dobra, miejmy to już za sobą.

Zanim Decker zamknął tylną klapę, zapytał:

– Wie pan, kto pana załatwił?

– Nie, pamiętam tylko Joego.

– To on wydawał rozkazy?

– Chyba ktoś inny.

– Kto? – zapytał Decker. – Ktoś, kogo pan zna?

– Możliwe.

– Czy to mógł być jeden z synów Kaffeyów?

– Trudno powiedzieć.

Wyczuł jego wahanie. Na razie jednak życie Martina wisiało na włosku. Decker wróci do tego, kiedy chory znajdzie się w szpitalu i jego stan się ustabilizuje. Zamknął

klapę suburbana.

– Mam usiąść obok pana ze strzelbą czy eskortować was naszym samochodem?

– To pierwsze – odparł T. – Kto wie, kto na nas tam czeka.

Popołudnie było tak upalne, że zrezygnowała z prac w ogródku. Nawet szklarnia wydawała się przygnieciona ciężkim powietrzem. Rina postanowiła dać sobie spokój. Zamierzała spędzić tu parę godzin, ale było zbyt duszno. Gdyby trzymała się planu, nie usłyszałaby wściekłego walenia do drzwi.

Wyjrzała przez wizjer i zamarła. Po prostu nie wierzyła własnym oczom. Sprawdziła jeszcze na monitorze wyświetlającym obraz ze świeżo zainstalowanej kamery. To on. Pewnie mogłaby udać, że nie słyszy, ale sprawiał wrażenie spanikowanego.

– Czego pan chce? – zapytała.

– Czy zastałem pani męża? Nie ma go na komisariacie.

– Wiem.

– Muszę z nim porozmawiać.

– Nie ma go tutaj. Proszę wrócić na komisariat, ktoś was ze sobą skontaktuje.

– Oni mają mnie za wariata.

Ja też, pomyślała Rina.

– Błagam! Potrzebuję jego pomocy! – panikował.

Uchyliła drzwi, nie ściągając łańcucha.

– Co się stało?

– Jestem pewien, że ktoś za mną chodzi. Chcę się dowiedzieć, co mam zrobić. – Zamyślił się na chwilę. –

Przepraszam. Musi mnie pani mieć za świra. Zapewniam, że nim nie jestem.

Rina nagle zmieniła zdanie i otworzyła drzwi. Peterowi na pewno by się to nie spodobało, ale przecież go tutaj nie ma. Jej problem, jej decyzje.

– Proszę, niech pan wejdzie.

Ciężko oddychał i intensywnie się pocił. Uśmiech Toma Cruise'a zniknął, ustępując miejsca zdenerwowaniu i lękowi. Brett Harriman miał na sobie cienką jasnobrązową marynarkę, białą koszulę i brązowe spodnie. Przeszedł niepewnie przez próg i Rina zamknęła drzwi.

– Dziękuję**...** Bardzo pani dziękuję.

– Napije się pan wody?

– Tak, proszę.

– Zaraz przyniosę.

Kiedy wróciła, okazało się, że nie ruszył się spod drzwi.

– Może usiądziemy?

– Dobrze.

Trudno było odczytać jego wyraz twarzy, nie widząc oczu, jednak wciąż wydawał się zdenerwowany. Kiedy dotknęła jego ręki, drgnął wystraszony, wylewając trochę wody ze szklanki, którą przyniosła.

– Chciałam poprowadzić pana do krzesła – wyjaśniła.

– A**...** no tak. Przepraszam.

Rina podeszła z nim do kanapy. Usiadł sztywno. Włożyła mu w dłoń szklankę z wodą i lodem. Przyłożył ją do ust.

– Skąd pan wie, że ktoś pana śledzi?

– Ciągle słyszę za sobą kroki**...** Te same kroki.

– Umie pan rozróżniać kroki?

Kiwnął głową, po czym zdjął okulary, by otrzeć pot z twarzy. W jego oczodołach tkwiły szklane oczy, błękitne i matowe, jak szklane kulki obracające się na podłodze.

– Jechałem samochodem ze swoją dziewczyną. Nagle usłyszeliśmy huk. Jej zdaniem to strzelił gaźnik w aucie, ale ja wiem, jak brzmią wystrzały.

– Trafili w samochód?

– Na szczęście nie.

– Gdzie to było? W jakiejś niebezpiecznej dzielnicy?

– A skąd. Na skrzyżowaniu w centrum.

– Czasami się słyszy o tym, że ktoś strzela do samochodów. Skontaktował się pan z policją?

– Nic nie widziałem, samochód nie ucierpiał, a Dana uważa, że to strzelił gaźnik. – Był wyraźnie wzburzony. – Wszyscy w wydziale pani męża mają mnie za czubka. No, może z wyjątkiem jego. Muszę z nim porozmawiać.

– Niestety, jest poza zasięgiem, ale zostawię mu wiadomość.

– A kiedy będzie dostępny?

– Nie mam pojęcia, panie Harriman.

– Proszę mi mówić Brett. Przepraszam, że tak tutaj wtargnąłem, ale wiem, kiedy dzieje się coś złego. Słyszę to. Co więcej, ja to czuję! Ktoś mnie śledzi!

– Przywiozła tu pana dziewczyna?

– Nie, wziąłem taksówkę. Moja dziewczyna uważa, że przesadzam.

Nie ona jedna, pomyślała Rina.

– Nie wiem, co robić – powiedział Harriman. – To dlatego tutaj przyjechałem.

– Jeśli ktoś naprawdę pana śledzi, nie powinien pan się tutaj pojawiać, tylko pojechać na komisariat.

– Nie uwierzą mi – odparł z westchnieniem.

– Możliwe, ale też nie wyrzucą pana na ulicę. – Zamyśliła się na chwilę. – A może pojadę z panem? Mnie pewnie uwierzą.

– To bardzo miło z pani strony**...** Przepraszam, że panią w to wciągam. Po prostu nie wiedziałem, do kogo się zwrócić. Kiedy powiedzieli mi przez telefon, że porucznika Deckera nie ma, pomyślałem, że jest w domu.

– Nie ma go tutaj.

– Teraz już wiem. Pewnie zachowuję się jak wariat.

– Po prostu się pan boi.

– Od lat pracuję w sądzie jako tłumacz i brałem udział w kilku rozprawach dotyczących paskudnych morderstw. Ale nigdy nie byłem wciągnięty w coś takiego.

– Proszę chwilę poczekać, tylko wezmę klucze.

– Dobrze. Gdzie mam odstawić szklankę?

– Ja ją wezmę. – Poszła do kuchni i po chwili wróciła z kluczami. Już miała zaprowadzić Harrimana do drzwi, gdy jej wzrok spoczął na monitorze. Wprawdzie na ganku nikogo nie było, ale po drugiej stronie ulicy stał obcy samochód. Biały sedan z pokaźnym wgnieceniem w tylnych drzwiach. Być może po prostu kolejna krewna odwiedzała staruszkę mieszkającą naprzeciwko, jednak paranoja Harrimana była zaraźliwa. Nie zauważyła tablicy rejestracyjnej i doszła do

wniosku, że lepiej nie wychodzić z domu.

– Wyczuwam woń czegoś, czego jeszcze przed chwilą nie było – stwierdził Harriman. – Zdenerwowanie albo strach. Co się dzieje?

– Może boję się być sama z panem w samochodzie.

– To nie to. – Wstał. – O co chodzi?

– Po drugiej stronie ulicy stoi samochód**...**

– Jaki samochód?

– Toyota albo honda. Nie potrafię ich rozróżnić. Tylko spokojnie. Zadzwonię do pewnej osoby i poproszę ją, żeby tu przyjechała.

– Czy w tym samochodzie ktoś jest?

– Nie widzę. Przepraszam.

Marge była w terenie, ale odebrała, a wtedy Rina cichym głosem nakreśliła jej sytuację.

– Jestem z Oliverem – powiedziała Marge. – Zaraz u ciebie będziemy.

– To pewnie nic ta**...**

– Masz świra w domu, to zawsze jest coś.

– On jest niewidomy.

– Na pewno?

– Tak, widziałam jego oczy. – Przerwała na chwilę. – Być może nieco mnie zdenerwował, ale naprawdę wystraszył mnie ktoś inny.

– Ciągle masz swój pistolet?

– Tak. Wyjmę go ze skrytki, chociaż to pewnie przesada.

– Będę z tobą szczera. Peter bał się, że Harriman może cię wciągnąć w coś złego.

– Wpuściłam go do domu z własnej woli. Pewnie nie było to zbyt mądre.

– Owszem, niezbyt mądre, ale humanitarne. Wiesz, co się mówi?

– Co?

– Błądzić jest rzeczą ludzką, a zabić drania – boską.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Kiedy Marge podjechała do białej hondy accord, silnik auta natychmiast ożył i pojazd ruszył. Jechała za nim przez jakieś dwie przecznice, później samochód skręcił w Devonshire, jedną z głównych dróg wyjazdowych z West Valley. Oliver sprawdził numery rejestracyjne w bazie danych, ale wóz nie był przez nikogo poszukiwany. Zarejestrowano go na Imeldę Cruz, trzydziestoczteroletnią mieszkankę East Valley.

– Może to kolejna siostrzenica ciotki Gwen? – zasugerował.

– Nie sądzę – odparła Marge, nie odrywając wzroku od hondy, która właśnie włączyła kierunkowskaz. – Wygląda na to, że prowadzi jakiś facet. – Kolejny sygnał, kolejny skręt. – Przykładny, kurwa, kierowca.

– Jedziemy radiowozem. Na pewno nas zauważył.

Zadzwonił jej telefon. Gdy Oliver wyłowił go z torebki, na ekranie wyświetlał się numer Riny.

– Samochód zniknął. Gdzie jesteście?

– Właśnie za nim jedziemy.

– Och**...** no dobrze. W takim razie zawiozę Harrimana na komisariat. Żadne z nas nie chce tutaj siedzieć.

– Zaczekaj, Rina – poprosił. – Zorganizuję ci obstawę.

– Co się dzieje? – zapytała Marge.

– Chce odwieźć Harrimana na komisariat. – Ponownie przyłożył słuchawkę do ucha. – Zaczekajcie, aż przyjedzie radiowóz. Pojadą za wami.

– Tylko się pospiesz. Zaczynam się naprawdę bać.

– Jasne. – Oliver zakończył rozmowę i wezwał radiowóz. – Wygląda na to, że facet kieruje się na autostradę. Jeśli mamy go zatrzymać, to najlepiej przed zjazdem.

Marge włączyła syrenę, a po chwili honda wyhamowała i stanęła przy krawężniku. Policjanci wiedzieli, że każde zatrzymanie groziło wybuchem przemocy, a podwójne zabójstwo Kaffeyów nauczyło ich dodatkowej ostrożności.

– Czas na megafon – stwierdził Oliver i wzmocnionym głosem poinformował pasażerów hondy, by wyszli na zewnątrz z rękami w górze.

Kilka kolejnych sekund upłynęło na pełnym napięcia oczekiwaniu.

Drzwi samochodu wreszcie się otworzyły i wysiadł z niego chudy jak szczapa nastolatek w koszulce na ramiączkach i workowatych szortach. Podniósł kościste i wytatuowane ręce.

– Oprzyj dłonie o bagażnik swojego samochodu – rozkazał Oliver.

Kiedy spełnił polecenie, oboje wysiedli z auta i z obu stron podeszli do chłopaka. Widać było, że nie jest uzbrojony, więc Oliver powiedział mu, żeby się odwrócił. Chłopak miał jakieś metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i twarz pokrytą trądzikiem. Wydawał się zbyt młody, żeby prowadzić. Patrzył na nich zmętniałymi, piwnymi oczami pozbawionymi jakichkolwiek emocji. Nie był ani wystraszony, ani agresywny.

– Jest ktoś jeszcze w samochodzie?

– Nie, proszę pana.

– Gdzie masz dokumenty?
– W aucie.
– Mogę zajrzeć? – zapytała Marge.
– Tak, proszę pani.
– Jak się nazywasz? – chciał wiedzieć Oliver.
– Esteban.
– Esteban i jak dalej?
– Cruz.
Chłopak musiał być krewnym właścicielki samochodu.
– Ile masz lat?
– Siedemnaście.
– Gdzie mieszkasz?
– Przy Ramona Drive.
– Dokładny adres?
Chłopak podał mu ulicę i numer domu w East Valley.
– Dość daleko się zapędziłeś.
– Tak, proszę pana.
– Dokąd jedziesz?
– Kręcę się po okolicy.
– Nie powinieneś się tutaj kręcić. To podejrzanie wygląda.
– Tak, proszę pana.
– Powinieneś być w szkole.
– Wyrzucili mnie ze szkoły.
– To co robisz, skoro się nie uczysz?
– Kręcę się tu i tam.
– To nie jest dobry pomysł na życie, Esteban. Czyj to samochód?
– Mojej mamy.

– Pozwala ci go brać, żebyś mógł się pokręcić po okolicy?

– Tak, proszę pana.

– Czyli jak do niej zadzwonię, nie będzie wściekła, że zabrałeś auto?

– Nie, proszę pana.

Chłopak odpowiadał prosto i bez namysłu, co było najlepszym wyjściem w tej sytuacji. Nie pytał, dlaczego go zatrzymano, nie stawiał się i nie udzielał żadnych informacji z własnej woli.

– Masz telefon do matki?

Gdy Esteban podał numer, Oliver zadzwonił ze swojej komórki.

– Dzień dobry, czy rozmawiam z panią Imeldą Cruz?

– ***Sí***?

Kiedy powiedział, że zatrzymali jej syna, odparła, że nie mówi po angielsku. Wiedząc, że hiszpański Marge też się do niczego nie nadaje, Oliver wymamrotał:

– *Muchas gracias* – i zakończył rozmowę, po czym spojrzał na Estebana i stwierdził: – Masz mnóstwo wytatuowanych dwunastek.

– Tak, proszę pana.

– Gang Bodega z Dwunastej Ulicy?

– Nie, proszę pana.

– To co to za tatuaże?

Chłopak wzruszył ramionami, po czym rzucił obojętnie:

– Podobał mi się taki wzór.

– Aha. Czyli masz tatuaże, ale nie należysz do gangu?

– Nie należę, proszę pana.

– Trochę to bez sensu.

Esteban nie odpowiedział. Marge, która skończyła przeszukanie samochodu, podeszła do nich, i spojrzała na Olivera, nieznacznie kręcąc głową.

– Co robisz w tej okolicy? – zapytała chłopaka.

– Jeżdżę bez celu, proszę pani.

– W bogatej dzielnicy, trzydzieści kilometrów od domu?

Chłopak rozdrapał jedną z krost na twarzy.

– Mogę się tu przespać i przynajmniej nikt mnie nie zastrzeli.

Policjanci wymienili spojrzenia.

– Śpisz w aucie?

– Czasami. Czasami też słucham muzyki albo czytam.

– Znalazłaś jakieś książki w aucie? – zapytał Oliver.

– Dwa cienkie komiksy i jeden gruby. – Przyjrzała się uważnie twarzy Estebana. Widywała już portrety, w których było więcej życia. – Nie powinieneś się tu kręcić. Ludzie mogą pomyśleć, że coś knujesz.

– Tak, proszę pani.

– Powinieneś być w szkole.

– Wyrzucili mnie, proszę pani.

– Przecież lubisz czytać. Czemu cię wyrzucili?

Esteban odpowiedział dopiero po dłuższym namyśle:

– Bo to nie szkoła, ale zoo. – Przez chwilę na jego twarzy malowała się wściekłość, ale zaraz zastąpiła ją pustka.

– Skoro lubisz czytać, to może posiedziałbyś w bibliotece – zasugerowała Marge.

– W bibliotece nie pozwalają spać – wyjaśnił. – Zaraz

wyrzucają.

– W takim razie znajdź sobie lepsze miejsce do czytania – poleciła.

– Tak, proszę pani.

Oddała mu portfel z dokumentami.

– Zatrzymaliśmy cię, bo masz zepsute tylne światło. Zajmij się tym.

– Tak, proszę pani.

Cisza.

– Możesz iść – zwolniła go w końcu Marge.

– Tak, proszę pani.

Kiedy chłopak odjechał, spojrzała na Olivera.

– Widziałeś, jak się wściekł, gdy mówił o szkole? Jakby nagle się obudził.

– Tak, to było demoniczne – przyznał. – Pewnie mógłby ci strzelić między oczy i nawet by nie mrugnął.

– Co mi przypomina**...** – Marge wybrała w telefonie numer Riny. – Gdzie jesteście?

– Dojeżdżamy na komisariat. Wszystko w porządku?

– Tak. Będziemy tam za parę minut. – Rozłączyła się i popatrzyła na Olivera. – W aucie nie było żadnej broni. Jeśli ten dzieciak miał skasować Harrimana, to na razie tylko się rozglądał.

Oliver pokiwał głową.

– Co sprawia, że tym bardziej trzeba się go bać.

Decker strasznie się wkurzył.

– Jak to otworzyłaś drzwi? Po co?

– Bo stał przed nimi zupełnie sam i wyglądał na

przestraszonego – wyjaśniła Rina.

– Nie mogłaś być pewna, że jest sam. Mógł przyprowadzić ze sobą całą bandę morderców.

– Od kiedy ktoś nam zainstalował kamerę na ganku, mam widok na ulicę, pamiętasz? – Rina westchnęła. – Harriman poszedł na policję, żeby z tobą porozmawiać. Ktoś mu powiedział, że się z tobą skontaktują i przekażą wiadomość. Dostałeś ją?

Nie odpowiedział. Nikt go o tym nie poinformował, bo wszyscy uważali Harrimana za świra.

– Rina, ja naprawdę mam co robić, i to coś o wiele ważniejszego, niż wysłuchiwanie opowieści jakiegoś wariata.

– Czyli jego lęki są dla ciebie w ogóle nieistotne? Nic dziwnego, że czuje się odtrącony, zwłaszcza po tym, jak pomógł ci w identyfikacji Alejandra Branda.

– Nie jesteś jego psychoanalitykiem, tylko moją żoną. A ten kretyn naraża cię na niebezpieczeństwo – Decker z trudem stłumił chęć, by w coś przywalić. – Jeśli ktoś go śledził, to ten gnojek doprowadził ich prosto do nas. Nie mamy wyboru. Dopóki nie dowiemy się, o co chodzi, zamieszkasz u rodziców.

– Skąd wiesz, że ten dzieciak w hondzie polował na Harrimana? To przecież ty prowadzisz sprawę Kaffeyów. Może to na ciebie poluje?

– Jeśli na kogokolwiek poluje, to na pewno na Harrimana. Mogłabyś się ze mną nie sprzeczać i dla odmiany choć raz mnie posłuchać**...**

– Dla odmiany? Przecież robiłam wszystko, o co mnie

poprosiłeś! To niesprawiedliwe!

– Ale otworzyłaś mu drzwi! Czemu, do cholery, to zrobiłaś?

– Bo wyglądał na przestraszonego. Nie mogłam go rzucić na pożarcie. Nie tylko ty masz różne przeczucia. A poza tym gdyby ktokolwiek w twojej pracy potraktował go poważnie, nie musiałby się posuwać do tego, by nachodzić nas w domu. I przestań na mnie wrzeszczeć!

Decker odetchnął głęboko, próbując się uspokoić.

– Przeniesiesz się do rodziców, dobra?

– Dobra. – Rozłączyła się, ale ręce wciąż jej się trzęsły.

Gdy telefon znów zadzwonił, odetchnęła głęboko i odebrała.

– Tak?

– Rozłączyłaś się!

– Nie mam nic więcej do powiedzenia.

– Zrozum, martwię się – wyjaśnił uspokajającym tonem.

– Przepraszam, że cię zdenerwowałam. Spakuję się i pojadę do rodziców. Zobaczymy się, gdy wrócisz. – Zamilkła na chwilę. – Kiedy będziesz w domu?

– Zamierzałem wrócić już dzisiaj, ale coś mi wypadło i powinienem jeszcze chwilę posiedzieć w Ponceville. Choć właściwie to nie muszę, ale**...**

– Rób, co do ciebie należy. Muszę lecieć.

– Przepraszam, że na ciebie krzyczałem.

– A ja przepraszam, że działałam pod wpływem impulsu, ale skoro nie było cię przy mnie, musiałam zrobić to, co uznałam za najlepsze.

– Mogłem kogoś posłać, żeby z nim pogadał, wtedy nie

byłoby sprawy.

Mogłem, ale nie pomogłem, pomyślała, mówiąc przy tym:

– Obiecuję uważać na siebie. Ty też uważaj.

– Zadzwonię później.

– Nie martw się, jeśli nie odbiorę. Jadę poćwiczyć na strzelnicy.

– Dobry pomysł – uznał Decker.

– Wcale nie, po prostu muszę do czegoś postrzelać. Z tego, co wiem, tarcza przynajmniej nie odpowie mi ogniem.

Marge zapukała do drzwi gabinetu Deckera i weszła do środka. Na twarzy Riny malowały się zmęczenie, wściekłość i frustracja. Podniosła się zza biurka, wygładziła spódniczkę i poprawiła chustę skrywającą włosy.

– Chcesz skorzystać z gabinetu, Marge?

– Gdy tylko skończysz.

– Pewnie masz mnie za idiotkę. Otwarcie drzwi było durnym pomysłem, ale taka już jestem. Zawsze szukam w ludziach dobrych cech, podczas gdy Peter szuka dziwactw, szurnięć, psychopatii. – Westchnęła. Nie mogła oczekiwać od męża takiego samego współczucia jak od Marge, ale zawsze miło pomarzyć. – Dzięki za pomoc.

– Zawsze możesz na mnie liczyć. – Marge oparła dłoń na jej ramieniu. – I nie przejmuj się Peterem. Warczy, gdy ktoś podchodzi za blisko, tak już ma. Po prostu się o ciebie martwi.

Rozdzwonił się telefon stojący na biurku.

– To on. Mam mu coś przekazać?

– Powiedz, żeby na siebie uważał. – Rina pomachała jej na

pożegnanie. – Ma więcej powodów niż ja.

Marge usiadła za biurkiem. Zbliżała się piętnasta, a ona przez cały dzień nic nie jadła, jednak podstawowe potrzeby musiały zaczekać.

– Cześć, rabbi. Znalazłam dla ciebie informacje o Estebanie Cruzie. Chcesz posłuchać?

– Gotowy – odezwał się Decker.

– Żadnych mandatów, żadnych pouczeń, nikt go nie szuka. Zwykły chłopak bez szkoły. Pojedziemy z Oliverem do tego liceum, z którego wyleciał, spróbujemy się dowiedzieć, z kim się zadawał. To niemożliwe, żeby przy tylu wytatuowanych dwunastkach nie miał jakichś kumpli w gangu.

– Pytałaś o niego Almonta albo Crystal McCall z zakładu poprawczego w Foothill?

– Tak. Pokazałam im też jego zdjęcie z prawa jazdy. Nie rozpoznali go. – Zamilkła na chwilę. – Razem z Oliverem uznaliśmy, że chociaż nie robił nic podejrzanego, to jednak dziwnie się zachowywał. Miał w sobie taki spokój, jakby mógł cię zabić, nie przerywając słuchania muzyki z iPoda.

– Ufam twoim przeczuciom. – Głos w słuchawce zaczął zanikać.

– Jesteś tam, Peter?

– Jasne, że jestem**...** – Nagle walnął się dłonią w czoło. – Tak bardzo przejąłem się Riną, że przegapiłem coś oczywistego! Chłopak nazywa się Cruz, prawda?

– O ile to prawdziwe prawo jazdy, to tak.

– Tak samo nazywała się babka Alejandra Branda.

– Kuzyn?

– Podobny do Branda?

– Nie mam pojęcia, nigdy go nie widziałam.

– Brand się wściekał na Harrimana**...** Myśli, że to on go zakapował. A co, jeśli nasłał na niego swojego krewniaka?

– Ale dlaczego podejrzewa, że to Harriman go zidentyfikował? Przecież facet jest niewidomy.

– Brand tego nie wie, a ja go nie wyprowadzałem z błędu. Rozumiesz, jak kombinowałem. Gdy będzie myślał, że mamy naocznego świadka, to łatwiej go przekonam do rozmowy o zabójstwie Kaffeyów.

– W porządku. Co robimy dalej?

– Dobre pytanie. – W głowie Deckera roiło się od pomysłów. – Zacznijmy od postawienia dwudziestoczterogodzinnej obstawy przy domu moich teściów.

– Już to zrobiłam.

– Po drugie, Harriman też idzie pod całodobową obserwację, dopóki się nie dowiemy, kim jest Cruz.

– To też już zrobiłam.

– Po trzecie, sprawdź, co łączy Estebana z Brandem.

– Dobra.

– A teraz mów, co się u was działo.

– Gil i Resseur dalej się nie znaleźli. Pratt i Messing sprawdzają ich stare adresy. Oliver sprawdził Seana Kaffeya. Wydaje się najbystrzejszy z nich wszystkich. Jest młodszym partnerem w dużej kancelarii prawniczej, zarabia sześciocyfrowe sumy. Raczej słaby kandydat na el patróna. Za to jego ojciec jest nieuchwytny. Zgodnie z tym, co mówi jego sekretarka, poleciał na Wschodnie Wybrzeże prywatnym

odrzutowcem i haruje jak wół. Powiedziała mi, że oddzwoni, kiedy znajdzie wolną chwilę.

– Czy to możliwe, że Gil i Resseur polecieli razem z nim? – zapytał Decker.

– Mogę to sprawdzić. Zobaczę, czy pozwolą mi spojrzeć na listę pasażerów.

– Postaraj się. Możesz się też upewnić, że u Cindy wszystko w porządku?

– Dzwoniłam do niej rano. Wszystko dobrze. – Marge przełożyła słuchawkę do drugiego ucha. – A co się dzieje z Martinem?

– Czekam w szpitalu. Godzinę temu przeszedł operację. Mam nadzieję, że uda mi się z nim pogadać.

– Dobrze by było**...** Tylko skąd wiemy, że mówi prawdę?

Decker zadumał się na moment, po czym spytał:

– To znaczy w czym widzisz problem?

– Twierdzi, że był tylko widzem, podobnie jak Denny Orlando. Ale przecież mógł w tym też uczestniczyć.

– Ledwie się trzyma na nogach. Dlaczego myślisz, że ma związek z tymi morderstwami?

– Wcale tak nie myślę. Tak właśnie zeznał Harriman. Mam przed sobą notatki. Wspomina, że Martin strasznie się wkurzył, że José Pinon nie dobił Gila.

Decker przełożył słuchawkę do drugiego ucha.

– Słuszna uwaga.

– Może Martin opieprzał Pine’a za zawaloną robotę? Może Pine się wkurzył i nafaszerował go ołowiem? Może dlatego zabrakło mu amunicji do wykończenia Kaffeya? To, że Martin

został postrzelony, wcale nie wyklucza jego udziału.

– To prawda. – Decker odetchnął głęboko.

Z sali wyszła pielęgniarka i powiedziała:

– Pan Martin właśnie się obudził. Może pan z nim porozmawiać, tylko proszę się streszczać.

– Dziękuję bardzo. Muszę kończyć – rzucił do słuchawki. – Martin się ocknął.

– Powodzenia.

– Pilnuj porządku na komisariacie. Nie ruszymy się stąd z Brubeckiem przez jakiś czas. Musimy uzyskać kilka odpowiedzi.

Martin wyglądał znacznie gorzej, ale pachniał o wiele lepiej. Podłączono go do kroplówek i respiratora, maszyny monitorowały jego puls i oddech. Oczyszczono mu wszystkie rany, ale długotrwały brak opieki zdążył już zebrać swoje żniwo. Jeszcze nie całkiem się z tego wykaraskał, a Decker musiał działać tak, jakby to była ich jedyna szansa na rozmowę.

Martin powitał go lekkim skinieniem głowy. Na nic więcej nie miał siły.

– Jest pan wytrzymałym człowiekiem. I ma pan dobrą opiekę. Wyjdzie pan z tego. – Rondo Martin wpatrywał się w niego w milczeniu. – Będę pana pilnował, dopóki nie zorganizujemy stałej ochrony. Zajmę się panem osobiście na zmianę z Brubeckiem. – Kolejne nieznaczne skinienie. – Możemy przez chwilę porozmawiać? – zapytał Decker. – Opowiem panu, jak to wygląda z mojej perspektywy. Jeśli się pomylę, proszę mnie poprawić. Będę mówił powoli.

Skinienie.

Decker nie zagłębiał się w szczegóły. Gil Kaffey przeżył. Usłyszał, jak zabójcy mówili po hiszpańsku, ale to wszystko. Później, zupełnie przypadkowo, ktoś podsłuchał dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali o tej sprawie. Jeden z nich był całkiem nieźle zorientowany. Nazywał się Alejandro Brand.

– Brzmi znajomo? – zapytał Decker.

Martin zamknął oczy i znów je otworzył. Decker miał wrażenie, że kręci głową.

– To znaczy, że nie?

Kiwnięcie głową.

– Możliwe, że przedstawiał się jako Alejandro Cruz. Takie nazwisko coś panu mówi?

– Nie**...** – odpowiedział Martin ledwie słyszalnym szeptem.

– Dobra, czyli nie zna pan ani Alejandra Branda, ani Cruza. Facet należy do gangu Bodega z Dwunastej Ulicy, tak samo jak Joe Pine. Wiedział pan o tym?

Skinienie.

– O tym, że Joe należał kiedyś do gangu?

Kolejne kiwnięcie.

– A wiedział pan, że Guy Kaffey zatrudniał byłych i podobno zresocjalizowanych członków tego gangu?

Ta sama reakcja.

– Czyste wariactwo, nie sądzi pan?

Martin próbował coś wymamrotać. Decker pochylił się nad łóżkiem.

– Kilku**...**

– Co kilku?

– Kilku ludzi z gangu**...** – padła po dłuższej chwili odpowiedź.

Decker spróbował sobie to poukładać.

– Wśród was było tylko kilku ludzi z gangu?

Skinienie.

– Paru z nich miało wyroki. – Decker zajrzał do swoich notatek. – Ernesto Sanchez też należał do gangu. Odsiedział wyrok za dwa pobicia. Zna go pan?

Kiwnięcie głową.

– A może pan zamknąć oczy i spróbować sobie przypomnieć, jak wyglądała napaść na dom Kaffeyów? Niech pan sobie to teraz wyobrazi.

Rondo posłusznie spełnił jego prośbę, krzywiąc się, gdy wróciły wspomnienia.

– Widzi pan wśród tych ludzi Sancheza?

Przeczący ruch głową. Całkiem sensownie, bo Sanchez był przecież wtedy w barze. Messing rozmawiał z kilkoma osobami, które go tam widziały. Jak na razie Martin nie mijał się z prawdą.

Do sali weszła jakaś kobieta w kitlu. Plakietka na piersi informowała, że jest stażystką na oddziale chirurgicznym. Doktor Chris Bellows. Miała inteligentne i nieco poirytowane spojrzenie, ale zdobyła się na nikły uśmiech.

– Musi pan kończyć. Nasz pacjent powinien dostać lekarstwa i się przespać.

– Jeszcze pięć minut, dobrze? – poprosił Decker.

– Minuta – zgodziła się łaskawie, a wyraz jej twarzy nie pozostawiał złudzeń, że nie podlega to dyskusji. Spojrzała na

zegarek. – Czas start.

– Dobra – westchnął Decker i spojrzał na Martina. – Proszę posłuchać. Odczytam panu listę ochroniarzy zatrudnionych przez Kaffeya, a pan pokiwa głową, jeśli uzna pan, że kogoś powinniśmy sprawdzić.

Skinienie.

– Są na niej dwadzieścia dwa nazwiska, więc będę czytał szybko, bo lekarka zaraz mnie wyrzuci.

– Pół minuty – przypomniała mu doktor Bellows.

– Kolejność alfabetyczna.

Skinienie.

– Doug Allen?

Nic.

– Curt Armstrong?

Nic.

– Javier Beltran?

Żadnej odpowiedzi.

– Koniec – powiedziała lekarka.

– Przecież tylko kiwa głową. A co z Francisco Cortezem?

Brak reakcji.

– Nie tylko męczy pan pacjenta, ale zaczyna mnie pan wkurzać. Do widzenia.

– Kiedy mogę go znów zobaczyć?

– Jutro. O ile poczuje się lepiej.

Nie było sensu zadzierać z władzą. Tego ranka omal przez to nie został zastrzelony. Zbierając notatki, raz jeszcze przebiegł wzrokiem listę. Jego mózg nagle przełączył się na najwyższy bieg. Decker odczytał na głos ostatnie nazwisko.

Martin spojrzał na niego, szeroko otwierając oczy, a maszyna mierząca puls zaczęła piszczeć jak oszalała.

– Proszę natychmiast wyjść! – Lekarka spiorunowała Deckera wzrokiem.

– Już mnie nie ma – odparł z uśmiechem.

Znalazł brakujące ogniwo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Zjednoczony Okręg Szkolny Los Angeles przypominał dinozaura: miał mózg zarówno w głowie, jak i w ogonie. W głowie znajdowały się najlepsze dzielnice: Bel Air, Holmby Hills, Westwood, Encino i Pacific Palisades, podczas gdy część ogonowa należała do mniej zamożnych szkół we wschodnim i południowym Los Angeles i biedniejszych rejonów San Fernando Valley. Pacoima zdecydowanie znajdowała się w ogonie.

– Prawdopodobnie więcej uczniów porzuca szkołę, niż ją kończy – powiedziała im pedagog szkolna Carmen Montenegro, kobieta po trzydziestce o kawowej skórze, brązowych oczach w kształcie migdałów i pełnych ustach pociągniętych szkarłatną szminką. Miała na sobie czerwoną bluzkę i czarny kostium, i nie nosiła pończoch. – Robimy, co możemy, korzystając z tego, co mamy, a mamy niewiele.

Marge i Oliver ruszyli za Carmen korytarzem. Jej obcasy stukały o pożółkłe płytki podłogi. Zajęcia skończyły się pół godziny temu, jednak uczniowie wciąż tłoczyli się w budynku z ciężkimi plecakami przewieszonymi przez ramiona. Chłopcy ubrani byli w workowate dżinsy i bluzy, a dziewczyny w bluzy i dżinsy lub krótkie spódniczki.

Carmen skręciła do działu rekrutacji, pchając drzwi wahadłowe, które omal nie przywaliły Marge w brzuch. Z malutkiego gabinetu roztaczał się niezbyt ciekawy widok

na szkolny parking. Biurko z komputerem zawalone było stertami papierzysk. Jeszcze więcej papierów leżało na podłodze. Dwie ściany pomieszczenia zajmowały regały na książki.

– Przepraszam za bałagan. – Zaczęła przeszukiwać księgi pamiątkowe, w końcu otworzyła jedną z nich. – To księga sprzed dwóch lat. Był pierwszoklasistą, prawda?

– Zgadza się – odparł Oliver.

– Esteban Cruz**...** Esteban Cruz**...** Esteban**...** O, tutaj jest. – Postukała paznokciem w fotografię. – Wygląda jak na zdjęciu, które mi pani pokazała.

– Niewiele się zmienił – przyznała Marge.

– Wygląda dosyć młodo. Skserować państwu to zdjęcie?

– Tak, bardzo by to nam pomogło.

– Proszę chwilę poczekać. – Wypadła z pokoju i po kilku minutach wróciła z dziesięcioma kopiami. – Proszę bardzo**...** Coś jeszcze?

– Czy mogłabym przejrzeć tę księgę? Może należał do jakiegoś kółka zainteresowań.

– Nie ma sprawy. Proszę usiąść przy moim biurku, będzie pani łatwiej szukać. – Carmen spojrzała Oliverowi przeciągle w oczy i uśmiechnęła się. – Prawdopodobnie w nic się nie angażował. Tacy jak on myślą tylko o tym, jak stąd wyjść.

Wzrok Olivera spoczął na dłoni Carmen Montenegro. Nie nosiła obrączki.

– Czy w ogóle go pani pamięta?

Przyjrzała się jeszcze raz fotografii.

– Przez naszą szkołę przewija się tyle dzieciaków**...** Nie

przypominam sobie, żeby sprawiał kłopoty wychowawcze.

– Mówił nam, że dużo czyta – powiedziała Marge. – Czy mogłaby pani sprawdzić jego stopnie i ustalić, kto go uczył?

– Mogę zrobić jedno i drugie, ale muszę mieć dostęp do komputera.

Marge wstała z księgą pamiątkową w ręce. Przeglądali ją z Oliverem, podczas gdy Carmen szukała informacji o byłym uczniu.

– Esteban Cruz**...** O, proszę bardzo. Kilka trójek, nawet czwórek. Piątka z angielskiego. Uczył go Jake Tibbets. Mam sprawdzić, czy jest jeszcze w szkole?

– Bylibyśmy wdzięczni – odparł Oliver.

Carmen znów się do niego uśmiechnęła.

– Proszę nigdzie nie odchodzić. Zaraz wracam.

Ledwie wypadła z gabinetu, Marge zauważyła:

– Ta kobieta to wulkan energii.

– Nie mam nic przeciwko temu.

– Zdecydowanie na ciebie leci. – Kiedy Oliver zrobił minę niewiniątka, trąciła go łokciem w żebra. – Od kiedy to jesteś taki nieśmiały?

– Ostatnio staram się nie być zbyt obcesowy. Zrób coś dla mnie. Poproś ją o wizytówkę z numerem telefonu, rozumiesz, na wypadek, gdybyśmy musieli z nią jeszcze porozmawiać.

– Jeśli to ja poproszę ją o wizytówkę, pomyśli, że nie jesteś zainteresowany.

– Twoim zdaniem ja powinienem to zrobić?

– Tak**...** Ciii**...** Słyszę ją.

Carmen wróciła do gabinetu z uśmiechem na twarzy.

– Jest w pokoju nauczycielskim. Chętnie z państwem porozmawia o Estebanie.

– Dziękujemy – powiedziała Marge. – Jesteśmy zainteresowani również dwoma innymi osobami: Alejandrem Brandem, obecnie około dziewiętnastu lat, i José Pinonem lub Joe Pine'em. Jest po dwudziestce. Mogłaby pani sprawdzić, czy chodzili do tej szkoły?

– Oczywiście**...** – Wpisała pierwsze nazwisko i postukała w monitor. – O rany! Brand tutaj chodził. Mieliśmy z nim masę kłopotów. Zadawał się z członkami gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. Mnóstwo razy go zawieszaliśmy, aż w końcu cztery lata temu został wyrzucony. Pan Tibbets uczył również jego, jednak bez sukcesów. Jak brzmiało to drugie nazwisko?

– José Pinon – powiedziała Marge.

– Hm**...** Pinon, Pinon**...** Mam Marię Pinon, która chodziła do jednej klasy z Brandem. Pewnie siostra**...** O, jest**...** Wytrzymał do dziewiątej klasy**...** Właściwie to ją powtarzał, a potem wyleciał.

– Sprawiał problemy wychowawcze?

– Hm**...** Właściwie to nie. – Uniosła wzrok znad monitora. – Nie odstawał od innych.

– Należał do gangu? – zapytała Marge.

– Wszyscy tutaj należą. – Wstała. – Chodźmy do pokoju nauczycielskiego**...** Ta nazwa to gruba przesada. To po prostu klitka z kilkoma rozpadającymi się meblami i kącikiem do parzenia kawy. Zdaje się, że dzisiaj ktoś przyniósł pączki. Pewnie są już czerstwe, ale jeśli chcą się

państwo dosłodzić, będą jak znalazł.

Jake Tibbets okazał się mężczyzną po sześćdziesiątce, wysokim i chudym. Miał szpakowate włosy, głębokie kurze łapki w kącikach oczu i fałdy skóry zwisające z szyi. Jego zielone oczy rozświetlały figlarne błyski. Był ubrany w żółtą koszulę w tureckie wzory, czarne spodnie i buty ortopedyczne. Siedział na kanapie i popijał coś gorącego. Na rękach odznaczały się niebieskie grube żyły.

Gdy Carmen dokonała szybkiej prezentacji, Tibbets powiedział:

– Proszę spocząć. Napiją się państwo herbaty? – Jego głos brzmiał zaskakująco młodzieńczo.

Policjanci grzecznie odmówili. Na dworze było ponad trzydzieści stopni, a szkolna klimatyzacja nie działała jak należy.

– Słyszałem, że zależy państwu na informacjach o Estebanie Cruzie. – Tibbets napił się łyka herbaty. – Co takiego zmalował?

– Nie wiemy, czy coś zmalował. – Marge usiadła na krześle, zostawiając Carmen i Oliverowi dwuosobową kanapę. – Po prostu zbieramy informacje na jego temat. Pamięta go pan?

– Naturalnie. Nie dlatego, że mam jakąś specjalnie dobrą pamięć. Jestem już w takim wieku, że muszę wszystko zapisywać. Z wyjątkiem Szekspira. Jego znam na wyrywki. To głównie o nim uczę. Proszę mi wierzyć, jeśli przebierze się starego Willa we współczesny kostium, dość łatwo trafia do serc młodzieży. Morderstwo, zazdrość, chciwość, ambicja**...** – Zaczął mówić z oratorską swadą. – *Romeo i Julia* to

największa historia miłosna w dziejach literatury, z wojną gangów w tle. Czyż można sobie wyobrazić coś bardziej współczesnego?

Wszyscy troje zgodnie kiwali głowami.

– Tak, pamiętam Estebana Cruza – podjął Tibbets. – Bystry chłopak. Dałem mu piątkę. Choć piątka w Pacoima High to nie to samo, co piątka w Boston Latin. Oznacza głównie to, że zaliczył wszystkie sprawdziany i na czas oddawał prace domowe.

– Więc dobrze opanował materiał.

– Przyzwoicie. A poza tym doceniamy już sam fakt, że ktoś przychodzi do nas na zajęcia.

– Dlaczego w takim razie zapamiętał go pan jako bystrego? – zapytała Marge.

– Wszystko jest względne – włączyła się Carmen.

– To prawda – przyznał Tibbets. – Robimy wszystko, żeby nasi uczniowie nie rezygnowali z nauki. Staramy się im wytłumaczyć, że jeśli pozostaną u nas jeszcze rok lub dwa, choćby w minimalnym stopniu przykładając się do nauki, wyjdą stąd z dyplomem, który da im o wiele więcej możliwości. Ci najzdolniejsi mogą nawet iść do college'u. Wydawało mi się, że tak będzie też z Estebanem, ale zrezygnował jakiś rok temu. Próbowałem skontaktować się z nim**...** Zostawiłem mój numer jego matce.

– Oddzwonił? – zapytał Oliver.

– Nie. Mój hiszpański nie jest idealny, ale starałem się wyrażać maksymalnie jasno. Więc albo nigdy nie przekazała mu wiadomości ode mnie, albo nie był zainteresowany tym,

co mam do powiedzenia.

– Miał u pana piątkę – zauważył Oliver. – Musiał się czymś wyróżniać.

– I się wyróżniał. Dlatego właśnie go pamiętam.

– Ta piątka musiała stanowić dla niego zachętę – dodała Marge.

– Nawet jeśli tak było, nigdy mi o tym nie powiedział. Zresztą w ogóle niewiele mówił. – Tibbets znów napił się herbaty. – Ilekroć z nim rozmawiałem, odpowiadał uprzejmie i zdawkowo. Po prostu nie należał do zbyt rozmownych. Niektóre dzieci**...** chętnie się zwierzają, otwierają się przed nami. Esteban był inny. Zupełnie jakby dawno temu się poddał i uznał to za fakt ostateczny. Tak to już jest z dzieciakami z tych okolic, moi drodzy.

– Miał tatuaże gangu – zauważył Oliver.

– Ta dzielnica roi się od członków gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. – Odwrócił się do Carmen, by uzyskać potwierdzenie swoich słów, a ona kiwnęła głową. – Chłopcy mają tatuaże nawet wtedy, gdy nie są prawdziwymi gangsterami.

– Płacą szefom miejscowego gangu za możliwość noszenia jego oznaczeń – włączyła się Carmen. – To zapewnia im ochronę**...** Nie przed innymi gangami, ale przed innymi członkami Bodega z Dwunastej Ulicy. Jeśli mniejsze dzieciaki mają właściwe tatuaże i opłacają się szefom, większe aż tak bardzo nie dają im w kość.

– Naturalnie wzrost nie ma aż tak dużego znaczenia, jeśli ma się broń – dodał Tibbets.

– W naszej dzielnicy mamy trzy różne odłamy gangu Bodega z Dwunastej Ulicy – stwierdziła Carmen. – Każdy z nich ma własny teren. To oznacza trzech szefów, którzy odpowiadają przed innymi, którzy z kolei odpowiadają jeszcze przed innymi. Nie wiem, kto jest szefem wszystkich szefów. To zresztą ciągle się zmienia, bo szefowie często giną.

– Albo dają nogę – powiedział Tibbets. – Interes kwitnie dzięki łatwej dostępności narkotyków. Dilerzy są na każdym rogu ulicy.

– Czy pamięta pan jakichś przyjaciół Estebana? – zapytała Marge.

– Nie**...** – Pokręcił głową. – Ale jest jednym z Cruzów. To wielka rodzina.

– Cruz to dosyć pospolite nazwisko, prawda? – upewnił się Oliver.

– Tak – odparła Carmen – ale prawie wszyscy mieszkający tutaj Cruzowie są ze sobą spokrewnieni.

– Ciekawe – powiedziała Marge. – Interesuje nas również Alejandro Brand. Jego babka nazywała się Cruz. Czy tych dwóch chłopaków może być krewnymi?

– Alejandro Brand. – Na twarzy Tibbetsa pojawił się uśmiech. – Jest jeszcze na wolności? Tak na moje wyczucie, to nie powinien być.

– Właśnie wylądował za kratkami – odparła Marge.

– Za co? Narkotyki? Napaść? Morderstwo? Wszystko razem?

– Wygląda na to, że ma pan pewne doświadczenia

z Brandem.

– Mam, i to nawet sporo, i wszystkie są złe. Jeśli go o coś podejrzewacie, pewnie to zrobił.

Oliver uśmiechnął się.

– Czy Cruz i Brand mogą być spokrewnieni?

– Charaktery tego nie potwierdzają, ale jeśli babka Branda nazywała się Cruz, to pewnie tak.

– Czy widział pan kiedykolwiek, żeby ze sobą rozmawiali? – zapytała Marge.

– Wydaje mi się, że kiedy Esteban chodził do naszej szkoły, Alejandra już w niej nie było. – Tibbets zmarszczył brwi. – Estebana niełatwo było przejrzeć. Nigdy się nie wiedziało, co naprawdę myśli ani co czuje. Jego oczy pozbawione były wyrazu, jakby ciało bez duszy.

– Coś jak zombi – powiedział Oliver.

– Bez przesady – odparł Tibbets. – Jednak na pewno do perfekcji opanował ukrywanie swoich uczuć, marzeń i ambicji.

Decker uderzał się prawą dłonią w czoło. Nie mógł uszkodzić sobie szarych komórek, bo i tak ich nie miał. W szpitalu nie wolno było używać telefonów komórkowych, a Brubeck obiecał go zmienić dopiero za dwie godziny. Podszedł więc do stanowiska pielęgniarek dowodzonego przez kobietę po sześćdziesiątce. Z plakietki wynikało, że nazywa się Shari Pettigrew. Obdarzył ją swoim najbardziej chłopięcym uśmiechem.

– Muszę zadzwonić do jednego ze swoich ludzi.

– W szpitalu nie można korzystać z telefonów komórkowych

– wyrecytowała.

– Wiem, i właśnie dlatego tutaj przyszedłem. Nie mogę wyjść z oddziału. Czy istniałaby możliwość, żebym skorzystał z waszego telefonu? To potrwa ledwie chwilę.

– Numer? – zapytała Shari.

Decker podyktował jej numer, a ona podała mu słuchawkę.

– Willy, przyjdź tu natychmiast. Muszę zadzwonić w kilka miejsc, a nie mogę tego robić i jednocześnie pilnować naszego człowieka. Dzięki, na razie. – Podał jej słuchawkę. – Bardzo pani dziękuję.

– Dlaczego go pan pilnuje?

Decker uśmiechnął się.

– Ładnie to tak podsłuchiwać?

– Stoi pan koło mnie. Więc dlaczego pan pilnuje naszego zastępcy szeryfa? Dlatego, że ktoś próbował go zabić?

– Skąd pani wie?

Przewróciła oczami.

– Chyba nigdy nie mieszkał pan w małym miasteczku.

– W Gainesville na Florydzie.

– To Nowy Jork w porównaniu z Ponceville. Wszyscy tu przejmujemy się jego losem. – Spuściła wzrok. – Mam nadzieję, że się z tego wygrzebie.

– Znała go pani blisko?

– Nie za bardzo, ale bywaliśmy w tej samej gospodzie. Nie mamy tutaj za dużo barów, więc prędzej czy później wpada się na tych samych ludzi. Rondo był skryty, ale wyglądał na porządnego gościa. – Roześmiała się. – Zresztą, porządny, nieporządny, co za różnica. Ludzie są tylko ludźmi.

– Przestań się obwiniać – powiedziała Marge przez telefon. – Dopiero kilka godzin temu wpadliśmy na trop Cruzów.

– Martina Crucesa mieliśmy od samego początku tuż przed nosem.

– To ma sens, ale tylko dlatego, że odkryliśmy, że Rondo Martin jest bliski śmierci i wypadł z listy podejrzanych. Sprawdzaliśmy przecież tego Martina Crucesa i nic nie znaleźliśmy.

– Jakie ma alibi?

– Oliver właśnie przegląda jego akta. Pogadaj z Brubeckiem i Messingiem. To oni go sprawdzali. Nie znaleźli go w bazie skazanych. Jest pod trzydziestkę, starszy od Branda i Estebana. Wciąż istnieje możliwość, że nie ma z tym nic wspólnego.

– Należy do Bodega z Dwunastej Ulicy? – zapytał Decker.

– Nie wiem.

– Sprawdź, czy Neptune Brady ma jego odciski palców. Zwykle pobiera się je przed zatrudnieniem ochroniarzy.

– Jeśli nie pobrał odcisków Joego Pine’a, pewnie nie zrobił tego również w przypadku Crucesa, ale oczywiście sprawdzę. Poczekaj, Scott chce z tobą rozmawiać.

– Cześć – powiedział Oliver. – Posłuchaj, jak to wygląda. Messing i Brubeck nic na niego nie znaleźli. W noc morderstwa był w barze El Matador. Zachodzi tam dwa, trzy razy w tygodniu, zwykle po kolacji. Barman, Julio Davis, potwierdził, że Cruces przyszedł około dziewiątej, pił piwo i gadał ze stałymi bywalcami.

– Do której został?

– Aż do zamknięcia, czyli do drugiej w nocy. To wyklucza jego udział w napadzie. Ponadto Messing twierdzi, że Cruces bez problemu zgodził się na badanie DNA i współpracował.

– To nic nie znaczy.

– To prawda, ale wiesz, jak to jest. Człowiek koncentruje się na rzeczach oczywistych. Dzwoniłem do laboratorium. Nie ma jeszcze wyników. Pojedziemy jeszcze raz do baru i przesłuchamy Davisa.

– Dobra. Weźcie też w obroty Crucesa. Powiedzcie mu, że rutynowo przesłuchujecie każdego dwa razy.

– Jasne.

– Czego dowiedzieliście się o Estebanie Cruzie? – zapytał Decker.

– Nie był zbyt rozmowny, ale też nie sprawiał problemów. Okazało się, że większość osób o nazwisku Cruz mieszkających w tej dzielnicy jest ze sobą spokrewniona, więc Brand i Esteban mogą być kuzynami. Nie wiem też, jak to się ma do Martina Crucesa. Może Cruzowie i Crucesowie to dwie różne rodziny. Zadzwoniłem do pedagog szkolnej z Pacoima High, żeby sprawdziła, czy Cruces tam chodził.

– I co?

– Na razie to ustala. Nawet jeśli tak, to było to siedem lat przed Alejandrem Brandem. Poprosiłem ją również, żeby dowiedziała się czegoś więcej o Joem Pinie alias José Pinonie. Obiecała, że przejrzy archiwum, ale to zajmie trochę czasu. Umówiliśmy się na spotkanie dzisiaj wieczorem. Przekaże mi wtedy wszystko, czego się dowiedziała.

– Mogłaby to z powodzeniem zrobić przez telefon. Dlaczego

spotykacie się osobiście? – zdziwił się Decker, a gdy Oliver nie odpowiedział, zadał dodatkowe pytanie: – Ile ona ma lat?

– Bo ja wiem? Pewnie z jakieś trzydzieści pięć.

– Aha. Czy wy czasami nie spotykacie się na kolacji?

– Dotąd nie miałem czasu, żeby coś zjeść, a przecież jeszcze musimy iść z Marge do El Matadora, żeby przesłuchać barmana. Będę wygłodniały. – Oliver uśmiechnął się. – Nawet jeśli spotkamy się na kolacji, to będzie spotkanie czysto służbowe.

– I może jeszcze mam za nie zapłacić z pieniędzy wydziału?

– Sam wiesz, rabbi, jak to jest z informatorami. Jeśli już uda ci się jakiegoś zdobyć, musisz go dobrze traktować.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Po pierwsze, musieli namierzyć Martina Crucesa.

Prawdopodobnie były ochroniarz czuł się na tyle bezpieczny, by pozostać w mieście. W sumie czemu nie? Gazety skupiły się na zagadkowym zniknięciu Gila Kaffeya i Antoine'a Resseura, nie miał więc powodu, by myśleć, że policja zbliża się do rozwiązania sprawy. Decker wyznaczył Messinga i Pratt do śledzenia jego poczynań, co wiązało się zarówno z obserwacją mieszkania Crucesa, jak i jego kumpli z gangu.

Cruces był starszy od większości z nich, również dlatego darzyli go szacunkiem. Odnosiło się wrażenie, że nigdy nie traci czujności, więc Messing i Pratt musieli utrzymywać dużą odległość między swoim samochodem a gangsterami. Lepiej, żeby nie zostali zauważeni.

Po drugie, należało znaleźć ślady, które powiążą Crucesa z miejscem zbrodni. Zgodził się na pobranie próbek DNA, ale testy były kosztownym przedsięwzięciem, a jego początkowo w ogóle nie brano pod uwagę jako podejrzanego, więc ostatecznie w ogóle nie wysłano ich do laboratorium. Naprawiono ten błąd dopiero godzinę temu, dlatego na wyniki trzeba będzie poczekać kilka tygodni.

Odcisków palców Crucesa nie było w automatycznym systemie identyfikacji daktyloskopijnej, zatem Lee Wang pojechał do zakładu poprawczego w Foothill i poprosił

o wgląd w akta. Odmówiono mu, ponieważ tego rodzaju dane były utajnione. W związku z tym Wang wystąpił oficjalnie na piśmie o odtajnienie zarówno kartoteki Martina Crucesa, jak i José Pinona. Na miejscu zbrodni zabezpieczono dziesiątki odcisków palców, gdyby więc Wang uzyskał dostęp do danych z Foothill, być może udałoby się powiązać obu ochroniarzy z napadem. Wang miał pewność, że dzięki dowodom i zeznaniom naocznego i wiarygodnego świadka, jakim był Rondo Martin, uda się sformułować akt oskarżenia przeciwko Joemu Pine'owi.

Po trzecie, musieli uporządkować informacje uzyskane od Martina, który zasnął po podaniu środków przeciwbólowych. Otworzył szeroko oczy, słysząc nazwisko Crucesa, jednak na konkrety przyjdzie dopiero czas. Może powie coś ważnego.

I wreszcie po czwarte, musieli podważyć alibi Crucesa, żeby mieć pretekst do ponownego przesłuchania.

O trzeciej po południu bar El Matador tętnił życiem. Z głośników dobiegały dźwięki salsy, a na ogromnym płaskim telewizorze wiszącym na ścianie leciał mecz piłkarski ze ściszonym dźwiękiem. Przy barze siedziało pięciu mężczyzn, dwóch grało w bilard. W środku panował półmrok, przez co Marge nie zdołała uniknąć wdepnięcia w coś lepkiego.

Oliver pokazał odznakę, chociaż nie musiał tego robić, ponieważ zostali zidentyfikowani jako policjanci zaraz po wejściu. Nikt tutaj nie nosił marynarki z pomarszczonego materiału i płóciennych spodni. Stali bywalcy mieli na sobie dżinsy, T-shirty i tenisówki. Było gorąco, skwar niemal nie do wytrzymania.

Barman był mężczyzną pod trzydziestkę o ciemnych oczach, skórze barwy kawy z mlekiem i czarnych włosach zaczesanych do tyłu. Miał sylwetkę kulturysty, wielkie bicepsy i dłonie jak bochny chleba. Popatrzył na odznakę Olivera, udając brak zainteresowania.

– Jak leci? – zapytał Oliver.

– Nie narzekam. – Mięśniak wzruszył ramionami.

– Śledczy Scott Oliver i sierżant Marge Dunn. Szukamy Julio Davisa.

– Nie ma go. – Wziął ścierkę i zaczął wycierać bar.

– Przepraszam, jak pana nazwisko? – zapytała Marge.

– Moje?

– Tak, pana. – Marge uważnie przyglądała się twarzy barmana, pokrytej bliznami po ranach zadanych nożem.

– Sam Truillo. – Przestał wycierać bar. Mówił po angielsku bez akcentu. – Czego chcecie od Davisa?

– Przyszliśmy pogadać – wyjaśnił Oliver.

– Pracuje tutaj, prawda? – zapytała Marge.

Siwowłosy facet siedzący w kącie zapytał o coś barmana po hiszpańsku. Truillo otworzył butelkę piwa corona, wetknął w szyjkę kawałek limonki i postawił ją przed klientem.

– Nie widziałem Julia od ponad tygodnia – powiedział.

– Coś mu się stało?

– Nie wiem. Szef kazał mi do niego zadzwonić, ale okazało się, że ma wyłączoną komórkę.

– To nie wygląda najlepiej – stwierdziła Marge. – Co pan potem zrobił?

– Nic. Widocznie nie chce mu się pracować. Co mi do tego?

– Ile czasu był tu barmanem? – zapytał Oliver.

– Jakieś cztery**...** może pięć miesięcy.

– A pan od jak dawna tu pracuje? – zapytała Marge.

– Od roku. – Truillo wzruszył ramionami. – Coś jeszcze?

– Pracuje pan tu na pełen etat? – Marge uśmiechnęła się do niego. – Bo wygląda pan jak trener z siłowni.

Po raz pierwszy na twarzy barmana pojawił się uśmiech.

– Tutaj lepiej płacą.

– Więc miałam rację. Naprawdę jest pan trenerem – powiedziała Marge. – Czyżbym była detektywem?

– Pracuję jako trener osobisty, ale ostatnio interes kiepsko idzie. Wielu klientów zrezygnowało. Szef obciął mi godziny, a potem powiedział, że mogę sobie dorobić tutaj.

Gdy odezwał się kolejny klient, Truillo postawił przed nim kieliszek tequili.

– Akurat szukam dobrej siłowni – powiedziała Marge. – Gdzie pan pracuje?

– To nie jest siłownia dla pani. Nie pachnie tam najładniej.

– To tak jak moja praca. – Marge znów się uśmiechnęła.

– Pański szef jest właścicielem zarówno siłowni, jak i baru? – zapytał Oliver.

– Może**...** – Truillo zmrużył oczy. – Czego chcecie od Julia?

– Wie pan, gdzie mieszka?

– Nie.

– Szef panu kazał go znaleźć, a pan nie wie, gdzie on mieszka? – zdziwił się Oliver.

– Szef kazał mi do niego zadzwonić, a nie go znaleźć. Poza tym ja się z nim nie kumplowałem, więc dlaczego miałbym

wiedzieć, gdzie mieszkał? – Przerwał na chwilę. – Coś jeszcze?

Marge wyjęła wizytówkę i położyła ją na barze.

– Gdyby się tutaj pojawił, mógłby pan do mnie zadzwonić?

Truillo wziął wizytówkę i wsunął ją do kieszeni.

– Jak nie zapomnę.

– Mam nadzieję, że pan nie zapomni. A właśnie, kto jest pana szefem?

Truillo znów zmrużył oczy.

– Przekażę mu pani wizytówkę. Jeśli będzie chciał z panią porozmawiać, to zadzwoni.

Marge wzruszyła ramionami.

– Może wypróbuję tę pana siłownię.

– Nie powiedziałem pani, gdzie pracuję.

– To prawda. – Mrugnęła do niego. – Chce pan, żebym musiała jej poszukać, czy po prostu mi pan powie?

– Przekonajmy się, czy dobry z pani detektyw.

– Nie ma sprawy. Dzięki za pomoc.

– Przecież w ogóle wam nie pomogłem.

– Zdziwiłby się pan – powiedziała Marge. – Nigdy nie wiadomo, co może okazać się pomocne. – Odwróciła się do Olivera. – Idziemy.

– Znowu masz ten swój błysk w oczach – powiedział Oliver, kiedy znaleźli się w samochodzie.

– Zauważyłeś, że Truillo powiedział, że nie wie, gdzie Julio mieszkał? Użył czasu przeszłego.

– Umknęło mi. Myślisz, że Julio nie żyje?

– Myślę, że na pewno już tutaj nie mieszka. Jedziemy do

ratusza. – Popatrzyła na zegarek. – Musimy się pośpieszyć, Scotty.

– Skąd ten pośpiech?

– Urzędy czynne są tylko do piątej. Niedobrze. Potrzebuję trochę kofeiny, ale to musi trochę poczekać.

– W tej dzielnicy i tak nie znajdziemy Starbucksa.

– Wolę kawę z McDonalda. Tak czy owak, nie chcę tracić czasu.

– Powtórzę, Marge: skąd ten pośpiech?

– Nie chciał mi powiedzieć, do kogo należy ten bar. Sprawdzę w rejestrze firm.

– Aha. – Oliver popatrzył na zegarek. Dochodziła czwarta. – Nie można tego sprawdzić przez internet?

– Jak sądzę, w taki sposób dowiemy się tylko tyle, kto jest właścicielem budynku, ale kto jest właścicielem baru, to już niekoniecznie.

– Jesteś pewna, że nie da się tego zrobić przez internet?

– Nie wiem, ale robi się późno. Dlatego moim zdaniem prościej będzie pojechać do ratusza.

– To nie może zaczekać do jutra?

– Scotty**...** – Marge westchnęła. – Truillo cały czas mówił o właścicielu baru jako o szefie. To samo w sobie niewiele znaczy**...** z wyjątkiem tego**...** że o ile się nie mylę, po hiszpańsku szef to „el patrón”, zgadza się?

Oliver nie odpowiedział. Kiedy znaleźli się na autostradzie, postawił na dachu koguta i włączył syrenę. Przy tym natężeniu ruchu był to jedyny sposób na to, żeby zdążyli.

– To, że ktoś nazywa swojego szefa szefem, samo w sobie

jeszcze nic nie znaczy – mówiła do telefonu Marge – ale ponieważ Julio wyparował, pomyślałam, że dobrze by było dowiedzieć się, kto jest właścicielem baru. W najgorszym razie zadzwonimy do niego albo do niej i zapytamy o Julia Davisa.

– Macie jego adres?

– Wanda nad tym pracuje. Lee wciąż walczy z formalnościami koniecznymi do odtajnienia akt Crucesa i Pinona. Jeśli nie uda nam się uzyskać dostępu do całości, mam nadzieję, że sędzia pozwoli nam przynajmniej wyciągnąć z nich odciski palców. Trzymamy w gotowości Marvina Oldhama, żeby dokonał porównania z odciskami z miejsca zbrodni. Jeśli będą się zgadzać, od razu zgarniamy Crucesa.

– Messing i Pratt wciąż siedzą mu na ogonie?

– Owszem, siedzą.

– A co u mojej żony?

– Pilnujemy zarówno Riny, jak i Harrimana. Mamy też na oku Estebana Cruza, ale na razie nic się nie dzieje.

– To dobrze. A jakieś wieści dotyczące Gila Kaffeya albo Antoine’a Resseura?

– Nie. – Marge zerknęła na zegarek. Utknęli w tak strasznym korku, że nawet syrena nie pomagała. – Jeśli znajdziemy coś ciekawego, zadzwonię. Oliver spotyka się na kolacji z Carmen Montenegro. Może dokumentacja szkolna Pinona coś nam podpowie. Carmen obiecała też sprawdzić, czy do tej szkoły chodził kiedyś Martin Cruces. Jeśli wizyta w ratuszu nic nam nie da, będę miała trochę czasu. Co mam

robić?

– Naszym głównym podejrzanym jest w tej chwili Cruces. Jeśli nam się poszczęści z odciskami palców, to od razu go zwijamy. Trzeba będzie go przesłuchać. Podejmiesz się tego?

– Jasne.

– Musisz dalej mieć wszystkich na oku, Marge. Harrimana, Martina Crucesa, Estebana Cruza i Alejandra Branda. Ten ostatni jest naprawdę nieobliczalny. Upewnij się, że nie wyjdzie z aresztu.

– Na pewno nie.

– Poczekaj chwilę. – Decker zakrył dłonią słuchawkę.

Pielęgniarka, ta sama, która pozwoliła mu skorzystać z telefonu, powiedziała, że Rondo Martin obudził się i chce z nim rozmawiać.

– Proszę go za bardzo nie męczyć – dodała. – Inaczej lekarka zrobi mokrą plamę zarówno ze mnie, jak i z pana.

– Obiecuję. I dziękuję. Marge, muszę kończyć. Martin się obudził. Informuj mnie na bieżąco.

Rozłączył się, umył ręce, a potem poszedł na oddział intensywnej terapii.

Rondo Martin był o wiele bardziej przytomny i o wiele bardziej cierpiący. Uniósł żylastą rękę z podłączoną do niej kroplówką i wskazał krzesło stojące przy łóżku. Decker usiadł. Były zastępca szeryfa zmienił pozycję, by być nieco bliżej, a jego twarz natychmiast wykrzywiła się z bólu. Z czoła spływały kropelki potu.

– Chce pan coś przeciwbólowego? – zapytał Decker.

– Demerol pomaga**...** ale zupełnie po nim odlatuję. – Udało

mu się uśmiechnąć. – Nie umarłem przedtem**...** to i nie umrę teraz.

– Proszę opowiedzieć o Martinie Crucesie.

– Cruces**...** – Skinienie głową. – Był tam.

– Jest pan pewien?

Kolejne skinienie i gwałtownie przymknięte oczy.

– Denny**...** Denny powiedział: „Martin”**...** Myślałem, że mówi do mnie**...** – Przerwał na chwilę. – Odwróciłem się, a wtedy on oberwał**...** To znaczy Denny. – Otworzył oczy. Były przekrwione. – To był Cruces. Jestem tego pewien.

– Czy napastnicy byli zamaskowani?

– Nie**...** nie Joe**...** Cruces też nie. Żałuję, że nie mieli zakrytych twarzy. Teraz widzę ich wstrętne gęby za każdym razem, kiedy zamykam oczy.

– Jest pan pewien, że to Cruces zastrzelił Denny’ego Orlanda?

Rondo znów zamknął oczy.

– Nie**...** nie wiem, kto wystrzelił**...** – Przerwał i otworzył oczy. – Ale Cruces tam był. – Zmienił pozycję, ale dalej go bolało.

– To miałoby sens – powiedział Decker. – Ktoś podsłuchał gangstera mówiącego o tych morderstwach. Wspomniał Joego Pine’a, nazywając go José Pinon. Powiedział, że Joe nie zabił Gila Kaffeya i Martin się wkurzył. Ponieważ pan zaginął, myślałem, że chodzi o pana.

– Kim jest ten gangster? – zapytał Martin.

– Chłopak nazywa się Alejandro Brand. Jego babka nazywała się Cruz, więc być może jest krewnym Crucesa. Na

pewno go pan nie zna?

– Nie, na pewno. – Martin pokręcił głową.

– Brand jest członkiem gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. Podobnie jak Pine, a prawdopodobnie również Cruces. Nie rozumiem, dlaczego Guy wynajął bandytów do ochrony swojej posiadłości.

– Guy**...** chciał**...** spłacić dług.

– Zatrudniając bandytów?

– Zatrudniał różnych ludzi**...** takich jak na przykład Paco**...** żeby spłacić dług.

– Czy Ana też dzięki temu dostała tam pracę?

Skinął głową.

– A pan dostał ją dzięki jej wstawiennictwu?

– Nie**...** – Znów pokręcił głową. – Dzięki Paco.

– Znał pan go już przedtem?

– Nie, poznaliśmy się z Aną tutaj**...** w Ponceville. Opowiedziała mi o**...** o swoim wujku. Pracował w Los Angeles i mógł załatwić jej pracę pokojówki. Przedtem pracowała w polu**...** Powiedziałem jej, żeby skorzystała z okazji. – Wciągnął głęboko powietrze i skrzywił się, kiedy je wypuszczał. – Trudno o pracę, kiedy jest się nielegalnym imigrantem. Potem Paco skontaktował mnie z Neptune'em Bradym**...** dzięki temu byliśmy z Aną razem**...** Nikt o nas nie wiedział. Nie chciałem, żeby Brady to odkrył**...** Ana zostałaby deportowana.

– Rozumiem.

– Guy chciał spłacić dług. To się na nim zemściło.

– Neptune Brady mówił mi, że Guy zatrudniał byłych

przestępców, bo byli tani.

Rondo zamyślił się.

– Może to też.

– Więc nie zna pan Alejandra Branda?

– Nie.

– A Estebana Cruza?

– Jeszcze jeden Cruz? Jak wygląda?

Decker próbował sobie przypomnieć opis Marge.

– Chudy chłopak około siedemnastu lat.

Martin myślał przez chwilę.

– Nie**...** nic mi to nie mówi.

– Joe Pine też jest młody.

– Ale po dwudziestce, nie siedemnastoletni.

– A Cruces?

Martin skrzywił się z bólu.

– Jeszcze starszy. Nie znam żadnych nastolatków.

Weszła pielęgniarka i dała znać, że zostało już tylko pięć minut.

– Czekam na wsparcie przy ochronie pana sali. Na razie pilnuję pana ja, Brubeck i Tim England. Szeryf England szuka ochotników w mieście, ale zwróciłem się z prośbą o przysłanie zawodowców z Fresno. Willy i ja nie wyjedziemy, dopóki nie będzie pan miał profesjonalnej ochrony.

– Cieszę się, ale sam się obronię. – Z uśmiechem wyciągnął spod poduszki broń. – Wasza ochrona nie jest zła, ale nic nie zastąpi własnego pistoletu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Marge i Oliver wpadli do budynku ratusza dwadzieścia minut przed piątą. Pokonywali piętro za piętrem, aż wreszcie znaleźli właściwy wydział w momencie, kiedy urzędniczka właśnie zamykała. Ich prośby zmiękczyły serce Adrianny Whitcomb, czterdziestoletniej ładnej blondynki.

– Nie wiem, jak pani dziękować – powiedziała Marge.

Rozmawiali w sali, w której obsługiwano interesantów. Były tu trzy okienka, blat z broszurami, których nikt nigdy nie czyta, i zielono-czarne lastryko na podłodze.

– Mieli państwo szczęście. – Wygładziła czarną garsonkę. – Jestem umówiona na kolację o szóstej, mam więc trochę wolną godzinę. Przy jakiej ulicy mieści się ten bar?

Oliver podał jej adres El Matadora.

– Gdzie pani idzie?

– Dzisiaj wybieramy się z przyjaciółką do A Thousand Cranes. Przyjaciółka jest zastępcą prokuratora okręgowego. – Uśmiechnęła się przebiegle. – Może pan do nas dołączy? Wy dwoje możecie mieć wiele wspólnego.

Oliver odwzajemnił uśmiech.

– Z chęcią, ale jestem już umówiony w Valley. Jeśli da mi pani swój numer, możemy się spotkać innym razem.

– Pani prokurator może już nie być dostępna.

– Na pewno coś wymyślimy.

– No dobrze, zajmijmy się tym. – Przerwała na chwilę. –

Proszę tu zaczekać. Zobaczę, co uda mi się znaleźć.

Zniknęła za drzwiami i w sali zapadła cisza.

– Niezły masz dziś dzień – wyszeptała Marge.

Oliver się rozpromienił.

– No cóż, jeśli zarzucasz wiele sieci, w końcu coś się złapie.

Adrianna wróciła po kilku minutach i podała Marge wydruk.

– Ech, gdyby wszystkie moje zadania były aż tak proste**...** Czym jeszcze mogę służyć?

Oliver wyciągnął swoją wizytówkę.

– To na wypadek, gdyby potrzebowała pani nagłej pomocy policji.

– Nigdy nic nie wiadomo – odparła Adrianna, biorąc karteczkę.

– A nie dostanę pani wizytówki**...** na wypadek, gdybym to ja potrzebował pomocy?

– Proszę po prostu zadzwonić do biura – odparła.

Oliver z trudem ukrył rozczarowanie.

– Dzięki.

– Proszę zadzwonić do biura, jeśli będzie pan potrzebował pomocy – dodała Adrianna z krzywym uśmiechem. – Jeśli natomiast chciałby pan zadzwonić do mnie, to zapisałam numer swojej komórki na górze wydruku.

– Rondo wprowadził na scenę Crucesa – powiedział Decker do telefonu. – Zwińcie go.

– Jeśli uważasz, że już na to czas**...** – odparła Marge.

– Co to znaczy?

– Skąd pewność, że Rondo Martin jest wiarygodny?

Przecież to może być spisek jego, Any Mendez, Paco Albaneza i Rileya Karnsa.

– Niby czemu mieliby zabić Kaffeyów?

– Z tego samego powodu, co Cruces i Pine. Ktoś im zapłacił, żeby to zrobili. Przecież obrona może wykorzystać to w sądzie. Zakrwawione odciski palców z miejsca zbrodni pasują do odcisków palców ich wszystkich. Rondo Martin, Ana Mendez i Riley Karns dobrze się znają, są ze sobą powiązani, łatwo więc o spisek. To prawda, wszyscy przyznali, że tam byli, ale w jakich okolicznościach? Gdybyśmy mieli coś, co uprawdopodabniałoby zeznania Martina, byłabym całym sercem za tym, ponieważ jednak nie mamy, wydaje mi się, że powinniśmy poczekać na wyniki badań laboratoryjnych.

– Nie chcę, żeby Cruces nam zwiał – powiedział Decker. – Obserwacja nie jest niezawodna.

– Na pewno masz rację. Po prostu martwię się, że jeśli zamkniemy go bez dowodów, w końcu będziemy musieli go wypuścić. Bo na razie opieramy się tylko na słowach Rondo Martina. Na pewno nie da się ich podważyć?

– Jakie są widoki na to, że Lee uzyska zgodę na odtajnienie akt Crucesa z zakładu poprawczego?

– Nie wiem. Właśnie wracamy na komisariat.

– No dobrze. Mamy kolejne dwadzieścia cztery godziny na zgromadzenie odcisków palców. Do tego czasu wrócę do was. Dalej pilnujcie Crucesa. Jeśli będzie chciał was zgubić, złapcie go.

– Niech będzie. Przekażę to Messingowi.

– Dobrze. A jak tam El Matador?

– Właścicielem baru jest Baker Corporation.

– Co to niby jest? Od kiedy to korporacje są właścicielami szemranych barów? Jak dla mnie to jakaś ściema. Sprawdzaliście tę firmę w rejestrze przedsiębiorstw?

– Jeszcze nie zdążyliśmy. Na pewno Lee się tym zajmie na komisariacie.

– Informuj mnie na bieżąco. I przede wszystkim nie zgubcie Crucesa.

– Mam nadzieję, że uda nam się zdobyć jego odciski palców. Po prostu chcę nas uchronić przed kompromitacją.

– Jeśli Cruces nam ucieknie, Marge, to nie będzie kompromitacja tylko katastrofa.

– Baker Corporation to spółka zależna od Kaffey Industries.

– Nie żartuj! – Marge otworzyła szeroko usta. – Właścicielami Baker Corporation są Kaffeyowie?

– Nie ma się co tak podniecać. Jestem pewien, że Kaffeyowie mają mnóstwo różnych firm. Zresztą sama zobacz.

– A wśród nich również bar, którego pracownik zapewnił alibi Martinowi Crucesowi. – Marge przeglądała szybko strony. – Czy to ma dla ciebie sens, Lee? Kaffey Industries to ogromna firma deweloperska, która stawia centra handlowe w całym kraju. I taki gigant kupuje szemrany bar w Van Nuys?

– Ktoś kupił ten bar za pieniądze Kaffey Industries. Czy też raczej za pieniądze Baker Corporation.

– Czy Baker Corporation ma jakichś pracowników?

– Jeśli to tylko nazwa handlowa, to nie. Potrzebuję trochę więcej czasu. Albo po prostu zadzwoń do Granta Kaffeya i go o to zapytaj.

– Nie mogę do niego zadzwonić. Wciąż jest naszym głównym podejrzanym.

– Co porabia?

– Wrócił do Newport Beach. Nie musimy go sprawdzać, bo dzwoni do nas co dwie godziny i wypytuje o Gila. Jeśli naprawdę boi się o brata, to ma mój szacunek. Jeśli udaje, powiem ci jedno: jest kiepskim aktorem.

Carmen Montenegro przebrała się w seksowną czarną sukienkę, nie przekraczając przy tym granic dobrego smaku. Miała dyskretny makijaż i spięła włosy, pozwalając jednak kilku lokom opadać po bokach twarzy. Była ucieleśnieniem marzeń każdego licealisty, nauczycielką, którą każdy z nich chciałby przelecieć. Jedyną wskazówkę, że kolacja będzie mieć charakter służbowy, stanowiła teczka.

Oliver miał na sobie niebieską marynarkę i spodnie khaki. Podeszli do stolika i wysunął dla niej krzesło.

– Wygląda pani zjawiskowo – stwierdził impulsywnie.

– Dziękuję.

Usiadła, dosunęła krzesło do stołu i wzięła menu przyniesione przez kelnera, który przedstawił się jako Mike. Zapytał, czego się napiją, i oboje zdecydowali się na czerwone wino.

– Doskonały wybór – pochwalił ich Mike.

– Miło raz na jakiś czas się wystroić – powiedziała Carmen po jego odejściu. – Dziękuję, że pan mnie tutaj zabrał. Nie

byłoby mnie stać na taką restaurację. Mam nadzieję, że płaci za to pański wydział.

– Nasze księgowe krzywo patrzą na rachunki z tego rodzaju miejsc – odparł z uśmiechem. – Zaprosiłem panią tutaj, bo uznałem, że to właściwe miejsce dla kogoś takiego jak pani.

– Umie pan oczarować kobietę. – Spojrzała do menu i otworzyła szeroko oczy. – Był pan już tu kiedyś?

– Och, tylko proszę nie patrzeć na ceny. Kaczka jest wyborna, ale szczególnie polecam steki. I dziękuję, że zgodziła się pani nam pomóc.

– Nie ma za co. Zabrałam te akta. – Otworzyła teczkę i zajrzała do środka. – Mam nadzieję, że są czytelne. Zrobiłam kserokopie. Większość to materiały, które przyszły do nas z podstawówek.

– Czyje akta pani ma?

– Estebana Cruza, Alejandra Branda, Martina Crucesa i José Pinona. Mam nadzieję, że nikogo nie przegapiłam.

– Nie, to wszyscy. Bardzo pani dziękuję. Czy coś ich łączy?

– Cóż, wszyscy chodzili do Pacoima High, lecz żaden nie ukończył nauki. – Zamknęła teczkę. – Przykro mi to mówić, ale nie mamy czym się chwalić.

– Czy Cruces i Pinon sprawiali problemy wychowawcze?

– Nie znałam ich osobiście, ale z akt wynika, że obaj byli bandziorami.

– Należeli do gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

– To jeszcze o niczym nie świadczy. W naszej szkole pełno jest członków tego gangu.

Do stolika podszedł kelner z winem.

– Czy można już przyjąć zamówienie? – zapytał.

– Jednak zdecyduję się na kaczkę – powiedziała Carmen z uśmiechem.

– Doskonały wybór – powiedział Mike.

– A ja zamawiam stek, średnio wysmażony.

– Doskonały wybór – powtórzył kelner. – Może do tego coś z warzyw? Polecam szpinak w sosie beszamelowym. Jest wyborny.

– Poprosimy.

– Doskonały wybór. – Mike zabrał menu i odszedł.

– Jako była nauczycielka angielskiego – powiedziała Carmen – poleciłabym mu lekturę słownika wyrazów bliskoznacznych.

– To prawda – przyznał rozbawiony Oliver. – Ale przynajmniej stara się być miły.

– Fakt. Nie cierpię przemądrzałych kelnerów. Przez nich czuję się gorsza.

– To absolutnie wykluczone.

Carmen spuściła wzrok. Przez następne kilka minut oddawali się niezobowiązującej pogawędce, jednak Oliver cały czas był zdenerwowany. Dla niego to spotkanie naprawdę miało charakter służbowy. W końcu, kiedy uznał, że to już odpowiednia chwila, zapytał:

– Czy miałaby pani coś przeciwko temu, żebym teraz zajrzał do tych akt?

– Yyy**...** nie.

– Skąd to wahanie?

Zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, że skopiowałam te dokumenty i je panu przyniosłam.

– Rozumiem**...** Mogę poczekać. To nie problem.

Carmen położyła teczkę pod stołem.

– Przyszedł pan tutaj w określonym celu. Szanuję to. Proszę się nie krępować. – Nachyliła się do niego i dodała, marszcząc nos: – Tylko niech pan będzie dyskretny.

– Proponuję, żebyśmy przeszli na ty. Mam na imię Scott. Dziękuję. Jestem ci winny kolację, która będzie miała charakter wyłącznie prywatny.

– Nie jesteś mi nic winien.

– Ale z chęcią zaprosiłbym cię jeszcze raz.

– Jesteś tego pewien? – Uśmiechnęła się. – Wieczór jeszcze się nie skończył.

– Jestem tego pewien.

Oliver pomyślał o innej, też niedawno poznanej kobiecie, i uznał, że Adrianna Whitcomb może poczekać. W jego wieku trzeba się oszczędzać, wystarczy jedna naraz. Wyciągnął z teczki jakiś plik dokumentów i położył go sobie na kolanach. Trafił na akta Estebana Cruza. Przewracał kartki, ale nie mógł się doczytać, bo światło było zbyt mdłe. Co nieco jednak widział.

W pewnej chwili zamarł.

– Co się stało? – zapytała Carmen.

– Nic**...** nic. – Włożył akta z powrotem do teczki i sięgnął po następne. Były to dokumenty José Pinona. Przewrócił kilka kartek.

– Wyglądasz tak, jakbyś zobaczył ducha.

– Przepraszam. – Popatrzył na Carmen. – Skąd macie odciski palców José Pinona?

– Przyszły z dokumentami z podstawówki. Dzieciom z podstawówki rutynowo pobiera się odciski palców. Niby na wypadek porwania, ale tak naprawdę chodzi o możliwość identyfikacji ciał. Często dochodzi do strzelanin między gangami i potem nie można zidentyfikować zwłok**...**

– Czy macie oryginały, czy tylko kopie? – Uświadomił sobie nagle, że ciężko dyszy.

– Oryginały.

– I są na nich ich nazwiska**...**

– Tak.

– Muszę je mieć, Carmen. I to natychmiast. Masz może klucze do szkoły?

– Mam, ale nie wiem, czy mogę je panu dać**...** To znaczy tobie, Scott. To byłoby wtargnięcie na prywatny teren.

– Masz rację. Załatwię nakaz.

Przy stoliku pojawił się ktoś niższy rangą, by podać główne dania. Najwyraźniej Doskonały Mike miał do obsłużenia lepszych klientów. Carmen uśmiechnęła się, gdy kelner postawił przed nią talerz z kaczką.

– Dziękuję bardzo – powiedziała, po czym zapytała Olivera: – Może poprosimy, żeby nam to zapakowali?

– Yyy**...** – Oliver wpatrzył się w swój stek. – Nie. Zadzwonię tylko do mojej koleżanki z pracy, żeby przygotowała dokumenty.

– Naprawdę nie ma sprawy. I tak nie lubię celebrować posiłków.

– Daj mi pięć minut i jestem twój. – Starał się wyglądać czarująco. – Proszę**...** I tak minie trochę czasu, zanim koleżanka upora się z papierologią. Szkoda steka.

– No dobrze. – Skinęła głową. – Zaczekam. Ale jeśli się nie pospieszysz, zjem ci tego steka. Nie rozumiem, dlaczego zamówiłam kaczkę.

– Śmiało, częstuj się. – Przeprosił i wyszedł przed restaurację.

Marge odebrała niemal natychmiast.

– Wygląda na to, że właśnie rozbiłem bank – powiedział. – W szkolnych aktach znajdują się odciski palców Martina Crucesa, José Pinona i Estebana Cruza.

– O cholera! Niesamowite! Zaraz zadzwonię do Oldhama.

– Poczekaj, Marge, jest jedno ale. Carmen Montenegro dała nam te akta po kryjomu. Nie powinna wynosić ich ze szkoły. Potrzebny nam nakaz, żeby dotrzeć do oryginałów. Rondo Martin rozpoznał na miejscu zbrodni Crucesa i Pinona. To powinno wystarczyć.

– Też tak myślę. Scott, nie chcę ściągać na twoją panią kłopotów. Nie uważasz, że sędzia nabierze podejrzeń, gdy poprosimy go o nakaz o ósmej wieczorem?

– Hm**...** Masz rację. – Oliver zaczął nerwowo chodzić. – Jednak wolałbym nie czekać z tym do jutra.

– A może powiem sędziemu, że Rondo Martin przed chwilą zidentyfikował Crucesa i nie chcemy, żeby nam się wymknął tak jak Pine.

– Świetny pomysł – pochwalił ją Oliver. – Kiedy tylko zdobędziesz nakaz, spotkamy się przed szkołą.

– Gdzie teraz jesteście?

– Ciągle w restauracji. Dokończymy, a potem Carmen pojedzie do szkoły swoim samochodem. To będzie wyglądało trochę mniej podejrzanie.

– Więc wciąż jesteś ze swoją uroczą panią?

– Ona naprawdę mi się podoba. I to coraz bardziej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

– Człowieku! – ucieszył się Decker. – Właśnie zaoszczędziłeś nam długich godzin pracy.

– Wiem – przyznał Oliver. – Marge dostała już nakaz, więc jedziemy do Pacoima High. Jest szansa, że uda nam się dopasować odciski do tych, które znaleźliśmy na miejscu zbrodni.

– Oby. – Decker westchnął, słysząc w telefonie sygnał kolejnej rozmowy. – Zapłaciłeś za kolację z Montenegro własną kartą, prawda?

– Jasne. Nie chciałem, żeby wydało się, że Carmen zrobiła coś niedozwolonego.

– No właśnie. Marge jest z tobą?

– Umówiła się ze mną i Carmen w szkole. Carmen jedzie swoim samochodem.

W słuchawce ponownie zapiszczał sygnał. Decker spojrzał na wyświetlacz. Numer zastrzeżony. Skoro ktoś nie miał do niego tyle zaufania, by ujawnić swój numer, to równie dobrze mógł się nagrać. Wrócił do rozmowy z Oliverem.

– Zadzwoń do mnie, gdy sprawdzicie odciski – poprosił.

– Oczywiście. Gdzie jesteś?

– Przed szpitalem. Brubeck pilnuje Rondo Martina. Lada chwila powinno pojawić się wsparcie. Znaleźliście jakieś informacje o właścicielach El Matadora i Baker Corporation?

– Marge posłała ludzi do baru. Chyba Wandę Bontemps

i Lee Wanga. Mają przycisnąć Sama Truilla. Może poda im nazwisko szefa.

– Truillo to barman?

– Nie wiem, ale ktokolwiek nalewa tam piwo, powinien znać nazwisko szefa.

– Przekażcie Wandzie, że jeśli skurwiel będzie się opierał, może go zabrać na dołek.

– Sam bym tego lepiej nie ujął.

Harriman zakończył połączenie i podpiął telefon do ładowarki. Pocił się, leżąc w łóżku w zbyt grubej jak na tę porę roku piżamie. Robiło się coraz cieplej, a klimatyzacja działała na pół gwizdka. Przełączył nawet wentylator na maksymalne obroty, ale wciąż było gorąco. A może to miało podłoże psychiczne? Może pocił się ze zdenerwowania?

Przez ostatnie dziesięć minut nadstawiał uszu, nasłuchując najlżejszych nawet dźwięków, polując na obce brzmienia. Takie, których nie powinien słyszeć o jedenastej w nocy. Trwały jakieś dziesięć minut, później ucichły.

To właśnie dlatego nie zostawił Deckerowi wiadomości. Poczuł się głupio.

Tłumaczył sobie, że powinien się uspokoić, na przykład poczytać jakąś książkę. Na stoliku obok łóżka leżały cztery tomy. Na co jeszcze czekał? Przecież te hałasy były zapewne wytworem nadgorliwej wyobraźni. Gdyby nie samochód stojący przed domem pani Decker, pewnie w ogóle nie zwróciłby na nie uwagi.

Jesteś bezpieczny, wmawiał sobie.

A nawet bardziej niż bezpieczny. Przecież przed jego

domem stał radiowóz. Czy miał prawo domagać się jeszcze większej ochrony?

Jednak dźwięki nie dochodziły z tamtej strony. Jego mieszkanie mieściło się na parterze i miało tylne wejście. To właśnie stamtąd dobiegało to skrobanie. Owszem, drzwi były zabezpieczone trzema zamkami, ale**...**

Nie chodziło tylko od odgłosy. Wyczuwał też zapachy, na przykład męskiego potu. Do tego dochodził ten chłopak, który zaparkował przed domem Deckerów. Wyglądało na to, że w ostatnich dniach wszystko potrafiło go zaniepokoić.

Dlaczego więc nie zostawił porucznikowi żadnej wiadomości?

Na to akurat mógł odpowiedzieć bez najmniejszego trudu. Denerwował go własny niepokój. Przypominał mu czasy dzieciństwa i towarzyszące im poczucie, że jest się skończonym tchórzem. Przez całe lata musiał walczyć ze sobą, by nie bać się ciemności, i niech go diabli, jeśli znów dopuści do siebie strach.

Przypomniał sobie te okropne chwile, gdy matka załamywała ręce nad jego losem. Miał pięć lub siedem lat i był zbyt duży, żeby z tego powodu płakać. Ojciec zawsze go karcił za łzy. Równocześnie jednak w niego wierzył. Znęcając się nad nim psychicznie i fizycznie, zmusił go do osiągnięcia szczytów własnych możliwości. Nim Harriman skończył dwanaście lat, radził sobie doskonale z białą laską.

Jego umysł skakał z tematu na temat.

Ile razy potykał się i wywracał w młodości?

Jak często na coś wpadał?

Ile razy czuł się z tego powodu jak ostatni idiota?

Jak często traktowano go jako kogoś gorszego?

Nawet dziś te wspomnienia sprawiały mu przykrość.

Ojciec zachowywał się wobec niego szorstko, bo zdawał sobie sprawę, co może czekać niewidomego. Harriman był mu zawsze za to wdzięczny, choć cień ojca zawsze mu ciążył, równie mocno jak brak wzroku.

Jednym z najważniejszych dni w jego życiu był ten dzień, w którym wreszcie pogodził się z ojcem. Połączyła ich prawdziwa, dorosła przyjaźń, trwająca aż do śmierci ojca, który zmarł na zawał serca.

Harriman nie przestawał o nim myśleć, wciąż nasłuchując dźwięków, które mogłyby świadczyć o najściu. Czasem powątpiewał we własne zdrowie psychiczne. Dobrze, że nie zostawił tej wiadomości Deckerowi. Bóg jeden wie, co porucznik o nim myślał. Choć wierzył mu do tego stopnia, by wysłać radiowóz pod jego dom.

W końcu trochę się uspokoił i wyciągnął na łóżku. Pozbył się piżamy i rozkoszował chłodnymi podmuchami powietrza z wentylatora. Jutro musiał iść do pracy – sprawa kradzieży samochodu i zabójstwa – więc dobrze by było się przespać, jeśli chciał być rano przytomny.

Uruchomił iPoda i puścił listę utworów złożoną z klasycznych symfonii. Patetyczna natura tej muzyki zazwyczaj szybko go usypiała. Jak zawsze obrócił się na prawy bok i zasnął.

Nie musiał gasić światła.

Wiadomość dotarła na komisariat równo z wybiciem

północy.

Powitano ją wiwatami.

Porównując odciski palców należące do Martina Crucesa, José Pinona, Alejandra Branda i Estebana Cruza z niezidentyfikowanymi odciskami zabezpieczonymi na miejscu zbrodni, Oldham dokonał ważnego odkrycia. Skrupulatna analiza wszystkich łuków, pętli i wirów pozwoliła dopasować odciski palca wskazującego Crucesa i kciuka Pinona do śladów pozostawionych na szafce i stole.

Świadek plus dowody. Decker był wniebowzięty.

– Kto zajmuje się Crucesem? – zapytał.

– Posłaliśmy już brygadę antyterrorystyczną do jego mieszkania – odparła Marge. – Jedzie tam też Messing razem z Pratt. Oliver i ja trzymamy się w pobliżu. Jak tylko go zgarną, zabieramy się do roboty. Poprowadzę przesłuchanie. Masz jakieś sugestie?

– Pewnie. Niech się przyzna do winy.

– Dzięki, szefie. Na pewno bym o tym nie pomyślała.

– Dowiedz się, kto im zlecił te zabójstwa.

– Wiesz, Pete, na to też wpadłam.

– Zapytaj, gdzie jest Pine.

– Wygląda na to, rabbi, że masz takie same pomysły jak ja.

Na twarzy Deckera pojawił się uśmiech.

– Uważajcie też na to, co Cruces będzie mówił o Brandzie i Cruzie. Może uda im się dobrać do skóry. Chętnie pozbyłbym się tych świrów z ulicy. A co u mojej rodziny?

– Żadnych problemów. Coś jeszcze?

– Właściwie tak. Ile będziesz miała czasu między

aresztowaniem a przesłuchaniem?

– Ile czasu?

– No**...** Załóżmy, że wszystko pójdzie gładko i zgarną go natychmiast. Kiedy będziesz mogła go w takim wypadku przesłuchać?

– Muszą go aresztować, wprowadzić do kartoteki**...** – Dokonała szybkich obliczeń w myślach. – Za jakąś godzinę powinien być gotowy.

– W takim razie poproszę cię o przysługę. Rozmawiając z tobą, nie odebrałem drugiej rozmowy. Dzwonił ktoś z zastrzeżonego numeru. Nie zostawił żadnej wiadomości. To w sumie mógł być każdy, ale wiem, że Harriman ma zastrzeżony numer. Możecie do niego zajrzeć?

– A nie ustawiłeś przed domem mundurowych?

– Ustawiłem. Możesz z nimi pogadać.

– A ty nie możesz do nich zadzwonić? Albo do Harrimana?

– Nie mam przy sobie jego numeru, a poza tym zbliża się północ.

– Zajrzę do niego, żaden problem. – Zamilkła na chwilę. – Coś cię jeszcze martwi?

– Nie tyle martwi, ile wolałbym mieć pewność, że wszystko jest w porządku – Decker przełożył słuchawkę. – Nawet jeśli dziś uda nam się zgarnąć Crucesa, to nadal nie wiemy, gdzie są Pine i Cruz. Harriman wciąż jest w niebezpieczeństwie. Więc po prostu tam podjedź, dobra?

– Dobra – odparła, przewieszając przez ramię sweter. – Zbieram się. Zadzwonię, jeśli się czegoś dowiem. Odbierzesz?

– Dzwoń do szpitala, bo muszę wyłączyć komórkę. Spróbuję się zdrzemnąć, dopóki Brubeck ma oko na Martina. Na pewno znajdę jakieś puste łóżko na korytarzu. Jeśli nie, zawsze mi jeszcze pozostaje stół do sekcji w kostnicy.

Jakby nie dość było gliniarzy przed domem, to ten gringo musiał jeszcze zamontować trzy zamki w drzwiach. Typowy bogacz, który wyobraża sobie, że kawałek metalu może ochronić jego kosztowności przed zawodowcem. A prawda była taka, że wszystko dało się ukraść, o ile tylko się opłacało.

Pierwszy zamek był zabaweczką, którą dało się otworzyć jednym ruchem karty kredytowej. Drugi miał rygiel, więc wymagał nieco więcej zachodu, ale też się poddał w starciu z profesjonalnym sprzętem. Ostatnią przeszkodę stanowił łańcuch. Zerwał go, gdy już poradził sobie z ryglem. Zrobiłby to szybciej, gdyby nie policjanci, którzy z braku lepszego zajęcia postanowili sprawdzić podwórko na tyłach i zaczęli świecić latarkami. Na ceglanym patio stał grill i komplet składanych mebli ogrodowych. Gdyby miał więcej czasu i furgonetkę, pewnie zabrałby go ze sobą, ale musiał zająć się robotą.

Kiedy policjanci pojawili się po raz pierwszy, dał się przyłapać jak dziecko. Nawet nie usłyszał, gdy podeszli. Miał dużo szczęścia, bo klęczał wtedy na ziemi, szukając w torbie narzędzi. Ciężko go było zauważyć, ponieważ ubrał się na czarno, a zaledwie chwilę wcześniej wykręcił żarówkę świecącą nad tylnymi drzwiami. Jeden z gliniarzy zwrócił na to nawet uwagę. Ale te dwa grubasy okazały się zbyt leniwe,

by sprawdzić, co się stało. Postali przez minutę, a potem wrócili do radiowozu, pewnie po to, by dalej się opychać pączkami i popijać kawę.

Musiał działać szybko, bo w każdej chwili mogli się znów pojawić. Miał ze sobą jedynie niewielką latarkę kieszonkową. Nie widział zbyt dobrze, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Ta robota i tak polega na tym, że trzeba mieć czuja. Martwił się nieco chrobotaniem narzędzi w zamku, bo okolica należała do wyjątkowo cichych, więc facet mógł go usłyszeć. Ale mieszkanie było ciemne i panował w nim całkowity spokój.

Walcząc z zamkami, rozmyślał nad tym, ile udało mu się osiągnąć. Został w końcu pieprzonym zawodowcem, już nie musi biegać i handlować narkotykami dla jakiegoś kutasa stojącego o szczebel wyżej w hierarchii. Koniec z tym gównem, wreszcie został kimś. I jak wszyscy zawodowcy porządnie odrobił zadanie domowe, czyli dokładnie sprawdził miejsce i cel. Gringo miał ochronę, co sprawiało pewien problem, ale miał już do czynienia z większymi celami. Wspinaczka na szczyt hierarchii oznaczała, że musiał wykonać tę robotę. I za chuja nie pozwoli, by kilku durnych gliniarzy mu w tym przeszkodziło.

Na razie nawet się nie spocił.

Upewniwszy się, że nic mu nie grozi, podszedł ostrożnie do tylnych drzwi i wyciągnął komplet wytrychów – szesnaście profesjonalnych narzędzi z nierdzewnej stali. Uwielbiał trzymać je w dłoni, czuć zaostrzone końcówki i zakrzywienia uchwytów.

Przytrzymał latarkę brodą, próbując wcelować promieniem w dziurkę zamka. Światła wystarczyło akurat na tyle, by jednym płynnym ruchem umieścił dwa wytrychy we właściwym miejscu. Poruszył nimi delikatnie, próbując wyczuć zapadki.

Ruszał, poruszał, przesuwał. I nic.

Ech!

Może to jednak będzie trudniejsze, niż mu się wydawało.

Zostawił wytrychy w zamku i zgasił latarkę. Zdał się na swój dotyk. Zresztą ciemność zapewniała mu dodatkowe bezpieczeństwo. W taką noc jak dziś, zupełnie bezksiężycową, światło latarki mogło go natychmiast wydać. Po kilku minutach zmagania się z zamkiem uznał, że potrzebuje innych wytrychów. Ostrożnie wybrał kolejne narzędzia, odkładając pierwszy zestaw do skórzanego pokrowca.

Wrócił do grzebania w dziurce i szukania zapadek. Od razu lepiej. Po chwili usłyszał ciche kliknięcie i pierwsza zapadka trafiła na swoje miejsce, potem druga i w końcu trzecia. Rygiel się poddał, a on powoli uchylił drzwi.

Łańcuch wisiał na swoim miejscu, ale pokonanie tej drobnostki nie sprawiało żadnych trudności. Wystarczyło wsunąć wytrych, przymknąć drzwi i przesunąć łańcuch**...**

Nagle nadstawił uszu.

Dotarły do niego strzępy rozmowy. Kobieta i dwóch mężczyzn.

Zapiszczała krótkofalówka.

Gliniarze.

Wcale mu się to nie podobało.

Pośpiesz się, pomyślał.

Poczuł, że po raz pierwszy tej nocy zaczyna się pocić. To nie powinno tak wyglądać. Zawsze miał wszystko zaplanowane i zwykle wystarczało mu czasu.

Zaczęły mu drżeć ręce.

Skup się, skurwielu, skup się!

Wreszcie zabrzęczał uwolniony łańcuch. Robota może nie poszła całkiem gładko, ale wszystko się udało. W mgnieniu oka znalazł się w środku.

Zamknął zamek i ponownie założył łańcuch.

Gliniarze mogli sobie teraz gadać, ile chcieli. W środku nic mu nie groziło. Był dokładnie tam, gdzie zamierzał.

To nie był sen.

Naprawdę coś chrobotało. I naprawdę śmierdziało męskim potem.

Harriman zrozumiał, że znalazł się w niebezpieczeństwie.

Usiadł, czując pot ściekający po twarzy oraz plecach, i drżącą ręką sięgnął po telefon, który leżał na stoliku. Zrzucił przy tym na ziemię pilota do telewizora.

Czy włamywacz mógł to usłyszeć? Chyba nie, dywan na szczęście stłumił hałas.

Macał przed sobą spoconymi dłońmi, aż w końcu poczuł gładką i chłodną metaliczną powierzchnię telefonu. Nacisnął guzik, aby go uruchomić. Włamywacz postępował coraz śmielej, nawet nie starał się chodzić na palcach, jego kroki były doskonale słyszalne.

Wydawało się, że telefon uruchamia się przez całe wieki.

W końcu cichutko zabrzęczał. Harriman wybrał numer alarmowy za pomocą komendy głosowej.

– Dziewięćset jedenaście.

– Dziewięćset jedenaście, w czym mogę pomóc? – odezwał się po chwili kobiecy głos.

– Ktoś włamał się do mojego mieszkania – mówił tak spokojnie i wyraźnie, jak tylko mógł, ale własny głos wydawał mu się obcy.

– Jaki adres?

Poczuł kompletną pustkę w głowie.

– Może pan podać adres?

Przekazał w końcu miłej operatorce potrzebne dane.

– Zaraz kogoś poślemy.

– Proszę się pośpieszyć. Jestem niewidomy!

Kiedy się rozłączył, przypomniał sobie o policjantach stojących przed jego domem. Jak mogli do tego dopuścić? Poszli spać? A może Decker kłamał i odwołał patrol?

Jakim cudem doszło do tego włamania?

Zrób coś, cioto!

Myśl!

Nie wypuszczając telefonu z dłoni, powoli zszedł z łóżka i położył się pod nim, na podłodze. Był nagi i cały się trząsł, choć zimno nie miało z tym nic wspólnego – leżał na dywanie, osłonięty materacem. To strach wywoływał dreszcze. Próbował się skoncentrować na tym, co się dzieje w jego mieszkaniu, ale ogłuszał go własny oddech, tak głośny, jakby wsłuchiwał się w niego z zatkanymi uszami.

Uspokój się.

Skoncentruj.

Napastnik kręcił się po kuchni. Harriman usłyszał kliknięcie wyłącznika światła. Gnojek się przeliczył. W tym domu nigdy nie było żarówek.

Po co płacić za coś, czego się nie używa?

Na podwórku zamigotały światła latarek.

– Nadal nie rozumiem, po co pani tu przyjechała – powiedział Bud Rangler. – Nie można było po prostu zadzwonić?

Był wyraźnie poirytowany. Marge również. Mógł sobie darować tego rodzaju skargi o wpół do pierwszej w nocy. Rangler przypominał worek treningowy. Miał wielką, beczułkowatą klatkę piersiową i krótkie muskularne ręce i nogi. Służył w policji od pięciu lat, dobiegał trzydziestki. Kontrolna wizyta Marge była dla niego poważnym afrontem.

– Kiedy szef wydaje rozkaz, wykonuje się go bez szemrania – powiedziała Marge. – Warto o tym pamiętać.

Drugi z mundurowych, Mark Breslau, był starszy i bardziej doświadczony. Służył od jedenastu lat, więc nauczył się już hamować samczą potrzebę dominacji.

– Pani tu rządzi, pani sierżant. Bud chciał tylko powiedzieć, że pilnujemy swojej roboty. Zaglądaliśmy na tyły domu co dwie godziny.

– Sama pani może zobaczyć – dodał Rangler. – Wszystko wygląda tak jak wyglądało.

– Strasznie ciemno – zauważyła, patrząc w miejsce oświetlone promieniem latarki. – Skąd możecie wiedzieć, że nic się nie dzieje?

– Żarówka na werandzie się przepaliła – wyjaśnił Rangler. – Wcześniej było tu sporo światła.

– Jak to się przepaliła? – Marge odwróciła się i spojrzała na niego. – Czemu jej nie wymieniliście?

– Nie wydaje mi się, żeby to należało do naszych obowiązków – prychnął Rangler.

– Jeśli dzięki temu możecie je wykonywać, to oczywiście, że tak. – Odwróciła się do Breslaua. – Macie jakieś żarówki w radiowozie?

– Raczej nie.

– Za rogiem jest całodobowy. – Rzuciła mu kluczyki do swojego auta. – Skocz i kup. Ja zaczekam tu z funkcjonariuszem Ranglerem.

– Tak jest.

Rangler zachichotał.

– Coś cię bawi? – zapytała.

– Nic, proszę pani.

– Wydawało mi się, że słyszałam śmiech. Pewnie się przesłyszałam.

Rangler nic nie odpowiedział, a Marge podeszła do tylnych drzwi i oświetliła wiszącą nad nimi żarówkę.

– Podejdź no tutaj – poleciła. – Popatrz. – Oświetliła latarką pustą obsadkę. – Jak żarówka mogła się wypalić, skoro w ogóle jej tu nie ma? Możesz mi to wytłumaczyć?

Rangler chciał coś odpowiedzieć, ale rozsądek podpowiedział mu, że lepiej będzie się powstrzymać przed wygłoszeniem komentarza.

Marge omiotła promieniem latarki ziemię, wyławiając

żarówkę leżącą w trawie. Wkręciła ją z powrotem i podwórko rozjaśniło się żółtym blaskiem.

– Wezwij wsparcie, wszystkie radiowozy, jakie są w pobliżu. – Stanęła obok drzwi i zapukała, wołając Harrimana. Kiedy nie odpowiedział, zapukała ponownie, a potem wsunęła latarkę za pasek i wyjęła służbowy rewolwer.

– Osłaniaj mnie, Rangler. Wchodzimy.

Nic nie szło tak, jak sobie zaplanował.

Nie działały żadne pierdolone światła!

Ktoś dobijał się do tylnych drzwi.

Przed domem stało dwóch gliniarzy.

W oddali wyły syreny.

Przecież nie jesteś idiotą, przypomniał sobie w myślach. Więc nie zaczynaj się teraz zachowywać jak idiota!

Rozglądał się desperacko za jakąś drogą ucieczki, ale zagoniono go w kozi róg. Oba wyjścia były zablokowane.

Myśl, durniu! Myśl!

Wyjął pistolet i przez chwilę ważył go w dłoni. Dobrze, że go miał, ale tamci mieli zbyt dużą przewagę liczebną, by wdawać się strzelaninę. To nie był dobry pomysł.

A skoro nie mógł nigdzie uciec, to równie dobrze mógł poszukać jakiejś kryjówki.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Harriman usłyszał walenie do tylnych drzwi. Serce, i tak już szybko bijące, o mało nie wyskoczyło mu z piersi. Czy jeśli krzyknie, nie wychodząc spod łóżka, policjanci go usłyszą? Czy tylko zdradzi swoją obecność i ułatwi zadanie intruzowi?

Poczekaj, aż będą bliżej.

I bądź cierpliwy.

Jak to mówią: milczenie jest złotem.

Po chwili nadbiegł zdyszany Breslau.

– Odebrałem zgłoszenie.

– Jakie zgłoszenie? – Marge jeszcze raz walnęła w drzwi.

– Ktoś z tego adresu zadzwonił pod 911.

– Jezus Maria! – krzyknęła Marge. – Jeśli Harriman zadzwonił na policję, ktoś musi być w środku. Drzwi są zamknięte. Nie chcę, żeby ten ktoś wziął zakładnika, ale nie mogę też wyważyć drzwi bez większego wsparcia. Gość może być uzbrojony.

Omiotła wzrokiem podwórko i zauważyła cztery złożone krzesełka ogrodowe. Wzięła je i przycisnęła do piersi niczym tarczę.

– Muszę to zrobić – powiedziała policjantom. – Osłaniajcie mnie.

– Ja wyważę te drzwi, pani sierżant – odparł Rangler. –

Jestem silniejszy od pani.

– Te krzesła to nie jest kamizelka kuloodporna – dodała Marge. – Kule przejdą przez nie bez najmniejszego problemu.

– Ryzyko jest wliczone w ten zawód – odparł Rangler. – Jestem silniejszy od pani. Mnie będzie łatwiej.

– Trudno się z tym nie zgodzić. – Marge podała mu krzesła.

Podniósł je z taką łatwością, jakby to była sterta koców, wziął rozbieg, a potem z całych sił walnął w drzwi.

Raz.

Dwa.

Za trzecim razem futryna nie wytrzymała i drzwi otworzyły się na oścież. Z oddali dobiegał dźwięk zbliżających się syren.

Marge zajrzała do środka.

Ciemno i cicho.

– Harriman, jest pan tam?

Kiedy nie dostała odpowiedzi, wyjęła pistolet.

– Rangler, weź latarkę i poświeć do środka. Breslau, będziesz mnie ubezpieczał. Idziemy.

Nic nie było widać. Marge przywarła do ściany i posuwała się nieznacznie do przodu, usiłując znaleźć włącznik światła. Kiedy w końcu jej palce na niego natrafiły, uspokoiła oddech i nacisnęła pstryczek.

Nic się nie zmieniło.

Wciskała włącznik raz po raz, aż wreszcie do niej dotarło.

Przecież facet jest niewidomy.

Zastanawiała się, czy w ogóle ma jakieś działające światło.

Myślała przez dłuższą chwilę. Brett wspomniał, że do Riny przywiozła go dziewczyna. Czasami pewnie go odwiedza. Musi tu gdzieś być jakieś oświetlenie. Sądząc po wyposażeniu, Marge stała w pralni, za którą znajdowała się kuchnia.

Kuchnia!

Może w okapie nad kuchenką będzie działające światełko.

– Oświetl kuchnię – poleciła.

Wyglądało na to, że nikogo tu nie ma, jednak ktoś mógł się gdzieś schować. Powoli podeszła do kuchenki. Sięgnęła pod okap, wyczuła guzik i wcisnęła go.

Proszę bardzo!

Na pewno daleko było do ideału, ale lepsze to niż nic. Zobaczyła podwójny włącznik na wyłożonej płytkami ścianie. Pierwszy przycisk uruchomił młynek do rozdrabniania odpadków, jednak drugi włączył oświetlenie pod szafkami kuchennymi. Widziała już na tyle dobrze, by wiedzieć, że w kuchni nikogo nie ma. Ruszyła dalej.

Mieszkanie Harrimana zaprojektowano na planie otwartym. Salon, jadalnia i kuchnia łączyły się ze sobą. Dobra wiadomość była taka, że wszystko wyglądało na nienaruszone. Nie zauważyła żadnych przewróconych mebli ani innych oznak walki. Mimo to coś jej tu nie pasowało.

Za cicho? A może ten zapach?

Syreny w dalszym ciągu zawodziły w tle.

– Rangler – powiedziała Marge – przekaż centrali, gdzie jesteśmy, i powiedz, żeby wszystkie jednostki zachowały maksymalną ostrożność.

Rozejrzała się wokół. Za salonem ujrzała korytarz, który prawdopodobnie prowadził do sypialni.

– Osłaniajcie mnie – powiedziała do mundurowych.

Przywarła do ściany i zaczęła powoli iść korytarzem, aż wreszcie dotarła do pierwszych zamkniętych drzwi. Zapukała w nie mocno.

– Policja! – krzyknęła. – Ktokolwiek tam jest, ma wyjść z rękami nad głową!

Kiedy drzwi pozostały zamknięte, pchnęła je i wycelowała.

Nic się nie zmieniło.

Rangler omiótł pokój promieniem latarki. Wydawał się pusty.

– Policja! – krzyknęła jeszcze raz Marge. – Jesteś okrążony! Wyjdź z podniesionymi rękami!

Czekali**...** sekundę**...** dwie**...** trzy**...**

Weszli do pokoju. To malutkie pomieszczenie służyło za siłownię. Znajdowały się tutaj rower treningowy, bieżnia i atlas. A także lampa stojąca, która skąpała wszystko w mdłym świetle. Marge pokazała na zamknięte drzwi. Prawdopodobnie za nimi była garderoba. Przywarła do ściany, po czym nacisnęła klamkę i otworzyła je na oścież.

Cisza i spokój. Dokładnie tak jak chciała.

Gdy Rangler poświecił latarką, Marge zaczęła przesuwać ubrania, żeby się upewnić, że nikt się wśród nich nie ukrył.

Drgnęła nerwowo, słysząc walenie do drzwi frontowych. Po chwili Rangler wpuścił do salonu posiłki. Policjanci zapalili latarki, zrobiło się całkiem nastrojowo. Marge policzyła wszystkich. Łącznie z nią było ich ośmioro.

– Jeden do drzwi frontowych, jeden do tylnych, dwóch przed sypialnią i dwóch przed tymi drzwiami, za którymi pewnie jest łazienka. – Odwróciła się do Breslaua i Ranglera. – Sprawdzimy te zamknięte drzwi. To pewnie sypialnia Harrimana.

Marge zapukała. Jej serce biło jak oszalałe.

– Policja! – zawołała. – Wychodzić z uniesionymi rękami!

Z wnętrza dobiegł męski głos:

– Na pomoc!

– Harriman?

– Tak! Pomóżcie mi! Jestem pod łóżkiem!

– Niech pan się nie rusza. Jest pan sam?

– Nie mam pojęcia.

– Jest pan ranny?

– Nie.

– Niech pan się nie rusza! – powtórzyła Marge. – Zaraz pana stamtąd wyciągniemy. – Odwróciła się do policjantów. – Wchodzimy. Potrzebuję wsparcia.

Zbliżyło się do niej dwóch policjantów pilnujących dotąd łazienki.

– To może być pułapka – ostrzegła. – Wszyscy na pozycje. Wchodzę, kiedy będziecie gotowi.

Kiedy kiwnęli głowami, przywarła do ściany, po czym nacisnęła klamkę i otworzyła drzwi.

Promienie latarek rozświetliły ciemny pokój, poruszając się niczym ogromne świetliki w bezksiężycową noc.

– Jesteśmy w środku – powiedziała Marge. – Niech pan się nie rusza. Musimy przeszukać pokój. Jest tu jakieś działające

światło?

– Sprawdźcie lampkę na stoliku nocnym. Czasami używa jej moja dziewczyna.

Marge podeszła do stolika i włączyła lampkę. Pokój był całkiem spory. Pośrodku stało wielkie łoże z dwoma stolikami nocnymi po bokach, a naprzeciwko niego komoda. Jedną ścianę zajmowała szafa z ogromnymi przesuwanymi drzwiami lustrzanymi. Były też jakieś drzwi. Marge podejrzewała, że prowadzą do łazienki.

Otworzyła je gwałtownie. Nikogo, chociaż zasłonka prysznicowa była zasunięta.

– Policja! – krzyknęła Marge, mierząc z broni w wannę. – Wychodź z rękami nad głową!

Zasłonka pewnie nic nie usłyszała, bo nawet się nie zmarszczyła. Marge ostrożnie przesunęła ją na bok. Wanna była pusta.

– Czysto! – Wróciła do sypialni. – A co z szafą?

– Czysto – odparł Rangler.

– Harriman?

– Dalej pod łóżkiem.

– Może pan już wyjść.

– Jestem nagi.

– Niech ktoś przyniesie szlafrok albo co.

Wreszcie Harriman wyczołgał się spod łóżka i stanął na drżących nogach. Trząsł się cały, kiedy podawano mu płaszcz kąpielowy. Oddychał płytko niczym zziajany pies.

– Znaleźliście go?

– Jeszcze nie.

– Nie jestem szalony! Przysięgam, słyszałem jakiś hałas.

– Jeszcze nie skończyliśmy przeszukania. Wszystko obstawiliśmy. Wyjdziemy stąd, dopiero gdy skończymy. – Marge wzięła go pod ramię. – Wyprowadzę pana.

Kiedy doszli do drzwi frontowych, Harriman zaczął się trząść jak galareta.

– On tutaj jest – wyszeptał. – Wyczuwam jego zapach!

– Znajdziemy go.

– Proszę, nie wychodźcie, dopóki tego nie zrobicie. Wiem, że tu jest!

– Posterunkowy Fetterling zaprowadzi pana do radiowozu. Zaczeka z panem, dopóki nie skończymy przeszukania.

Wczepił się w ramię Marge i powiedział:

– Dziękuję.

– Nie ma za co. To nasz obowiązek.

Kiedy już wsiadł do jednego z radiowozów, Marge rozejrzała się dookoła.

– Sprawdziliśmy wszystko oprócz szafy w przedpokoju. – Stanęła obok niej i zapukała w drzwi. – Policja! Wychodzić z uniesionymi rękami!

Cisza. Jakie było prawdopodobieństwo, że w ogóle kogoś znajdą?

Drzwi okazały się zamknięte. Czyżby Harriman sobie z nich wszystkich zakpił? Czyżby wszyscy uczestniczyli w wyreżyserowanym przez niego przedstawieniu? Ale jak zdołał odkręcić żarówkę na ganku?

Myśląc o tym wszystkim, po raz kolejny przywarła do ściany. A potem jej mózg przełączył się na czystą energię.

Dotknęła gałki u drzwi i krzyknęła:

– Wszyscy na pozycje!

Otworzyła drzwi.

Nic się nie stało.

– Utrzymywać pozycje!

Marge wciąż stała przy ścianie. Coś kazało jej się nie ruszać. To był zapach potu. Odór strachu.

Zapadła cisza, słyszała tylko swój oddech i głośne bicie serca.

Oddychaj spokojnie.

Uspokój się, Marge.

– Utrzymywać pozycje! – powtórzyła.

Nadstawiła uszu**...** i nagle wyraźnie wychwyciła czyjś oddech.

Ktoś tam się schował.

– Policja! – krzyknęła. – Jesteś otoczony! Wychodź z rękami nad głową!

Nikt się nie poruszył.

– Liczę do trzech, a potem zaczynamy strzelać**...**

– Nie róbcie tego! – zawołał ktoś płaczliwie.

– Wychodź – poleciła Marge, a gdy ktoś poruszył się w kącie, dostrzegła błysk metalu. – Rzuć broń! – wrzasnęła i usłyszała, że coś upada na podłogę. – Ręce do góry!

Kiedy wreszcie intruz wynurzył się z szafy, Marge kazała go przewrócić na ziemię. Czterej policjanci przytrzymywali go, podczas gdy pozostali przeszukiwali szafę. Jego broń okazała się pistoletem smith **&** wesson kaliber 32. Między innymi z takiej strzelano w posiadłości Kaffeyów.

Ciekawe, czy będzie do czegoś pasowała. Podejrzewała, że to zależy od tego, kto leży na podłodze. Zaświeciła mu latarką w twarz, mając nadzieję, że wygląda znajomo. W tym samym czasie Rangler przeszukał pojmanemu kieszenie. Wyciągnął portfel i prawo jazdy i pokazał je Marge.

Rozpromieniła się.

– Cześć, Joe. Miło znów cię widzieć w Stanach.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Chodzenie służyło dwóm celom. Po pierwsze, rozgrzewało, po drugie, uspokajało. O trzeciej nad ranem szpital wyglądał dość upiornie. Trzymając telefon przy uchu, Decker trząsł się, lecz tym razem nie z zimna, ale z podniecenia.

– Naprawdę aresztowaliście Crucesa i Pine’a?

– Nieźle jak na jeden dzień pracy, co? Chociaż właściwie była to doba pracy. Jestem na nogach od dwudziestu czterech godzin.

– Kogo jeszcze mamy na komisariacie oprócz ciebie?

– Olivera, Messinga i Pratt. Kto ma przesłuchiwać kogo?

Decker zamyślił się na chwilę.

– Cóż, najlepiej by było napuścić ich na siebie nawzajem. Jeśli chodzi o Pine’a, mamy nie tylko jego odciski palców znalezione na miejscu zbrodni, ale również zeznania Rondo Martina. Wspomniał o nim, zanim mu zasugerowałem to nazwisko. Odwrotnie było w przypadku Crucesa. Rondo przypomniał sobie o nim dopiero wtedy, gdy o nim wspomniałem. Nie pamięta go aż tak wyraźnie. Więcej sensu ma napuszczenie Pine’a na Crucesa. Dlatego ty i Oliver weźmiecie Pine’a. Jeśli nic nie wskóracie, przejmie go ktoś ze świeżym spojrzeniem.

– Okay, to dobry pomysł. A co u ciebie, rabbi?

– Przyjechała ekipa z Herrod. To miasto niedaleko stąd. Pół godziny temu nas zastąpili. Tim England, czyli szeryf T.,

obiecał, że wpadnie rano. Martin jest w dobrych rękach.

– Od kiedy Pine jest w areszcie, Martin może odetchnąć z ulgą – powiedziała Marge.

– To na razie niewielkie westchnienie ulgi. Na większe przyjdzie czas, gdy odkryjemy, kim jest el patrón. Czy ktoś przesłuchał jeszcze raz Truilla, tego barmana z El Matador?

– Kiedy Bontemps i Lee tam dojechali, lokal był już zamknięty. Dopilnuję, żeby ktoś tam zjawił się rano, tuż po otwarciu. Może zresztą nie będzie to konieczne po naszych rozmowach z Crucesem i Pine'em.

– Zawsze dobrze potwierdzić informacje u drugiego źródła. Przylecimy z Willym pierwszym porannym samolotem. – Decker popatrzył na zegarek. Samolot odlatywał o wpół do siódmej, czyli za cztery godziny. – Widzimy się jutro około ósmej rano.

– Prześpij się trochę, Pete.

– Za bardzo mnie nosi. Jakieś wieści o Gilu Kaffeyu albo Resseurze?

– Nie.

– Nie wiesz, gdzie mogą być?

– Nie mam zielonego pojęcia, ale jeśli są tacy jak większość ludzi, to pewnie właśnie śpią. – Marge zawahała się. – No, chyba że nie żyją. W takim wypadku nic ich już nie obudzi.

Marge przede wszystkim porównała odciski palców Joego Pine'a z odciskami palców José Pinona z dokumentacji szkolnej. Kiedy okazało się, że Joe i José to jedna i ta sama osoba, Marge i Oliver z trudem zapanowali nad emocjami. Przez kamerę oglądali Pine'a. Jego gesty były niemal tak

samo znaczące jak mowa. Chodził, potem siadał na krześle z głową ukrytą w dłoniach, następnie opierał głowę o stół, wreszcie znów zaczynał chodzić. Zdarzyło mu się również otrzeć łzy, gdy w pewnej chwili zapłakał nad swoim losem.

Pine nosił cienką nylonową kurtkę, czarne dżinsy, T-shirt w takim samym kolorze i czapkę narciarską. Był raczej drobnej budowy, miał jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, żylaste ręce, pociągłą twarz i karnację koloru mokki. Ciemnobrązowe włosy były ledwie kilka milimetrów dłuższe od fryzury na jeża. Okrągłe brązowe oczy nadawały mu nieco dziecięcy wygląd, równoważony męskim podbródkiem z dziurką.

Kiedy Marge i Oliver weszli do sali przesłuchań, Pine siedział ze wzrokiem wbitym w ziemię. Uniósł na chwilę głowę, po czym znów ją opuścił. Pomieszczenie miało jakieś dwa i pół metra na dwa. Pod ścianą stał stalowy stół i trzy krzesła. Pine zajmował krzesło po prawej, najdalsze od drzwi. Marge usiadła obok niego, a Oliver naprzeciwko.

– Śledczy Scott Oliver – przedstawił się i postawił przed aresztantem kubek z wodą. – Jak się czujesz?

– Obleci. – Pine wzruszył ramionami.

Marge również się przedstawiła i położyła na kolanach notatnik.

– Jesteśmy trochę zdziwieni – oświadczyła. – Co tam się stało, Joe?

– O czym pani mówi?

– O tym, że znaleźliśmy cię w szafie z bronią w ręku. – Marge starała się nawiązać kontakt wzrokowy, lecz Pine

odwrócił wzrok. – Co to było?

– Nic takiego.

– Jak to? – zapytał Oliver.

– Tak jak powiedziałem**...** nic takiego.

– Mężczyzna, który tam mieszka, jest innego zdania – powiedział Oliver.

– Powiedz nam, dlaczego tam się znalazłeś – dodała Marge.

– W tej szafie?

– W szafie znajdującej się w mieszkaniu, które nie jest twoją własnością.

– Usłyszałem, że dobijacie się do drzwi, i pomyślałem, że błędnie to odczytacie. Dlatego się schowałem.

– No dobrze. – Marge coś zapisała. Spojrzała mu w oczy. – Niby co mielibyśmy źle odczytać?

– To nie tak, jak myślicie. To była tylko taka gra.

– Gra? – powtórzył Oliver.

– Wyjaśnij to nam – poprosiła Marge.

– No wiecie**...** gra. – Pine oparł głowę o ścianę. Na jego czole pojawiły się kropelki potu. – Żeby zadawać się z właściwymi ludźmi, trzeba grać w grę.

– Jakimi ludźmi? – zapytał Oliver.

– Moimi ziomami.

– Jakimi znowu ziomami?

– Z Bodega z Dwunastej Ulicy. – Pine wzruszył ramionami. – To wszystko wielka gra.

– Myślałam, że już jesteś członkiem Bodega z Dwunastej Ulicy.

– Chodzi mi o awans.

Marge kiwnęła głową.

– Jak to się odbywa? Ten awans?

Pine zarechotał.

– No co wy, przecież siedzicie w tym interesie od lat. Dobrze wiecie, jak to się odbywa.

– Ale i tak chcemy, żebyś nam powiedział.

– Musisz się sprawdzić. Jeśli tego nie zrobisz, jest wielu na twoje miejsce. Właśnie to tam robiłem.

– Włamałeś się tam, żeby uzyskać wyższą pozycję w gangu?

– Zgadza się.

– Właściwie co miałeś zrobić po dostaniu się do środka?

– No wiecie**...** zabrać coś**...** żeby udowodnić, kim się jest, nie?

– A po co ci była broń?

– Na wypadek**...**

– Na wypadek czego? – przerwała mu Marge.

– Na wypadek, gdyby**...** no wiecie**...** nastąpiły jakieś komplikacje.

– Na przykład?

– Na przykład tamten facet miałby broń. – Joe uśmiechnął się i napił się wody. – Musiałbym się bronić.

– Więc wiedziałeś, kto mieszka w tym mieszkaniu – stwierdziła Marge.

– E**...** nie. – Pine pokręcił głową. – Nie wiedziałem.

– Powiedziałeś: tamten facet mógł mieć broń. Czyli wiedziałeś, że mieszka tam mężczyzna.

– Tak mi się tylko powiedziało. Wziąłem pistolet do obrony własnej.

– Joe, mylisz pojęcia. – Marge westchnęła. – Z obroną własną mamy do czynienia wtedy, gdy włamujesz się do kogoś i on używa broni przeciwko tobie. Jeśli ty używasz broni przeciwko niemu, to się nazywa włamanie z bronią w ręku i jest przestępstwem.

– Nie zamierzałem jej użyć – powiedział Pine. – Była tylko do obrony.

– To i tak przestępstwo – włączył się Oliver.

Od słowa do słowa i wdali się w dyskusję, którą Marge w końcu przerwała, zadając kolejne pytanie:

– Dlaczego wybrałeś akurat to mieszkanie?

– Co takiego? – zapytał Pine.

– Dlaczego postanowiłeś się włamać akurat do tego mieszkania?

– Nie wiem. – Pine spuścił wzrok. – Znajdowało się na parterze. Łatwizna.

– Więc żeby zasłużyć na awans w swojej organizacji, postanowiłeś spróbować czegoś tak prostego jak włamanie? – zdziwił się Oliver.

Pine popatrzył na niego z wściekłością.

– Nic nie jest proste**...** Różne rzeczy mogą się zdarzyć.

– I jak widać, zdarzyły się – zauważyła Marge. – Popełniłeś przestępstwo, a ponieważ to włamanie z bronią w ręku, to trochę sobie posiedzisz.

– Przecież nikt nie ucierpiał.

– Twoja kariera ochroniarza się skończyła – stwierdził Oliver.

– I co z tego? – Pine odchylił się na krześle i skrzyżował

ręce na piersiach. – I tak miałem dość tego gówna.

– Miałeś dość Kaffeyów?

– Nie Kaffeyów**...** Tego skurwiela Brady'ego**...** Opieprzał mnie za każde spóźnienie. Po co mi coś takiego?

Marge zauważyła, że nie poruszył tematu morderstw. Mówił tak, jakby został zwolniony w zwykłym trybie.

– Co ci się jeszcze nie podobało w Neptunie Bradym?

Jej pytanie wywołało lawinę. Przez następne pół godziny słuchali z Oliverem skarg na tego „pojebanego półczarnucha Brady'ego". I chociaż nie żywiła żadnych ciepłych uczuć do Neptune'a, kary, jakie nałożył na Pine'a za różne przewinienia, uznała za całkiem adekwatne.

1. Neptune potrącał mu z pensji za każde spóźnienie.

2. Potrącał mu z pensji, jeśli mundur nie był czysty i wyprasowany.

3. Potrącał mu z pensji, jeśli przyłapał go na przeklinaniu.

4. Potrącał mu z pensji, jeśli odpowiednio wcześnie nie uprzedził o planowanej nieobecności.

– Skoro tak ci się tam nie podobało, dlaczego ciągle tam pracowałeś?

To pytanie wprawiło go w zakłopotanie.

– Dlaczego? – odparł trochę bezradnie. – No, zawsze to była jakaś stała praca. Tyle że mało płacili.

– Co myślisz o Kaffeyach? – zapytał Oliver.

– Nic o nich nie wiem.

– To nie jest podchwytliwe pytanie – zapewniła go Marge. – Lubiłeś ich?

– Nie znałem ich na tyle dobrze, żeby ich lubić.

– Ale przecież ich ochraniałeś.

– To jeszcze nie znaczy, że byliśmy ziomami. Guy w ogóle do mnie nie mówił, byłem dla niego jak mebel. No, kiedyś mnie opieprzył za to, że zagadałem do jego żony.

– Co takiego jej powiedziałeś? – zapytała Marge.

– Że podoba mi się jej nowy samochód czy coś w tym stylu. Położył rękę na moim ramieniu i powiedział: „Nigdy nie odzywaj się niepytany do pani". Od tego czasu mówiłem jej tylko dzień dobry i nic więcej.

– Wygląda na to, że za nimi nie przepadałeś.

Pine wzruszył ramionami.

– Byłem dla nich meblem, więc oni dla mnie też.

Dzięki temu łatwiej było ich zabić, pomyślała Marge.

– Słyszałam, że to Guy Kaffey zaprotegował cię do swojej ochrony.

– Pierwsze słyszę. – Pine zmarszczył brwi. – Dlaczego mnie wypytujecie o Kaffeyów?

– To chyba oczywiste – odparł Oliver.

– O nie, nie ma mowy. Nie mam z tym nic wspólnego! Nie było mnie w mieście.

– Wiemy – odparła Marge. – Szukaliśmy cię.

– No to macie mnie teraz.

– Nie było cię w mieście, kiedy doszło do morderstw? – zapytał Oliver.

– Byłem w Meksyku.

– Co tam robiłeś?

– Mam tam rodzinę. Ej, chcecie mnie zamknąć za włamanie z bronią w ręku, proszę bardzo. Ale nie wrobicie mnie

w morderstwa u Kaffeyów!

– Joe, to włamanie nas nie interesuje. Jesteśmy z wydziału zabójstw. – Marge dała mu chwilę na przyswojenie tej informacji. – Przez ostatnie kilka tygodni przesłuchaliśmy wszystkich ochroniarzy, którzy pracowali u Guya i Gilliam Kaffeyów. Szukaliśmy cię, aż w końcu, co za niespodzianka, znaleźliśmy cię w mieszkaniu człowieka, który znajdował się pod policyjną ochroną w związku z tą sprawą. Dziwne, prawda?

– Opowiedz nam o tym, Joe – dodał Oliver. – Dlaczego włamałeś się do mieszkania, którego pilnowali policjanci?

– Oni stali przed domem. – Wzruszył ramionami. – Ja byłem z tyłu.

– I naprawdę nie przeszkadzała ci ich obecność?

– Dzięki temu mógłbym zrobić większe wrażenie na ziomach.

– Wiesz, dlaczego przed domem byli policjanci?

– Nie mam pojęcia – odparł Pine. – Przez chwilę nie było mnie w kraju.

– Co poczułeś, kiedy dowiedziałeś się o tych morderstwach? – zapytał Oliver.

– Że wypadki chodzą po ludziach. – Po raz kolejny wzruszył ramionami

– Kiedy wyjechałeś do Meksyku? – zapytała Marge.

– Nie pamiętam dokładnie, ale na pewno jeszcze przed morderstwami. – Znów skrzyżował ręce na piersiach.

– Jak dowiedziałeś się o morderstwach?

– Od kuzyna. Ale się narobiło, pomyślałem. A potem się

ucieszyłem, że mnie tam wtedy nie było. Podobno wszyscy ochroniarze zginęli. – Spojrzał na nich wyczekująco, jednak gdy policjanci nic nie powiedzieli, kolano znów zaczęło mu się trząść. – Potem pomyślałem, że nie mam już roboty, więc zostałem w Meksyku trochę dłużej.

– Co to za kuzyn? – zapytała Marge.

Pine wydawał się zdezorientowany.

– Jaki kuzyn?

– Ten, od którego dowiedziałeś się o morderstwie – wyjaśnił Oliver.

– Po co to wam?

– Żeby potwierdził twoje alibi – odparła Marge.

– A**...** no tak. To nie jest mój prawdziwy kuzyn, ale jesteśmy jak bracia, wiecie?

– Jak się nazywa? – zapytał Oliver.

– Martin Cruces. Też pracował u Kaffeyów.

Marge z trudem zachowała spokój.

– Wiemy. Jest na naszej liście.

– To on mi naraił tę robotę.

– Martin?

– Tak.

– I to on zadzwonił do ciebie i powiedział ci o morderstwach? – dopytywał się Oliver.

– Tak, wszystko mi o nich powiedział. Ale jatka.

– Martin ma kłopoty – oświadczyła Marge. – Czy o tym też ci powiedział?

Pine zamarł na chwilę, po czym niemal zawołał:

– Pieprzenie! Dopiero co z nim gadałem. Nic mi o tym nie

mówił.

– Ty dopiero co z nim gadałeś, a my dopiero co go aresztowaliśmy – powiedziała Marge.

– Jest w sali obok i właśnie rozmawia z naszymi kolegami z wydziału zabójstw.

– Więc jeśli masz nam coś do powiedzenia, to właśnie jest ten moment – dodała Marge.

– Nie mam wam nic do powiedzenia. – Pine wyraźnie się denerwował.

– Dziwne – powiedział Oliver – bo Martin miał nam mnóstwo do powiedzenia.

– Znaleźliśmy twoje odciski palców na Ranczu Kojota, Joe – dodała Marge.

– Nic dziwnego – odparł Pine. – W końcu tam pracowałem.

– Znaleźliśmy krwawe ślady zostawione przez osobę, która była tam podczas napadu – sprecyzowała Marge.

– Jesteś w ciemnej dupie, stary – stwierdził Oliver. – Mamy tu Martina, nawija, aż miło**...** To może być twoja jedyna szansa na wyjaśnienie tego, co się stało.

– Na twoim miejscu nie pozwoliłabym, żeby Martin mówił za was obu – dodała Marge.

– Chcemy posłuchać twojej wersji – naciskał Oliver.

Jednak Pine nie dawał się podpuścić i po prostu milczał.

– Hej, Joe, może po prostu coś poszło nie tak – zasugerowała po jakimś czasie Marge. – Może przyniosłeś tam broń tylko do obrony własnej.

– Albo może chciałeś ich tylko nastraszyć – dodał Oliver. – Jeśli to był wypadek, zrozumiemy.

– Nie było mnie tam – obstawał przy swoim Pine.

– Są tam twoje odciski palców, Joe – powiedziała Marge. – Odciski palców nie kłamią.

– W odróżnieniu od gliniarzy – odgryzł się Pine. – Próbujecie mnie wrobić.

– Nie, Joe, nie o to nam chodzi. Chcemy poznać prawdę, to wszystko.

– Nie poznalibyście prawdy, nawet gdyby ugryzła was w dupę! – dalej złościł się Pine. – Założę się, że nawet nie aresztowaliście Martina.

– No to poczekaj chwilę. – Marge wstała. – Zobaczymy, może to cię przekona.

Wyszli z Oliverem, a gdy wrócili po kilku minutach, Marge położyła przed Pinem sześć polaroidowych zdjęć ubranego w kurtkę i dżinsy Martina Crucesa podczas przesłuchania prowadzonego przez Messinga i Pratt.

– Popatrz na datę na tych zdjęciach.

Pine zerknął na fotografie i wzruszył ramionami.

– To mogą być fałszywki. Zrobilibyście wszystko, żeby tylko przyłapać mnie na kłamstwach.

– Właśnie o to chodzi – przyznał Oliver. – Nie chcemy kłamstw. Chcemy prawdy.

– I Martin nam ją dostarcza – dodała Marge. – Ciekawi nas tylko, czy jego prawda jest taka sama jak twoja.

– Nie było mnie tam.

– Byłeś. Mamy świadków, którzy twierdzą, że tam byłeś. Ten facet, do którego mieszkania się włamałeś, słyszał ludzi rozmawiających o tym. Podsłuchał ludzi, którzy mówili

o tobie. O tym, że Martin wkurzył się na ciebie, bo nie wykończyłeś Gila Kaffeya.

– Nie było mnie tam.

– Twoje odciski palców świadczą o czymś przeciwnym.

– Kłamiecie. Nie było mnie tam.

– Nie, to ty kłamiesz. Byłeś tam – powtórzyła Marge. – Możesz dalej kłamać albo możesz powiedzieć prawdę i pomóc sobie.

Coś w końcu dotarło do Pine'a. Mimo to upłynęło kolejne kilka godzin, podczas których policjanci wypili kilka kubków kawy i zjedli pół tuzina batoników, zanim dostrzegli, że zaczyna się łamać. Wyszli z sali, zostawiając go samego, żeby trochę dojrzał.

Przez kilka minut obserwowali go na monitorze. W końcu Marge spojrzała na zegar.

– Decker wraca za dwie godziny. Dobrze by było do tego czasu mieć to z głowy.

– Zaczyna się łamać – odparł Martin. – Najwyższa pora wspomnieć o Rondo Martinie.

Marge pociągnęła łyk wody i popatrzyła na Messinga i Pratt przyciskających Crucesa. Podkręciła głos. Wynona właśnie próbowała nakłonić Crucesa do mówienia o morderstwach.

– Znaleźliśmy na miejscu zbrodni twoje odciski palców. Mamy również świadków, którzy słyszeli, jak o tym mówisz. A do tego w sąsiedniej sali siedzi Joe Pine. Puścił farbę. Chcemy teraz poznać twoją wersję.

Marge ściszyła, po czym powiedziała:

– Idziemy.

Wrócili do sali przesłuchań.

– Przed chwilą słuchałam zeznań Martina Crucesa, Joe. Mówię ci, to twoja ostatnia szansa, żebyś przedstawił nam swoją wersję zdarzeń.

– Nie było**...** – Westchnął i odchylił się na krześle. – Muszę się przespać. Może potem coś wam powiem.

– Na miejscu zbrodni znaleźliśmy twoje odciski palców – przypomniał mu Oliver. – Mamy też naocznego świadka, który nam wszystko powiedział. Po prostu powiedz nam, co się stało.

– Jakiego naocznego świadka? – wyjąkał Pine.

– Joe**...** – wyszeptała Marge, nachylając się do niego. – Naprawdę myślisz, że tak byśmy cię przyciskali, gdybyśmy na miejscu zbrodni nie znaleźli twoich odcisków palców? Naprawdę myślisz, że tak byśmy na ciebie naciskali, gdybyśmy nie mieli świadka, który zeznał, że popatrzyłeś mu w oczy, a potem pociągnąłeś za spust? Naprawdę myślisz, że aresztowalibyśmy cię pod zarzutem morderstwa, gdybyśmy nie mieli solidnych dowodów?

– Kłamiecie – odparł Pine.

Marge przysunęła się do niego i powiedziała cichym głosem:

– Nie kłamiemy, Joe. Martin Cruces zaczął mówić. Nie chciałabym, żeby zrzucił całą winę na ciebie, chociaż byłeś tylko trybikiem w maszynie. Najwyższa pora pokazać, że masz jaja. Musisz zacząć myśleć o sobie. Bo nie wyjaśnisz tych odcisków palców i nie podważysz zeznań świadka.

– Nie macie żadnego naocznego świadka – upierał się Pine. – Ten dureń coś podsłuchał, ale nigdy nie widział mnie na oczy!

– Który dureń? – zapytała Marge.

– Ten z sądu.

– Ten, do którego się włamałeś?

Pine nie odpowiedział.

– Joe, wiemy, że to nie było przypadkowe włamanie. Kto cię tam wysłał?

– No dobra**...** – Pine zrobił głęboki wdech. – Dobra, powiem wam. Martin wysłał mnie tam, żebym nastraszył tego gościa. Do tego jednego mogę się przyznać.

– Dlaczego Martin Cruces wysłał cię, żebyś go postraszył? – nie ustępowała Marge.

– Gość podsłuchał kuzyna Martina, jak mówił o jakichś morderstwach. Pieprzony idiota!

– Opowiedz nam o tym – zachęcił go Oliver.

Pine westchnął.

– Mógłbym coś zjeść?

Marge wyszła z sali i po chwili wróciła z talerzem pełnym słodyczy.

Pine rozwinął opakowanie snickersa i władował sobie połowę do ust.

– Cruces powiedział, że ten gość z sądu podsłuchał jego kuzyna debila mówiącego o jakichś morderstwach. Kazał mi się włamać do jego domu i go postraszyć.

– Dlaczego ty miałeś to zrobić? – zdziwił się Oliver. – Czemu nie zajął się tym kuzyn dureń?

– To idiota, któremu nic nie wychodzi. Dał się aresztować, zanim dorwał tego gościa z sądu.

– Jak się nazywa ten kuzyn? – zapytał Oliver.

– Alejandro Brand.

Trafiony, pomyślała Marge z triumfem.

– Ten gość z sądu podsłuchał Branda mówiącego o morderstwach?

– Zgadza się.

– Co takiego słyszał ten gość z sądu?

– Nie mam pojęcia, ale Cruces się strasznie wnerwił. Dlatego powiedział, żebym go**...** postraszył.

Marge postanowiła ruszyć do ataku.

– Martin Cruces cię nie okłamał, Joe.

– Gość z sądu podsłuchał Branda, jak mówił o morderstwach u Kaffeyów – dodał Oliver.

– Gość z sądu podsłuchał Branda, jak mówił o Martinie Crucesie**...** a także o tobie.

– O tym, że spieprzyłeś sprawę, bo nie zabiłeś Gila Kaffeya – powiedział Oliver.

Pine dokończył batonik.

– To kłamstwo. Nie było mnie tam. Gość z sądu kłamie.

– Brand miał za długi język, więc Martin Cruces kazał mu pozbyć się tego gościa, tak? – zapytała Marge.

– To pierwsza prawdziwa rzecz, jaką powiedzieliście od czterech godzin. Cruces kazał to zrobić Brandowi, nie mnie. Zlecił to Brandowi. Tyle że Alejandro wszystko spieprzył i dał się aresztować. Wtedy Cruces poprosił o to innego kuzyna, Estebana Cruza.

– A kiedy Cruzowi też się nie udało, Martin wziął cię w obroty. Powiedział, że albo przyjedziesz z Meksyku i dokończysz robotę, albo dobierze ci się do dupy – domyśliła się Marge. – Taka jest prawda, Joe. Martin cię opieprzył i kazał włamać się do mieszkania gościa z sądu i go wykończyć.

– Czy właśnie to kazał ci zrobić Cruces? – zapytał Oliver.

– Tak. – Pine otarł pot spływający do oczu. – Ale ja postanowiłem go tylko nastraszyć.

Trafiony po raz drugi! Właśnie się przyznał, że on i Cruces działali w zmowie przeciwko Brettowi Harrimanowi.

– Tak więc mamy zeznania gościa z sądu, mamy twoje odciski palców**...** Może po prostu nam powiesz, co się stało?

– Zapomniałaś o czymś – włączył się Oliver.

– O czym?

– O naszym naocznym świadku. – Oliver odchylił się na krześle. – Joe, kilka godzin temu powiedziałeś nam, że wszyscy ochroniarze zostali zabici. Ale to nieprawda.

Gdy Pine milczał, Marge dodała:

– Rondo Martin przeżył. I złożył zeznania.

– Tak więc mamy Martina Crucesa przedstawiającego swoją wersję zdarzeń, mamy Rondo Martina przedstawiającego swoją wersję zdarzeń i gościa z sądu przedstawiającego swoją wersję zdarzeń – wyliczył Oliver.

Marge nachyliła się do Pine’a.

– Może najwyższa pora, żebyś przedstawił nam swoją?

– Joe, to naprawdę łatwe – dodał Oliver. – Po prostu opowiedz nam, co się stało.

Kilka sekund później Pine zaczął mówić.

A kiedy już zaczął, to mówił i mówił, i mówił, i mówił, i mówił, i mówił.

Chociaż Marge usiłowała zachować powagę, w duchu uśmiechała się szeroko.

Trafiony, zatopiony!

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Nieoficjalne transkrypcje nagrań liczyły dziesiątki stron. Marge przekazała je Deckerowi.

– Zrobiono je za pomocą programu do rozpoznawania głosu – wyjaśniła. – Potem Lee zaprogramował system tak, żeby przypisał każdą wypowiedź określonemu rozmówcy. Jest tam sporo pomyłek, ale powinieneś się zorientować w przebiegu przesłuchania.

Decker przekartkował plik papierów.

– Co się dzieje z Martinem Crucesem?

– Messing i Pratt dalej nad nim pracują.

– Jak długo?

– Z siedem godzin. Pomyśleliśmy, że skoro tu jesteś, może twoja ranga zrobi na nim jakieś wrażenie.

– Przez siedem godzin nie poprosił o prawnika?

– Nie. Ciągle jeszcze się łudzi, że uda mu się wykręcić od odpowiedzialności, ale pętla się zaciska. Na końcu tej transkrypcji Joe podaje nazwiska.

– Coś z niego w końcu wydobędziemy. – Oliver nawet nie próbował stłumić solidnego ziewnięcia

– Spaliście w ogóle? – zapytał ich Decker.

– Jeszcze nie.

– Chcecie jechać do domu?

– Zapomnij – zaprotestował Oliver.

Marge podzielała jego opinię.

Decker zdołał powstrzymać ziewnięcie.

– Dobra. Dajcie mi to przejrzeć, żebym był na bieżąco, potem wezmę się do Crucesa.

– Dobry pomysł – pochwalił go Oliver. – Chcesz kawy? Wszyscy tu się napędzamy kofeiną.

– Bardzo chętnie.

Kilka minut później Decker powędrował do swojego gabinetu, dzierżąc w dłoni pełen kubek. Potem zamknął drzwi i zagrzebał się w transkrypcjach. Tekst roił się od literówek, ale mózg Deckera bez trudu to wszystko prostował. Początkowe dwie trzecie przesłuchania Marge i Oliver spędzili na przekonywaniu Pine'a, by się przyznał. Uciekali się przy tym do wszystkiego, począwszy od współczucia, a skończywszy na kłamstwach.

Dopiero sama końcówka była interesująca. Chociaż wydrukowanym słowom brakowało emocji, może tak właśnie było lepiej, bo nic nie zaburzało kontaktu Deckera z tekstem.

SCOTT OLIVER: Zacznijmy od początku, Joe. Jak wplątałeś się w te zabójstwa?

JOE PINE: To nie miało tak wyglądać.

MARGE DUNN: To co się miało zdarzyć?

JOE PINE: Nikomu nie miała się stać krzywda. To miała być zwykła kradzież.

MARGE DUNN: To jak wplątałeś się w tę kradzież?

JOE PINE: Przez Martina Crucesa. To jego plan.

MARGE DUNN: Jaki plan?

JOE PINE: No wiecie, żeby zgarnąć sporo kasy. Planował to od dłuższego czasu.

SCOTT OLIVER: Od jak dawna?

JOE PINE: Od dawna.

SCOTT OLIVER: Tygodniami? Miesiącami?

JOE PINE: Może z pół roku.

MARGE DUNN: To długo.

(*Widząc, że poniżej znajduje się kolejna wypowiedź Marge, Decker uznał, że oznaczało to chwilę ciszy w przesłuchaniu*).

MARGE DUNN: Wspomniałeś o pieniądzach, o tym, że chciał je zdobyć. Co to miało być? Gotówka? Biżuteria? Wartościowe przedmioty?

JOE PINE: Twierdził, że stary trzyma pokaźną ilość gotówki w sejfie. Nigdy nie widziałem tam żadnego sejfu, ale czemu miałbym mu nie wierzyć?

MARGARET DUNN: Znaleźliście ten sejf?

JOE PINE: Nie, bo szybko zrobił się burdel.

MARGE DUNN: Zabraliście coś w ogóle?

JOE PINE: Trochę gotówki, pierścionków i jakieś pierdoły. Nie mieliśmy czasu, żeby szukać. Cruces kazał nam pochować Denny’ego, więc zgarnęliśmy tylko to, co leżało na wierzchu.

SCOTT OLIVER: Skoro to była kradzież, to skąd trupy? I dlaczego Denny’ego trzeba było pochować? Przecież nie tylko on zginął. Nie prościej było dobrać się do sejfu, a potem uciec?

JOE PINE: Po śmierci Guya i Gilliam zrobił się z tym problem. Cruces mówił, że sprawdzą wszystkich ochroniarzy. Twierdził, że jak pochowamy Denny’ego, to wszyscy pomyślą, że to jego sprawka i że gdzieś zwiał.

SCOTT OLIVER: A co z Rondo Martinem?

JOE PINE: Cruces obiecał, że zajmie się nim osobiście.

SCOTT OLIVER: Joe, wszystko wskazuje na to, że od samego początku planowano morderstwo.

JOE PINE: To miała być kradzież, ale wszystko się popieprzyło.

SCOTT OLIVER: Przecież od razu wiedzieliście, że będziecie go chować w końskim grobie.

JOE PINE: Cruces kazał nam się go pozbyć. Zacząłem kopać, ale ziemia była twarda jak beton. Wtedy sobie przypomniałem o tych martwych koniach. Pomyślałem, że tam pewnie będzie łatwiej kopać.

MARGE DUNN: Tyle tylko, że zakopałeś go dużo głębiej. To musiało zająć sporo czasu. Skąd go tyle miałeś?

JOE PINE: Pracowałem dość szybko. Zresztą słabo pamiętam tę noc.

(*Decker zastanowił się nad jego słowami. Doskonale. Wykorzystanie końskiego grobu świadczyło o tym, że mieli do czynienia z dokładnie zaplanowaną egzekucją. Jego koledzy musieli tylko wydobyć to z Pine'a. Wrócił do lektury*).

MARGE DUNN: Gdybym to ja planowała zabicie Denny'ego i Rondo Martina, pewnie chciałabym też wyeliminować wszystkich świadków, w tym Guya, Gilliam i Gila Kaffeyów.

JOE PINE: Zgadza się. Gdy tylko Rondo się urwał, Cruces zdecydował, że trzeba wszystkich rozwalić. Ale na początku plan wyglądał zupełnie inaczej. Mieliśmy broń, ale to miał być zwykły napad. Chcieliśmy przestraszyć starego, żeby uwierzył, że działamy na poważnie. To właśnie dlatego jego

syn musiał być na miejscu. I żona. Widząc, jak przystawiamy im spluwy do głowy, musiałby się zgodzić na**...** współpracę. Nikomu nie miała się stać żadna krzywda. To dlatego zmontowaliśmy tak dużą ekipę. Chcieliśmy pokazać, że jesteśmy poważni, i mieć pewność, że nikomu nic się nie stanie.

SCOTT OLIVER: Mimo to zostawiliście za sobą trupy, choć nie było tego w planach.

JOE PINE: Nie pakowałbym się w to, gdybym wiedział, że ktoś zginie. To miał być napad.

(*Decker pokręcił głową*).

MARGE DUNN: Ilu ludzi brało w tym udział?

JOE PINE: Myślę, że sześciu.

JOE PINE: Tak, na pewno sześciu.

SCOTT OLIVER: Czemu tylu?

JOE PINE: Jeden miał zająć się Dennym, drugi Rondo Martinem, trzeci żoną, czwarty synem, a piąty i szósty starym.

MARGE DUNN: Musimy poznać nazwiska.

MARGE DUNN: Joe, jeśli chcesz, żebyśmy ci pomogli, ty również musisz nam pomóc. Współpraca to dla ciebie najlepsze wyjście.

(*Pine wciąż się opierał i nie chciał wydać pozostałych, więc Scott spróbował innej taktyki*).

SCOTT OLIVER: Mieliście sześciu ludzi, po jednym na każdego członka rodziny, jednego dla Rondo Martina, jednego dla Danny’ego, dwóch dla starego.

JOE PINE: Tak.

SCOTT OLIVER: A co z pokojówką?

JOE PINE: To właśnie przez nią wszystko się spierdoliło. Nie powinno jej tam być, o tej porze miała być w kościele. Wiedzieliśmy to, tak samo jak to, że dostaniemy się do głównego budynku przez jej pokój. To znaczy Martin wiedział**...** Tak, to chyba on to mówił. W każdym razie mieliśmy wejść przez sypialnię pokojówki, ale nie wiedzieliśmy, że mieszkają tam we dwie. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć i wszystkim odbiło.

MARGE DUNN: Co się stało?

JOE PINE: Gordo próbował ją uciszyć, ale nic to nie dało, bo ta kretynka dalej się darła. Więc Martin ją załatwił.

MARGE DUNN: Joe, potrzebujemy nazwisk.

MARGE DUNN: Joe, jeśli nam nie pomożesz, jakim cudem mamy ci pomóc?

SCOTT OLIVER: Gra idzie o przetrwanie. Albo ty ich wystawisz, albo oni ciebie.

SCOTT OLIVER: Wyglądasz na porządnego gościa. Wierzę, że nikogo nie chciałeś skrzywdzić. Czemu masz ponosić za nich odpowiedzialność.

MARGE DUNN: Zacznij od jakiegoś nazwiska. Mówiłeś o Gordo. Kim jest Gordo?

JOE PINE: Gordo Cruces.

Marge Dunn: Widzisz? To nic trudnego. Gordo Cruces. Jakiś krewny Martina?

JOE PINE: Pewnie jakiś jego kuzyn. Martin ma całą bandę kuzynów.

SCOTT OLIVER: No to mamy już Martina, Gordo i ciebie.

Daj nam jeszcze jakieś nazwisko.

JOE PINE: O Estebanie Cruzie już wiecie. Przecież go zamknęliście.

(*Nie do końca odpowiadało to prawdzie. Tylko go zatrzymali. Ale nie musiał o tym wiedzieć*).

JOE PINE: Cruz miał dwa proste zadania i oba zawalił. Tak się kończy zatrudnianie krewniaków. To wtedy Martin kazał mi zbierać dupę w troki i wracać z Meksyku, choć najpierw sam mnie tam wysłał.

MARGE DUNN: Czemu?

JOE PINE: No dobra, może nie wysłał, sam po prostu wyjechałem. Ale Martin wiedział, gdzie mnie szukać. Zadzwonił do mnie i postraszył, że jeśli się nie zajmę tym szalonym gringo, to on sam zajmie się mną.

JOE PINE: Mogłem wcale tu nie wracać.

MARGE DUNN: Jakim gringo?

JOE PINE: Przecież wiecie. Ten gość z sądu. Nie zrobiłem mu krzywdy.

MARGE DUNN: No dobra, mamy już cztery nazwiska. Jeszcze dwa.

JOE PINE: Cruces sprowadził też Miguela Mendozę i Julio Davisa z gangu Bodega z Dwunastej Ulicy.

MARGE DUNN: Julio Davis zaginął. Może też uciekł do Meksyku?

JOE PINE: A gdybym wam powiedział, gdzie jest? Co z tego bym miał?

MARGE DUNN: Nie wiem. Dowiem się.

JOE PINE: To wtedy mnie zapytaj.

MARGE DUNN: A co z Alejandrem Brandem?

JOE PINE: Brand to kretyn**...** pojebany pijaczyna. Wpadłem przez jego niewyparzony ryj. Kiedy powiedział Crucesowi, że ten gringo podsłuchał go w sądzie, Cruces poprosił Estebana, żeby zajął się nimi obydwoma.

MARGE DUNN: Poprosił Estebana o zabicie swojego kuzyna?

JOE PINE: Więzy krwi obowiązują tylko do pewnego momentu.

SCOTT OLIVER: Co się działo dalej?

JOE PINE: Brand został aresztowany, zanim Esteban zdążył go dopaść. A potem, kiedy próbował zrobić porządek z tym gringo, ten idiota dał się złapać policji.

SCOTT OLIVER: Który idiota?

JOE PINE: Esteban Cruz.

SCOTT OLIVER: Co łączy Crucesa z Cruzem i Brandem?

JOE PINE: Chyba są kuzynami.

MARGE DUNN: Kto wybierał ludzi do tego morderstwa?

JOE PINE: Napadu, nie morderstwa. Cruces to wszystko poustawiał.

MARGE DUNN: Czyli Martin zaplanował te morderstwa**...**

JOE PINE: Napad.

MARGE DUNN: Ten napad. Ile ci zapłacił?

JOE PINE: Za mało.

SCOTT OLIVER: A dokładnie ile?

JOE PINE: Dziesięć kawałków i wszystko, co udało mi się ukraść i opchnąć.

MARGE DUNN: Cruces zapłacił ci dziesięć tysięcy?

JOE PINE: Sporo kasy, nie?

SCOTT OLIVER: Od cholery. Innym też tyle płacił?

JOE PINE: Nie wiem. Nie pytałem.

SCOTT OLIVER: Myślisz, że dostali tyle samo?

JOE PINE: Może trochę mniej. Powiedziałem Martinowi, że potrzebuję sporo kasy, bo gliny sprawdzały każdego ochroniarza pracującego dla Kaffeyów. Więc jeśli potrzebował mojej pomocy, musiał wyłożyć gotówkę.

SCOTT OLIVER: Skąd ją miał?

JOE PINE: Nie wiem.

SCOTT OLIVER: Postaraj się, Joe, jeśli chcesz naszej pomocy. Skąd Martin Cruces wziął te dziesięć kawałków?

JOE PINE: Może poszczęściło mu się przy kartach?

SCOTT OLIVER: Nawet jeśli pozostali dostali mniej kasy, Cruces musiał skądś wykombinować te pieniądze. Jakim cudem dwudziestopięcioletni ochroniarz mógł dysponować taką gotówką?

JOE PINE: Nie wiem. Nie pytałem.

MARGE DUNN: To jakieś wariactwo, Joe. Nikt nie uwierzy, że o nic nie pytałeś, gdy Cruces dał ci dziesięć tysięcy za nielegalną robotę.

JOE PINE: Dostałem od niego mnóstwo kasy na zorganizowanie tego napadu. Nie pytałem, skąd ją ma.

SCOTT OLIVER: Nie wierzę ci.

(*Decker czytał dalej. Wciąż naciskali na Pine'a, ale dopiero dwie strony przed końcem udało im się wydusić kolejne informacje*).

JOE PINE: No dobra, skoro tak nalegacie, to powiem wam,

że Cruces przechwalał się, że ma jakiegoś bogatego tatuśka, który za to wszystko płaci. Mówił o nim „el patrón”, ale nigdy nie wspomniał nazwiska.

JOE PINE: Przysięgam, nigdy nie powiedział, kto to.

SCOTT OLIVER: I nie domyślasz się, kogo Cruces miał na myśli? Kim jest ten el patrón?

JOE PINE: Nie wiem.

MARGE DUNN: Daj spokój, Joe. Musisz się bardziej postarać.

(*Policjanci nadal go przekonują*).

JOE PINE: Przysięgam, że nie wiem. Pewnie ktoś z dużą kasą, ktoś, kto nienawidził tego starego gościa. Ale Cruces nigdy nie powiedział, kto to.

Decker dotarł do końca transkrypcji, dopijając trzeci kubek kawy. Uzbrojony w nową wiedzę i świeży zapas czarnego naparu, był gotów zmierzyć się z Crucesem.

– Cześć, Martin. Co u ciebie? – zapytał, wchodząc do sali przesłuchań.

Cruces spojrzał na niego ponad stołem. Mimo zmęczenia widocznego na twarzy i przekrwionych oczu wyglądał całkiem nieźle. Miał symetryczne rysy twarzy, ciemne włosy i takiż wąsik, wystające kości policzkowe i kwadratową szczękę.

– Kim pan jest? – zapytał.

– Porucznik Peter Decker. Potrzebujesz czegoś?

– Pan jest tu szefem? – Martin mówił z trudem.

– Dowodzę wydziałem zabójstw.

– To niech pan powie swoim ludziom, żeby przestali

kłamać.

– A na jaki temat kłamią? – Porucznik usiadł naprzeciwko. Później, gdy będzie musiał go zastraszyć lub przekonać, siądzie tuż obok. Zależy, jak potoczy się rozmowa.

– Wmawiają mi, że jestem wplątany w zabójstwo Kaffeyów. A ja nawet nie byłem w pobliżu Rancza Kojota. Chlałem wtedy w barze. Sprawdziliście moje alibi. Wiecie, że wszystko się zgadza. Czemu mnie ciągle nękacie?

– Bo na miejscu zbrodni znaleźliśmy zakrwawiony odcisk twojego palca.

– Bzdura.

– Odciski nie kłamią.

– Ale wy tak.

– Zdarza się – przyznał Decker. – Ale nie tym razem.

– Dlaczego mam panu wierzyć?

– Wcale mnie nie obchodzi, czy mi wierzysz. Mamy twój odcisk, a ty masz naprawdę spore kłopoty. Poza dowodami dysponujemy też świadkiem, który łączy cię z miejscem zdarzenia. – Nachylił się do niego. – Znalazłem Rondo Martina. Przesłuchiwałem go całą ostatnią dobę. Jest zamknięty w takim miejscu, że na pewno go nie dopadniesz. Żaden z twoich kuzynów też nie, bo większość z nich aresztowaliśmy. A Rondo nie może się już doczekać, kiedy zacznie przeciwko tobie zeznawać.

– Nie macie pojęcia, ilu mam kuzynów – odparł Cruces, patrząc w górę, a potem zamknął oczy.

– Martin**...** – Decker przesiadł się na środkowe krzesło. – Nawet gdyby komuś udało się rozwalić Rondo Martina, nic

by ci z tego nie przyszło. Mamy jego zeznania na wideo oraz ich kopie. Zacznij z nami rozmawiać, to jedyny sposób, żebyś sobie jakoś pomógł.

– Nie widziałem żadnych nagrań.

Bo oczywiście żadnych nagrań nie było. Ale słysząc o licznych kuzynach, Decker uznał, że dobrze będzie go czymś postraszyć. Faktycznie mógł przygotować jakieś nagranie na wszelki wypadek.

– Dlaczego mielibyśmy ci je pokazywać?

– Chciałbym je zobaczyć.

– Zacznij współpracować, to jest szansa, że ci je pokażę. Posłuchaj mnie, Martin, José Pinon powiedział nam o tobie, Estebanie, Miguelu, Gordo Crucesie i Julio Davisie, tym gościu, który zapewnił ci alibi. Powiedział nam także, gdzie go znajdziemy. Mamy twój odcisk oraz świadka.

– Nie było mnie tam.

– Daj spokój, Martin. Joe powiedział nam o wszystkim ze strachu przed karą śmierci.

– Czyli José próbuje ocalić swoją skórę, a ja mam się bać? To jakaś bzdura.

– Nie chodzi tylko o niego. Mówimy tu o nim i reszcie twoich ziomków z gangu Bodega z Dwunastej Ulicy. Mamy ich wszystkich, nie siedzi jeszcze tylko Julio. – Decker uznał, że odrobina prawdy nie zaszkodzi. – Ale go znajdziemy. To tylko kwestia czasu.

– Obawiam się, że macie problem. – Cruces roześmiał się. – Bo José wciska wam kit.

– Ale całkiem sensowne. Jasne, na pewno trochę nas

wkręca, ale jego opowieść ma ręce i nogi i znajduje potwierdzenie w dowodach. Mówi, że to ty za wszystko odpowiadasz. To twój plan i ty zapłaciłeś każdemu ze swoich kuzynów po dziesięć tysięcy za pomoc. Zrozum, to koniec. Zacznij nam pomagać, to my ci też pomożemy.

Cruces milczał.

– Skąd miałeś te pieniądze?

– José was okłamuje! Ile razy mam to jeszcze powtórzyć?

– Dlaczego mam ci wierzyć, skoro mam odcisk twojego palca, zeznanie Rondo Martina, no i zeznanie Joego Pine'a, który wszystko wyśpiewał?

– Rondo też kłamie. Nienawidzi mnie.

– Ale odciski nie kłamią. – Decker nachylił się bliżej. – Martin, wiem, że nie zaplanowałeś tego sam. Od samego początku wiemy, że zapłacił ci ktoś, kto chciał się pozbyć Kaffeyów. Ktoś z dużym zapasem gotówki. Pomóż samemu sobie i powiedz, kto to sfinansował.

– Nikt mi nie płacił. Dlaczego to do was nie dociera? Nie było mnie tam. I będę to powtarzał tak długo, aż mnie wypuścicie.

– Nigdy stąd nie wyjdziesz. Mamy dość informacji, żeby cię wsadzić za trzy morderstwa zaplanowane z zimną krwią. Za to grozi kara śmierci, a biorąc pod uwagę brutalność tych mordów, żaden sędzia się nie zawaha. Naprawdę tego chcesz?

– Nie było mnie tam!

Decker męczył go jeszcze dobrą godzinę, lecz Martin trwał w swoim uporze. Jeśli wytrzymywał to przez osiem godzin

poprzedzających wizytę porucznika, dlaczego teraz miałby się poddać?

Decker musiał uzbroić się w cierpliwość. Przypomniał sobie o konferencji, w której uczestniczył przed dziesięcioma laty. Prelegent opowiadał o pewnym psychiatrze, mistrzu hipnozy. Czasem, zamiast zmagać się z oporem pacjenta, lekarz wykorzystywał go dla swoich celów. Chyba nie zaszkodzi przez chwilę poudawać, że uwierzył w kłamstwo Crucesa?

– No dobra – stwierdził w końcu. – Nie było cię tam. Wierzę.

Martin Cruces spojrzał na niego spod przymrużonych powiek.

– Zgadza się – odpowiedział ostrożnie.

– Nie było cię na miejscu zdarzenia. Rondo Martin się myli. Joe Pine się myli, to nie twój odcisk, nigdy tam nie byłeś.

– Prawda.

– Dobra. – Decker pokiwał głową. – Wierzę ci.

Długa chwila ciszy.

– To dobrze – stwierdził w końcu Cruces.

– Wiesz, czemu ci wierzę?

– Czemu?

– Bo przesłuchuję cię od długiego czasu, a ty wciąż powtarzasz, że cię tam nie było. Musiałem się zastanowić, dlaczego wciąż zaprzeczasz, choć wszystkie dowody mówią coś innego. I wydaje mi się, że nie ma innego wyjaśnienia. To musi być prawda.

– Zgadza się. – Cruces wyprostował się na krześle.

– Wiemy już, że cię tam nie było – podjął Decker. – Ale

wiemy też, że znałeś kilku z tych ludzi.

– Nie wiem, kto tam był.

– Mówię tylko, że znasz Joego Pine’a, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Podobnie jak znasz Estebana Cruza i Gordo Crucesa. To twoi kuzyni, zgadza się?

– Tak, to moi kuzyni.

– Znasz też Julia Davisa. To on zapewnił ci alibi.

– Tak, znam Julia. Ale jego tam również nie było. Obaj piliśmy w barze. Widział nas jakiś milion ludzi.

– Wiem, że znasz też Miguela Mendozę.

– Gadałem z nim milion razy.

– Właśnie o tym mówię. To są ci wszyscy goście, którzy według Joego Pine’a byli zamieszani w te morderstwa.

– Joe opowiada bzdury.

– Zapewne. Ale wróćmy do ciebie. Skoro w ciebie wierzę i chcę ci pomóc, ty też musisz mi pomóc.

– Zależy w czym.

– Możemy porozmawiać wprost? – zaproponował Decker. Widząc, że Cruces się nie sprzeciwia, mówił dalej: – Prawdę mówiąc, mamy tu pewien dylemat. Wiemy, że ktoś zapłacił mnóstwo kasy tym ludziom, którzy zamordowali Kaffeyów. Sam Joe Pine dostał dziesięć kawałków.

– Joe wciska wam kit.

Decker nachylił się jeszcze bliżej.

– Wiemy, że zabójstwo Kaffeyów to wewnętrzna robota. Na pewno nie zaplanowała jej ekipa ziomów z gangu Bodega z Dwunastej Ulicy i kilku ochroniarzy. Wiemy, że ktoś

wyłożył na to spore pieniądze.

Cruces skinął głową, ale dalej milczał.

– Ktokolwiek to zrobił, to naprawdę zły facet. Dlaczego twoi kuzyni mieliby odpowiadać za jakiegoś bogacza?

Martin nadal milczał.

– Posłuchaj, nie masz z tym przecież nic wspólnego – naciskał dalej Decker. – Nic ci nie grozi. Więc czemu nie pokażesz, że masz jaja, i nie pomożesz swoim kuzynom? Powiedz mi, od kogo dostali pieniądze za zabicie Kaffeyów.

– Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

– Ale na pewno podejrzewasz, kim jest el patrón, prawda? Wiesz, kim on jest?

– A skąd niby miałbym wiedzieć?

– Bo jesteś graczem. Znasz takich ludzi.

Milczenie.

– Kim jest el patrón?

– Skąd miałbym to wiedzieć?

– Pytam jedynie o twoje zdanie.

– Cóż**...** – Cruces oparł się na krześle. – Jeśli podzielę się swoim zdaniem, to mnie pan wypuści?

– To nie ode mnie zależy, ale powiem wszystkim, że ci wierzę. I że bardzo mi pomogłeś, dzieląc się swoją opinią.

– Czyli w sumie gówno zrobisz?

– Co ci zaszkodzi powiedzieć? Do niczego się przecież nie przyznajesz.

– Zgadza się. Nic nie powiedziałem.

Decker westchnął teatralnie.

– Wiem, że możesz mi pomóc. Jesteś rozgarnięty.

– Dlaczego miałbym panu pomóc?

– Dlatego, że tylko ja ci wierzę.

– Naprawdę, poruczniku?

– Tak, panie Cruces. I chciałbym usłyszeć pańską opinię, bo jest pan bystry. Nic z tego nie zostanie wykorzystane w sądzie. Zależy mi tylko na szczerej odpowiedzi.

Cruces zamrugał i rozsiadł się wygodniej.

– No dobra, oto co myślę: na pańskim miejscu**...** przyjrzałbym się bratu.

– Grantowi czy Gilowi?

– Nie synom, tylko *el hermano*, bratu starego. Mace’owi Kaffeyowi. On na pewno nie przepadał za Guyem.

– Przepraszam na chwilę. – Decker opuścił pokój z szerokim uśmiechem na twarzy.

Czasem wystarczy poprosić.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Trzy tygodnie później Martin Cruces zgodził się złożyć zeznania obciążające Mace’a Kaffeya w zamian za dożywocie z możliwością warunkowego zwolnienia. Jednak nawet wtedy Mace’a wcale nie było tak łatwo pogrążyć. Prokurator wciąż miał za mało dowodów i dalsze śledztwo trwało jeszcze kilka miesięcy. W końcu dzięki zeznaniom Crucesa sędzia zgodził się wydać nakaz pozwalający policji sprawdzić rachunki bankowe Mace’a, jego karty kredytowe, mejle i billingi telefoniczne.

Oliverowi i Marge udało się udokumentować dwie rozmowy Crucesa i Mace’a. Strony zaczęły toczyć zajadły spór o to, czego te rozmowy dotyczyły.

Lee Wang odkrył, że z jednego z rachunków bankowych Mace’a na konto fikcyjnej firmy przelano sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, które potem przelano do kolejnej firmy, a następnie wypłacono Martinowi Crucesowi. Nie zaznaczono, za co konkretnie jest to zapłata, i obie strony się o to spierały. Cruces twierdził, że sto tysięcy miało być dla niego, a pięćdziesiąt tysięcy dla pozostałych uczestników napadu (po dziesięć na łebka). Z kolei prawnicy Mace’a utrzymywali, że to zapłata za wzmocnioną ochronę po tym, gdy Guy zaczął dostawać anonimowe pogróżki. Jednak dlaczego tę zapłatę Mace przekazał Crucesowi, który był tylko zwykłym ochroniarzem, tego obrona już nie wyjaśniła.

Messing i Pratt namierzyli kilka rozmów telefonicznych Crucesa i Kaffeya. Wszystkie przeprowadzono z jednorazowych telefonów komórkowych, których jednak Cruces się nie pozbył. Na szczególną uwagę zasługiwały dwie rozmowy przeprowadzone w noc napadu. Pierwsza miała miejsce przed, a druga po nim.

Wyglądało na to, że to dzięki Willy'emu Brubeckowi zdobyto najbardziej obciążający dowód, czyli broń zarejestrowaną na Mace'a Kaffeya, która pasowała do pocisków wyjętych z jego ciała, a także z ciała Neptune'a Brady'ego. Dlaczego Mace kazał postrzelić się z własnej broni, nie wiadomo, lecz prawdopodobnie miało to więcej wspólnego z desperacją, z paniczną próbą wejścia w rolę ofiary i odsunięcia od siebie podejrzeń niż ze zdrowym rozsądkiem.

Wszystkie te dowody okazały się wystarczające dla prokuratora okręgowego Los Angeles, który wydał rozkaz bezzwłocznego aresztowania podejrzanego.

Mace Kaffey przybył na komisariat otoczony wianuszkiem prawników. Wszyscy twierdzili, że Martin Cruces to psychopata ze skłonnością do konfabulacji, więc jego zeznania są fałszywe. Ich klient został oskarżony, ponieważ policja potrzebowała szybkiego wyjaśnienia tej sprawy. Mace nie przekazywał Crucesowi żadnych pieniędzy ani z nim nie rozmawiał. A rozmowy telefoniczne przeprowadzane z jednorazówek? Kto to może wiedzieć, dlaczego Cruces dzwonił do Mace'a. Poza tym Kaffey właśnie sobie przypomniał, że Guy prosił go o pożyczenie pistoletu.

Najpewniej broń została skradziona podczas napadu na Ranczo Kojota. Obrona twierdziła również, że morderstwa były rezultatem nieudanego rabunku. Po prostu, jak to się niestety zdarza, złodzieje chcieli pozbyć się świadków.

Tak czy inaczej, Mace znalazł się w bardzo trudnej sytuacji i potrzebował wszelkiej pomocy, na jaką tylko mógł sobie pozwolić. Zarzuty ciążące na nim obejmowały zaplanowanie i zlecenie morderstw Guya Kaffeya, Gilliam Kaffey, Denny'ego Orlanda, Alfonsa Lanza, Evana Teasdale'a i Alicii Montoi, a także usiłowanie morderstwa Gila Kaffeya, Granta Kaffeya, Naptune'a Brady'ego, Antoine'a Resseura, Pieta Kotsky'ego, Petera Deckera i Cindy Kutiel. Przygotowania do procesu trwały prawie rok. Mając obfity materiał dowodowy i zeznania głównego świadka, prokurator przekonał ławników, że Mace Kaffey jest winny sześciu przypadków morderstwa pierwszego stopnia oraz próby zamordowania Gila Kaffeya. Natomiast nie byli przekonani, czy jest winny pozostałych zarzucanych mu czynów.

Nie miało to jednak zbyt wielkiego znaczenia. Raczej nieprawdopodobne, by Mace ponownie był sądzony po tym, jak skazano go na karę śmierci.

– Szkoda, że nie byłeś w sądzie – powiedziała Rina.

– Raczej całe szczęście – odparł Decker.

– Dobrze, że nie byłam w tym procesie ławniczką. – Wyrok zapadł przed tygodniem, mimo to wciąż przeżywali całą tę sprawę. – Wyłączyłoby mnie to z normalnego życia na miesiące.

Decker spojrzał na nią znad kieliszka caberneta.

– Odrzuciliby twoją kandydaturę.

Znajdowali się w restauracji Tierra Sur należącej do rodziny Herzogów, znanych producentów wina. Był to ulubiony lokal Deckera. Restauracja mogła się pochwalić uprzejmymi kelnerami, najlepszym koszernym winem, miłą atmosferą i obłędnym szefem kuchni.

– Zdecydowałaś już, co zamówisz?

– Przyglądam się jagnięciu.

– I to miłe stworzonko odwzajemnia spojrzenie?

– Gdyby odwzajemniało, byłoby trochę za mało wysmażone jak na mój gust – powiedziała Rina. – Co za odrażający typ!

– Masz na myśli Mace'a?

– Po prostu w głowie się nie mieści.

– Ten człowiek to zło wcielone – przyznał Decker.

– Ale**...**

Peter wypił łyk wina, po czym spytał:

– Dlaczego, twoim zdaniem, jest jakieś ale?

– Po prostu pamiętam jego spojrzenie**...** – Przerwała na moment. – Tak jakby przepraszał za to, co zrobił.

– Nie kupuję przeprosin kogoś, kto kazał zabić sześć osób, a na dodatek próbował również zabić mnie – skomentował zdecydowanym tonem. – Robią tu bardzo dobrą jagnięcinę. Jeśli chcesz, podzielę się z tobą stekiem.

– Świetnie – odparła Rina. – Zamówię jeszcze do tego frytki.

– Nie rób tego. Zjesz dwie, a ja będę musiał zjeść resztę.

– **Ć**wicz samokontrolę.

– Nie mam samokontroli.

– Więc zajmę cię rozmową. Nie będziesz czuł przymusu

jedzenia.

– Niby jak chcesz to zrobić? – zapytał Decker.

– Chcę poznać twoje zdanie na temat Mace’a Kaffeya. Dlaczego to zrobił?

– Najpewniej nigdy się nie dowiemy. A moje zdanie się nie liczy.

– Liczy się dla mnie – zauważyła Rina.

Decker wpatrzył się w koszyk z chlebem, po czym odsunął go od siebie.

– Może raczej to ty wyjawisz mi swoją opinię? Śledziłaś proces z taką samą uwagą jak ja, a zazwyczaj masz bardzo trafne spostrzeżenia..

– Dziękuję. – Rina wypiła łyk pinot noir. – Ale ty masz dostęp do poufnych informacji.

– Ty pierwsza.

Rina zadumała się na moment, po czym zaczęła mówić:

– To mi przywodzi na myśl rywalizację między rodzeństwem, tak starą jak Biblia. Jednak nie mieliśmy w tym przypadku do czynienia z kłótnią braci. Mace nie zabił Gila pod wpływem impulsu, jak to było z Kainem i Ablem. Te morderstwa zostały starannie zaplanowane. Mimo to nie sądzę, żeby Mace obudził się pewnego ranka z myślą, że jedynym rozwiązaniem jest pozbycie się rodziny. Moim zdaniem raczej dochodził do tego stopniowo.

– Też tak mi się wydaje.

– Myślę, że to splot okoliczności doprowadził Mace’a do tego, co zrobił. Przede wszystkim to, że wziął na siebie całą winę, kiedy firma Kaffeyów miała problemy. Guy wyszedł na

tym wszystkim znacznie lepiej Mace.

– Stracił fotel dyrektora i udziały w firmie, a jego zarobki spadły o połowę. To wszystko prawda, jednak i tak zgarniał kupę kasy – skomentował Decker.

– Nie były to jednak takie sumy, do jakich zdążył się przyzwyczaić – powiedziała Rina. – Wszyscy wiemy, co się działo podczas recesji. Jak trzech milionerów poleciało do Waszyngtonu prywatnymi odrzutowcami, żeby poprosić o miliardy dolarów. Trudno tak z dnia na dzień obniżyć poziom życia.

– Tak, oczywiście**...** – Decker skinął głową.

– Wydaje mi się, że Mace wrócił na Wschodnie Wybrzeże, żeby poprzez Greenridge Project udowodnić coś samemu sobie – ciągnęła Rina. – Kiedy jednak zaczął się kryzys, a projekt przekroczył budżet, Mace zrozumiał, że jego sny o potędze to tylko sny, które nigdy nie zrealizują się na jawie. Stało się jasne, że Guy zamierza się z tego wycofać.

– W prace nad Greenridge zaangażował się również Grant.

– Wiem, jednak Guy zadbałby o syna, natomiast co do brata nie było żadnych gwarancji. Dla Mace'a oznaczałoby to koniec marzeń. Cały jego świat miał się zawalić, a on obwiniał o to Guya. Moim zdaniem tylko o niego mu chodziło. Gilliam i służba prawdopodobnie zginęli przez przypadek, podobnie jak Gil, który ocalał tylko cudem.

– Hm**...** – Decker zamyślił się. – A wiesz, wcale nie jestem tego taki pewien. Myślę, że Mace specjalnie zaczekał do dnia, kiedy Gilliam, Gil i Guy będą razem. Gdyby Gilliam przeżyła, odziedziczyłaby udziały w Kaffey Industries po

mężu, a w wypadku jej śmierci przeszłyby na synów. W wypadku śmierci Gila wszystko trafiłoby do Granta. Nie było możliwości, żeby Grant samodzielnie rządził Kaffey Industries zarówno na Wschodnim Wybrzeżu, jak i na Zachodnim. Poza tym Mace umiał się z nim dogadać. Pewnie miał nadzieję, że Grant odda mu całą działalność biznesową i aktywa zaangażowane na Wschodnim Wybrzeżu, w tym Greenridge Project, a sam zajmie się Zachodnim Wybrzeżem, gdzie znajduje się większość interesów i aktywów firmy.

– A do tego gdyby Grant przeżył, to na nim skupiłyby się podejrzenia jako na głównym spadkobiercy – dodała Rina.

– Żebyś wiedziała – przyznał Decker. – Na początku naprawdę nie wiedzieliśmy, na kim skupić nasze działania. Natomiast gdyby Mace został jako jedyny przy życiu, jako główny spadkobierca z miejsca stałby się naszym najważniejszym podejrzanym.

Do stolika podszedł kelner. Miał na imię Vlad i był ponaddwumetrowym dryblasem o czarnych włosach, niebieskich oczach i ustach wielkich niczym kanion. Po przyjęciu zamówienia ponownie napełnił kieliszek Deckera.

– Na koszt firmy – powiedział. – Poza tym to i tak koniec butelki.

Decker uśmiechnął się.

– Cieszę się, że wypiję wszystkie męty.

– A co dla pani? – zapytał Vlad.

– Wystarczy mi to, co mam w kieliszku – odparła Rina, a po odejściu kelnera dodała: – Mam kilka pytań dotyczących tej sprawy.

– Jeśli tylko kilka, to wiesz więcej ode mnie.

– Czy Mace zaplanował swoje postrzelenie?

– Wydaje mi się, że chodziło mu nie tyle o to, żeby go postrzelono, ile o to, żeby również i do niego strzelano. Celem prawdopodobnie był Gil. Chciał dokończyć to, czego nie udało się zrobić na ranczu.

– To dlaczego w takim razie ktoś strzelał do Granta, ciebie i Cindy?

– To pozostaje tajemnicą. Moim zdaniem Mace'owi zależało raczej na tym, żeby Grant pozostał przy życiu. – Zamyślił się na chwilę. – Mówię to z zawodowego punktu widzenia. Zgłupieliśmy do reszty, kiedy zabrakło choćby jednego Kaffeya, który nie zostałby zabity albo przynajmniej postrzelony. Nie mieliśmy kogo podejrzewać. Naprawdę zaczęliśmy myśleć, że to sprawka kogoś z zewnątrz i chodziło o zwykły rabunek.

– Kto właściwie do ciebie strzelał?

– Nie wiem. Nikt się do tego nie przyznał.

– A kogo podejrzewasz?

– Nie był to Alejandro Brand, bo już siedział w areszcie. Joe Pine i Julio Davis prawdopodobnie byli w tym czasie w Meksyku, a Martin Cruces pewnie nie chciałby sobie brudzić rąk. Pozostają Gordo Cruz, Esteban Cruz i Miguel Mendoza. Podejrzewam Estebana, bo wydaje się z nich wszystkich najbystrzejszy.

– Esteban Cruz w ogóle do niczego się nie przyznał.

– Tak, był jedynym członkiem gangu, który się wszystkiego wyparł. Inni zeznawali, że był z nimi, jednak nie znaleźliśmy

śladów, które jednoznacznie by na to wskazywały. Mamy trochę włókien i włosów podobnych od jego włosów, nie mamy jednak odcisków palców ani śladów DNA. Pójdzie siedzieć, ale prawdopodobnie nie będzie to dożywocie. Szkoda. To łebski chłopak, a im więcej łebskich przestępców chodzi po ulicy, tym gorzej.

– Według Joego Pine'a Esteban zawalił sprawę z Harrimanem.

– Może tak, może nie.

– A podczas napadu nie zabił Gila Kaffeya.

– Nie, tego akurat nie zrobił Joe Pine. Zabrakło mu amunicji.

– Co za pech!

– Pewnie nigdy wszystkiego nie wyjaśnimy, ale przynajmniej posadziliśmy sprawców.

Rina wypiła łyk wina.

– Mace musiał być chory z nienawiści, skoro zdecydował się na wymordowanie rodziny. Pewnie znalazłby sobie jakiś inny projekt. Może nie byłby on na skalę Greenridge, ale na pewno by coś znalazł. A do tego miał całkiem dużo pieniędzy. To nie tak, że Guy puścił go w skarpetkach.

– Nie wiemy jednak, co Guy tak naprawdę planował.

– Nikt nie słyszał, żeby Guy wspominał o pozbyciu się Mace'a.

– Nikt też nie słyszał, że Guy chce wycofać się z finansowania Greenridge, a jednak niemal wszyscy pracownicy firmy wiedzieli, że to przesądzone, zwłaszcza przy tej recesji.

– To prawda.

Kelner przyniósł danie główne.

– Jeszcze wina? – zapytał.

– Jeszcze trochę, a się ubzdryngolę – odparł Decker.

– A to nie byłoby dobrze, bo**...**

– Bo prowadzę.

– W takim razie proszę oddać kluczyki pani.

– Nie wpuszcza mnie za kierownicę swojego porsche – odparła Rina.

– Nieprawda – żywo zaprotestował Decker, po czym dodał z uśmieszkiem: – No, może jest w tym trochę prawdy.

– Mnie to nie przeszkadza. – Rina też się uśmiechnęła. – Miło mieć przystojnego szofera.

Vlad roześmiał się.

– To może w takim razie pani da się skusić na dolewkę?

– Jasne, proszę jej dolać – powiedział Decker.

– Nie będę mogła prowadzić.

– I o to właśnie chodzi.

Rina klepnęła go żartobliwie w ramię.

– W takim razie poproszę o jeszcze jeden kieliszek.

Vlad dolał jej pinot noir, po czym zapytał:

– Życzą sobie państwo jeszcze czegoś?

– Nie – odparła Rina. – Wszystko jest po prostu wspaniałe. – Gdy kelner odszedł, zjadła kilka kęsów jagnięciny. – Pyszna. Chcesz trochę?

– Nie odmówię. A ty masz ochotę spróbować steku?

– Tylko kawałek.

– To właśnie dlatego wciąż jesteś szczupła, a ja rosnę na

szerokość. Zabrałem ci połowę jagnięciny, a ty ugryzłaś ledwie kawałeczek mojego steku.

– Ważysz prawie pięćdziesiąt kilogramów więcej ode mnie. Nie powinnam jeść tyle co ty. – Wzięła frytkę. – Chcesz?

– Kusicielka. – Ostatecznie jednak Decker skapitulował i zjadł kilka frytek. – Chcesz wiedzieć, co moim zdaniem było największym ciosem dla Mace'a?

– Pewnie. – Zaciekawiona Rina nachyliła się do niego

Decker roześmiał się.

– Jesteś moją najlepszą publicznością.

– Naprawdę mnie to interesuje.

– No dobra, więc posłuchaj, co myślę. Mace pewnie pogodziłby się z rezygnacją z Greenridge. Tak jak mówiłaś, prawdopodobnie Guy nie puściłby go w skarpetkach, tylko najwyżej jeszcze bardziej zdegradował. Poza tym, jak sama zauważyłaś, wciąż miał dużo pieniędzy i pewnie znalazłby sobie jakiś inny projekt. Moim zdaniem tym, co go dobijało, było ranczo.

– Przecież Guy miał to ranczo od lat.

– Tak, owszem, ale to była studnia bez dna. Gdyby Guy sprzedał ranczo, nawet w czasach złej koniunktury dostałby za nie kupę pieniędzy i mógłby zasilić nimi Greenridge Project.

– Na pewno nie pokryłyby wszystkich kosztów.

– Ale może przynajmniej pozwoliłyby Greenridge przetrwać najgorsze czasy. Myślę, że Mace mógłby pogodzić się z rezygnacją z Greenridge. Myślę też, że mógłby się pogodzić z tym, że Guy ma ranczo. Kiedy jednak Guy z Gilem zaczęli

snuć plany o przeobrażeniu go w winnicę, Mace wpadł w furię. Bo to oznaczało, że nie dość, że Guy nie da mu żadnych pieniędzy na Greenridge, to jeszcze wyda miliony dolarów na nowy projekt.

– To ciekawe – powiedziała Rina.

– Wydaje mi się, że Mace po prostu nie mógł znieść myśli, że Greenridge zostanie zamknięte z powodu braku funduszy, podczas gdy kupa forsy zostanie wpompowana w tak kiepski interes jak winnica.

– Nie wszystkie winnice przynoszą straty. – Rina rozejrzała się wokół. – Co powiesz na tę?

– Obstaję przy swoim. Małe winnice rzadko zarabiają na siebie. Na tym interesie naprawdę trzeba się znać, żeby wyjść na swoje.

– To prawda. – Wypiła kolejny łyk pinot noir. – Nawet podoba mi się ta teoria.

Decker się rozpromienił.

– Dziękuję.

Rina uniosła kieliszek.

– Za ciebie i za to, że wykonałeś swoje zadanie. Zasłużyłeś na dobrą kolację. Obiecuję też, że nie będę prowadzić twojego porsche.

– Możesz to robić, byle nie po kilku kieliszkach wina.

Rina zachichotała.

– Nie przeczę, że to nawet niezły pomysł. Zdrówko.

Decker uśmiechnął się i stuknęli się kieliszkami.

– Zdrówko.

Zaszła tu magiczna przemiana.

Ongiś jałowa ziemia zieleniła się jak okiem sięgnąć. Teren pokrywały tysiące rzędów winorośli. Padoki i wartownie zostały zastąpione nowymi budynkami wypełnionymi setkami dębowych beczek i pomieszczeniami dla pracowników. Kiedy jakiś zakład dobrze prosperuje, korzysta na tym cały region.

Promienie słońca próbowały przedrzeć się przez warstwę chmur typową dla wiosny w okolicach Los Angeles. Mimo zachmurzenia powietrze było czyste. Decker zrobił głęboki wdech, po czym wypuścił je wolno. Naprawdę był pod wrażeniem. Nieużytki przerodziły się w pokrytą bujną roślinnością farmę.

Spełniło się marzenie Guya.

– Niewiarygodne. – Decker zasunął kurtkę. – Dzięki za zaproszenie.

– Długo je odkładałem – odparł Gil Kaffey – ale chciałem, żeby wszystko już działało.

Szli między rzędami winorośli. Było ich pięciu: Gil Kaffey, Grant Kaffey, Antoine Resseur oraz Decker i trzymany przez niego pod rękę elegancko ubrany mężczyzna. Brett Harriman mógł pozwolić sobie na drogie ubranie dzięki nagrodzie w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów.

Chociaż Harriman nic nie widział, to wiele czuł.

– Po lewej cabernet, a po prawej chardonnay – powiedział do Gila.

– Co za nos – skomentował Gil z uśmiechem. – Czy pana zmysł smaku jest równie wyczulony jak węchu?

– Proszę mnie przetestować, a wtedy obaj się dowiemy.

– Minie jeszcze sporo czasu, zanim będę mógł użyć do tego

własnego wina. Myślę, że rozsądnie będzie zacząć od wprowadzania na rynek małych ilości, a potem stopniowo rozszerzać działalność.

– Jak pan myśli, ile czasu to zajmie? – zapytał Harriman.

– Pewnie jeszcze kilka lat – odparł Gil. – Tak czy inaczej, mam mnóstwo zajęć. Ludzie często mnie pytają, czy po tym, jak sprzedałem swoje udziały Grantowi, nie tęsknię do interesów. A ja niezmiennie odpowiadam: „Czy jest w ogóle za czym tęsknić?”.

– Cóż, my tęsknimy za tobą – włączył się Grant.

– Nigdy bym tego nie powiedział, patrząc na twoje zyski, braciszku.

– Biorą się z tego, że zwolniliśmy ponad pięciuset pracowników i zamknęliśmy filię na Wschodnim Wybrzeżu. Po usprawnieniu całości zyski na pewno wzrosną.

– Tata powinien był to zrobić już dawno temu – powiedział Gil.

Grant zatoczył ramieniem dookoła, niczym Mojżesz przed Morzem Czerwonym.

– Tata powinien był zrobić już dawno temu to, właśnie to.

Gil wypuścił powietrze z płuc.

– Nasz ojciec był niesamowitym człowiekiem. Miał obsesję władzy i rządził niepodzielnie całą firmą. Potrafił zmieszać cię z błotem kilkoma słowami lub nawet jednym. Wujek Mace zasługuje na to, żeby zgnić w więzieniu, a potem iść do piekła, ale w pewnym, bardzo niewielkim stopniu go rozumiem.

– Zgadzam się tobą, braciszku – powiedział Grant.

– Tata był żywiołem. – Gil rozglądał się po ranczu. – Ale przy tym również wizjonerem.

Resseur poklepał swojego chłopaka po ramieniu.

– Sprawdzę, jak tam z lunchem, Gil. Zgłodniałem.

– Zaraz wszyscy tam pójdziemy – odparł Gil.

– Nie, nie – powiedział Antoine. – Zostańcie tutaj. Zadzwonię, kiedy już wszystko będzie gotowe. Chcę mieć pewną przewagę. – Pocałował Gila w policzek. – Baw się dobrze.

Przez jakiś czas szli dalej w milczeniu.

– Ile osób pan zatrudnia? – zapytał w końcu Decker.

– Na razie głównie Paco Albaneza i jego rodzinę – odparł Gil. – Kiedy rośliny zaczną dojrzewać, sprowadzę tu specjalistów.

– To rozsądne z pana strony.

– Zatrzymałem Rondo Martina, Anę Mendez i Rileya Karnsa, chociaż sprzedaliśmy konie.

Grant uśmiechnął się.

– Bardziej opłacało się ich zatrzymać niż włóczyć się z nimi po sądach.

Gil wybuchnął śmiechem.

– Paco zna się na rzeczy. – Przez dłuższy czas nikt nic nie mówił. – Dziękujemy panom za przyjęcie zaproszenia – dorzucił pod adresem Deckera i Harrimana.

– Dziękujemy panom za wszystko – dodał Grant.

– Nie ma sprawy – odparł Decker. – Wykonywałem swoje obowiązki. Co innego Brett.

– W moim przypadku właściwie też nie ma o czym mówić –

powiedział Harriman. – Nie miałbym pracy, gdyby ludzie nie zeznawali w sądzie. Chociaż**...** – Roześmiał się. – Gdybym wiedział, z czym to się wiąże, pewnie nie zależałoby mi aż tak bardzo na spełnieniu obywatelskiego obowiązku.

– Jesteśmy panu wdzięczni za to, co pan zrobił – powiedział Decker.

– My też jesteśmy panu wdzięczni – dodał Grant. – To znaczy ja i brat.

Przez chwilę było zupełnie cicho, tylko wrony wyrażały swoje niezadowolenie.

– Zapraszam znowu, kiedy interes już się rozkręci – przerwał milczenie Gil. – Z pewnością zasłużyli panowie na kilkadziesiąt skrzynek wina.

– Cały mój brat. – Grant westchnął. – Już dzieli zyski.

– Będę szczęśliwy, jeśli na początek znajdę się na progu rentowności. – Gil wciągnął powietrze, po czym je wypuścił. – Chociaż, prawdę mówiąc, już nie mogę być szczęśliwszy. Szkoda, że mama i tata tego nie doczekali.

Grant położył mu rękę na ramieniu i wszyscy zaczęli iść w kierunku rezydencji. Decker z Harrimanem, a Grant z Gilem.

To prawda, w Biblii wspomina się o Kainie i Ablu, ale również o Mojżeszu i Aaronie, dwóch braciach, którzy szanowali się i kochali nawzajem aż do śmierci. Decker pomyślał, że Gil i Grant prawdopodobnie znajdują się gdzieś pośrodku. Jeszcze rok temu Gil ze łzami w oczach przyznał, że uciekł z Antoine’em Resseurem w dniu, kiedy Grant został postrzelony, bo nie ufał nikomu ze swojej rodziny. Grant był

zszokowany i wściekły, jednak ostatecznie bracia się pogodzili i stali się sobie bliżsi niż kiedykolwiek przedtem.

Bracia nie zawsze darzą się braterską miłością, pomyślał Decker. Kiedy jednak tak się dzieje, jest naprawdę pięknie.

Tytuł oryginału: Blindman’s Bluff
Pierwsze wydanie: William Morrow, 2009
Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media
Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga
Opracowanie redakcyjne: Władysław Ordęga
Korekta: Joanna Morawska

© 2009 by Plot Line, Inc.
© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części dzieła w jakiejkolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiekolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: iStock.
Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harlequin.pl

ISBN: 978-83-276-1599-2

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o. | www.legimi.com